

Takiej Ruth Ware jeszcze nie czytaliście. Gra w kotka i myszkę pełna zabójczej intrygi. Jazda bez trzymanki, która zadowoli największego miłośnika thrillerów!

DAVID BALDACCI

RUTH WARE

DZIEŃ ZERO

**NIE SCHOWASZ SIĘ PRZED WROGIEM,
KTÓRY JEST WSZĘDZIE**

Przełożyła Anna Tomczyk



**DZIEŃ
ZERO**

RUTH WARE

DZIEŃ ZERO

Przełożyła
ANNA TOMCZYK



Tytuł oryginału: *Zero Days*

Copyright © Ruth Ware, 2023

First published as *Zero Days* by Simon & Schuster Inc. oraz Simon & Schuster UK Ltd.,
2023

Copyright © for the Polish translation by Anna Tomczyk, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2024

Redaktorka prowadząca: Joanna Zalewska

Marketing i promocja: Greta Sznycer

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Anna Nowak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki: Magda Bloch

Zdjęcie na okładce: © peshkov | iStock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67974-68-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Mojemu tacie, który miał fioła na punkcie bezpieczeństwa w sieci, zanim to było modne.

Sobota, 4 lutego

MINUS OSIEM DNI

Mur okalający to był pikuś. Miał co prawda koło metra osiemdziesiąt, ale żadnych szpikulców czy drutu kolczastego na górze. Druty kolczaste to moje przekleństwo. Nie bez powodu używają ich w strefach wojennych.

Ponieważ sama mam ledwo metr sześćdziesiąt, nie mogłam dosięgnąć szczytu, żeby się na nim podciągnąć. Wspięłam się więc na pobliskie drzewo ze stabilną gałęzią rozciągniętą ponad parkingiem, zawisłam na niej tak, że moje stopy oparły się w końcu na górze muru, a potem cicho przebiegłam po nim w miejsce, w którym mogłam zeskoczyć poza zasięgiem kamer cyklicznie omiatających budynki.

Po drugiej stronie parkingu znajdowały się opisane przez Gabe'a drzwi. Wyglądały obiecująco. Standardowe, w połowie przeszklone, z klamką od środka. Z zadowoleniem dostrzegłam, że były kiepsko osadzone, a na dole miały szparę, przez którą dało się praktycznie wsunąć dłoń. Zajął mi jakieś trzydzieści sekund, by wepchnąć pod nie mój długi, metalowy łom, podciągnąć go w górę, żeby haczyk chwycił klamkę, a potem zdecydowanie szarpnąć ją w dół. Drzwi się otworzyły i wstrzymałam oddech, czekając na alarm – wejścia pożarowe są pod tym względem ryzykowne – ale nic nie zawyło.

W środku włączyły się migoczące automatyczne światła – wielkie, fluorescencyjne kwadraty na wyłożonym płytkami suficie, które ciągnęły się w ciemną dal niczym szachownica. Odległy koniec korytarza wciąż był czarny jak noc, czujniki nie odnotowały tam jeszcze mojego ruchu, ale ta część, w której stałam, była skąpana w świetle, więc odczekałam, aż oczy przyzwyczają się do blasku.

Światła to trochę broń obosieczna. Z jednej strony stanowią wyraźne ostrzeżenie dla każdego, kto monitoruje obraz z kamer. Nic tak nie przyciągnie uwagi strażnika gapiącego się w komórkę, jak ekran rozświetlający się nagle niczym choinka. Ale z drugiej strony czasem dzięki

nim udaje się wybrnąć, kiedy przyłapią cię, jak pewnie spacerujesz nocą po budynku. Dużo trudniej wyjaśnić swoją obecność, gdy zakradasz się ciemnym korytarzem z latarką. Równie dobrze można od razu włożyć koszulkę w paski i nosić przy sobie torbę z napisem: „Łupy”.

Była dwudziesta druga dwadzieścia, a ja miałam na sobie „biurowy” strój – czarne spodnie, które wyglądały jak od garnituru, ale w rzeczywistości były bardziej rozciągliwe i oddychające niż jakiegokolwiek biurowe ubrania. Do tego granatowa bluzka i czarna marynarka, zwykła sieciówkowa, z Gapa. Na stopach miałam czarne converse’y, a na ramię zarzuciłam szary plecak Kanken.

Tylko włosy nie pasowały do zestawu. W tym miesiącu pofarbowałam je na fluorescencyjny czerwony, niezbliżony do żadnego naturalnego odcienia, i nie bardzo wpasowywał się on w nieco sztywniacką atmosferę tej firmy – grupy ubezpieczeniowej Arden Alliance. Gabe proponował mi perukę, ale peruki to zawsze ryzyko, a poza tym wymyśliłam już sobie rolę. Jen – postanowiłam, że tak będzie miała na imię moja zmyślona pracownica biurowa – zatrudniona w obsłudze klienta, lubiła wspominać rok przerwy między studiami a pracą i nadal myślała, że jest trochę fajna. Jen może i przykładała się do swoich zadań, żeby dostać awans, ale jej włosy były ostatnim błyskiem osobowości, której na etacie nie porzuciła jeszcze do końca. To oraz może trochę za dużo płynnego eyelinera w zestawie z tatuażem na łopatkę: „stick ’em with the pointy end”.

Ten eyeliner był prawdziwy – nie czułam się dobrze ubrana bez gładkiego muśnięcia Nyx Epic Ink. Wykształcenie uniwersyteckie było zmyślone. Podobnie jak tatuaż. Nie wkręciłam się aż tak mocno w *Grę o tron*, żeby go sobie zrobić, choć muszę przyznać, że jeśli już miałabym wybierać, to rzeczywiście Arya była najlepszą postacią.

Jen pracowała do późna, straciła poczucie czasu i spieszyła się do domu na weekend. Stąd te wygodne buty. W plecaku miała biurowe obcasy – chociaż tutaj moja opowieść się sypała. Jen być może trzymała w plecaku szpilki. Mój był pełen narzędzi włamywacza oraz sprzętu komputerowego z bardzo podejrzanym oprogramowaniem, które Gabe ściągnął z darknetu.

Szłam cicho korytarzem, moje gumowe podeszwy bezgłośnie stąpały po wykładzinie, a ja starałam się wyglądać, jakbym była u siebie. Po obu stronach znajdowały się drzwi do pustych gabinetów, tylko gdzieś

ciemność rozświetlały LED-y, bo niektórzy nie wyłączyli komputerów przed weekendem we właściwy sposób.

Kserokopiarka we wnęce mrugała hipnotycznie, a ja się zatrzymałam i rozejrzałam po korytarzu. Za mną był oświetlony, ale zakręt przede mną pozostał ciemny, bo czujniki ruchu wciąż jeszcze nie wykryły mojej obecności. Tym lepiej – światła mogły zaalarmować ochronę, ale to działało w dwie strony. Mało prawdopodobne, żeby strażnicy zaszedli mnie od tyłu; ten korytarz kończył się wyjściem na parking. Gdyby pojawili się z przodu, włączające się lampy ostrzegłyby mnie na tyle wcześnie, że zdążyłabym się wycofać lub schować w którymś biurze. Gabe pewnie kazałby mi dalej szukać serwerowni – to była za dobra okazja, żeby ją przepuścić.

Za ksero znajdowały się, tak jak miałam nadzieję, splątane przewody i dwa porty LAN do podłączania urządzeń do głównej sieci firmowej. Jeden był używany, podpięty do ksero. Drugi pusty. Z bijącym szybko sercem rozejrzałam się po korytarzu i wyciągnęłam z plecaka malutki mikrokomputer Raspberry Pi.

Pi był mniejszy od kieszonkowej książki, wsunęłam go za ksero i umościłam w stosie porzuconych kartek, które wypadły z tyłu podajnika. Podłączyłam go do prądu i wsunęłam łącze LAN do pustego portu. Parę sekund później w słuchawce Bluetooth coś zatrzeszczało i usłyszałam niski głos mojego męża, dziwnie bliski w spokojnym, opuszczonym budynku.

– Hej, kochanie... Twój pi właśnie podłączył się do sieci. Jak idzie?

– W porządku – odparłam cicho. Nie był to do końca szept, ale coś niewiele głośniejszego. – Próbuję się zorganizować. – Przykryłam pi porzuconą kserówką, żeby go ukryć, po czym zarzuciłam na ramię plecak i poszłam dalej korytarzem, za załom. – A ty jak się masz?

– Och, no wiesz. – W głosie Gabe'a słychać było ironię. – Pykam sobie w *Dark Souls* na PS. Niewiele mogę zrobić, dopóki nie wpuścisz mnie do serwerowni.

Zaśmiałam się, ale on nie do końca żartował. Z tymi *Dark Souls* to mogła być ściema – dobrze wiedziałam, że nie było mowy, by grał w takiej chwili; wręcz przeciwnie, na pewno siedział zgarbiony przed monitorem, niecierpliwie śledząc moje postępy na planach, które pozyskaliśmy z wydziału gospodarki przestrzennej – ale to z serwerem to była prawda. Dla Gabe'a to zawsze była najtrudniejsza część każdej roboty: musiał po

prostu siedzieć i słuchać, nie miał jak mi pomóc, gdybym napotkała jakieś problemy.

– Gdzie teraz jesteś? – spytał.

– W korytarzu ciągnącym się ze wschodniej części do zachodniej od tych drzwi przeciwpożarowych, które znalazłeś. Ten budynek jest... O kurczę.

Zamarłam.

– Co? – Głos Gabe'a zdradzał zaniepokojenie, ale nie przesadne. „O kurczę” to nie było coś, co powiedziałabym, gdybym wpadła na ochroniarza. W takim wypadku byłoby to coś dużo mocniejszego.

– Tam dalej są drzwi antywłamaniowe. Były na planie?

– Nie – odpowiedział Gabe, trochę ponuro. – Musieli coś poprawić.

Słyszałam, jak jego palce biegają po klawiaturze.

– Czekaj, próbuję się dostać do tego systemu zabezpieczeń przez twojego pi. Co widzisz?

– Czujnik ruchu. – Spojrzałam w górę na mrugający podczerwienią owal umieszczony nad drzwiami. Byłam tuż poza jego zasięgiem.

– Dobra, to zaczekaj, ten czujnik może uruchomić alarm.

– No raczej.

Oczywiście, że to wiedziałam. Nie martwiłam się samymi drzwiami, bo we dwoje Gabe i ja byliśmy w stanie przedostać się niemal wszędzie. Ale czujnik na podczerwień zwykle oznaczał wykrycie ruchu, a uruchomienie go po godzinach zamknięcia firmy wiązało się z ryzykiem zaalarmowania ochrony. Mimo wszystko drzwi przeciwpożarowe nie były podłączone do alarmu, a to dobry znak. Zaczęłam podchodzić bliżej.

– Jack? – odezwał się Gabe. Usłyszałam, że jego palce przestały klikać. – Jack, kochanie, powiedz mi, co ty robisz? Nie chcemy powtórki tego, co w Zanatechu.

Zanatech. Ych. Streściłabym to jednym słowem: psy. Nie mam nic przeciwko psom jako zwierzętom domowym, ale nienawidzę psów w ochronie. One naprawdę potrafią narobić szkód. I umieją biegać. Szybko.

Zignorowałam Gabe'a i zrobiłam kolejny krok, wstrzymując oddech.

Czujnik się zaświecił, odnotował moją obecność, a ja zacisnęłam oczy, przygotowując się na wycie alarmu oraz tupot biegnących stóp... ale jedyne, co się wydarzyło, to otwarcie drzwi na oścież.

– *Jack?* – Gabe usłyszał, jak wypuściłam powietrze ustami, i w moim uchu jego głos brzmiał już na bardziej zniecierpliwiony. – Co się właśnie stało?

– Wszystko w porządku. Drzwi się otworzyły. Chyba niczego nie uruchomiły.

Dosłownie usłyszałam, jak Gabe zacisnął zęby po drugiej stronie słuchawki, starając się nie rzucić riposty, którą miał już na końcu języka. Ja jednak wiedziałam, czego nie powiedział. Chciał, żebym poczekała, aż on spróbuje się dostać do systemu zabezpieczeń przez pi i sprawdzi, czy drzwi są podpięte do alarmu. Ale to mogło trwać godzinami, a w tej pracy bezczynność wiązała się z ryzykiem. Czasami trzeba zaufać intuicji i działać impulsywnie.

Poza tym to tak *naprawdę* nie było impulsywne i Gabe o tym wiedział. To był instynkt wypracowany przez długie lata robienia dokładnie takich rzeczy.

– *Chyba* niczego nie uruchomiły – powiedział w końcu, a ja się uśmiechnęłam.

Mogłam sobie pozwolić na wspaniałomyślność. Gdyby rozległo się wycie alarmu albo, co gorsza, szczekanie psów, a Gabe krzyczałby w tym czasie „a nie mówiłem?!”, nie byłoby mi tak bardzo do śmiechu. Jednak jedną z zalet Gabe’a było to, że potrafił przegrywać. Wiedziałam, że przeszedł już do kolejnego zadania, bo spytał:

– Gdzie teraz jesteś? W holu z windami?

– Tak. – Rozejrzałam się. W korytarzu stały wysoka juka i futurystyczne, metalowe krzesło. – Odchodzą stąd trzy korytarze i... – Spojrzałam na cyfry nad drzwiami windy. – Cholera, czternaście pięter. Wiemy, na którym powinna być ta serwerownia?

– Czekaj. – Usłyszałam klikanie klawiszy. – Zdaje się, że IT jest na piątym, więc zacznij tam. Na którym jesteś piętrze? Na parterze?

– Nie jestem pewna. – Rozejrzałam się. – Parking zajmuje dwa poziomy.

Na długiej tablicy naprzeciwko znajdowała się lista pięter. Najwyraźniej byłam na pierwszym. A „5 – IT i HR” zostało pomocnie oznaczone cztery linijki wyżej. I tyle pożytku z komputerowej magii Gabe’a.

Wysłałam mu szybko telefonem fotkę tej tablicy z podpisem „no co ty nie powiesz” i usłyszałam w słuchawce jego dudniący śmiech, gdy wiadomość do niego dotarła.

– Słuchaj, no co mam ci powiedzieć, informatycy zwykle są proszeni o rozwiązywanie problemów, z którymi ludzie powinni radzić sobie sami.

– Pieprz się, Medway – rzuciłam uprzejmie, a on znowu się roześmiał, tym razem cichym, znaczącym śmiechem, który przyprawiał mnie o motylki w brzuchu.

– Och, zrobiłbym to, ale myślę o kimś dużo bardziej seksownym. A ona za godzinę lub dwie będzie w domu. *Jeśli ruszy tyłek.*

Poczułam, że usta rozciągnęły mi się w niepohamowanym uśmiechu, ale przybrałam surowy ton.

– W ogóle nie wrócę do domu, jeśli nie wpuścisz mnie do tej serwerowni, więc skup się na robocie i nie mieszaj do tego mojego tyłka.

Spojrzałam na panel sterowania windy. Była to taka nowoczesna winda, w której trzeba odbić kartę, a dopiero potem wybrać piętro.

– W windzie jest czytnik kart, więc podejrzewam, że do wejścia na wyższe piętra też jest potrzebna karta – dodałam.

– Cóż, tego raczej nie zdołam obejść, póki nie dasz mi dostępu do serwerowni, więc pora poszukać schodów, skarbie.

Westchnęłam teatralnie i rozejrzałam się w poszukiwaniu drogi pożarowej – czyli schodów. Podpisane drzwi w rogu holu wskazały mi drogę, ale zanim się tam ruszyłam, upuściłam zawirusowany pendrive przed drzwiami do wind. Gabe dał mi przed wyjściem sześć takich niewinnie wyglądających maluszków napakowanych koniem trojańskim jego autorstwa. Przy odrobinie szczęścia ktoś w poniedziałek przyjdzie, podniesie go i podłączy do swojego komputera, żeby spróbować namierzyć właściciela. Dostanie parę pustych dokumentów Worda i sprytny kawałek kodu, który zapisze się na jego twardym dysku, nawiąże kontakt ze swoją bazą danych i pozwoli na odczytywanie oraz zapisywanie wszystkiego na tym komputerze, dopóki będzie podłączony do internetu.

Wychodząc na piąte piętro, upuściłam kolejny pendrive, a potem dotknęłam słuchawki.

– Jesteś w małym holu – odezwałam się do Gabe'a, naśladując głos robota. – Korytarze prowadzą na północ, wschód i zachód. Na zachód znajduje się winda. W oddali widać wysoką, lśniąca białą wieżę. A nie, czekaj, to ostatnie jest z *Colossal Cave Adventure*.

– Upuść ten pendrive – odpowiedział Gabe, a ja się zaśmiałam.

– Po pierwsze, pomyliłeś gry, ta komenda ma trzy słowa. A po drugie, już to zrobiłam. I wiedziałbyś o tym, *gdybyś* zdołał się włamać do nagrań z kamer. No, to który korytarz?

Rozejrzałam się po trzech tak samo nijakich holach, słuchając klikania myszki Gabe'a, który próbował wywnioskować coś z tego układu.

– Weszłaś przez drzwi ewakuacyjne, o których mówiliśmy, a windę C masz za plecami, zgadza się?

– Tak. A przynajmniej tak zakładam, że to winda C. Po lewej są drzwi oznaczone jako HR, jeśli to w czymś pomaga.

– Tak, pomaga. Musisz chyba iść tym korytarzem na wprost.

Uniosłam kciuki, przypomniałam sobie, że Gabe nie może mnie jeszcze widzieć, a potem podeszłam do szklanych drzwi znajdujących się przede mną. Tym razem nie rozsunęły się automatycznie.

– Okej, jesteśmy przy kolejnych zabezpieczonych drzwiach, a ja stoję po złej stronie. Mają czytnik kart. Co dalej, Inspektorze Gadżet?

– Da się gdzieś wpisać kod?

– Tak, są klawisze. Numeryczne.

– To już coś. Daj mi sekundę. Nie wiem, czy zdołam obejść to już teraz, ale może będę w stanie wydostać kod z ich systemu przez twojego pi.

Pokiwałam głową i stałam, słuchając szaleńczego stukania palców Gabe'a na klawiaturze oraz jego głosu, kiedy od czasu do czasu przeklinał szeptem. Znowu poczułam, że uśmiech rozciąga mi usta, i przez chwilę żałowałam, że nie ma mnie z nim w naszym domowym salonie, gdzie mogłabym opleść ramionami jego szeroki tors i pocałować jego ciepły kark z krótko przystrzyżonymi włosami. Kochałam Gabe'a, uwielbiałam w nim wszystko, ale najbardziej właśnie w takich chwilach, kiedy siedział z pochyloną głową całkowicie pochłonięty pracą. Nie chodziło tylko o to, jak seksownie wygląda ktoś robiący coś, w czym jest bardzo, *bardzo* dobry. Chodziło też o poczucie wspólnoty, o to, że jesteśmy ja i on, razem przeciwko całemu światu.

I cóż, czasami również przeciwko sobie. Może i byliśmy mężem i żoną, ale to nie znaczyło, że ze sobą nie rywalizowaliśmy. Ja też byłam dobra w tym, co robiłam. Jak się okazuje, bardzo dobra.

Czekając, podeszłam do klawiatury i wpisałam „1234”. Nic się nie stało, tylko czujnik mrugnął na chwilę czerwonym światłem. Potem wpisałam „4321”. Znowu nic. Nie ryzykowałam trzeciej próby, na wypadek gdyby

była tam jakaś blokada, ale przyszło mi do głowy coś innego i sięgnęłam do torby po znajdującą się na samym dnie puszkę sprężonego powietrza.

– Jak idzie, kochanie? – spytałam Gabe'a i odkręciłam nakrętkę.

Odpowiedziało mi stłumione stęknienie.

– Nie za dobrze. Jestem w ich systemie, ale nie mogę się dostać na poziom administratora. Próbuję wejść do jakichś mejli, żeby sprawdzić, czy nie wysyłali komuś kodu w ten sposób.

– No cóż, zegar tyka, Medway. *Jeżeli* chcesz, żebyśmy wróciła niedługo do domu, to chyba pora ruszyć swój kształtny tyłek?

W odpowiedzi usłyszałam jedynie ciche warknięcie – na wpół z frustracji, na wpół ze śmiechu.

Przyłożyłam puszkę sprężonego powietrza do szpary w drzwiach i pociągnęłam za spust. Rozległ się długi, głośny syk powietrza wpychanego przez wąski otwór – i wtedy drzwi się rozsunęły. Zapiałam z zachwytu. Palce Gabe'a przestały stukać w klawiaturę.

– Yyy... co się właśnie stało?

– To tylko ja, rozwiązuję problemy, z którymi informatycy powinni sobie radzić sami.

– Zaraz, otworzyłaś te drzwi? Jak?

– Dobrze wiesz, skarbie. Sprężone powietrze przez szparę. Zmiana temperatury wprowadza w błąd czujnik na podczerwień. Spróbuj zhakować coś takiego.

– Och, pieprz się.

– Myślałam, że ustaliliśmy już, iż to jest pańskie zadanie, panie Medway? – zażartowałam i usłyszałam, że rozdrażnienie Gabe'a wywołane porażką w ciągu sekundy zamieniło się w śmiech.

– To prawda. A jak już mówimy o kształtnych tyłkach, to rusz się, skarbie. Zegar tyka.

– Zegar tyka – zgodziłam się i zaczęłam iść korytarzem, podczas gdy światła zapalały się jedno po drugim.

Był to długi hol, pełen biur takich jak te cztery piętra niżej, nigdzie nie było serwerowni. Zajrzałam za jedne nieoznaczone drzwi, ale okazało się, że to schowek pełen sprzętów dozorczy, z wiadrem i mopem. Zapaliło się kolejne światło. Mogłam zajrzeć aż na sam koniec, do zakrętu korytarza. To wszystko; gdyby ktoś zbliżał się z naprzeciwka, nic by mnie o tym nie ostrzegło. W słuchawce zatrzeszczało.

– Nadal nic?

– Jeszcze nie – rzuciłam krótko, a potem zatrzymałam się, nasłuchując.

– Czy... – zaczął Gabe.

– Cicho! – syknęłam.

Nie trzeba było mu dwa razy powtarzać. Rozległo się delikatne kliknięcie, kiedy wyciszył mikrofon, żeby nawet jego oddech mnie nie rozpraszał.

Z naprzeciwka dobiegał jakiś dźwięk. Nie kroków, dzięki Bogu, ale cichy szum wiatraków komputerowych oraz mocno pracującej klimatyzacji. Serwerownie zwykle prędzej się słyszy, niż widzi.

– Mam ją – odszepnęłam Gabe'owi. – To znaczy, jeśli nie, to chyba trzymają tam za drzwiami samolot.

Zbliżając się, dostrzegłam wentylowane drzwi z tabliczką „WSTĘP TYLKO DLA UPRAWNIONYCH PRACOWNIKÓW”.

Zignorowałam ją i sprawdziłam klamkę. Oczywiście było zamknięte, ale bardziej zmartwił mnie brak dziurki od klucza. Fizyczny zamek pewnie byłabym w stanie otworzyć wytrychem, ale te drzwi miały tylko czytnik kart na lewo od klamki. Żadnego panelu do wpisania kodu. A były dobrze dopasowane, na dole nie dostrzegłam najmniejszej szpary. Niemal na pewno był tam jakiś wewnętrzny przycisk zwalniający blokadę, wątpiłam jednak, czy zdołałabym go nacisnąć, mając tak niewiele miejsca do manewrowania. Wloty powietrza zostały zamontowane tak, że listwy kierowały się w dół, nie w górę, a otwory były zbyt małe, żeby się na coś przydać. Nawet gdybym wymontowała wentylację, nie mogłabym się przez nią precyzyjnie przycisnąć, a poza tym naprawdę nie powinnam niczego niszczyć.

– Kochanie? – usłyszałam w uchu.

– Tu jest czytnik kart. Nie ma jak wpisać kodu.

– Szlag.

Wiedziałam, że Gabe z namysłem ciągnął się za brodę, próbując przemyśleć nasze możliwości. Zakodowanie karty nie było trudne, jeśli miało się sprzęt i znało kod, ale my go nie znaleźliśmy. A nawet gdyby zdołał wykopać go jakoś z plików sieci, to ja byłam tutaj, a urządzenie szyfrujące w domu. Musieliśmy skończyć to tego wieczoru.

– Dookoła i górą? – spytał Gabe, a jego pytanie współbrzmiało z tym, co sama rozważałam, więc pokiwałam głową.

– Czytasz mi w myślach.

Rozejrzałam się po korytarzu i oceniłam pomieszczenia przylegające z obu stron do serwerowni. Na lewo było zwykłe biuro z przeszkloną ścianą od korytarza i dwoma biurkami. Drzwi prawdopodobnie nie zamknięto na klucz, skoro to była wspólna przestrzeń, ale szklana ściana nie wydawała się idealna – każdy idący korytarzem mógłby mnie tam zobaczyć. Na prawo... i wtedy poczułam ukłucie satysfakcji. Na prawo była toaleta. Męska – ale dla moich celów nie miało to żadnego znaczenia. Wystarczyło, że ściana od strony korytarza była cała z płyty gipsowej.

– Houston, mamy toaletę – szepnęłam do Gabe’a.

– To pójdzie jak po maśle.

– Łatwo ci mówić, ty siedzisz na tyłku w domu – odpaliłam i usłyszałam w odpowiedzi jego śmiech, kiedy otworzyłam drzwi na oścież.

W środku stanęłam na chwilę, ściągnęłam żakiet i odczekałam, aż moje oczy przyzwyczają się do zapalonych świateł. Za mną, wzdłuż ściany korytarza, był rząd umywalek. Otworzyłam drzwi do kabiny znajdującej się najbardziej na lewo i ku swojej ogromnej satysfakcji zobaczyłam, że była standardowa – sedes stał przy zbiorniku spłuczki solidnie obudowanym na wysokości mojej klatki piersiowej. Ta nowa moda ukrywania zbiorników w ścianie jest elegancka, ale nie nadaje się do tego, co zamierzałam zrobić.

Opuściłam klapę, weszłam na nią, a potem wskoczyłam nad spłuczkę i stanęłam skulona pod płytkami sufitu. Odczekałam chwilę, żeby ocenić sytuację, upewnić się, że trzymam równowagę, a mój sprzęt jest bezpieczny, po czym delikatnie wcisnęłam jedną z płytek sufitowych.

Natychmiast się przesunęła, chmura kurzu i martwych much opadła na podłogę łazienki, a ja się podciągnęłam, modląc się jednocześnie, żeby ściana pomiędzy tymi dwoma pomieszczeniami była na tyle solidna, by utrzymać mój ciężar. Lekko zaskrzypiała, kiedy napięłam mięśnie, i ponownie, gdy uniosłam jedną nogę i wsunęłam ją w wąski otwór. Ale nic się nie zapadło i po niecałych dwudziestu sekundach leżałam już płasko na brzuchu w głębokiej pustej przestrzeni pomiędzy podwieszanym sufitem a prawdziwym. Było tam bardzo, *bardzo* gorąco. Ciepłe powietrze docierało wijącymi się srebrnymi kanałami klimatyzacji, która ciężko pracowała, by ochłodzić szafy serwerowe w pomieszczeniu poniżej. Kiedy wyciągnęłam latarkę i omiotłam nią przestrzeń wokół siebie, dostrzegłam miejsce do czołgania się prowadzące w ciemność przede mną.

Ostrożnie, bardzo ostrożnie, wsunęłam sobie latarkę między zęby i zaczęłam się przesuwac po suficie, starając się trzymac jak najblizej podpierajacej go sciany. Potem wbiłam paznokcie w plyte dokladnie nad miejscem, ktore – jak sadzilam – powinno byc w samym rogu serwerowni. Podniosla sie z latwoscia, niczym klapa w suficie, ale widok stamtad byl zniechecajacy. Cale rzedy mrugajacych serwerow, zbyt ciasno, by dalo sie po nich wspinac, a odleglosc do podlogi wynosila dwa i pol metra. Moglam sie opuscic na rekach – mialam calkiem silne ramiona – ale ryzyko, ze nie dam rady sie podciagnac z powrotem, bylo spore. Co stawialo przede mna dosc istotne pytanie: Czy serwerownia otwiera sie od srodka bez uzycia karty?

Lezac w poprzek sciany dzialowej, wychyilam sie pomiedzy rozporki i zaswiecilam latarką przez dziure w suficie. Przechylajac glowe, dostrzelam, ze *jest* tam jakis panel obok klamki na drzwiach, ale nie widzialam go dobrze – cien rzucany przez jedna z szaf serwerowych sprawial, ze nie sposob bylo dostrzec szczegolow. Mogl tam byc przycisk otwierania drzwi... albo alarm pozarowy. Albo moze po prostu wlacznik swiatla. Musialabym sie do niego zblicyzc, zeby to sprawdzic.

Z wielka ostroznościa odlozylam na bok podniesiona przed chwila plyte i poczolgalam sie dalej po podwieszonym suficie, blizej srodka pomieszczenia. Rozporki troche zaskrzypialy, ale nie poruszily sie, a ja wstrzymalam oddech i zaczęlam podwazac druga plyte. Ta z jakiegoś powodu byla sztywniejsza, moze przytrzymywal ja kanal klimatyzacji przyklejony do sasiedniego panelu, w kazdym razie musialam pociagnac za brzeg z calej sily. Jeden rog ustapil, pociagnelam mocniej. Cala strona sie poluzowala...

A potem, z dzwiekiem przypominajacym uderzenie pioruna, plytka pekla na pol i polecialam do tyłu.

Lezalam tak nieruchomo dluzszy czas, ze zlamaną plytą w dloni. Hałas byl tak glošny, ze dzwoniło mi w uszach, i bylam w stanie sobie wyobrazic, jak poniosl sie echem po waskiej przestrzeni sufitu aż na korytarz, odbijajac sie od przewodow i sprawiajac, ze caly sufit zawibrowal niczym bęben. Czulam, jak opadal wokol mnie piaszczysty kurz, truchla maleńkich insektow lecialy na moje wlosy i twarz, a potem uslyszalam spanikowany głos Gabe'a.

– Jack. Jack! Nic ci nie jest? Kochanie, wszystko w porządku? Co się stało?

– Nic mi nie jest – odszepnęłam. Przyłożyłam dłoń do słuchawki, sprawdzając, czy nadal jest bezpieczna. Ręce trzęsły mi się w szoku. – Po... po prostu ułamałam płytę sufitową.

– To brzmiało jak wystrzał z pistoletu!

Słyszałam ulgę w jego głosie i nagle dotkliwie pożałowałam, że nie ma go tu ze mną, i wiedziałam, że on poczuł to samo. Tak, to było najtrudniejsze – gdy działo się coś złego, albo prawie się działo, a ta druga osoba nie mogła w żaden sposób pomóc.

– Chryste, kochanie, *nie* rób mi takich rzeczy. Myślałem, że cię ktoś zastrzelił.

Poważnie pokiwałam głową.

– Nic mi nie jest, ale, kurwa, Gabe, to było *naprawdę* głośne. Jeżeli na tym piętrze ktoś jeszcze pracuje, to musiał mnie usłyszeć.

– No nie mogę się dostać do kamer, żeby to sprawdzić, dopóki nie podłączysz dysku – zauważył Gabe.

Nie przekomarzał się już ze mną i brzmiał, jakby się martwił, ale próbował tego nie okazywać. Nie chciał przenieść na mnie swojego zdenerwowania, lecz także wiedział, że nie zawsze dobrze przyjmowałam przejawy opiekuńczości.

– Serio, kochanie, nic ci nie jest?

– Wszystko *w porządku*.

Odłożyłam na bok pękniętą płytę i oparłam się z powrotem na łokciach, ostrożnie się oklepując. Serce zaczęło zwalniać i wyglądało na to, że z plecaka ani kieszeni nic mi nie zginęło. A potem zdałam sobie sprawę, że latarka wypadła przez dziurę w suficie i leżała na podłodze serwerowni skierowana tyłem do drzwi. Nadal nie miałam pojęcia, czy był tam jakiś przycisk do otwierania.

No dobra, pierdołę. Był tylko jeden sposób, żebyśmy dostali się do tej serwerowni – a gdybym nie mogła się wydostać, to trudno. Poradziłabym sobie, nawet gdybym miała tam spać. Radziłam sobie z gorszymi rzeczami.

Przyjęłam stanowczy ton.

– Wchodzę.

Śmiech Gabe'a był trochę drżący.

– Wiesz, uwielbiam, kiedy mówisz nieprzyzwoite rzeczy, skarbie, ale to nie jest dobry moment.

– Pierdol się – warknęłam, przygotowując się do skoku.

Tym razem jego śmiech brzmiał już pewniej.

– No pięknie. Jak to jest wysoko?

– Jakies dwa i pół metra? Może trochę więcej? Mniej niż trzy.

– Powodzenia. Połamania nóg. To znaczy: nie połam się.

– Nie połamie – odrzekłam krótko.

Chwyciłam się rozpórek otaczających płytę sufitową, oceniłam wysokość, zanurzyłam czubki palców w woreczku z magnezją przywiązany do plecaka i zaczęłam się powoli opuszczać w głąb pomieszczenia. Mięśnie miałam całe spięte, próbowałam w pełni kontrolować zejście. *Właśnie* po to spędzałam pięć nudnych poranków w tygodniu na siłowni. Nie po to, żeby się wcisnąć w opięte džinsy, ani tym bardziej nie dla Gabe'a, który miał w dupie, jaki nosiłam rozmiar. Ale po to. Dla tej chwili, kiedy wszystko zależało od siły moich mięśni oraz wytrzymałości chwytu.

No, po to i jeszcze żeby móc uciekać przed ochroniarzami, ale miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Chwilę później wisiałam już na samych czubkach palców, z ramionami całkiem wyprostowanymi. Zerknęłam w dół. Znajdowałam się niecały metr od podłogi. To trochę wyżej, niżbym chciała, i pożałowałam, że nie włożyłam czegoś z większą amortyzacją niż converse'y. Moje palce zaczęły już protestować. Odliczyłam do trzech.

I puściłam się.

Wylądowałam na czterech kończynach, cicho jak kot.

– Jestem w środku – powiedziałam do Gabe'a.

– Jesteś zajebista. Czy mówię ci to wystarczająco często? A teraz... Masz te pendrive'y i drugiego pi?

– Tak.

Wyprostowałam się i sięgnęłam do plecaka po kopertę bąbelkową, którą Gabe wręczył mi zaledwie przed paroma godzinami, pełną jego starannie przygotowanych urządzeń.

– Gdzie mam je włożyć?

– Okej – zaczął Gabe; już nie żartował, w jego głosie było słychać wyłącznie skupienie. – Słuchaj uważnie: powiem ci, co musisz zrobić...



Minęło może pięć minut i podłączyłam ostatni dysk, potem wytarłam spocone dłonie, wyprostowałam się, po czym rozejrzałam się za latarką. Przez chwilę nie mogłam jej dostrzec – ale wtedy zauważyłam blask dochodzący spod najdalszych szaf serwerowych. Musiałam ją tam wkopnąć przypadkiem, kiedy zeskoczyłam.

Leżała zupełnie z tyłu, jednak udało mi się jej dosięgnąć metalowym łomem i teraz omiotłam nią pomieszczenie, celując w panel przy drzwiach.

Zielona gałka. Nieoznaczona, ale to przecież *musiał* być przycisk otwierający drzwi. Przepisy przeciwpożarowe z pewnością stanowiły, że zamykanie na klucz pracowników w pomieszczeniach z mnóstwem sprzętu elektronicznego jest niedozwolone.

Nim go wcisnęłam, spojrzałam na sufit. Brakowało w nim dwóch płyt: jedna była wyjęta, druga złamana na pół. Zniszczeń instalacji i wyposażenia nie mieliśmy w planie, ale nic nie da się poradzić na takie wypadki – każdy o tym wiedział. Chociaż może powinnam się wspiąć tam jeszcze raz przez męską toaletę, żeby włożyć na miejsce wyjętą płytę.

Zastanawiałam się nad tym, gdy zatrzeszczał mi w słuchawce głos Gabe'a; przemówił jakimś nowym tonem.

– Kochanie? Jesteś tam jeszcze?

– Właśnie wychodzę. O co chodzi?

– Gonią cię. Właśnie uzyskałem dostęp do kamer. Jeden ochroniarz wspina się po schodach, a drugi jedzie główną windą. Wychodzą teraz z trzeciego piętra.

– Ile mam czasu?

– Góra dwie minuty. Może mniej.

– Mam tu zostać?

– Nie, przeszukują pomieszczenia. Ktoś musiał usłyszeć ten hałas.

– Okej. Uciekam.

Z dreszczem przerażenia i ekscytacji wcisnęłam zielony przycisk. Przez chwilę nic się nie działo i ścisnęło mnie w żołądku. Czy ochrona mogła jakoś wyłączyć ręczne sterowanie? Pociągnęłam za kłamkę – drzwi otworzyły się do środka.

– Gdzie oni są? – szepnęłam, wyskakując na korytarz.

Włączyły się światła, bo uaktywniłam czujniki ruchu. Gdyby ochrona weszła do tego holu, od razu dowiedziałaby się, że ktoś był na piętrze.

– Chyba na czwartym – rzucił zwięźle Gabe.

Musiał siedzieć zgarbiony nad monitorami, próbując dopasować plan budynku do oglądanego obrazu z kamer. W te klocki – plany i techniczne pierdoły – ja byłam kiepska, a on nimi żył.

– Hej, widzę cię – powiedział.

Zerknęłam w górę, oczywiście tkwiło tam nieruchome oko kamery. Posłałam całusa Gabe'owi i wyobraziłam sobie, jak uśmiechnął się w odpowiedzi, po czym zaczęłam się zastanawiać, czy jakiś zaskoczony ochroniarz w biurze nie oglądał właśnie tego samego obrazu.

Myśli przerwał mi jeszcze bardziej zaniepokojony głos Gabe'a.

– Nie, pomyłka. Masz ochroniarza dokładnie przed sobą, zaraz wejdzie do holu na piątym piętrze. Zawróć w stronę schodów; może uda ci się tamtędy zejść, zanim ten drugi skończy sprawdzać czwarte. Nie biegnij, on jest tuż pod tobą, usłyszy hałas.

W milczeniu zaczęłam posłusznie iść w przeciwnym kierunku, ciesząc się, że mam jednak buty na gumowej podeszwie. Byłam już prawie na schodach, kiedy odezwał się Gabe, ostro i rozkazująco:

– Stop! Jest na schodach.

Kurwa. Nie mogłam odpowiedzieć, a Gabe o tym wiedział. Mógł tylko obserwować swoją żonę na ekranach, uwięzioną jak mysz pomiędzy dwoma kotami. Nie było drogi ucieczki. Musiałam się ukryć.

– Schowaj się w biurze – rozkazał, ale ja go uprzedziłam, już próbowałam otworzyć jedne drzwi po drugich.

Pierwsze zamknięte. Drugie zamknięte. Co to za ludzie? Nie ufali swoim współpracownikom? *Trzecie* zamknięte. Gorączkowo sięgnęłam do plecaka po wytrych i wsunęłam go do zamka. Pokręciłam w nim z taką siłą, że mogłam równie dobrze złamać wytrych, co otworzyć zamek. Ale szczęście mi dopisało i z kliknięciem, po którym serce zaczęło mi szybciej bić, zamek ustąpił. Wślizgnęłam się do środka, przekręciłam łuczniczek i stanęłam plecami do drewnianych drzwi, próbując uspokoić walące serce.

– Widzę cię – odezwał się niecierpliwie w moim uchu Gabe.

Przechyliłam głowę na bok i zrozumiałam, że miał rację. Nawet przyciśnięta do drzwi, byłam widoczna przez okno biura, a ochroniarze się

do mnie zbliżali. Gabe wyłączył mikrofon, żebym lepiej słyszała. Teraz już wychwytywałam ich kroki na korytarzu, coraz głośniejsze głosy.

Miałam tylko kilka sekund, żeby zdecydować, co dalej.

Przeszukując pomieszczenia, przypomniało mi się ostrzeżenie Gabe'a. Gdyby otworzyli drzwi, byłoby po mnie.

Rzuciłam się na podłogę, wczołgałam pod kanapę i leżałam tak z twarzą przyciśniętą do dywanu, w uszach słyszałam łomotanie własnego serca. Przez chwilę wyobraziłam sobie siebie jako surrealistyczną pracownicę biurową Jen i co ona by z tego zrozumiała. Aż musiałam powstrzymać mimowolny histeryczny śmiech.

Leżałam więc, wstrzymując oddech i obracając kciukiem pierścioneł na lewej dłoni. Taki miałam tik w stresujących chwilach – coś pomiędzy ogryzaniem paznokci a trzymaniem kciuków, tyle że ten nawyk był związany z Gabe'em. Miało to sens, przynajmniej przez połowę czasu mój los leżał w rękach męża.

Usłyszałam, jak kroki na zewnątrz się zatrzymały, potem szarpnięto klamką.

– Te też są zamknięte.

– Na tym piętrze wszystkie są pozamykane – odparł drugi głos. – Masz, mam tu klucz uniwersalny.

Usłyszałam brzęczenie rzucanych kluczy i stłumiony śmiech, bo gość nie złapał tego pęku i całość spadła na podłogę.

– Może następnym razem bądź tak miły i po prostu mi je podaj? – usłyszałam, a potem klucz zazgrzytał w zamku i drzwi się otworzyły.

Światło latarki omiotło pomieszczenie, a ja wstrzymałam oddech, modląc się, żeby go nie skierowali pod kanapę. Usłyszałam dźwięk przesuwania krzesła na kółkach... a potem szszszsz zamykanych drzwi.

Najciszej, jak umiałam, zrobiłam drżący wydech.

– Tutaj pusto – usłyszałam z zewnątrz. – A co z kiblami?

– Puste. – Drugi głos niósł się echem, jakby dochodził ze środka łazienki. Moment przerwy i potem: – Czekał, chwileczkę...

Ze swojego miejsca pod kanapą niczego nie widziałam, bardzo ostrożnie uniosłam dłoń i dotknęłam słuchawki.

– Mów – szepnęłam ledwo dosłyszalnie.

– Odkryli płytę w suficie – odszepnął Gabe.

Cholera.

– Patrz na to – odezwał się drugi ochroniarz.

Usłyszałam dźwięki kroków pierwszego ochroniarza – tego przeszukującego wcześniej biuro, w którym się schowałam – idącego dalej korytarzem.

Zaskrzypiało, kiedy drzwi łazienki się otworzyły... a potem lekkie stuknięcie i delikatnie się za nim zamknęły.

Wślizgiwałam się właśnie spod kanapy, kiedy w moim uchu zatrzeszczała słuchawka, a Gabe krzyknął cicho, lecz nagłaco.

– Ruchy, ruchy. Teraz!

Nie musiał mi mówić. Zdażyłam się zerwać na nogi, gwałtownie otworzyłam drzwi i już rozglądałam się po korytarzu, niepewna, w którą stronę ruszyć.

– W kierunku przeciwnym do wind – powiedział Gabe, a ja popędziłam korytarzem, wzięłam zakręt i zderzyłabym się tam z kolejnymi drzwiami antywłamaniowymi, gdyby Gabe już ich nie uruchomił.

Były otwarte, czekały na mnie, a ja wślizgnęłam się do małego holu.

– Na prawo masz wyjście ewakuacyjne – powiedział Gabe, a ja wpadłam w nie i znalazłam się w przyprawiającej o zawroty głowy klatce schodowej, wijącej się w dół, w ciemność.

Ciężkie drzwi przeciwpożarowe zatrzasnęły się za mną, ale się tym nie przejęłam. Straciłam już swoją szansę na ukradkowe wymknięcie się. Liczyło się tylko to, żeby uciec.

Jedno piętro w dół. Drugie. Serce dudniło mi w uszach.

– Już prawie – odezwał się głos Gabe'a w moim uchu. – Dasz radę. Jeszcze trzy piętra, a potem skręć mocno w lewo i zobaczysz kolejne drzwi przeciwpożarowe.

– C-c-co, jeśli m-mają alarm? – wydyszałam.

Kolejne piętro. Zostało jeszcze jedno.

– Pieprzyć alarm. Pozostałe drzwi nie miały alarmu. Ale jeśli będzie, to wyłączę go ręcznie. Dasz radę, jasne? *Dasz radę.*

– Dobra. – Brakowało mi teraz tchu, żeby rozmawiać.

Ostatnie piętro i zatoczyłam się w lewo, chowając się pod schodami. Rzeczywiście były tam drzwi przeciwpożarowe – a za nimi wolność.

Uderzyłam w klamkę, skrzywiłam się, spodziewając się dźwięku syreny – ale znów, nic się nie włączyło. Zapamiętałam sobie, żeby umieścić to

w sprawozdaniu, to jednak mogło poczekać. W tamtej chwili byłam na zewnątrz, na cudownym świeżym powietrzu.

– Kurwa! – zawył mi w ucho Gabe, teraz roześmiany, na wpół drżącym, na wpół histerycznym tonem, jakby oglądał właśnie jakiś film i serce podchodziło mu do gardła. – Jezu. Byłaś niesamowita. Nie sądziłem, że nam się to uda.

– Ja też nie. – Serce waliło mi w piersi, ale zmusiłam się, by iść powolnym krokiem przez parking. Jeżeli było tam więcej ochroniarzy, to lepiej nie ułatwiać im poszukiwań. – Pieprz się, to *nie było* fajne.

Gabe się zaśmiał, takim głębokim, dudniącym w piersi nieprzyzwoitym śmiechem, który uwielbiałam.

– Po pierwsze, wolę ciebie, a po drugie, oboje wiemy, że to nieprawda. Podobała ci się każda minuta tej akcji.

Poczułam uśmiech na twarzy.

– Okej... troszkę mi się podobało.

– Troszkę? Wyglądałaś, jakbyś jeszcze nigdy się tak dobrze nie bawiła.

– Dalej szukają mnie w środku?

– Tak, krążą po piątym piętrze. Jeden otworzył serwerownię, ale nie zauważyli pendrive'ów. Świetnie się spisałaś, skarbie.

– Wiem – odparłam skromnie i usłyszałam w odpowiedzi śmiech Gabe'a.

– Dasz sobie dalej radę? Muszę się dostać do sieci, zanim się zorientują, co się dzieje.

– Tak, już prawie jestem przy aucie. Do zobaczenia za... – Zerknęłam na komórkę. – Czterdzieści minut? O tej porze nie powinno być ruchu.

– Zamówić coś do jedzenia?

Zdałam sobie sprawę, że umieram z głodu. Nigdy nie jem przed robotą – bieganie z pełnym żołądkiem nie jest zbyt przyjemne – ale teraz na myśl o jedzeniu zaczęłam się ślinić.

– *Tak* – odpowiedziałam zdecydowanie. – Dużą pizzę z pieczarkami, papryczkami... Nie, wiesz co, nie. Tak naprawdę to chcę wege burgera portobello z Danny's Diner, z majonezem truflowym i dodatkową cebulką. Myślisz, że jeszcze są otwarci?

– Powinni być.

– Świetnie. To nie zapomnij o surówce z kapusty. I frytkach. Nie, lepiej frytki z batatów. I powiedz im, żeby *nie* wkładali go do tej samej paczki co

twojego. Ostatnio musiałam ściągać twój ohydny bekonowy dżem z mojego wege burgera.

– Przyjąłem. Bez frytek. Dodatkowy bekon. Do zobaczenia, skarbie. Kocham cię.

– Też cię kocham – odparłam, a potem, z radosnym westchnięciem, rozłączyłam się i wyjęłam słuchawkę.

Wspinanie się po murze było tym razem trudniejsze, bo mięśnie mnie bolały, a serce wciąż waliło od adrenaliny, ale wdrapałam się na koszt na śmieci i zeskoczyłam z muru niedaleko mojego auta; czekało tuż za rogiem. Kiedy się wyprostowałam, zaczęłam szukać w plecaku kluczyków. Nawet nie patrzyłam przed siebie, ale to by niewiele zmieniło. Bo kiedy wyszłam zza zakrętu, czekali na mnie.

Wpadłam prosto na szefa ochrony.

Niedziela, 5 lutego

MINUS SIEDEM DNI

– Proszę spróbować jeszcze raz.

Wiedziałam, że w moim głosie dało się już słyszeć rozdrażnienie, i starałam się uspokoić. Jeśli człowiek reaguje, drugi rozmówca robi to samo. To pierwsza zasada inżynierii społecznej: bądź miły dla innych, a to zwiększy prawdopodobieństwo, że oni będą mili dla ciebie. Ale to było cholernie wkurzające. Jaki jest sens w *posiadaniu* karty wyjścia z więzienia, jeżeli gwarant nie odbiera telefonu?

– Zapewniam pana, że on wie o wszystkim i może za mnie poręczyć.

– Proszę mi wyjaśnić – powiedział znużonym tonem policjant, pocierając sobie twarz dłonią. – Jest pani... jak pani to nazwała? *Pen-testerką*?

– No wie pan, to głupia nazwa, rozumiem. To skrót od testera penetracji.

Policjant parsknął, a ochroniarz trzymający mój plecak uśmiechnął się i poczułam, że moja irytacja zaczyna narastać.

– Zapewniam pana, że jest coś takiego. Żyję ze sprawdzania systemów zabezpieczeń.

– A pani mąż jest hakerem?

– Nie jest hakerem... – Cóż, to było białe kłamstwo, bo Gabe z pewnością był hakerem, tylko że nie w takim sensie, jaki miał na myśli policjant. – Też jest pen-testerem. Oboje nimi jesteśmy. On zajmuje się częścią cyfrową, a ja fizyczną. Firmy zatrudniają nas, żebyśmy próbowali się włamać do ich systemów, a potem składamy im raporty i mówimy, co mogliby poprawić. Proszę to przeczytać.

Wyciągnęłam list, który Gabe wręczył mi dziś rano, a on poświecił na niego latarką.

– „Do zainteresowanych: ten dokument potwierdza, że upoważniłem Jacinthę Cross i Gabriela Medwaya z Crossways Security do przeprowadzenia fizycznego i cyfrowego testu penetracji w biurach Arden

Alliance” – odczytał na głos, a potem wzruszył ramionami, zerkając na ochroniarza. – Co pan myśli? Czy to jest oryginalny dokument?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział ochroniarz.

Wyglądał, jakby był tym wszystkim strasznie znudzony i chciał tylko wrócić do swojego biurka, zamiast stać na wietrznym parkingu.

– Oni zatrudniają nocną ochronę u podwykonawców. Ja pracuję dla Baxter Bland. To znaczy, logotyp i wszystkie znaczki się zgadzają, ale równie dobrze mogła to wydrukować z internetu.

– A ten Jim Cauldwell... – Policjant postukał w podpis u dołu listu. – On jest... jak go pani nazwała? GJO?

– GIIO – powtórzyłam cierpliwie. – Główny inspektor informacji ochrony. Jesteśmy tu na jego prośbę, a to jego prywatny numer telefonu. A może mogłabym zadzwonić do *pańskiego* szefa? – spytałam ochroniarza. – Rozumiem, że nie jest pan zatrudniony przez Arden Alliance, ale Jim mówił, że wyjaśnił to z tutejszą firmą ochroniarską, więc ktoś po pana stronie powinien być w stanie potwierdzić legalność moich działań.

– Chyba sobie pani żartuje. – Ochroniarz spojrział na mnie, jakbym oszalała. – Jest po północy, środek weekendu. Nie ma mowy, żebym dzwonił na domowy numer mojego szefa, nawet gdybym go miał. Rozerwałby mnie na strzępy.

Powstrzymałam ziewnięcie. Specjalnie wybraliśmy na ten test sobotę, ponieważ tego dnia po Arden kręcił się tylko podstawowy zespół, sami pracownicy obsługi klienta i minimalna liczba ochrony oraz ludzi z IT. W niedzielę byli całkiem zamknięci, a to oznaczało, że przy odrobinie szczęścia Gabe miałby cały weekend, żeby szperać sobie w ich systemach, nim IT wróciłoby w poniedziałek i zorientowało się, co zrobiliśmy. W tamtym momencie nagle ten wybór wydał mi się bardzo, bardzo zły. Najwyraźniej Jim Cauldwell wraz z resztą swoich współpracowników zrobił sobie wolny weekend.

– Spróbuję jeszcze raz się dodzwonić do tego GIIO – oznajmił policjant, nie kryjąc rozdrażnienia. Wyraźnie miał ochotę powiedzieć: „Powiniennem teraz łapać prawdziwych przestępców”. – Ale jeśli i tym razem nie odbierze, będzie pani musiała pojechać ze mną na komisariat.

Westchnęłam. Zapowiadała się długa noc.



Jakieś dwie godziny później byliśmy na komisariacie. Jim Cauldwell *nadal* nie odebrał (zamierzałam porozmawiać z Gabe'em o tym, żeby dopisać jakieś kary umowne do kontraktu, na wypadek gdyby znów miało to miejsce; to był już drugi raz w tym roku), a policjant zaczynał mówić o aresztowaniu. *Kurwa*. Dałabym radę spędzić noc w areszcie – przechodziłam gorsze rzeczy – ale jeśli sprawa naprawdę się rozkręci i zaczniemy potrzebować pomocy prawników, to tanio nie będzie.

– Proszę, czy mogę zadzwonić do męża?

Staralam się, by w moim głosie nie było słycać paniki, ale się nie udało. Lekkie drzenie tonu sprawiało, że straciłam na wiarygodności.

– Naprawdę, to jest jedno wielkie nieporozumienie. Może on dałby radę skontaktować się z kimś z firmy.

– Pewnie – odparł znużonym tonem policjant i popchnął telefon na biurku w moją stronę.

Mój plecak, wraz z tym, co policjant opisał podejrziwie jako „sprzęt komputerowy, wytrychy oraz inne narzędzia do włamywania się”, został przy dyżurce, razem z komórką. Nawet jeśli nie zostałam formalnie aresztowana, to wrażenie było bardzo podobne.

Na szczęście znałam numer Gabe'a na pamięć. Wybrałam go, klawisze telefonu kleiły mi się pod palcami ze zużycia. Dzwoniłam... i dzwoniłam. Ścisnęło mnie mocniej w żołądku i zorientowałam się, że kręcę wokół palca pierścionkiem, ukruszony kamień mrugał w świetle padającym z góry. To było... dziwne. Jim Cauldwell mógł zapomnieć zmienić ustawienia trybu „Nie przeszkadzać” przed pójściem spać; to nie był dla niego typowy nocny przypadek. Ale Gabe? On nigdy nie wyłączyłby telefonu, kiedy wciąż jeszcze byłam w robocie. Z drugiej strony *sama* mu powiedziałam, że jestem już przy aucie, i to było... Zerknęłam na zegar nad biurkiem. Jezu, dochodziła druga w nocy. Może zasnął?

– Nie odbiera – powiedziałam, nie próbując nawet stłumić jęknięcia.

Odłożyłam słuchawkę, a policjant spojrział na mnie, jakby dokładnie wiedział, jak się czułam.

– Przepraszam... przypomni mi pan swoje nazwisko?

– Posterunkowy Williams.

– Panie posterunkowy Williams, wiem, że to straszna strata pańskiego czasu, i naprawdę mi przykro. Nie mam pojęcia, co więcej mogę powiedzieć. Poproszono nas o włamanie się do budynku i GIIO może to potwierdzić. Podczas podpisywania umowy powiedziano nam, że ten numer będzie obsługiwany dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale najwyraźniej ten idiota, który nas zatrudnił, zapomniał i wyłączył komórkę.

– I nie ma nikogo innego, do kogo mogłaby pani zadzwonić? – spytał posterunkowy Williams. – Nikogo, kto mógłby potwierdzić, że jest pani tym, za kogo się podaje?

– Ma pan mój dowód tożsamości, ale jeśli chodzi panu o kogoś, kto by potwierdził, że jestem prawdziwą pen-testerką, a nie jakąś świruską z puszką sprężonego powietrza, to nie. A przynajmniej nie do godzin otwarcia biura. – Oparłam twarz o dłonie. Zeszła już ze mnie adrenalina po ucieczce i czułam takie zmęczenie, że byłam bliska płaczu. – Chyba że...

O Boże. Nie. Znów mnie ścisnęło w żołądku.

Nie on. To już wolałabym spędzić noc w areszcie.

– Chyba że? – dopytał Williams, a ja przygryzłam wargę.

– Nieważne.

Nie. Nie ma mowy, żebym zadzwoniła do *niego*. Nawet gdyby to oznaczało, że mnie aresztują.

– Po prostu to zróbcie – dodałam zrezygnowana. – Rozumiem, musi pan wykonać swoją pracę. Aresztujcie mnie.

Policjant westchnął i pokręcił głową, ale wcale nie zaprzeczał, że miało się to wydarzyć – było to raczej zmęczone potwierdzenie nieuniknionego. Wcale nie miał ochoty na całą tę papierkową robotę i zamieszanie. Podobnie jak ja wiedział, że wszystko to zapewne i tak się wyjaśni w ciągu kilku godzin, kiedy GIIO wstanie i zobaczy listę nieodebranych połączeń.

Z drugiej strony zostałam przyłapana na włamaniu, z plecakiem pełnym fałszywych dokumentów oraz identyfikatorów i z zestawem bardzo podejrzanych narzędzi. Sama też bym się aresztowała.

– Proszę zaczekać, porozmawiam z kolegą – powiedział i z bolesnym skrzypnięciem odsunął krzesło, a ja pokiwałam głową.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, oparłam się na plastikowym krzeselku, odchyliłam głowę i zaczęłam się gapić na płyty sufitowe. Wyglądały solidnie. W każdym razie solidniej od tej, którą złamałam. Myślałam

o swoich życiowych decyzjach, o tym, jak bardzo w tamtej chwili nienawidziłam Jima Cauldwella, a także o Gabe, który – co niewytłumaczalne – najwyraźniej chrapał sobie w najlepsze, zamiast robić to, za co nam zapłacono, czyli dostać się do mainframe'u Arden Alliance i grzebać w nim tak długo, aż zostaniemy wykryci. To było zupełnie nieprawdopodobne, żeby to olał i poszedł spać. Zwykle to ja wracałam do domu, pochłaniałam jakieś jedzenie na wynos i padałam, wykończona wspinaniem się po murach, ukrywaniem przed kamerami oraz włamywaniem się do zamków, cały czas z pulsującą adrenaliną. Gabe zwykle jeszcze pracował, kiedy budziłam się na drugi dzień – zgarbiony przy biurku, testował, sprawdzał i podglądał limity systemów zabezpieczeń danej firmy.

Pod pewnymi względami oboje chcieliśmy zostać przyłapani. Udawanie przeciwnika, podszywanie się pod atakującego było fajne, ale późniejsze składanie raportu zespołowi ochrony już nie – omawianie z nimi tego, co zrobili źle, wszystkich błędów i przegapionych możliwości powstrzymania ataku. Chciało się powiedzieć – a klient chciał usłyszeć – że „Ta część zabezpieczeń dała radę, dobrze się spisaliście”.

Niestety tym razem, mimo że zostałam przyłapana, nie mogłabym tego szczerze powiedzieć. Przede wszystkim dlatego, że wpadłam w wyniku własnych błędów, a ochroniarze w żadnym razie nie wykazali się profesjonalizmem. Postąpiłam idiotycznie, wyłamując płytę sufitową, a co gorsza zaparkowałam auto tuż przed tym budynkiem, do którego się włamywałam – gdybym tego nie zrobiła, prawdopodobnie weszłabym i wyszła niezauważona, mimo że powinni mnie zobaczyć na monitorach albo mieć jakiś alarm na drzwiach przeciwpożarowych. Nie powinno być tak, że da się niepostrzeżenie otworzyć kilka wyjść ewakuacyjnych po godzinach pracy. Musiałam ich opieprzyć w raporcie, a do tego jeszcze przyznać się do własnej nieudolności. Podwójna dawka nieprzyjemności. Prawdopodobnie moja własna głupota, przez którą dałam się przyłapać, odciągnie uwagę od bardzo poważnych luk w ich zabezpieczeniach i doprowadzi do zbagatelizowania tej, ostatecznie dość niechlujnej, ustawki.

Miałam tylko nadzieję, że Gabe znajdzie coś, dzięki czemu ten wieczór nie okaże się stracony, czego nie da się zignorować zwykłym „Och, no cóż, ostatecznie was przecież złapali” i wzruszeniem ramion. Niezaszyfrowane

hasła. Wrażliwe dane klientów. Jakiś dostęp administratora, który prawdziwemu hakerowi pozwoliłby na poczynienie *poważnych* szkód.

Myślałam o tym i znów zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Gabe nie odbierał, kiedy za moimi plecami odezwał się znajomy głos.

– No, no, no. Kogo my tu mamy?

Wyprostowałam się i odwróciłam. Wezbrała we mnie wściekłość.

Jeff Leadbetter. *Kurwa*.

– Czy to Jack Cross we własnej osobie? – Uśmiechał się jak kot, który osaczył w kącie wyjątkowo smaczną mysz w kącie. – Co tym razem nabroiłaś, Cross?

– Wiesz, że nic nie zrobiłam. – Założyłam ręce na piersi, starając się nie okazywać, jak bardzo wstrząsnęła mną jego obecność. – Po prostu nie mogę się skontaktować z gościem, który nas zatrudnił.

– Sanjay powiedział, że trafiła nam się dziewczyna z jakąś dziwną historią o testowaniu penetracji. – Zaśmiał się tak, że jego wielkie ramiona się zatrzęśły. – I pomyślałem sobie, że wielu tu takich nie mamy. Skoro potrzebowałaś kogoś, kto by za ciebie poręczył, to dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie?

Dobrze wiesz dlaczego, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos.

– Nie miałam pojęcia, że będziesz na służbie – odparłam cierpko.

Jeff się uśmiechnął.

– No wiesz, jak to mówią. Przeklęci nie zaznają spoczynku. Dobrze wyglądasz, Cross. Całe to skradanie się i skakanie dobrze ci robi na kondycję.

Co miałam na to odpowiedzieć? Chciałam rzucić: *spierdalaj* i on o tym wiedział. Ale też oboje byliśmy świadomi, że nie było to coś, co prawie aresztowana osoba mówi wysokiemu rangą funkcjonariuszowi policji. Mogłam przynajmniej patrzeć mu prosto w oczy. Przecież akurat *ja* nie miałam się czego wstydić.

Ale Jeff przyglądał się mojej ręce, która nerwowo obracała pierścionek na palcu. Opuściłam ramiona, przeklinając ten głupi nawyk, jednak on już zdążył unieść brwi i spojrzał na mnie, a na jego twarzy odmalował się złośliwy uśmieszek.

– No, no. Zaręczona, Cross? Ktoś wreszcie zrobi z ciebie porządną kobietę?

– Właściwie to zameżna – wycedziłam.

Nie żeby to była twoja sprawa, chciałam dodać, ale zmusiłam się do milczenia.

– Czyli co, nie zrobisz już crossowej kariery? – spytał Jeff, po czym zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Jeśli już musisz wiedzieć, nie zmieniłam nazwiska.

Jeff parsknął.

– Oboje wiemy, że ja bym się na to nie zgodził, Cross.

Cóż, Gabe nie jest niepewnym siebie, patriarchalnym chujkiem, pomyślałam.

– Proszę pana, czy ona była tam legalnie? – Głos Williamsa wtrącił się sponad ramienia Jeffa, a ten odwrócił się i zaśmiał.

– Tak, legalnie. A przynajmniej jest tą osobą, za którą się podaje, jeśli to ma pan na myśli. Znamy się od dawna, co nie, Jack?

– Tak. – Zacisnęłam usta.

– Mógłbym panu opowiedzieć to i owo.

Jeff obejrzał mnie z góry na dół i przyjrzał się mojemu obcisłemu sweterkowi oraz spodniom ze streczem niemal otwarcie lubieżnym spojrzeniem.

Też mam co opowiadać, pomyślałam, ale oboje wiedzieliśmy, że było na to za późno. Już raz próbowałam opowiadać, jakoś mniej więcej w tym czasie, kiedy ze sobą zerwaliśmy, i nie skończyło się to dobrze.

Dlaczego, dlaczego, *dlaczego* musieli mnie zawieźć akurat na ten komisariat? On nawet tam zwykle nie pracował, jego rejon znajdował się po drugiej stronie miasta. Jeff albo został przeniesiony, albo kogoś zastępował.

Zapadła cisza i wiedziałam, czego chciał. Chciał, żebym poprosiła. Żebym *blała*. Chciał usłyszeć: *Proszę, Jeff. Pomóż mi, proszę.*

Cóż, nie zamierzałam tak mówić. Nawet gdybym miała przez to spędzić noc zamknięta w areszcie.

– Czyli... mam ją puścić, proszę pana? – spytał głos zza Jeffa i poczułam falę ulgi.

Prawie już zapomniałam o obecności posterunkowego Williamsa. Jeff nie mógł niczego zrobić, dopóki on tam był. Przez chwilę nie odpowiadał, stał tylko, uśmiechając się do mnie, a ja czułam, jak wbijam paznokcie w biurko przed sobą. Nie mógł... czy mógł? Nie mógł wymyślić jakiejś wymówki, odesłać Williamsa, zmusić mnie do spędzenia z nim nocy

w pokoju zeznań, na słuchaniu jego cichych, wolno wypowiedzianych słów, które nawet teraz przyprawiały mnie o dreszcze?

Ale potem się zaśmiał i wzruszył ramionami.

– Żartuję tylko. Idź. – Mówił bardziej do mnie niż do Williamsa, mimo że to posterunkowy zadał pytanie. – Zmywaj się stąd. Ale nie zapominaj, co jesteś mi winna.

– Och, nie zapomnę – odparłam cierpko, z taką dozą jadu w głosie, żeby zwątpił, co właściwie miałam na myśli. Wstałam, obciągnęłam sobie marynarkę. – Nigdy nie zapomnę. Tego możesz być pewien.

– Nie podziękujesz mi? – Jeff nie ustąpił, jego potężne ciało wypełniało całą przestrzeń otworu drzwi.

Zacisnęłam zęby.

– Dzięki.

Zapadła krótka cisza, a potem Jeff znów się roześmiał i przesunął.

– No dalej, zmykaj stąd. I nie pakuj się w kłopoty.

Dopiero kiedy wyszłam na chłodne, wieczorne powietrze na ulicy, poczułam zimne, mokre placki pod pachami – pot wywołany czystą paniką.

Nadal bałam się Jeffa Leadbettera. I może już zawsze będę się go bać.

Dochodziła już prawie czwarta nad ranem. Nim wróciłam do domu przy Salisbury Lane, byłam nieprzytomna z wyczerpania, oczy szczypały mnie ze zmęczenia i automatycznie jechałam przez prawie opuszczone uliczki południowego Londynu. Zastanawiałam się, czy nie zostawić auta pod Arden Alliance, ale zaparkowałam w strefie zamkniętej i wiedziałam, że kiedy w końcu położę się do łóżka, prześpię pewnie ze dwanaście godzin. Szanse na to, żebym zbudziła się na czas, nim założą mi blokadę (albo co gorsza – odholują mnie), były niewielkie.

Pojechałam więc uberem z powrotem tam, skąd zgarnął mnie pracownik ochrony, i powoli ruszyłam do domu, z otwartymi oknami i nadzieją, że ta okropna rozpuszczalna kawa, którą zaproponował mi przed wyjściem policjant, pozwoli mi nie zasnąć przynajmniej jeszcze przez godzinę. Ale gdy ulice rozciągały się przede mną usypiająco, musiałam przyznać, że być może była to zła decyzja – najpierw źle skręciłam i znalazłam się na osiedlu, którego przez zaskakująco długi czas nie mogłam rozpoznać, aż w końcu udało mi się wrócić na znaną drogę. Jednak moje otumanione sennością zdolności nawigacyjne stanowiły tylko pewną niedogodność. Poważniejszy problem był taki, że naprawdę groziło mi zaśnięcie za kółkiem – to naprawdę ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam tamtej nocy. Szczęśliwie połączenie chłodnego nocnego powietrza owiewającego mi twarz, tamtej kawy oraz wściekłego zgrzytania The Runaways w samochodowych głośnikach sprawiło, że nie zamknęły mi się oczy i w końcu, w *końcu*, po jednej z najdłuższych, najbardziej gównianych nocy w życiu zaparkowałam pod naszą małą szeregówką.

Na wycieracze sięgnęłam do plecaka po klucze, tłumiąc ziewnięcie, i prawie wypadły mi z ręki, gdy je wreszcie znalazłam. Złapałam je w ostatniej chwili, nim uderzyły o płytki przed wejściem, a potem i tak cała ta zręczność poszła na marne, bo przewróciłam butelkę na mleko. Gdzieś

w oddali histerycznie rozszczękał się pies. Przeklęłam tę swoją nieporadność i wstałam, na wpół się spodziewając, że zobaczę, jak światło zapala się na korytarzu, a po schodach schodzi zaspany Gabe, ale nic się nie wydarzyło. Musiał spać głęboko.

Dopiero za drugim czy trzecim razem udało mi się trafić kluczem do zamka. Byłam taka zmęczona, że niemal kręciło mi się od tego w głowie. Jednak kiedy tylko drzwi się otworzyły, od razu wiedziałam, że coś jest nie tak.

Najpierw uderzył mnie zapach – i przez minutę nie mogłam zrozumieć, co oznaczał. Wiedziałam tylko, że brakuje zwyczajnych, kojących nut gotowania i prania oraz tej nieuchwytniej woni *domu*. Albo raczej były, ale coś je przyćmiewało. Coś zupełnie niespodziewanego i tak bardzo nie na miejscu, że przez chwilę nie potrafiłam tego określić. Był to dziwny, cuchnący, mocno metaliczny, prawie *słodki* zapach kojarzący mi się z... z... co to było?

A potem do mnie dotarło. Był to zapach sklepów mięsnych na głównej ulicy.

To był zapach krwi.

Wtedy jeszcze nie rozumiałam. Skąd miałam wiedzieć?

Nie rozumiałam, kiedy zobaczyłam smugi czerwieni na podłodze w korytarzu.

Nie rozumiałam, kiedy klamka drzwi do salonu okazała się śliska i lepka.

Nie rozumiałam, kiedy weszłam do środka i zobaczyłam jego – Gabe'a – pochylonego nad komputerem w największej kałuży krwi, jaką kiedykolwiek widziałam.

Przecież... przecież to nie mogła być *jego* krew, *prawda?* Nie ma mowy, żeby w jednym człowieku mieściło się tyle krwi. Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie – jakieś okropne, pokrętne, szalone wyjaśnienie.

– Gabe? – jęknęłam.

Nie poruszył się. Ekran komputera przed nim był czarny, tylko światełka dużego peceta migotały w ciemnej kałuży rozlewającej się z biurka na jego kolana i podłogę.

Nie chciałam w nią wdepnąć, ale nie dało się inaczej.

– Gabe! – zawołałam bardziej zrozpaczonym tonem, ale on nadal się nie poruszał, aż w końcu postawiłam jedną stopę w tej obrzydliwej, śliskiej

cieczy, która gęstniała i przyklejała się do moich butów, kiedy szłam przez dywan.

W gardle utknął mi szloch, a kiedy wyciągnęłam rękę do Gabe'a i dotknęłam jego ramienia, ten szloch się ze mnie wydostał niczym jękliwe, bolesne wycie, przypominające ryk zranionego zwierzęcia.

– *Gabe*. Gabe, obudź się, obudź!

Nie odpowiedział, nie uniósł głowy ani w żaden sposób nie dał znać, że mnie usłyszał, a ja przycisnęłam do niego ramię i zmusiłam, żeby się odchylił, żeby się oparł na krzesło.

Był niewiarygodnie ciężki – dziewięćdziesiąt kilogramów kości i mięśni – nie byłam pewna, czy dam radę go przesunąć, ale wtedy nagle się poruszył, jego ciężar opadł na krzesło i wreszcie zobaczyłam, co mu zrobili.

Gardło. Zostało poderżnięte, potwornie, brutalnie, w taki sposób, którego nie potrafiłam zrozumieć – nie było to gładkie, chirurgiczne cięcie, jakie bym sobie wyobrażała, tylko mięso wylewające się z wyszarpanej dziury, jakby ktoś... jakby coś wyrwało mu tchawicę z przodu szyi, pozostawiając ranę przypominającą wielkie, szkarłatne, roześmiane usta.

Zalała mnie ogromna fala mdłości i odskoczyłam, ślizgając się w kałuży krwi, przyłożyłam dłoń do ust; oddech miałam szybki i nierówny, a wymioty wzbierały we mnie z taką siłą, jakby miały mnie zaraz pokonać.

Gabe.

Nie byłam w stanie oderwać od niego oczu, od jego głowy opadającej w tył pod takim dziwnym, nienaturalnym kątem, że wyglądał zupełnie martwo. Nie mogłam w żaden sposób zaprzeczyć temu, co się wydarzyło.

A jednak... A jednak jego twarz *wciąż* należała do *Gabe'a*. Ten wydatny orli nos, jak u rzymskiego senatora. Te kości policzkowe. Kształt ust. Szorstkość brody i delikatność skóry u podstawy szyi. To nadal był Gabe, mężczyzna, którego kochałam. Mimo to patrzyłam na jego martwe ciało.

Nogi się pode mną ugięły, powlokłam się do kanapy, wspięłam się na nią, przycisnęłam kolana do piersi i bujałam się, bujałam. Zauważyłam, że wydaję jakiś dziwny dźwięk. Coś pomiędzy wyciem a jękiem, co układa się w imię Gabe'a.

To nie mogła być prawda. To nie mogło się wydarzyć. *Nie mogło*. Nie Gabe'owi – uroczemu, zabawnemu, sprawnemu Gabe'owi, którego wielkie, silne dłonie potrafiły odkręcić zassaną nakrętkę słoika albo z równą zręcznością unieruchomić skrzydło kosa. *Mój* Gabe, który potrafił wszystko

naprawić, wszystko załatać, poprawić choćby najokropniejszy dzień swoim wielkim, wszechogarniającym uściskiem.

Ale nawet on nie mógł naprawić tego.

Nie wiem, jak długo tam siedziałam, wpatrując się w ciało Gabe'a i mrugające światełka komputera odbijające się w ciemnej kałuży krwi. Dziesięć minut? Dwadzieścia? Trzęsłam się niekontrolowanie i było mi strasznie, nieznośnie zimno.

Ale w końcu się pozbierałam. Wiedziałam, co muszę zrobić – co powinnam była zrobić tuż po przekroczeniu progu.

Ręce miałam zeszywniałe i drżące, gdy szukałam komórki w plecaku. Miałam ją tam, byłam tego pewna. Zamawiałam przez nią ubera, ale mimo wszystko minęło wiele czasu, nim ją znalazłam, a kiedy mi się w końcu udało, ekran był pusty i czarny.

Musiałam trzymać się ściany, żeby przejść do naszej małej kuchni, w której leżała ładowarka. Trzy razy trafiałam wtyczką do gniazdka USB, tak bardzo trzęsły mi się ręce. Metal zazgrzytał o metal, zostawiając czerwone smugi na ekranie, a ja próbowałam, nie wychodziło mi, próbowałam jeszcze raz. W końcu się udało.

Uruchomienie komórki trwało boleśnie długo, po kolei pojawiały się różne animacje i logotypy, a ich jasność raziła mnie w oczy.

Aż w końcu pokazał się ekran blokady. Uporałam się z tym i wcisnęłam ikonkę słuchawki.

Wybrałam numer alarmowy.

I czekałam.

Kiedy operatorka odebrała, początkowo nie byłam pewna, czy dam radę się odezwać, ale mój głos okazał się zaskakująco pewny.

– Chcę wezwać policję – odparłam na jej pytania.

Przełknęłam ślinę. Musiałam się trzymać. *Musiałam się trzymać.* I tak już za długo czekałam.

– I proszę się pospieszyć. Mój mąż... został zamordowany.

Kilka kolejnych godzin upłynęło w rytmie surrealistycznego, jasnego koszmaru na jawie. Najpierw pojawiły się syreny, wyjące coraz bliżej i bliżej. Potem światła, przesycające wszystko dziwnym, pulsującym niebieskim blaskiem. Następnie walenie do drzwi i policjanci wpadający do mieszkania. Zadawali pytania, które w ogóle nie przyszły mi do głowy. Czy dom był bezpieczny? Czy ktoś mógł jeszcze przebywać na jego terenie? Czy Gabe miał jakichś wrogów?

Dziwnie to przyznać, ale w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Teraz na myśl o tym, że ktoś mógłby się ukrywać na górze, podczas gdy ja klęczałam nad ciałem Gabe'a, znów zrobiło mi się zimno. Ale ktokolwiek to był, dawno się ulotnił.

A jeśli chodzi o resztę – oczywiście, że Gabe nie miał żadnych wrogów. *Oczywiście*, że nie. Co za absurdalny pomysł. Wszyscy go uwielbiali – jego przyjaciele, klienci, *rodzina*. O Boże, wyobraziłam sobie nagle, jak próbuję przekazać tę wiadomość rodzicom Gabe'a, i znów wróciła do mnie świadomość tego, co się stało. Prawie mnie przytłoczyła.

Zabrali mnie na górę, gdzie miła policjantka pomogła mi zdjąć sztywniejące już, zakrwawione rzeczy oraz przebrać się w czyste, suche dresy, a potem w końcu ta sama funkcjonariuszka sprowadziła mnie, trzęsącą się bezradnie, na dół, gdzie czekał policyjny radiowóz.

Gdy przechodziłyśmy przez korytarz – *mój* korytarz – odwróciłam głowę i kątem oka zauważyłam przez drzwi salonu kryminalistyków ubranych w białe kombinezony. Rozłożyli już maty na podłodze i ustawiali jasne lampy, które oświetlały wszystko przerażającą, jaskrawą bielą.

Przez chwilę wydawało mi się, że pokój obraca się wokół własnej osi. Oderwałam od niego wzrok. Próbowałam oddychać. Skupiłam się na tym, żeby stawiać jedną stopę za drugą, aż w końcu dotarłam do drzwi radiowozu.

Nie wiem, jak długo siedziałam tam na tylnym siedzeniu. Trzęsłam się mimo koca, którym ktoś mnie okrył, i gorącego, suchego powietrza z nawiewu. W końcu ktoś wyszedł z budynku i skinął na siedzącą obok mnie policjantkę. Wsiadła, odbyli cichą rozmowę, a potem wsiadła z powrotem, tym razem na miejsce kierowcy, i odwróciła się do mnie.

– Nie ma pani nic przeciwko, żeby pojechać z nami na komisariat? Nie będziemy pani długo zatrzymywać, chcemy tylko wszystko wyjaśnić, póki jesteśmy na świeżo.

W milczeniu pokiwałam głową. Tak naprawdę miałam wiele przeciwko. Nie było żadnej rzeczy, na którą miałam mniejszą ochotę, niż żeby tam jechać i jeszcze raz przeżywać cały ten koszmar. Chciałam odpełznąć w ciemność i krzyczeć. Chciałam precyzyjnie się pomiędzy policjantami na korytarzu, wziąć ciało Gabe'a w ramiona i powiedzieć wszystkim, żeby spierdalali i po prostu zostawili nas samych.

Chciałam pić, aż w końcu stracę przytomność.

Ale musiałam to zrobić – przynajmniej dla Gabe'a. Wiedziałam, że ta policjantka miała rację: czas na namierzenie tego, kto to zrobił, był ograniczony, a ja i tak zmarnowałam cenne minuty, może i godziny, przez to, że w salonie poddałam się szokowi.

Kolejny policjant, dużo młodszy, zajął miejsce pasażera obok niej i odwrócił się do mnie, żeby się przedstawić.

– Dzień dobry, Jack, jestem posterunkowy Miles, detektyw z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Bardzo dziękuję, że zechciała pani pojechać z nami na komisariat. Postaramy się uwinąć jak najszybciej, ale chcemy mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy. Czy ma pani przy sobie wszystkie potrzebne rzeczy?

Pokiwałam głową, choć to nie była prawda. Straciłam Gabe'a. On był jedynym, czego potrzebowałam. Nic innego się nie liczyło.

– Proszę, omówmy tylko jeszcze raz kolejność zdarzeń – powiedziała siedząca przede mną kobieta. Miała miły głos, wręcz łagodny, ale jej słowa sprawiały, że chciałam się rozplakać albo krzyczeć, albo zrobić *cokolwiek*. Byłam taka zmęczona. Nie spałam od ponad dwudziestu czterech godzin, spędziłam wieczór, uciekając przed ochroniarzami i pełzając po sufitach, a potem wróciłam do domu, żeby doświadczyć najbardziej traumatycznego wydarzenia w swoim życiu. Wzrok miałam mętny ze zmęczenia. Przede wszystkim jednak byłam odrętwiała i oszołomiona żalem, którego nawet jeszcze nie zaczęłam przyjmować do wiadomości, a co dopiero przetwarzać.

Siedziałam w pokoju przesłuchań z detektywem Milesem, młodym policjantem z auta, oraz jego partnerką, starszą detektyw Malik. Przyglądała mi się zza stołu z cierpliwością i współczuciem.

– Nie mogę – szepnęłam. – Już nie dam rady. Nie mogę.

– Wiem. Wiem, że to jest bardzo trudne. Ale jest pani taka pomocna, opowiedziała nam pani o współnikach Gabe’a i tak dalej. Chcemy tylko się upewnić, że mamy właściwą kolejność zdarzeń, a potem możemy panią puścić.

Pragnęłam schować twarz w dłoniach – odciąć się od tego wszystkiego. Ale byłam w stanie to zrobić. *Musiałam* to zrobić. Dla Gabe’a.

– Wyszłam z komisariatu o... – zaczęłam, a potem urwałam zagubiona.

Co powiedziałam wcześniej? Nie mogłam już sobie przypomnieć godzin. Wydarzenia tej nocy zaczęły się zacierać.

– Przepraszam... Jestem po prostu taka zmęczona. To była chyba druga nad ranem. Albo nie, później. Pamiętam, że w pokoju przesłuchań zobaczyłam na zegarze drugą. – Przetarłam oczy, czując, jak moją głowę ogarnia wyczerpanie. – Wróciłam uberem do Arden Alliance, gdzie zostawiłam wcześniej auto. Pewnie może to pani sprawdzić w aplikacji,

jeśli potrzebuje pani konkretnej godziny. Potem wsiadłam do swojego auta i pojechałam do domu.

– I cały czas miała pani przy tym wyłączoną komórkę?

– Nie wyłączoną, rozładowała mi się. Nie wiem kiedy. Zamawiałam przez nią ubera, więc działała, kiedy wychodziłam z komisariatu, ale jakoś później musiała paść.

– I nie używała pani nawigacji ani niczego takiego?

Pokręciłam głową.

– Nie, nasze auto nie ma nawigacji, jest stare. Chwileczkę, nie chcę być nieuprzejma, ale jakie to ma *znaczenie*? Jaki związek ze śmiercią Gabe'a ma moja nawigacja?

– Staramy się tylko zyskać jak najbardziej szczegółowy obraz – odparł detektyw Miles. Jego głos powinien być kojący, wyraźnie starał się brzmieć empatycznie, ale z jakiegoś powodu się zjeżyłam.

– Ale ja już to wszystko mówiłam, powiedziałam panu. To trochę jak z Kafki. Mój mąż nie żyje, a pan mnie pyta o baterię w mojej komórce?

– I kiedy wróciła pani do domu? – spytała detektyw Malik, tak jakbym w ogóle się nie odezwała. Jej głos był miły, ale żwawszy, tak jakby wyczuła, że wcale nie oczekiwałam współczucia.

– To musiało być jakoś koło czwartej nad ranem... Pamiętam, że patrzyłam na zegar na desce rozdzielczej, kiedy skręcałam w naszą ulicę. Zaparkowałam, potem otworzyłam drzwi wejściowe i zobaczyłam... – Zacisnęłam powieki, wspominając ten koszmar. Przed oczyma wyrosło mi okaleczone gardło Gabe'a, więc je otworzyłam, a wtedy znów przeszyły mnie tamten zapamiętany strach i niedowierzanie. – Cóż, widzieliście.

– Żadnych śladów stóp ani walki?

– Żadnych. – Pokręciłam głową. – Wszelkie ślady, które znaleźliście... to byłam ja. Nie było niczego, żadnych znaków, nikogo wychodzącego, tylko krew rozmazana na klamce drzwi do salonu. Pamiętam to. Bo to zobaczyłam jako pierwsze i wiedziałam, że coś jest nie tak.

– A Gabe? Jak on siedział, kiedy go pani znalazła?

– Tak, jakby osunął się na swój komputer – odparłam.

Znowu ogarniało mnie odrętwienie, czułam, że zaczynam się ponownie trząść, tym razem nie tak niekontrolowanie jak wcześniej; to były takie dziwne, równomierne dreszcze mimo ciepła w pokoju przesłuchań i gorącego kubka kawy w moich dłoniach.

– Gdyby nie ta krew, mogłabym założyć, że po prostu spał. Był... – Przełknęłam, niemal nie mogłam o tym myśleć. – Wciąż miał na sobie swoje wygłuszające słuchawki. Wydaje mi się, że ten, kto go zabił... Ktokolwiek go zabił, musiał zejść go od tyłu i...

Urwałam. Nie umiałam tego powiedzieć. W moim gardle coś się zacisnęło i tylko pokręciłam głową.

– A co zrobiła pani później? – spytał detektyw Miles.

– Spróbowałam go podnieść. Myślałam... sama nie wiem. Myślałam chyba, że może zemdłał, uderzył się w głowę albo coś. Nie jestem pewna, co właściwie sobie myślałam. Tak jakby popchnęłam go na oparcie krzesła; wydawał się bardzo ciężki i na początku nie byłam pewna, czy dam radę... Ale potem nagle jego ciężar się przesunął, a on tak jakby padł i zobaczyłam jego... jego... – Urwałam. – Jego szyja była... – Urwałam znowu. Oddychałam głęboko przez nos, starając się opanować.

Przez kilka chwil Malik i Miles nic nie mówili, tylko patrzyli, jak staram się odzyskać nad sobą kontrolę, a potem Malik przesunęła w moją stronę po biurku pudełko chusteczek.

– Przykro mi – powiedziała cicho. – Wiem, jakie to trudne. Co zrobiła pani potem? To było koło czwartej nad ranem, tak?

– M-może. – Przełknęłam i zamrugałam, żeby wyostrzyć wzrok. – Może później. Naprawdę nie wiem. Wydaje mi się, że doznałam szoku. Po prostu zwinęłam się na kanapie i... jakoś mnie to pokonało. Nie mogłam... nie mogłam pojąć, co się stało.

Ręce trzęsły mi się teraz mocniej. Tak bardzo, że zaczęłam się bać rozlania kawy. Zresztą nie byłam w stanie jej wypić. Odstawiłam więc kubek i złapałam się za kolana, żeby powstrzymać drżenie. Jak mogłam wyjaśnić, co się stało – to, że mój organizm po prostu odmówił przyjęcia do wiadomości tego ciągu zdarzeń? Myślałam o Gabie kodującym późno w nocy, przeklinającym za każdym razem, kiedy padał mu program. „Błąd: napotkano nieobsługiwany wyjątek”. Tak właśnie się czułam. Wyskoczył mi niebieski ekran. Gdybym tylko była w stanie pokazać Malik i Milesowi tę wiadomość o błędzie, sprawić, żeby zrozumieli!

– Po prostu... po prostu mnie odcięło – tłumaczyłam. Mówiłam szeptem. – Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie zemdlałam ani nic takiego, ale po prostu... nie mogłam się poruszyć. Nie byłam w stanie zrobić niczego. Wiem, że to

było głupie. Powinnam była zadzwonić od razu. Wiem o tym. Po prostu... *nie mogłam*. Nie byłam w stanie przyswoić tego wydarzenia.

Znowu przełknęłam. Czułam się, jakby łyżki, które powinny ze mnie płynąć, utkwiły mi w gardle. Nie zapłakałam, odkąd znalazłam ciało Gabe'a – może przez świadomość, że jeśli poddam się łzom, może nie będę w stanie się opanować.

– Przepraszam. – Spojrzałam na nich oboje i usłyszałam drżenie we własnym głosie. – *Bardzo przepraszam*. Gdybym mogła cofnąć czas i po was zadzwonić, zrobiłabym to, ale nie mogę już tego zmienić. Powiedziałam wam wszystko, co wiem. Mój mąż *nie żyje*.

Te ostatnie słowa zabrzmiały jak zawodzenie. Nie mam pojęcia, dlaczego tak zareagowałam. Wiedziałam, że oni musieli wykonać swoją pracę; nie prosiłam o specjalne traktowanie ze względu na Gabe'a. Po prostu musiałam to z siebie wyrzucić. Usłyszeć te słowa padające z moich ust, żeby spróbować to urealnić.

Chciało mi się płakać. Pragnęłam wyrzucić z siebie ten nieznośny żal i wyczerpanie. Dlaczego? Dlaczego nie mogłam się rozplakać? Czułam się, jakby coś się we mnie zepsuło.

Być może policjanci zobaczyli rozpacz na mojej twarzy, ponieważ detektyw Miles spojrzał na detektyw Malik, a ona wzruszyła ramionami i skinęła głową.

– Kończymy przesłuchanie Jacinthy Cross. Jest godzina... dwie po ósmej rano, w niedzielę, piątego lutego.

Malik wyłączyła dyktafon, po czym nachyliła się do mnie.

– Dziękuję, pani Jack. Wiem, że to nie mogło być łatwe, ale bardzo nam pani pomogła. Zatrzymamy pani komórkę, dobrze? Ale jeśli chce pani do kogoś zadzwonić, może pani skorzystać z tutejszego telefonu.

– Czy w takim razie mogę wrócić do domu? – spytałam. Miałam ochrypły głos. Malik skrzywiła się współczująco i pokręciła głową.

– Bardzo mi przykro. To nadal miejsce zbrodni. Czy ma pani kogoś, u kogo mogłaby się tymczasowo zatrzymać?

Zamknęłam oczy, próbując się zastanowić, przywołać listę osób, do których mogłabym się zwrócić. Miałam wrażenie, że zrobiło mi się zwarcie w mózgu, a maleńkie spięcia złych połączeń rozbłyskiwały co chwilę i uniemożliwiały mi skupienie. Gabe – przewieszony nad komputerem.

Gabe – jego głowa odrzucona, gardło wylewające się spod skóry, coś jak z *Obcego*. Gabe. Gabe.

– Moja siostra – powiedziałam w końcu. – Mogłabym pójść do siostry. Ona mieszka na północy Londynu. Czy moglibyście do niej zadzwonić?

– Oczywiście. Jak się nazywa?

– Helena. Helena Wick. 07422...

Urwałam. *Cholera*. Jak brzmiał numer Hel? Nauczyłam się go na pamięć przed laty, kiedy zaczynałam pracę w testach penetracji i nie miałam Gabe'a, do którego mogłabym zadzwonić, gdyby coś się schrzaniło. Ale byłam taka zmęczona, że ledwo pamiętałam własne nazwisko, a co dopiero coś bardziej skomplikowanego.

– 07422... – spróbowałam znowu, a tym razem pozostałe cyfry pojawiły się nagle, jak rymowanka, wyrzuciłam je z siebie bez pauz. – Chyba się zgadza. Dawno już nie wybierałam go z pamięci.

– Nie ma problemu – odparł detektyw Miles. – Proszę zostawić to mnie.

Wyszedł, a po paru minutach wrócił ze słowami:

– Czeka na panią. Podwieziemy panią służbowym autem.

Pokiwałam głową. Zalewało mnie poczucie ogromnego znużenia. Co prawda przesłuchanie na policji się skończyło, ale sama myśl o telefonie do Heleny sprawiła, że zdałam sobie sprawę z czegoś, co powinnam wiedzieć od początku: mój koszmar dopiero się zaczynał. Będę musiała opowiedzieć Hel, co się stało. A potem jej mężowi, Rolandowi. I będą musieli to przekazać swoim córkom bliźniaczkom – coś, czego dwie małe czterolatki nigdy nie powinny musieć zrozumieć. Jak zdołają pojąć coś, czego ja niemal nie byłam w stanie przyswoić – że wujek Gabe już nigdy ich nie odwiedzi? Że odszedł?

A po Hel będą rodzice Gabe'a i nasi przyjaciele, i bank, i dostawca usług internetowych, i... i... i...

Wróciłam myślami do tego, jak zmarli nasi rodzice, do tamtej ogłupiającej papierkowej roboty, niekończących się list przygotowanych przez Helenę. Poinformować firmę hipoteczną. Powiedzieć ubezpieczycielom. Anulować umowę na telewizję. Napisać do lekarza rodzinnego. To się ciągnęło i ciągnęło, i ciągnęło, całymi miesiącami.

Nie byłam w stanie zrobić tego wszystkiego od nowa. Gabe nie sporządził nawet testamentu, o którym bym wiedziała. Dlaczego miałby to robić, skoro ledwo skończył trzydziestkę i był najzdrowszą osobą, jaką znaliśmy?

– Pani Jack? – powiedziała detektyw Malik, a ja podniosłam wzrok i zdałam sobie sprawę, że policjantka coś do mnie mówiła.

– Przepraszam. – Usta miałam suche i sklezione. – N-nie słuchałam. Może pani powtórzyć?

– Jesteśmy gotowi do wyjazdu – powiedziała łagodnie. – Jeśli pani chce. Dobrze?

– Dobrze – odpowiedziałam.

Ale to nie była prawda. Nie było dobrze. Nigdy nie miało już być ze mną dobrze.

Hel stała przed drzwiami, radiowóz podjechał przed schludny, mały, pomalowany na biało londyński bliźniak. Na jej twarzy odmalowało się zmartwienie, które zbladło, ale tylko odrobinę, gdy wyszliśmy z za rogu.

– Jack. – Podbiegła ścieżką z płytek ułożonych w kratę, a ja wpadłam w jej ramiona, wtuliłam twarz w znajomy zapach jej włosów. – O mój Boże, Jack – powtórzyła i głos jej się załamał. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że to prawda.

– Pani Wick, zostawimy tu panią Jack – odezwała się detektyw Malik. Mówiła współczującym tonem. – Czy jest jakiś numer, na który moglibyśmy dzwonić, gdybyśmy potrzebowali się skontaktować? Niestety nie możemy jeszcze oddać jej komórki.

– Tak – odparła Hel. Wydawała się rozkojarzona. – Tak, oczywiście. To znaczy, chyba... na mój? Macie go, prawda?

– Tak, mamy. A czy w domu jest telefon stacjonarny?

– Tak – odpowiedziała Helena. Zamachała gorączkowo ręką na kogoś w środku, przypuszczałam, że na Rolanda. – Rols, Rols, możesz im podać swoją wizytówkę?

– Pewnie – odpowiedział Roland i usłyszałam jego kroki oddalające się korytarzem, a potem powracające.

– Dziękuję, Hel – powiedziałam. Oderwałam się od niej, ale ona dalej trzymała mnie za rękę. – Bardzo przepraszam... To musiało być...

– Pieprzyć to – ucięła krótko.

Jej ręka zacisnęła się wokół mojej, jej uścisk wbijał mi pierścionek w knykcie tak mocno, że niemal mnie to zabolalo.

– Nie wygłupiaj się, Jack, nie masz za co przepraszać.

Wzięła wizytówki podane przez Rolanda i przekazała je detektyw Malik.

– Proszę bardzo. Tu na dole jest numer do mojego biura. Jestem dziennikarką i sporo pracuję z domu. Zawsze znajdziecie mnie albo pod

tym numerem, albo pod komórkowym. A to... – Wskazała drugą wizytówkę leżącą pod spodem. – Numer mojego męża. Jest notariuszem.

– Świetnie – odparła detektyw Malik. – Dziękuję. A pani, pani Jack, dziękujemy za cierpliwość. Wiem, że to było okropne doświadczenie. Wkrótce się z panią skontaktujemy i przydzielimy pani policyjną opiekunkę sprawy, która będzie pomagała pani w całym procesie i mam nadzieję, że odpowie na wszystkie pani pytania. Skontaktuje się z panią zapewne jakoś w poniedziałek. Czy jest coś jeszcze, co mogę dla pani zrobić przed odjazdem?

Pokręciłam głową. Jedyne, na co miałam ochotę, to zwinąć się w kłębek w małym, białym łóżku w wolnym pokoju u Hel i płakać tak długo, aż zasnę. Tylko że łzy wciąż nie chciały płynąć.



Kiedy się obudziłam, na zewnątrz paliły się latarnie, a ich żółte promienie wpadały skosem przez zasłony, które Helena musiała zaciągnąć przed wyjściem z pokoju. Świeciły mi na twarz, więc zaczęłam mrugać i z trudem usiadłam, mrużąc oczy przed ich blaskiem.

Przez chwilę wiedziałam, gdzie jestem – pokój na strychu u Hel był mi tak dobrze znany, jak własne łóżko – ale nie wiedziałam dlaczego. Siedziałam tak, z bólem głowy i dogłębnym zmęczeniem wszystkich kończyn, próbując sobie przypomnieć, co się zdarzyło i dlaczego odczuwam taki dziwny strach. Zegar przy łóżku wskazywał 6.45. Zagubiona przetarłam oczy i zrozumiałam: te latarnie musiały się dopiero zapalić. Był zmierzch, a nie rano. Ta myśl wprowadziła mnie w poczucie niepewności. Wszystko było na odwrót, dziwaczne, pokręcone.

I wtedy do mnie dotarło. Albo nie, *dotarło* to złe słowo. To nie dotarło, tylko mnie *uderzyło* – znokautowało takim ciosem w brzuch, że zwinęłam się i zabrakło mi powietrza.

Gabe nie żył. Gabe *nie żył*.

Przez długi czas po prostu tak siedziałam, skulona nad własnymi kolanami, z głową ukrytą w dłoniach, próbując to zrozumieć, starając się to jakoś pojąć. Czy tak już miało być od tej pory każdego ranka? Czy każdy

dzień miał się zaczynać od tego, że będę się budzić, szukać jego ciepła i tracić go od nowa?

Pamiętałam, jak zachowywał się mój dziadek po tym, gdy zmarli moi rodzice. Jak rozglądał się roztargniony, pytał o moją matkę, a potem Hel tłumaczyła mu łagodnie: „Mama nie żyje, pamiętasz, dziadku? Ona i tata zmarli dwa lata temu”. A potem: „trzy lata temu”. I „cztery”.

Za każdym razem on reagował z taką samą rozpaczą, jego twarz się marszczyła, niebieskie oczy zachodziły niespodziewanymi łzami. Szok zmniejszał się trochę, gdy mijały kolejne lata – tak jakby ta wiedza *rzeczywiście* gdzieś była, mimo alzheimera – ale ten żal... on nigdy się nie zmieniał.

Po jakimś czasie, kiedy jego pamięć jeszcze bardziej się pogorszyła i demencja poczyniła ostatnie spustoszenia w jego mózgu, po prostu przestałyśmy mu mówić.

„Już są w drodze, dziadku” – mawiała Hel. Albo: „Nie wiem, dziadku. A *ty* wiesz, gdzie jest mama?”. On wtedy odpowiadał lekko: „Och, pewnie parzy herbatę. Masz ochotę na filiżankę?”.

Może to miałam być ja. Hel przynosząca mi kawę. „Gabe właśnie dzwonił. Powiedział, że odezwie się później”. I dziwne było to, że niemal *potrafiłam* to sobie wyobrazić. Kiedy zamknęłam oczy, widziałam go – w domu, zgarbionego nad komputerem, wpisującego szybko jakiś nieprzenikniony kod, całkowicie pochłoniętego pracą. Ta myśl dawała mi jakiś rodzaj spokoju, to, że on mógł gdzieś tam być – po prostu poza moim zasięgiem. Nie był to jednak prawdziwy spokój. Wiedziałam, że jeśli mocno się postaram, będę w stanie oszukać samą siebie, lecz polegało to wyłącznie na odsuwaniu bólu aż do momentu, w którym przestanę udawać i pozwolę cierpieniu pochłoniąć się na nowo.

W końcu zmusiłam się do wyjścia spod kołdry i wstałam, lekko się kiwając. Śmierdziałam. Głównie potem. Ten zapach był wynikiem wysiłku, jaki włożyłam w cały wieczór biegania po Arden Alliance i uciekania ochroniarzom, poranka spędzonego w dusznym pokoju przesłuchań z dwojgiem policjantów oraz całego dnia spania w tych samych ubraniach pod zimową kołdrą. Pachniałam adrenaliną i strachem – dobrze znałam tę woń z moich dość częstych spotkań z trudnymi sytuacjami, choć nigdy nie bałam się tak bardzo jak poprzedniej nocy.

Ktoś zabił Gabe'a. Ale dlaczego? Co uroczy, zabawny, kochający Gabe mógł takiego zrobić, co wkurzyłoby kogoś do tego stopnia? Może pomylili go z kimś innym? Ale jak – jak przypadek pomylenia czyjejs tożsamości mógł się skończyć morderstwem? To nie wydawało się wiarygodne. Jednak z drugiej strony żaden inny scenariusz nie wyglądał na bardziej prawdopodobny.

Gdy pokój przestał wokół mnie wirować, spróbowałam odepchnąć od siebie te pytania. Nie byłam w stanie na nie odpowiedzieć – spędziłam już pół nocy i większą część poranka, rozmyślając nad różnymi wariantami tych samych wydarzeń w mojej głowie, również z policją. A teraz zdałam sobie sprawę, że jestem strasznie głodna – właściwie to poczułam, że zaraz zemdleję z głodu. Przez ponad dwadzieścia cztery godziny nie jadłam ani nie piłam niczego prócz kawy.

Od strony schodów unosił się zapach czegoś bardzo aromatycznego – może kiełbasek. I nagle doznałam przedziwnej dysocjacji. Bo *jak mogłam* być głodna, skoro Gabe leżał gdzieś w policyjnej kostnicy, martwy na zawsze? Jakim cudem coś tak przyziemnego jak jedzenie mogło mieć jakąkolwiek wartość?

A jednak miało, byłam głodna. Zapach kiełbasek sprawił, że zaczęłam się ślinić, i prawie zakręciło mi się w głowie z głodu. Wiedziałam, że Gabe dobrze by to zrozumiał. „Musisz jeść”, mówił mi zawsze przed pracą. „Z pustym żołądkiem nie da się myśleć”. A ja musiałam myśleć. Musiałam się naprawdę dobrze zastanowić.

Hel zostawiła mi wcześniej ręczniki i ubrania na zmianę w nogach łóżka – nie moje; pewnie swoje. Wzięłam je ze sobą pod prysznic, rzuciłam na klapę toalety, a potem weszłam do kabiny i odkręciłam wodę.

Strumień był gorący i silny – ciśnienie okazało się dużo lepsze niż w moim domu. Odwróciłam twarz w stronę wody i zamknęłam oczy, słysząc ogłuszający szum w uszach i czując, jak strumienie z dysz uderzają mnie po twarzy. Przez chwilę miałam ochotę tam zostać, taka odcięta od świata, z zamkniętymi oczami, uszami zablokowanymi wodą, niezdolna odczuwać nic poza kłującymi igielkami gorącej wody na skórze.

Ale nie mogłam. I w końcu umyłam włosy, wytarłam się i ubrałam, gotowa zejść na dół, by zmierzyć się ze światem bez Gabe'a.



– Och, Jack.

Roland spojrział na mnie, kiedy z mokrymi włosami zaczesanymi za uszy i burczącym brzuchem weszłam do kuchni. Próbowaliśmy się uśmiechnąć, a on wstał i wyciągnął do mnie ramiona, i poczułam, jak gardło mi się zacisnęło. Pokręciłam głową, chociaż podeszłam i dałam się uściskać. Nie, nie, *nie. Proszę, nie bądź dla mnie miły, Roland.*

Ale był – i coś w tym, jak mnie uściskał, jak mnie objął ramionami, sprawiło, że ścisnęło mnie w gardle jak jeszcze nigdy dotąd. On nie był Gabe'em – był o jakieś piętnaście centymetrów niższy i kilkanaście kilogramów lżejszy, a do tego nie miał brody Gabe'a, jego ciepła ani nieokreślenie pocieszającego zapachu. Był jednak mężczyzną, był miły i chciał mnie pocieszyć. A to było tak boleśnie bliskie tego, czego w tamtym momencie pragnęłam – choć nie od niego – że wręcz nie do zniesienia.

W końcu się od niego odsunęłam. Roland mnie puścił, ale w jego spojrzeniu błyskało coś smutnego.

– Proszę, nie bądź dla mnie zbyt miły, Rols. Ja po prostu... – Przełknęłam, próbując znaleźć właściwe słowa. – Ja po prostu ledwo się trzymam i nie mogę... nie mogę tego stracić. Jeśli będziesz miły, to mogę nie dać...

– Rozumiem – odparł. Oczy miał pełne bolesnego współczucia, ale zobaczyłam, że wyprostował ramiona i spróbował przywołać na twarz uśmiech. – Rozpoczynam Operację Drętwy Sztywniak.

Hel stała przy kuchence plecami do mnie, ale wiedziałam, że śledziła przebieg tej krótkiej rozmowy, wiedziałam też, że rozumiała, iż nie potrzebowałam w tej chwili współczucia, tylko po prostu przetrwać jakoś ten wieczór bez załamania. A najlepszym sposobem, by to osiągnąć, było utrzymywanie wrażenia normalności.

– Ile chcesz kielbasek? – spytała mnie przez ramię. Jej ton był świadomie dziarski i poczułam, jak zalewa mnie fala wdzięczności. – Są wegańskie.

– A ile jest?

– Dwanaście. Dziewczynki poszły spać, więc wszystkie dla nas.

– W takim razie poproszę całą porcję, cztery – odparłam. Gardło bolało mnie z wysiłku, gdy próbowałam normalnie mówić, ale głos miałam pewny.

– Dzięki, Hel. Umieram z głodu.

– Purée? Sos?

– Tak. I tak.

Hel nałożyła kiełbaski, purée i cebulowy sos na trzy naczynia, podczas gdy Roland odłożył na bok kubki niekapki oraz figurki Playmobil, a potem rozłożył noże, widelce oraz szklanki. W ciągu zaledwie paru minut już siedzieliśmy przy ich malutkim stole i piłam duszkiem kieliszek czerwonego wina, co było takie przyjemne, że aż trochę przerażające. Przez chwilę tylko siedziałam z zamkniętymi oczami, czując, jak ciepło wina rozchodzi mi się po ciele wraz z krwią, kojąc je, i pomyślałam... *Mogłabym tu zostać. Mogłabym zostać w tym ciepłym, zamglonym winem świecie, w którym nieobecność Gabe'a boli odrobinę mniej. Aż do tego momentu nigdy nie rozumiałam nadużywania żadnych substancji; nawet w najgorszych momentach dotychczasowego życia – kiedy kierowca stracił panowanie nad ciężarówką, która uderzyła w auto moich rodziców, gdy miałam siedemnaście lat; podczas wyczerpującego rozstania z Jeffem zaledwie parę lat później – nawet w chwilach całkowitej rozpaczyny nigdy nie doświadczyłam takiej chęci, żeby wyłączyć uczucia. Ale teraz... Gdybym teraz mogła sprawić, że ból zniknie, zrobiłabym to. Gdybym mogła popełnić z powrotem do wolnego pokoju Hel i nigdy stamtąd nie wychodzić, zrobiłabym to. Bo nic mi nie pozostało prócz tego rozdzierającego bólu wywołanego nieobecnością Gabe'a.*

– Jack – usłyszałam jakby z oddali. A potem: – Jack, dobrze się czujesz?

Zmusiłam się, żeby otworzyć oczy. Roland przyglądał mi się z niepokojem.

– Tak, przepraszam. Wszystko w porządku.

Odkroiłam sobie kawałek kiełbaski i włożyłam do ust, po czym przeżułam starannie, żeby im pokazać, że jest okej. Smakowała... dobrze. Mimo śmierci Gabe'a i zawalenia się całego mojego świata nadal była smaczna. Przeżułam i przełknęłam, przeciskając ten kęs przez bolesną gulę niewylanych łez, które najwyraźniej utknęły w moim gardle na zawsze.

– Dolać? – spytał Roland, wyciągając butelkę.

Zaczął już nalewać, nim z oporem go powstrzymałam.

– Wystarczy, dzięki, Rols. Nie chcę się... Możliwe, że jutro będę rozmawiać z policją.

– Masz rację – powiedziała Hel. Wyciągnęła rękę i ścisnęła moją. – *Na pewno* nie pomoże ci kac. Na którą się umówiliście?

– Nie jestem pewna. Właściwie to nie mówili konkretnie, że chcą się ze mną spotkać, ale nie wydawali się... – Urwałam, starając się ubrać w słowa ten niepokój, który odczuwałam podczas przesłuchania. – Nie wydawali się do końca zadowoleni z ustalenia chronologii zdarzeń. Kazali mi ją omawiać kilka razy. Powiedzieli, że może będą mieli więcej pytań.

– Chronologii zdarzeń? – Hel zmarszczyła brwi i odłożyła nóż. – Co masz na myśli? Jaką chronologię zdarzeń?

– Nie jestem pewna. Zaczęli mnie wypytywać o moją podróż autem... dlaczego tak długo wracałam z Arden Alliance i dlaczego miałam wyłączoną komórkę. Ale tak naprawdę czepiali się tego, dlaczego minęło tyle czasu pomiędzy tym, jak znalazłam Gabe'a, a wezwaniem policji. Tak jakby uznali to za podejrzanę.

– Jak długo to było? – spytał Roland.

Wymienili spojrzenia z Hel.

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Może trzydzieści minut. Może więcej. Wiem... wiem, że to było niewiarygodnie głupie, ale ja po prostu... chyba doznałam szoku. Ale przecież on był tak całkowicie i wyraźnie martwy. Krew była zimna i lepka. I tak nie mogłam już niczego zrobić.

To wspomnienie – tego zapachu sklepu mięsnego, ścięgien i mięśni wystających z gardła Gabe'a – znów wyrosło mi przed oczami, wzdrygnęłam się i zacisnęłam szczękę, a potem mocno ścisnęłam dłońmi nóż i widelec, żeby palce mi nie drżały.

– Zaproponowali ci prawnika? – spytał wtedy Roland.

Jego słowa przegoniły nieco te obrazy w głowie i zaskoczona podniosłam wzrok.

– Nie, to znaczy... Właściwie to tak, chyba zapytali, czy nie chcę prawnika, ale odmówiłam. Dlaczego?

– Po prostu... – Znowu wymienił spojrzenia z Hel i widziałam, że oboje mieli zatroskane twarze. – Wiesz co, może przemawia przeze mnie prawnicze doświadczenie, ale cała ta sprawa... ta chronologia zdarzeń i to, co mówiłaś o komórce, jest trochę... niepokojące.

– Jak to? – Byłam zdziwiona. – Nie mówisz chyba... nie mogą przecież podejrzewać *mnie*, prawda? Dlaczego miałabym... – Poczułam, że gardło

znów mi się ścisnęło, ciężko przełknęłam. – Dlaczego, do cholery, miałabym...

Hel wzięła łyk wina, a potem ostrożnie odstawiła kieliszek.

– Bo z tego, co mówisz, to... To wygląda na zleczone zabójstwo, Jack.

– Zleczone zabójstwo? – Jej słowa mną wstrząsnęły. – Przepraszam, powiedziałaś: *na zlecenie*?

To było dla mnie równie niespodziewane, co zdumiewające. W ogóle nie przypuszczałam, że przyczyną zmartwienia Hel mogło być coś takiego.

– Ale co... *dla czego*?

– Dlaczego myślę, że to zleczone morderstwo? Ze względu na... cóż, metodę.

Widziałam, że starała się ostrożnie dobierać słowa, ale przed moimi oczami znów wyrósł obraz rozlewającego się gardła Gabe'a, surowego i zakrwawionego, wychodzącego spod skóry, tak jakby ktoś wbił nóż tuż za żyłę szyjną i wyrwał ją do przodu, rozrywając tętnice, ścięgna oraz wszystko pomiędzy.

– Tak to robią zawodowcy. Pisałam parę artykułów na temat płatnych morderców i... to dość charakterystyczne.

– Nie o to mi chodziło – wycedziłam przez zaciśnięte zęby, starając się odepchnąć obrazy przywołane przez Hel. – Po prostu... dlaczego, u licha, ktokolwiek miałby chcieć zabić Gabe'a? Gdyby to miał być jakiś nieudolny rabunek, okej, jestem w stanie w to uwierzyć. Ale zleczone zabójstwo? To nie ma sensu!

– No i o to właśnie chodzi, nie? Dlaczego ktokolwiek miałby zabić Gabe'a, kochanego gościa bez mrocznej przeszłości, bez wrogów, bez sekretów? Ale Jack, to *nie brzmi* na rabunek. Po prostu nie. Wygląda na to, że ktoś się tam dostał, poderznął mu gardło i wyszedł, nie zostawiając wielu śladów. To nie jest nieudolne włamanie, tylko coś innego.

Przez chwilę milczałam, gdy jej słowa do mnie docierały. Wreszcie zdałam sobie sprawę, że miała rację. Jak mogłam tego wcześniej nie dostrzec? Pomyślałam o pytaniach, które padły podczas policyjnego przesłuchania, pytaniach o współników, o nasze finanse, o to, czy Gabe kiedykolwiek uprawiał hazard, czy był zamieszany w jakieś kryminalne sprawy, czy miał jakichś wrogów. Nie, nie i nie. Chyba że...

– No, on... on ma jakąś tam przeszłość – powiedziałam z oporem, zmuszając się wręcz do tego. Czułam, że zdradzam Gabe'a, choć on

właściwie nie trzymał tego w tajemnicy.

Gdy temat się pojawiał, zawsze mówił o nim szczerze. Pracował nawet jako wolontariusz w kilku szkołach i klubach młodzieżowych, opowiadając o tym, co się stało. Nie była to tajemnica – ale też nie powód do dumy. A ja nie mówiłam o tym nigdy Rolandowi ani Helenie.

– Tak jakby... – ciągnęłam. – Ale nie sądzę, żeby to było istotne.

– Co masz na myśli? – Roland zmarszczył brwi. – Jaką przeszłość?

– Kiedy miał siedemnaście lat, dostał wyrok za hakerstwo. Wysłali go... właściwie to nie jestem pewna. Chyba do jakiegoś poprawczaka. Potem przez parę lat nie wolno mu było używać komputerów. Ale to było całe lata temu, chyba z piętnaście. Naprawdę nie wiem, jak miałyby to mieć jakiegokolwiek konsekwencje dzisiaj.

Hel siedziała w milczeniu, przygryzała wargę. Potem pokręciła głową.

– Nie, ja też tego nie widzę. I dlatego właśnie się martwię.

– Jak to? – Jej niepokój mi się udzielał, odczuwałam coś dziwnego i złowieszczonego, a to z kolei przekładało się na impuls złości. – Mam wrażenie, że krążysz wokół jakiegoś tematu, Hel. Wyduś to z siebie, cokolwiek to jest.

– Słuchaj. – Hel znów ze stuknięciem odstawiła kieliszek. – Są dwa typy ludzi, którzy zatrudniają płatnych zabójców. Osoby związane z grupami przestępczymi... oraz małżonkowie. A ponieważ Gabe nie miał żadnych powiązań z grupami przestępczymi...

Szczęka mi opadła i przez dłuższy czas nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Kiedy go odzyskałam, drżał mi z wściekłości.

– *Kurwa*, co ty wygadujesz, Hel?

– Nie podnoś głosu, obudzisz dziewczynki – powiedziała cicho. – I nie wygłupiaj się. *Oczywiście*, że nie zleciłaś zabójstwa Gabe'a, to absurdalny pomysł. Nigdy bym czegoś takiego nawet nie *pomyślała*. Ale przyjrzyj się faktom, nie masz żadnego alibi. Twoja komórka była wyłączona. Nie ma żadnych śladów włamania. Wygląda to tak, jakby Gabe albo wpuścił do domu kogoś obcego, co szczerze mówiąc, wydaje się nieprawdopodobne, albo jakby ktoś dał im klucz. A potem jeszcze czekałaś pół godziny, zanim wezwałaś gliny.

– *Powiedziałam ci...* – przerwałam jej, ale Helena mnie zagłuszyła, jej głos był ostry, jakby starała się nie dać ponieść emocjom.

– Wiem, Jack. Ja to *wiem*. I w pełni rozumiem... Ale bardzo się boję, że policja tak tego nie odbierze. Jeżeli będą chcieli z tobą jeszcze raz rozmawiać, moim zdaniem powinnaś zatrudnić prawnika.

Milczałam przez chwilę, zastanawiając się nad słowami Hel. W takim ujęciu nie wyglądało to dobrze. Ale na pewno, *na pewno* nikt by nie uwierzył, że mogłabym zabić Gabe'a? Jakie miałabym niby mieć ku temu powody?

– A ty jak myślisz? – odezwała się w końcu do Rolanda. – Jesteś prawnikiem. Czy Hel ma rację? Powinnam kogoś zatrudnić? To znaczy: czy to nie będzie wyglądało gorzej, jeśli się pojawię w asyście adwokata? Jakbym miała coś do ukrycia?

– Obawiam się, że ona ma rację. Przykro mi – powiedział Roland. – Nie zajmuję się kryminalistyką, ale jestem pewien, że moi koledzy po fachu tak by powiedzieli. Mogę podsunąć ci jakieś nazwiska, jeśli chcesz.

– Kurwa, nie potrzebuję prawnika! – wybuchłam.

Łzy powróciły, szczypały mnie w kącikach oczu, sprawiały, że byłam nierozsądnie wściekła na Helenę i Rolanda, którzy tylko starali się mi pomóc. To nie była ich wina – *nic* z tego nie było ich winą. Ale bardzo chciałam się na kimś wyładować. Chciałam kogoś skrzywdzić – jeśli nie ich, to pewnie siebie.

– To jest niedorzeczne.

Znów wezbrał we mnie szloch, jakby miał mnie zadusić. Wstałam, odsunęłam talerz, nagle zbyt spięta i przepelniona tłumionym żalem i wściekłością, by siedzieć i udawać, że wszystko jest w porządku.

– Wiem. – Hel wstała i spojrzała mi w oczy. – Wiem, Jack. To jest niedorzeczne... niedorzecznie niesprawiedliwe i po prostu... To po prostu niewiarygodne *gówno*, że coś takiego w ogóle się wydarza, komukolwiek, a już tobie i Gabe'owi w szczególności. – Głos jej się łamał, przemogła się jednak, by mówić dalej. – Ale ja po prostu... ja mam tylko ciebie, Jack. Nie chcę, żebyś w *jakikolwiek* sposób ryzykowała, rozumiesz? I martwię się o ciebie. Naprawdę bardzo się martwię. Więc proszę, jeśli znów cię wezwą, zadzwoń do prawnika. Jasne?

Poczułam, jak moja wściekłość kurczy się niczym przebity balonik, pozostawiając tylko ogromne zmęczenie, bliskie rozpaczy. Poczułam, że ramiona mi obwisły.

– Okej – odparłam, a złość nagle zniknęła.

Może to przez niezamierzoną wzniosłość krzyku Hel: „mam tylko ciebie, Jack”. Bo to przecież nie była prawda – przynajmniej dla Hel. Miała Rolanda, dziewczynki, swoją pracę. Tak, byliśmy ostatnimi członkami rodziny, w której się wychowałyśmy – nasi rodzice i dziadkowie nie żyli, nie miałyśmy żadnych cioć ani wujków, tylko siebie. Ale ona stworzyła własną rodzinę, nową – z jasną, piękną i pełną miłości przyszłością. I jeszcze do wczoraj ja byłam w trakcie robienia tego samego.

Ale już nie. Teraz Gabe nie żył, a wraz z nim zabrano mi tę przyszłość.

– Okej, jeśli znów mnie wezwą, zadzwonię po prawnika. Obiecuję.

– Dziękuję. – Hel objęła mnie ramionami. – Dziękuję, Jack. Wiem, że ci matkuję, ale zawsze będziesz moją młodszą siostrzyczką. Kocham cię.

Zamknęłam oczy i przycisnęłam czoło do jej ramienia.

Też cię kocham, chciałam powiedzieć, ale nie zdołałam zmusić gardła do przepchnięcia tych słów. Mogłam tylko stać, przytulać Hel i starać się nie myśleć o tym wszystkim, co straciłam.

Poniedziałek, 6 lutego

MINUS SZEŚĆ DNI

Myślałam, że nie będę w stanie przespać tamtej nocy, po tym, jak cały dzień spędziłam nieprzytomna w wolnym pokoju Hel, ale kiedy w końcu tuż po północy poszłam na górę, zasnęłam. Nie był to co prawda dobry sen – w tym pokoju było cieplej, niż przywykłam u siebie w domu, więc wierciłam się i kręciłam, uciekając przed kimś lub przed czymś, co mnie ścigało, zawzięcie, bez ustanku, nie pozwalając mi zbiec.

Gdy jedna z bliźniaczek zbudziła się w środku nocy z koszmaru i zawołała Hel, ja też się obudziłam. Mrugałam oszołomiona, nasłuchując jęków i płaczu oraz próbując zrozumieć, kim jestem i gdzie. Tym razem prawda o śmierci Gabe'a mnie nie uderzyła. Ta świadomość już we mnie była, przytłaczała mnie ciężarem, który nigdy mnie nie opuścił. Tak jak to widmo, przed którym uciekałam całą noc, ale nigdy nie zdołałam go prześcignąć.

Obudziłam się znowu jakiś czas później, tym razem na dźwięki rozpoczynającego się przedszkolnego dnia. Z sypialni pode mną słyszałam Kitty, młodszą z bliźniaczek, która narzekała na to, że musi włożyć mundurek. Twierdziła, że ją drapie. Nie podobała jej się metka. Na samym dole Roland słuchał radia, klatką schodową płynęły słabe odgłosy programu radiowej Czwórki.

Podniosłam się i odruchowo sięgnęłam po komórkę, po czym przypomniałam sobie, że zatrzymała ją policja. Cholera. Przez kilka chwil siedziałam tylko, zbierając się psychicznie i fizycznie w sobie, a potem chwyciłam pożyczony szlafrok leżący w nogach łóżka i zeszłam na dół na śniadanie.

– Jack! – Roland stał przy blacie, pakował kanapki do lunchboxów i klikał coś na komórce. – Dzień dobry! Dobrze spałaś?

– Okej – odpowiedziałam. To było kłamstwo, ale nie musiał znać prawdy.
– Dzięki. Mogę... mam sobie sama coś przygotować?

– Tak! Proszę. Przepraszam, za sekundę wszystko się uspokoi. To jest akurat szczyt porannego szaleństwa, ale za parę minut wyjdziemy. Ty pijesz rano kawę, prawda? Wiesz, gdzie szukać.

Skinął głową na wysoką szafkę z otwartymi półkami w rogu. Zerknęłam na zegar, było dziesięć po ósmej. Później, niż sądziłam.

Kiedy nasypywałam sobie kawy do dzbanka, usłyszałam dudnienie kroków na schodach i Millie, starsza bliźniaczka, wpadła ze szlochom do kuchni.

– Tatusiu! Kitty ubrudziła mi koszulkę pastą do zębów!

– Dobrze, dobrze, spokojnie, to nie jest koniec świata. – Ojciec wziął ją na kolano i pocierał koszulkę kuchenną ścierką, aż w końcu plama stała się zaledwie jasnym cieniem na królewskim błękicie. – Proszę, jak nowa.

– Ale ja ją ciągle widzę!

– Będzie dobrze, kochanie. Dobra, wkładaj buty. Gdzie Kitty?

– Tutaj! – Kitty przytuptała do kuchni już w butach, z zaplecionymi warkoczykami, i najwyraźniej zamierzała wymazać te oskarżenia o akcję z pastą, odgrywając grzeczną przedszkolaczkę. Spojrzała bez zaskoczenia na mnie, swoją ciotkę, siedzącą zaspaną i bladą przy kuchennym blacie. – Cześć, ciociu Jack! Sama włożyłam buty!

– Są prawy na lewej, skarbie – powiedział cierpliwie Roland i ukląkł zamienić jej buciki z czerwonymi sprzączkami.

Na widok tych bucików ścisnęło mi się serce. Były takie malutkie – każdy z nich spokojnie mieścił się w dłoni Rolanda. Kitty stała, patrząc w skupieniu, jak tata zapina jej na nowo paseczki, tak jakby chciała się upewnić, czy zrobił to poprawnie. Potem on się wyprostował.

– Dobra. Gotowe? Macie plecaki?

– Tak – odparły chórem bliźniaczki.

– Bidony z wodą?

Kitty nie miała swojego i nastąpiła chwila panicznych poszukiwań, tym razem to Kitty balansowała na skraju łez, dopóki Helena nie zbiegła po schodach z bidonem w ręku.

– Mam go! Wturlał się pod łóżko. Dobra, idźcie, idźcie. Spóźnicie się!

Nastąpiło chóralne: „Pa, mamusiu, pa, ciociu Jack”, a także krótkie zagrożenie łzami ze strony Kitty, która najwyraźniej myślała, że to Hel odprowadzi je do przedszkola... a potem drzwi się za nimi zamknęły i moja siostra odetchnęła z ulgą.

– Dzięki Bogu. Jezu, kocham te dzieci, ale gdybym mogła zrezygnować z jednej rzeczy, to byłoby całe to wyprawianie się do przedszkola. Jak się masz?

– W porządku – odparłam, chociaż to nie była wcale prawda i Hel o tym wiedziała. – Słuchaj, masz może gdzieś jakąś komórkę? Policja zabrała moją, a ja naprawdę muszę... – Urwałam.

Tak naprawdę musiałam zacząć mówić ludziom, co się stało z Gabe'em. A przynajmniej powinnam włączyć autoresponder pod adresem mejlowym Crossways Security. Mieliśmy kolejkę klientów, zlecenia umówione na następny tydzień. W Arden Alliance będą się spodziewać raportu. A co dopiero znajomi Gabe'a i rodzina, która zacznie się zastanawiać, dlaczego nie czyta grupowych wiadomości na rodzinnym WhatsAppie ani nie odpowiada na mejle.

– Pewnie – odparła szybko Hel, widząc, jak zaczęła mi drzeć broda. – Możesz wziąć mój stary telefon, ten, którego dziewczynki używają do zabawy. On dobrze działa. Wydaje mi się, że Rols może nawet mieć gdzieś zbędną kartę SIM. Dostał jedną razem z nową komórką.

– Byłoby cudownie – powiedziałam z wdzięcznością. – Nawet gdybym nie miała karty SIM, to gdybym skorzystała z twojego Wi-Fi...

– Czekaj – przerwała mi Hel. – Zaraz wracam.

Wyszła i usłyszałam odgłos jej kroków na schodach prowadzących na górę do salonu, a potem otwieranie i zamykanie drzwi, szperanie w pudle z zabawkami dziewczynek. Następnie przeszła do biura Rolanda, które było za salonem. I potem znów rozbrzmiały jej kroki na schodach.

– Przepraszam za te naklejki.

Motorola, którą mi podała, nie była nawet taka stara. Właściwie był to ten sam model co mój poprzedni telefon, tylko że obudowę miał oklejoną naklejkami z kucykami pony.

– I mogłabym... czekaj, na ekranie jest jakieś paskudztwo. – Zaczęła go pocierać mokrą chusteczką. – To chyba dżem. Proszę. PIN to 1234, ale jest zalogowany do mojego Gmaila, więc możesz go zresetować do ustawień fabrycznych. Podejrzewam, że nie chcesz czytać moich wiadomości.

– Jesteś pewna? Dziewczynki się nie wściekną, jak usunę im wszystkie gry?

– Pewnie tak, ale nie zaszkodzi im mniej czasu ekranowego. I tak mają jeszcze iPada, więc na pewno to jakoś przeboleją. I znalazłam w biurku

Rolanda to. – Trzymała w rękach małą, kartonową teczkę, a potem ją otworzyła i wyciągnęła kartę SIM, wyjąwszy ją najpierw z plastikowego okienka. – Boże, dlaczego teraz robią to takie małe? Wolałam, jak były takiego rozmiaru, że dało je się dostrzec gołym okiem.

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zajęta wyszukiwaniem, „jak zresetować motorolę play”. Byłam już w połowie procesu, kiedy zadzwonił telefon, a Hel podeszła do okna, żeby odebrać.

– Słucham? Tak, to ja. Och... och, oczywiście. Chwileczkę. Już podaję. – Zasłoniła słuchawkę dłonią i cicho dodała: – To do ciebie. Policja.

Przewróciło mi się w żołądku. Wzięłam telefon z dłoni Hel.

– Dzień dobry, mówi Jack.

– Dzień dobry, pani Cross. – To była detektyw Malik. – Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale czy ma pani może dziś czas? Czy mogłaby pani przyjechać na komisariat?

– Oczywiście. – Poczułam, że serce zaczęło mi szybko bić.

Czy odkryli coś ważnego?

– Pojawiły się jakieś nowe tropy?

– Są różne wątki do sprawdzenia i mamy nadzieję, że mogłaby nam pani z niektórymi pomóc, ale wolałabym porozmawiać o tym osobiście na komisariacie.

– Oczywiście, o której?

– Powiedzmy... – Zapadła cisza i usłyszałam, że Malik wertuje jakiś notes albo może terminarz. – Może być jedenasta?

– Oczywiście. Dziękuję. Do zobaczenia.

Rozłączyłam się i oddałam telefon Helenie.

– Znaleźli coś?

– Nie wiem. – Spojrzałam na komórkę z jednorożcami w drugiej dłoni. Skończyła się już resetować i prosiła mnie o zalogowanie nowego użytkownika oraz wpisanie hasła do Wi-Fi. – Możliwe, że... tak? Poprosili mnie o przyjście o jedenastej. Ale ewidentnie nie chcieli o tym rozmawiać przez telefon.

– Boże, mam nadzieję, że mają jakiś trop.

– Ja też.

Poczułam, jak ścisnęło mi się gardło przy tych słowach. Myśl, że ten, kto zrobił to Gabe'owi, był nadal wolny... Wciąż nie byłam w stanie tego w pełni przyjąć do wiadomości.

– Jadłaś coś? – spytała Hel.

Pokręciłam głową.

– Nie jestem za bardzo głodna.

Rzuciła mi spojrzenie przepełnione matczyną troską, a ja westchnęłam.

– Wiem, wiem, powinnam jeść i tak dalej. Szczerze mówiąc, jest mi trochę niedobrze. Muszę... – Spojrzałam na komórkę w dłoni. Połączyła się z moim kontem Google, a na ekranie głównym wyskakiwały powiadomienia. Nieodebrana wiadomość. Nieodebrana wiadomość. Nieodebrana wiadomość. – Muszę zacząć informować ludzi. Nie mogę olewać klientów, a rodzice Gabe’a...

Urwałam. Nie umiałam nawet powiedzieć tego na głos.

– Ja mogę to zrobić – zaoferowała pospiesznie Hel. – Naprawdę, Jack, nikt po tobie nie oczekuje, że będziesz obdzwaniać ludzi, nie dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Gabe... – Urwała, nie chciała powiedzieć tego, na co brakowało słów, i machnęła ręką, jakby kwitując: „po tym wszystkim”.

Ale ja pokręciłam głową. Oczywiście miała rację – i na pewno byli tacy ludzie, którymi ona mogła się zająć. Ale nie rodzice Gabe’a i nie jego najlepszy przyjaciel, Cole. Oni zasługiwali na to, by usłyszeć to ode mnie, i to zanim skontaktuje się z nimi policja, co mogło wydarzyć się w każdej chwili, z tego, co wiedziałam. Nie mogłam pozwolić, żeby o śmierci Gabe’a usłyszeli przez telefon ze Scotland Yardu.

– Nie, sama muszę się zająć przynajmniej częścią osób. Muszę, Hel. Zostawię ci te pracowe sprawy, ale John i Verity, i pewnie Cole, do nich muszę zadzwonić sama.

– Okej – odparła zrezygnowanym tonem. – Jeśli rzeczywiście czujesz, że tak powinnaś. Ale najpierw zadzwonisz do swojego prawnika, tak?

– Nie teraz – odparłam, a potem zobaczyłam jej minę i podniosłam rękę. – Hel, *zadzwoń*, ale proszę, przestań mnie ponaglać. Ja po prostu... Muszę najpierw mieć to z głowy. Nie mogę pozwolić, żeby rodzice Gabe’a dowiedzieli się pocztą pantoflową.

Nawet Hel dostrzegła, że to ma sens, i skinęła głową, choć z pewnym oporem.

– Mogę pożyczyć laptop? – spytałam, głównie po to, żeby zmienić temat. – Tak do pracy.

Hel znów pokiwała głową i sięgnęła do kredensu po wysłużonego macbooka.

– Proszę. Hasło to „powerpets”, takie samo jak do Wi-Fi. Wszystko małymi literami. Safari jest zalogowana do mojego Gmaila, ale możesz otworzyć zakładkę incognito albo użyć Chrome’a. A komórka powinna już działać, aktywowałam ci kartę SIM. Numer jest tutaj, gdybyś chciała go komuś podać. – Wskazała na tekturową kopertę, w której była karta.

– Dzięki – powiedziałam, a potem bez zastanowienia podeszłam do niej i ją uściskałam.

Pachniała jak dom, nasz dom z dzieciństwa. Pamiętam ten zapach z czasów, gdy wchodziłam do domu rodziców po tym, jak spędzałam czas u przyjaciół, i wdychałam go jak tlen.

– Kocham cię – wydusiłam.

– Ja ciebie też kocham. – Jej ramiona zacisnęły się wokół mnie i poczułam to wszystko, co chciała mi powiedzieć. Jakie to było niesprawiedliwe. Jak najchętniej zdjęłaby ze mnie ten ciężar, gdyby mogła. Ale żadna z nas nie była dobra w wielkie, emocjonalne przemowy, więc w końcu mnie puściła, odkaszlnęła, a potem ruszyła w stronę schodów.

– No dobra. Gdybyś mnie potrzebowała, będę na górze. Wołaj mnie, okej?

– Okej.

– I zawiozę cię na ten komisariat. Jeśli ruszymy o dziesiątej trzydzieści, powinno wystarczyć.

– Dziesiąta trzydzieści. Pewnie.

Zerknęłam na komórkę w dłoni. Było tuż po dziewiątej. Miałam dziewięćdziesiąt minut, żeby zburzyć świat rodziców Gabe’a.

□

Jakieś czterdzieści pięć minut później westchnęłam i zamknęłam laptop, wiedząc, że załatwiłam te najłatwiejsze zadania i zostały mi już tylko te niewykonalne. Wysłałam mejle do klientów, których mieliśmy zapisanych w terminarzu, nie podając im wielu informacji. Tłumacząc się *poważnymi sprawami rodzinnymi*, wyjaśniłam, że Crossways będzie zamknięte przynajmniej dwa tygodnie i nie jest w stanie wykonać zleceń. Dałam im do wyboru czekanie na nowy termin albo skontaktowanie się z inną

cenioną przez nas firmą od bezpieczeństwa, po czym zmieniłam autoresponder na coś mniej więcej w tym samym guście. Nie zdradziłam, że Gabe nie żyje – nie mogłam się zdobyć na napisanie tych słów – ale byłam przekonana, że nie będę musiała. Wkrótce zapewne miało to trafić do prasy.

Musiałam za to się skontaktować z rodzicami Gabe'a, Johnem i Verity, a także jego najlepszym przyjacielem – Cole'em. Pytanie tylko, w jakiej kolejności.

Postanowiłam zadzwonić najpierw do Johna i Verity – wyłącznie dlatego, że uznałam, iż policja namierzy ich pewnie najszybciej. Ich numer domowy znajdował się w moich kontaktach zapisany jako „rodzice Gabe'a”, podczas gdy Cole widniał po prostu jako „Cole Garrick” i nic nie wskazywało na jego związek z Gabe'em.

Jednak kiedy zadzwoniłam, włączyła się automatyczna sekretarka.

– Tu państwo Medway – rozbrzmiał na nagraniu miły głos Verity. – Przepraszam, nie możemy podejść teraz do telefonu. Jesteśmy poza domem lub prowadzimy akurat inną rozmowę. Proszę zostawić wiadomość, oddzwonimy najszybciej, jak to możliwe.

Wybrzmiał sygnał, a ja nabrałam powietrza, zastanawiając się, co powiedzieć. Kurwa. Kurwa. Dlaczego o tym nie pomyślałam? Pewnie wyszli z psem. Albo może detektyw Malik już do nich zadzwoniła i pędzili autostradą z Oxfordshire do Londynu.

– Cześć – odezwałam się w końcu, bo dotarło do mnie, że coś muszę powiedzieć.

Głos mi się załamał. Próbowałam go wzmocnić, wiedziałam, że nie mogę się załamać, nie teraz.

– John, Verity, tu Jack. Wydarzyło... Wydarzyło się coś złego. To... no, to poważna sprawa. Czy możecie do mnie zadzwonić? Chwilowo jestem dostępna pod innym numerem, więc możecie dzwonić pod...

Kurde, jaki numer miał ten telefon? Chwyciłam kopertę, którą zostawiła mi Hel, i odczytałam cyfry.

– Okej – zakończyłam niezręcznie, ale nie wiedziałam, co jeszcze mogłam powiedzieć. – Aha, to jest bardzo pilne.

Potem przypomniałam sobie umówione spotkanie na komisariacie. Nie mogłam od nich odebrać podczas policyjnego przesłuchania.

– Nie będę dostępna jakoś pomiędzy jedenastą a... sama nie wiem. Może pierwszą? Więc jeśli nie odbierzecie tej wiadomości przed jedenastą, to... no. – O Boże, spieprzyłam to. – Zadzwońcie – powtórzyłam. – Pa.

Sekretarka piknęła w połowie mojego „pa”, ratując mnie z opresji, więc się rozłączyłam. Czułam gułę w gardle, ale w pewnym stopniu odczułam ulgę. Nie byłam pewna, jak poradziłabym sobie z rozpaczą i szokiem Johna oraz Verity, podczas gdy moje własne nadal były takie świeże.

Odczekałam dziesięć minut, na wypadek gdyby byli po prostu właśnie w ogrodzie lub na piętrze, ale nikt nie oddzwonił, a dochodziła dziesiąta. Zostało mi tylko pół godziny, żeby skontaktować się z Cole'em. Jeżeli policja jeszcze tego nie zrobiła. Jednak kiedy wpisałam jego numer na komórce, nie mogłam się zdobyć na odwagę, żeby zadzwonić. Bo Cole na pewno by odebrał. Był przykuty do swojej komórki dwadzieścia cztery godziny na dobę. I nie miałam wątpliwości co do tego, jak to przyjmie.

W przeciwieństwie do mnie Gabe był jedynakiem. Ale on i Cole byli ze sobą bliżej niż wiele znanych mi rodzeństw, znali się prawie od zawsze. Poznali się w szkole podstawowej i zawarli dziecięcą przyjaźń, która najwyraźniej zdumiewała nauczycieli. Gabe zawsze miał w sobie coś z anarchisty – Verity powiedziała kiedyś, że już w wieku pięciu lat był takim dzieckiem, dla którego przycisk oznaczony ostrzeżeniem „nie dotykać” budził nieodpartą pokusę – nie z przyrodzonej złośliwości, tylko dlatego, że *nie mógł* się dowiedzieć, do czego ten przycisk służy. Prześlizgiwał się przez egzaminy, zbyt zajęty chaotycznym i dopiero co odkrytym światem internetu, żeby dobrze się uczyć. W wieku siedemnastu lat za często wciskał taki przycisk i znalazł się po złej stronie. Po tym błędzie potrzebował całych dziesięciu lat, żeby się pozbierać.

Za to Cole był idealnym uczniem – na wszystkich egzaminach zgarniał piątki, ukończył Cambridge z wyróżnieniem, dostał się na staż do Apple, a następnie został odkryty przez Cerberusa, obiecującą firmę informatyczną, która w ciągu ostatnich kilku lat tak się rozrosła, że stała się jednym z głównych graczy w przemyśle technologicznym. Patrząc z zewnątrz, można by uznać, że nic ich właściwie nie łączyło i nikt postronny nie sparowałby ich jako przyjaciół – Cole'a w śnieżnobiałych T-shirtach i nieskazitelnych adidasach, Gabe'a w podartych dżinsach oraz martensach.

Jednak pomimo tych różnic przyjaźń Cole'a i Gabe'a przetrwała, początkowo utrwalona ich wspólną fascynacją grami komputerowymi, a potem czymś dużo głębszym – szczerą, dogłębną wzajemną miłością. Trzeba było być ślepym, żeby tego nie zauważyć. Nigdy nie widziałam, żeby dwóch mężczyzn ścisnęło się na pożegnanie tak, jak robili to Cole i Gabe – trzymali się tak mocno, jakby nigdy nie chcieli wypuścić się z objęć. Cole powiedział mi kiedyś, że czas, kiedy Gabe miał odsiadkę, był dla niego jednym z najsamotniejszych okresów w życiu.

I miałam mu teraz powiedzieć, że Gabe odszedł – na zawsze.

Wybrałam numer Cole'a, a on nie odebrał od razu, telefon dzwonił i dzwonił, aż w końcu po paru pierwszych sygnałach zaczęłam odczuwać napływ tej samej ulgi, co przy Johnie i Verity. To było głupie, bo oczywiście się z tego nie wykręcę; i tak musiałam odbyć tę rozmowę, ale to trochę jak z odkładaniem odrobienia zadania domowego – daje pewien rodzaj wytchnienia, nawet jeśli fałszywego.

Jednak już kiedy miałam się rozłączyć, rozbrzmiało kliknięcie i odezwał się zdyszany głos Cole'a.

– Halo? Kto mówi?

– Cole? Tu... tu Jack.

– Jack? – Jego głos przycichł i wyobraziłam sobie w duchu, jak odsunął telefon od ucha, żeby spojrzeć na wyświetlacz i upewnić się, że sobie tego nie wyobraził. Po chwili dodał zdziwionym tonem: – Wszystko w porządku? To nie twój numer, prawda?

– Nie. – Przełknęłam. – Nie, nie... nie jest w porządku, Cole. Stało się coś złego.

O Boże, to było trudne. To było takie trudne. Trudniejsze, niż sobie wyobrażałam.

– Co się stało?

Jego ton był miły i wyrażał zdziwienie, miał akcent boleśnie podobny do tego Gabe'a, na co mój żołądek skręcił się ze smutku. Chciałam się rozłączyć i zawyc.

– Cole... – Głos mi się załamał, wielka, bolesna gula niewylanych łez najwyraźniej znów utknęła mi w gardle. – Cole, chodzi o Gabe'a.... on... on...

Wzięłam długi, drżący wdech, by wyrzucić z siebie te słowa.

– Jack? – Cole był jednocześnie zaskoczony i zaniepokojony. – Co z Gabe'em? Co się stało?

– O Boże, Cole, on *nie żyje*. – Te ostatnie słowa nie zabrzmiały, jak planowałam, jak rzeczowa informacja, lecz bardziej jak długi, prawie niezrozumiały, zbolaty jęk.

– Co? Co do... Jack, czy ty właśnie powiedziałaś, że Gabe *nie żyje*? Kie... Jak? Co się stało? *Jak*?

Pokiwałam głową, zapominając, że on nie może mnie zobaczyć, i zasłoniłam sobie dłonią oczy, po czym je zamknęłam, tak jakbym mogła się odciąć od tych reminiscencji, które niechciane zaczęły się tłoczyć w mojej głowie. Nie przypominały zwyczajnych wspomnień, takich zwykłych obrazów przywoływanych świadomie. Wyglądały bardziej na migawki u osoby z PTSD, były nieznośnie prawdziwe. Przez chwilę niemal czułam zapach krwi. Na tę myśl zrobiło mi się niedobrze.

– Wróciłam z pracy. – Głos mi drżał, ale starałam się go opanować na tyle, żeby mówić. – A on... Jego gardło było... – Nie chciałam tego mówić, ale obrazy widziane oczyma duszy były zbyt wyraźne, by je odsunąć na bok, i te słowa wydostały się ze mnie wbrew mojej woli. – Miał rozcięte gardło.

– Chwileczkę, czyli został zamordowany?

– Tak. Ale ja po prostu... Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę w to uwierzyć.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Cole, nieświadomie po mnie powtarzając, jego głos był pełen niezrozumienia i zdumienia. – To bez sensu. Gabe? Kto mógłby skrzywdzić Gabe'a?

– *Nie wiem*. Początkowo myślałam, że to może nieudane włamanie, ale...

Przypomniał mi się głos Hel, ostrożny, ale przepełniony koszmarną pewnością. „Bo z tego, co mówisz, to... to wygląda na zleczone zabójstwo, Jack”.

– Kurwa – mówił Cole, prawie szeptem, jakby do siebie. – Kurwa. *Kurwa*. Czyli... czyli podeźnęli mu *gardło*?

– Przepraszam – wykrztusiłam. – Nie chciałam ci mówić w ten sposób, ale pomyślałam, że policja może się z tobą kontaktować.

– Jezus, Jack, nie przepraszaj!

Tym razem to głos Cole'a się załamał. Gdy znów się odezwał, wydawał się bliski łez, a ja zacisnęłam powieki, żałując, że nie mogłam tego zrobić

w cztery oczy. Ile bym dała, żeby móc się w tamtej chwili przytulić...

– Ja po prostu... Boże, *to ja* powinienem przepraszać. Co mogę zrobić? Mogę jakoś pomóc? Jakkolwiek?

– Chyba... nie bardzo. – Oparłam się o blat kuchenny, schowałam głowę w dłoniach, podpierając się, jakby ciężar tego wszystkiego był dla mojego ciała zbyt wielki. – Niewiele jesteśmy w stanie zrobić, dopóki policja nie skończy śledztwa. Ale może mógłbyś powiedzieć innym, jeśli czujesz się na siłach? Ja po prostu... wiem, że powinnam... ale nie mogę.

– Nie, o Boże, oczywiście, że nie. Pewnie, że mogę to zrobić. Co chcesz, żebym im powiedział? Wszystkim?

– To znaczy... nie w poście na Facebooku czy coś. Ale gdybyś mógł po prostu powiedzieć naszym znajomym, dać im znać, co się dzieje. Nie chcę, żeby ludzie, którzy go znali, dowiedzieli się z wieczornych wiadomości.

– A co z Johnem i Verity? – spytał Cole. – Wiedzą?

– Nie.

Przygryzłam wewnątrz wargi, zastanawiając się. Rodzice Gabe'a dobrze znali Cole'a. Spędzał tyle czasu w ich domu jako dziecko, że traktowali go prawie jak drugiego syna. Na pewno mieli jego numer telefonu, a istniała spora szansa, że Verity zadzwoniłaby do niego, gdyby nie udało jej się skontaktować ze mną.

– Dzwoniłam do nich, ale nie odebrali, a teraz muszę jechać na komisariat. Więc wiedzą, że stało się coś złego, ale nie wiedzą co. Myślę... Myślę, że jeśli zadzwonią do ciebie, to po prostu im powiedz. Lepiej, żeby dowiedzieli się od ciebie niż z mediów społecznościowych. Powiedz, że próbowałam się z nimi skontaktować. Spróbuję jeszcze raz, jak tylko wrócę.

– Jasne – odpowiedział powoli Cole. – Boże, Jack, jestem taki... Bardzo mi przykro. Nie mogę tego pojąć. Czy policja ma jakieś tropy? Wiedzą, kto to mógł zrobić?

– Nie mam pojęcia – bąknęłam. Oparłam czoło na dłoń, przycisnęłam sobie knykcie do oczu. – Moja siostra, Hel, uważa, że... – Urwałam, jakoś niewiarygodnie trudno było mi o tym mówić; wypowiedzanie tych słów spowodowało, że cała ta sprawa stawała się nieznośnie prawdziwa, ale zmusiłam się do tego. – Ona uważa, że to mogło być zleczone zabójstwo. Ze względu na metodę. Tak jakby ktoś miał na celu właśnie Gabe'a. Czy ty... Może wydawał ci się czymś zmartwiony, kiedy ostatnio rozmawialiście?

– Chryste. – Cole znowu brzmiał, jakbym wymierzyła mu cios prosto w brzuch. – Nie, rozmawiałem z nim... chyba w piątek? Chcieliśmy umówić się na piwo, brzmiał zupełnie normalnie. Policja też ma taką teorię?

– Nie wiem. Wczoraj wydawali się całkiem zagubieni, ale dziś rano do mnie zadzwonili i poprosili, żebym przyjechała na komisariat, a to zabrzmiało... Cóż, pomyślałam, że może coś znaleźli. Może. Ale nie jestem pewna... Nie wiem, czy powinnam o tym rozmawiać. – Nie miałam pojęcia, jakie są zasady. Czy mogłam mówić ludziom o tym, co się stało? Co, jeśli policja chciała zachować niektóre informacje dla siebie? – Słuchaj, lepiej tego wszystkiego nikomu nie powtarzać – dodałam w końcu. – Możliwe, że się zupełnie mylę.

Zapadła długa cisza, jakby Cole próbował przyswoić to, co mu właśnie powiedziałam. Nie miałam mu tego za złe. Kiedy znów się odezwał, brzmiał, jakby starał się pozbierać.

– Jack, wiesz co, jeśli skontaktuję się z ludźmi... Muszę wiedzieć, co im mówić. Jak chcesz, żebym to ujął? Poza tym będą chcieli wiedzieć, czy mogą się odezwać do ciebie.

– Nie...

O tym nie pomyślałam. Po części nie umiałam stawić czoła tym telefonom, ciekawości, wyrazom *współczucia*. Z Cole'em i Hel było inaczej; Hel należała do rodziny, a Cole kochał Gabe'a równie mocno co ja... jednak inni znajomi Gabe'a, zwłaszcza ci, których zbyt dobrze nie znałam...

– Powiedz im po prostu prawdę, że nie wiemy, co się stało. Policja prowadzi śledztwo. A jeśli chodzi o mnie... Mój telefon przejęła policja. Więc nikt nie może się do mnie dodzwonić na mój stały numer. Ten pożyczyłam od siostry i nie mam pojęcia, jak długo będę go używać. Może mógłbyś im powiedzieć, że w tej chwili jestem dostępna wyłącznie pod mejlem?

– Jasne. To znaczy: oczywiście. I gdyby było trzeba, mogę przekazać jakąś wiadomość.

– Dziękuję ci. – Zerknęłam na zegar. – Słuchaj, Cole, przepraszam, ale muszę lecieć. Niedługo mam się stawić na komisariacie. Czy...

Chciałam spytać: „Czy ty sobie poradzisz? Dobrze się czujesz?”. Ale to brzmiało ewidentnie głupio. Oczywiście, że nie czuł się dobrze. Żadne z nas się nie czuło. Obojgu nam życie legło w gruzach.

– Słuchaj, Jack – odezwał się Cole, wypełniając ciszę. – Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała, jasne? *Czegokolwiek*. Gabe... jest... – Usłyszałam, jak przełyka, starając się opanować, i poprawił czas na przeszły: – On był, cóż, był dla mnie jak brat... wiesz? A więc ty jesteś moją siostrą. Dzwoni do mnie, dobra? Za dnia czy w nocy, mówię serio.

– Dzięki, Cole – szepnęłam.

A potem odłożyłam słuchawkę i siedziałam, gapiąc się przed siebie, póki Helena nie zeszła po schodach.

– A tak w ogóle, to co mówił twój prawnik? – spytała Hel, kiedy zatrzymałyśmy się na parkingu za komisariatem. – Spotka się tu z tobą?

Nic nie odpowiedziałam, a ona zaciągnęła ręczny i odwróciła się do mnie z kamienną twarzą.

– Jack. Proszę, powiedz mi, że zadzwoniłaś do prawnika.

– Jeszcze się do tego nie zabrałam.

– Jack... – zaczęła Hel, ale nie dałam jej dokończyć.

– Słuchaj, bardzo jasno wyraziłaś swoje zdanie na ten temat. Ale ja po prostu myślę... sama nie wiem. Wydaje mi się, że to wyglądałoby bardzo dziwnie i wrogo, gdybym zaczęła się obstawiać prawnikami. Nie mam niczego do ukrycia. Gdyby jakiś prawnik zabronił mi odpowiadać na pytania... Nie chcę tego. *Chcę*, żeby się dowiedzieli, kto zabił Gabe'a.

– Wiem o tym – odparła Hel. – I wiem, że nie masz niczego do ukrycia. Mam tylko nadzieję, że policja zdaje sobie z tego sprawę. – Zastukała palcami o kierownicę. – Słuchaj, nie mogę cię do tego zmusić, ale czy obiecasz mi, że jeśli pojawi się jakakolwiek sugestia, *jakakolwiek*, że coś idzie nie po naszej myśli, przerwiesz to przesłuchanie? Nie zgadzaj się na powiedzenie ani zrobienie niczego przed przyjazdem prawnika. Powiedz po prostu: „Korzystam z prawa do obecności prawnika i nie będę odpowiadać na żadne pytania, dopóki nie przyjedzie”. Dobrze?

– Dobrze. Ale szczerze mówiąc, wydaje mi się, że zachowujesz się neurotycznie.

– Nie sądzę, żeby tak było, Jack. Nie chcę być w tym temacie brutalna, ale nie bez powodu oni zawsze podejrzewają małżonków. Masz możliwość i warunki. Do postawienia ci zarzutów brakuje tylko motywu. Więc proszę, bądź naprawdę ostrożna, żeby żadnego im nie podpowiedzieć.

Z tą ostatnią uwagą zaszła za daleko. Nic nie odparłam, tylko na nią spojrzałam, a ona się skrzywiła.

– Przepraszam, to źle zabrzmiało. Ja *wiem*, że nie miałaś żadnego powodu, by zabić Gabe'a, i pewnie zachowuję się paranoicznie. Masz...

– Jakiś motyw? – Mój głos podniósł się o oktawę. – Kpisz sobie ze mnie? Oczywiście, że nie mam, kurwa, żadnego motywu. Jak by to w ogóle miało wyglądać?

– Nie, nie o to mi chodziło... Pytałam, czy masz jakiegoś prawnika.

– Och – urwałam, próbując sobie przypomnieć. – Tak, taką jedną kobietę... ma na imię Melanie. Pracuje dla firmy Westland Law. Korzystaliśmy kilka razy z jej usług, kiedy coś schrzanił przy zleceniach.

Na komórce piknęło mi powiadomienie o mejlu i odruchowo na nie zerknęłam. To od klienta, który słał wyrazy współczucia i pisał, że nie muszę się spieszyć ze względu na nich. Zegar na górze ekranu wskazywał jednak jedenastą, więc obróciłam się i odpięłam pas.

– Okej. Mam nadzieję, że coś znaleźli.

– Trzymam kciuki. Chcesz, żebym na ciebie zaczekała?

– Lepiej nie. Nie mam pojęcia, ile to zajmie. Najwyżej wrócę taksówką.

– Jasne. Okej, no to... trzymaj się. – Hel pochyliła się w aucie, żeby pocałować mnie w policzek, a ja ją przytuliłam. – Kocham cię.

– Ja ciebie też.

– Masz jakieś pieniądze?

Już miałam przewrócić oczami i powiedzieć jej, żeby przestała mi zawracać głowę, kiedy do mnie dotarło, że w sumie to nie miałam. Nie wzięłam nawet karty płatniczej – zostawiłam portfel w pokoju u Hel.

Ona zobaczyła moją minę i sięgnęła po torebkę.

– Widzisz? Matkowanie się przydaje. Proszę, to wszystko, co mam w gotówce, ale musi ci wystarczyć. – Podała mi dwa banknoty, dziesiątkę i dwudziestkę, a ja się skrzywiłam i je przyjąłam, po czym wsunęłam pieniądze w etui komórki. – A teraz powtórz za mną: „Hel ma zawsze rację”.

– Hel ma zawsze rację – odparłam, zmuszając się do uśmiechu.

Potem wysiadłam z auta, czując na sobie spojrzenie siostry, przeszłam przez parking i otworzyłam drzwi na komisariat.

W środku było głośno, pachniało płynem do podłóg i kubkami po kawie. Gdy czekałam w kolejce, żeby porozmawiać z funkcjonariuszem w dyżurce, mimowolnie rozejrzałam się po pomieszczeniu, jakbym wykonywała zlecenie. Dwa wyjścia – jedno na ulicę, bez ochrony; drugie do wnętrza

komisariatu, z tego, co widziałam, bez zamka. Pod biurkiem znajdował się pewnie przycisk otwierający. Jedna nieruchoma kamera w rogu z ogromnym martwym polem, które obejmowało większość ściany po prawej stronie – kiepski projekt jak na komisariat policji. Jakoś nie pamiętałam żadnej z tych rzeczy z minionego dnia. W wyniku szoku z mojego mózgu wyparowała połowa wydarzeń poprzedniej nocy – co wydawało się dziwne, ale nie dziwniejsze niż odruchowe ocenianie stopnia bezpieczeństwa budynku w świetle, w którym nie było już Gabe'a.

Gdy przyszła moja kolej, podałam swoje nazwisko i wyjaśniłam, że stawiałam się na spotkanie z detektyw Malik. Policjant za biurkiem uśmiechnął się grzecznie i poprosił mnie o zajęcie miejsca, ale ledwo zdążyłam to zrobić, sierżant Malik we własnej osobie wyszła przez drzwi wewnętrzne. Próbowałam odczytać mowę jej ciała. Nie wyglądała na kogoś, kto rozwiązał sprawę. Wstałam i poczułam lekki wzrost niepokoju.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, pani Cross, dziękuję, że pani przyszła. Pozostało zaledwie kilka kwestii z naszego wczorajszego przesłuchania, które chcielibyśmy wyjaśnić. Gdyby zechciała pani pójść za mną tutaj...

– Nie ma problemu.

Poprowadziła mnie przez drzwi, jej krok przyspieszył, gdy mijaliśmy rzędy pokoi i biur.

– Czy macie już jakieś tropy?

– Najlepiej porozmawiać o tym z pani policyjnym opiekunem. Czy kontaktował się już z panią?

– Jeszcze nie.

– Okej, no dobrze, sprawdzę to – powiedziała Malik.

Wpuściła mnie do pokoju przesłuchań podobnego do tego, w którym siedzieliśmy poprzedniej nocy.

– Dzień dobry, pani Cross.

Detektyw Miles był już w środku, a kiedy weszłam, wstał i uściskał mi dłoń. Znów zwróciłam uwagę na to, jaki jest młody – wyglądało na to, że ledwo po studiach. Na biurku leżał dyktafon, usiedliśmy, a Miles włączył urządzenie i zerknął na detektyw Malik, która skinęła głową i zaczęła mówić.

– Przesłuchanie rozpoczyna się o godzinie jedenastej dwanaście, w poniedziałek szóstego lutego. Detektyw Alex Miles i detektyw Habiba

Malik przesłuchują świadka Jacinthę Cross, znaną także jako Jack Cross. Jest pani przesłuchiwana w charakterze świadka, co oznacza, że nie jest pani aresztowana. Jednak jeśli odmówi pani zgody na udział w przesłuchaniu, może zostać pani uznana za podejrzaną i zatrzymana.

Urwała, żeby nabrać powietrza, a ja zmarszczyłam brwi. Chyba tego dzień wcześniej nie mówili... A może jednak? Nim zdążyłam się zastanowić, co oznacza ta zmiana sformułowania, Malik znów się odezwała.

– Nie musi pani na nic odpowiadać, ale wszystko, co pani powie, może zostać wykorzystane jako dowód przeciwko pani. Może być to szkodliwe dla pani obrony, jeśli podczas tego przesłuchania nie wspomni pani o czymś, na czym potem będzie się opierać obrona. Ma też pani prawo do bezpłatnej niezależnej porady prawnej i w każdym momencie może pani poprosić o obecność pełnomocnika. Może też pani zażyczyć sobie konsultacji poza pokojem przesłuchań przed kontynuacją przesłuchania. Czy zna pani swoje prawa?

– Yyyy... tak – odparłam powoli.

Nadal starałam się zrozumieć, czym różniło się tak sformułowane ostrzeżenie. Może zaczęła mi się udzielać paranoja Hel, byłam pewna, że wcześniej nie mówili tego ostatniego o decyzji o aresztowaniu. Ale co oznaczała ta zmiana tonu? Czy Hel miała rację?

– Pani Cross, wezwaliśmy panią ponownie, ponieważ jest kilka rzeczy, które musimy wyjaśnić w związku z zeznaniem udzielonym przez panią wczorajszej nocy – powiedziała Malik, a ja pokiwałam głową. Kartkowała zeszyt, szukając czegoś, a potem przestała, jakby to znalazła. – Okej. Czyli poprzednim razem powiedziała nam pani, że chyba opuściła komisariat około drugiej w nocy, tak?

– Yyy... tak, może niedługo po. Pamiętam, że widziałam na zegarze drugą jeszcze wciąż na komisariacie.

– Jasne. Dobrze. I potem pojechała pani uberem do swojego auta, a następnie do domu i dojechała na miejsce około... – Sprawdziła coś w zeszycie. – Około czwartej nad ranem. Zgadza się?

– Tak myślę. Może chwilę później.

– Dobrze. To po prostu... Może mogłaby nam pani pomóc, ale te godziny nam się nie zgadzają. Z komisariatu do miejsca, w którym rzekomo zostawiła pani auto, jest jakieś pół godziny.

Zmarszczyłam się bardziej. Nie podobało mi się to „rzekomo”. Przecież, do cholery, dobrze wiedzieli, gdzie zaparkowałam samochód. Zabrał mnie stamtąd policjant.

– Tak właśnie było – odparłam, starając się zachować spokojny ton.

– Potem kolejne pół godziny... bądźmy tu hojni i powiedzmy, że jakieś czterdzieści pięć minut z Arden Alliance do pani domu. Więc to daje nam najpóźniej trzecią piętnaście. Jednak nie zadzwoniła pani na numer alarmowy prawie do piątej rano. To jest... cóż, proszę zobaczyć, to duży odcinek czasu, o którym nic nie wiemy.

Poczułam, że rozpałała się we mnie złość, ale zdusiłam ją. Taką mieli pracę, żeby sprawdzić wszystkie podejrzone wątki, wiedziałam o tym. Ale potrzebowałam całej swojej siły, żeby nie odwarknąć: „Nie powinniście czasem łapać mordercy Gabe’a, zamiast mnie wypytywać?”.

Wzięłam głęboki wdech.

– Cóż, po pierwsze w drodze powrotnej byłam niewiarygodnie zmęczona i kilka razy źle skręciłam. Nie jestem pewna, o ile to wydłużyło moją podróż, ale byłabym zaskoczona, gdybym dotarła tam jakoś dużo przed czwartą.

– Okej.

– A poza tym, jak mówiłam... – *Jak już wam przecież powiedziałam*, starałam się tego nie podkreślać zbyt mocno, ale taki był podtekst. – ...po znalezieniu ciała Gabe’a doznałam szoku. Wiem, że powinnam natychmiast, kiedy tylko go zobaczyłam, zadzwonić pod dziewięć-dziewięć-dziewięć, ale po prostu... Po prostu tego nie zrobiłam. Nie mogłam. Nie rozumiecie tego? To nie jest codzienna sytuacja, że człowiek natyka się na... – Urwałam, wspomnienia do mnie wróciły i zagroziły, że odbiorą mi głos. – Na swojego męża... – Głos mi drżał i zmieniałam wątek, starając się przejąć kontrolę nad sytuacją. – Ale to i tak nie ma znaczenia. Na pewno jesteście w stanie stwierdzić, że Gabe nie żył dużo wcześniej, niż wróciłam do domu? Powiedziałam wam, krew była klejąca i krzepła, a to nie wszystko. Dzwoniłam do niego z komisariatu, a on nie odebrał. Myślałam...

Znów urwałam, starając się zapanować nad łamiącym się głosem, który robił się wysoki i piskliwy jak u dziecka. *Nie płacz, nie płacz, nie płacz.*

Detektyw Malik nic nie powiedziała, obserwowała tylko, jak próbuję się pozbierać, a potem w milczeniu popchnęła w moją stronę pudełko

chusteczek. Chwyciłam jedną, niemal ze złością, i zwinęłam ją w kulkę.

– Myślę, że już wtedy nie żył. – Mój głos był bez wyrazu i ostry, z całego tego wysiłku powstrzymywania łez. – Kiedy zadzwoniłam. Wtedy pomyślałam, że to dziwne. Planował na mnie zaczekać, rozmawialiśmy o zamówieniu jedzenia. Ale nie chodzi tylko o to. Gabe nigdy, *nigdy* by mnie tak nie zostawił. Nigdy się nie rozluźniał, dopóki nie wróciłam bezpiecznie do domu. O drugiej w nocy wychodziłby z siebie ze zmartwienia; nie ma mowy, żeby tak po prostu nie odebrał... gdyby żył. Sądzę, że został zabity przed drugą w nocy. A to oznacza, że to wszystko... – Wskazałam ręką na dyktafon, mając na myśli ich pytania oraz obsesyjne zainteresowanie chronologią moich działań. – To są kompletne bzdury. O tej porze byłam na komisariacie na drugim końcu miasta. *Wiecie* o tym. To... to jest po prostu wielka strata czasu.

Ciężko oddychałam. Przyszłam tam z nadzieją, wręcz z oczekiwaniem, że otrzymam jakieś nowe wiadomości na temat sprawy Gabe'a, że powiedzą mi o jakimś tropie. Tymczasem... To wszystko pokrył pył niedowierzania. Hel miała rację. Traktowali mnie jak *podejrzaną*.

– Okej – odparł Malik, gładko zmieniając temat. – Dziękuję, że wyjaśniła nam pani nieco tę chronologię, to naprawdę pomocne. Czy może nam pani teraz powiedzieć, co robiła pani po znalezieniu ciała męża?

– *Powiedziałam już*. – Głos mi się trząsnął, mimo że próbowałam nad nim zapanować. – Próbowałam go przesunąć, próbowałam go obudzić... a potem, kiedy zdałam sobie sprawę, jak... jaka to b-była beznadziejna sytuacja, poszłam na kanapę i zwinęłam się na niej w kłębek. Leżałam tak... sama nie wiem. Może ze dwadzieścia minut. Może dłużej.

– Nie dotykała pani jego komputera?

– Co? – To pytanie mnie zaskoczyło. – Nie. Nie, oczywiście, że nie! W ogóle mnie nie obchodził jego komputer.

– Niczego pani nie zabrała? Nie zauważyła pani, żeby czegoś brakowało?

– Niczego nie zabierałam. – Byłam teraz całkiem zagubiona. – O czym pan mówi? To był komputer stacjonarny, nie było w nim niczego do wyjęcia. Ma pani na myśli dysk czy coś?

– Dysk twardy – podpowiedział z zachęcającym uśmiechem Miles, jakby próbował być dobrym policjantem w odpowiedzi na to, że Malik była... nie wiem. Kurwa, jakąś absurdalną policjantką. – Czy zabrała pani dysk twardy Gabe'a?

– Nie! Nie ma mowy! – Gapiłam się na niego, próbując coś wyczytać z jego twarzy. – Nie dotykałam jego komputera. Chwileczkę, czyli zaginął jego dysk twardy?

– A co mi pani powie o tym nożu kuchennym? – spytała teraz Malik z drugiego końca stołu.

Odwróciłam się do niej tak gwałtownie, że zakręciło mi się w głowie.

– Nożu kuchennym?

– Rozpoznaje go pani? – Popchnęła po stole zdjęcie, a potem zwróciła się do dyktafonu.

– Pokazuję Jacincie Cross zdjęcie dużego japońskiego noża z logotypem z japońskim napisem.

Serce mi na chwilę zamarło.

Rozpoznawałam go. To był... to był *nasz* nóż. Właściwie to nóż Gabe'a, ten duży, porządny japoński nóż, którego używał do krojenia i strugania, a który kosztował prawie trzysta funtów. Dodał go do naszej listy prezentów ślubnych mimo moich protestów, że to szaleństwo wydawać tyle na nóż – a w zamian ustąpił w kwestii tego idiotycznego dywanika ze sztucznej owczej skóry, który chciałam do łazienki. Dywanik natychmiast się skulował i wybrudził od pasty do zębów oraz wody z prysznicą. Dotrwał do naszej drugiej rocznicy ślubu, kiedy to w końcu się poddałam i go wyrzuciłam. Nóż nadal był ostry jak na początku i praktycznie codziennie w użyciu.

Więc tak, to był nasz nóż. Ale pokrywały go rdzawe, ciemne plamy. Plamy mocno przypominające ...

Poczułam, jak krew odpłynęła mi z policzków.

– To... to nasz nóż. Dostaliśmy go w prezencie ślubnym. Czy to... czy to jest ten nóż, którym...

Urwałam.

Nagle zrobiło mi się bardzo zimno – zaczęłam się bać.

– Dla porządku nagrania: Jacintha Cross zidentyfikowała ten... – powiedziała Malik, ale ja jej przerwałam.

– Zmieniłam zdanie. Proszę o prawnika.

Miles i Malik wymienili spojrzenia, a ona pokiwała głową.

– Okej, nie ma problemu. Przesłuchanie przerwane o... – Zerknęła na zegar. – Jedenastej dziewiętnaście. – Wyłączyła dyktafon i wstała,

rozciągając plecy. – Pójdę się tym zająć. Czy odpowiada pani to miejsce, żeby zaczekać?

Pokiwałam głową, ale szczerze mówiąc, nie odpowiadało mi to miejsce. Nic mi nie odpowiadało. Powinnam była przyjść z prawnikiem. Powinnam była mieć prawnika od samego początku. Co ja narobiłam? Przypomniały mi się słowa Hel. „Powtórz za mną: Hel ma zawsze rację”.

– Czy chciałaby pani, żebyśmy zadzwonili do jakiegoś konkretnego prawnika? – spytała Malik. – Jeśli nie, możemy pani jakiegoś przydzielić.

– Tak... – Próbowałam sobie przypomnieć nazwisko, powiedziałam je dopiero co przed komisariatem do Hel, ale najwyraźniej szok wymazał mi wszystko z głowy. – Melanie... Boże, jak ona ma na nazwisko? – Melanie Blair z Westland Law. Zna ją pani?

– Tak, wydaje mi się, że już z nią pracowaliśmy. Okej. Pójdę zadzwonić. Proszę zaczekać.

Wyszła z pomieszczenia, drzwi powoli się za nią zamknęły, a ja i Miles siedzieliśmy w niezręcznej ciszy. On próbował się uśmiechnąć, chyba współczująco, ale wypadło to bardziej nerwowo, a ja nie umiałam mu odpowiedzieć tym samym. W ogóle nie miałam nastroju na uśmiechy. Nasz nóż. *Nasz nóż*. Co to oznaczało? Gdzie oni go znaleźli? Pamiętałam, że pobrali moje odciski palców tej nocy, kiedy zmarł Gabe, i wtedy założyłam, że chodziło o wykluczenie ich spośród tych, które znajdują na miejscu zbrodni. Teraz ta prosta czynność nabrała dużo bardziej złowrogiego wydźwięku.

Siedzieliśmy tak może z dziesięć minut, nim Malik wróciła i wsunęła głowę przez drzwi. Patrzyła na swojego współpracownika, nie na mnie.

– Al, pozwolisz na chwilkę?

– Pewnie.

Wstał, rzucił mi kolejny, lekko niezręczny uśmiech, a potem wyslizgnał się z pokoju i zostałam sama, próbując zrozumieć, co to wszystko oznacza. Poważnie, byłam podejrzana? Ale jak to się stało? *Dlaczego?* Na pewno byli w stanie określić, że Gabe został zabity na długo, zanim wróciłam do domu?

Ale czy rzeczywiście? Zaświtało mi, że w sumie nie mam pojęcia, jak dokładne są szacowania czasu, jaki upłynął od śmierci. Równie dobrze mogłam wrócić do domu przed trzecią. Na to, że tak nie było, mieli wyłącznie moje słowo. Czy naprawdę byli w stanie określić cztery lub pięć

godzin po zdarzeniu, czy ktoś umarł o drugiej, czy też może trzeciej? Nagle nie byłam już taka pewna i jeszcze bardziej pożałowałam, że nie wezwałam policji w chwili, kiedy weszłam do mieszkania i zobaczyłam na podłodze krew Gabe'a.

W kieszeni zawibrował mi pożyczony telefon, wyciągnęłam go. Przyszedł do mnie kolejny mejl, ale nie rozpoznałam nadawcy. Sunsmile Insurance Ltd. Temat: *Ważne: zawiera dokumenty*. Czy to jakiś pen-test, który Gabe umówił i zapomniał wpisać do kalendarza?

Nie myślałam wcale, że to coś ważnego, ale chciałam mieć jakieś zajęcie podczas tego bolesnego, milczącego wyczekiwania, więc kliknęłam w wiadomość.

Szanowna Pani Cross,

z przyjemnością powiadamiam, że Pani wspólne ubezpieczenie na życie z panem Gabrielem Medwayem jest już aktywne.

Proszę uważnie przeczytać załączone warunki polisy, odnotowano tam niektóre ważne wyjątki i warunki świadczenia. Proszę je zachować, ponieważ będą pani potrzebne w wypadku ubiegania się o wypłatę świadczenia.

Państwa ubezpieczenie rozpoczyna się w dniu pierwszej płatności, pierwszego lutego, i odnawia automatycznie co roku.

Gratulujemy wyboru spokoju ducha, jaki oferuje wyłącznie Sunsmile.

Sue

Sunsmile Insurance

Co do... To nie miało sensu. Na pewno nie wykupiłam żadnego ubezpieczenia. A Gabe? Chybaby mi powiedział? Nigdy do tej pory o tym nie myśleliśmy. Nie potrzebowaliśmy go do zakupu domu – opłaciliśmy go z oszczędności Gabe'a i mojej części spadku, który dostałyśmy z Hel po rodzicach. A jako freelancerzy nie mogliśmy liczyć na prawie żadną ochronę dochodów, więc świadczenie za utratę pracy czy chorobowe nie wchodziło w grę. Jeśli chodzi o resztę, ryzyko, że któreś z nas miałyby umrzeć, wydawało się – przynajmniej jeszcze do niedawna – tak odległe, że aż śmieszne. Zawsze sobie mówiliśmy, że zmienimy to, kiedy będziemy mieli dzieci. Wtedy wydawało się to rozsądne, chronić je na wypadek, gdyby coś się wydarzyło, nawet nieprawdopodobnego. Ale do tego czasu składki byłyby po prostu stratą pieniędzy.

Czy to był spam? Może jakaś dziwna próba phishingu? Przez chwilę rozważałam, żeby odpowiedzieć na tę wiadomość i dowiedzieć się więcej – ale kiedy zerknęłam na szczegóły nadawcy, okazało się, że mimo personalizowanej stopki adres był ogólnym mejlem dla automatycznych wiadomości. Całkiem możliwe, że Sue nie była nawet prawdziwą osobą.

PDF był dołączony na dole wiadomości i mimo złych przeczuć oraz głosu Gabe'a w mojej głowie, przestrzegającego mnie przed dziwnymi załącznikami, kliknęłam w niego.

Tekst był bardzo drobny, a na moim małym ekranie telefonu niemal niemożliwy do odczytania, ale udało mi się dojrzeć kilka pierwszych linijek.

Okazało się, że Gabe i ja wykupiliśmy sobie nawzajem ubezpieczenie na życie. A wysokość odszkodowania wynosiła milion funtów.

Upuściłam komórkę. Uderzyła o kafelki na podłodze z takim hałasem, że gwałtownie podskoczyłam, bo moje nerwy i tak były już napięte do granic możliwości. Sięgnęłam po nią ręką, własny oddech szumiał mi w uszach.

To było niemożliwe. To było *niemożliwe*. Nawet gdyby Gabe coś zorganizował, co było mało prawdopodobne, to... milion funtów? To była absurdalna kwota – prawie dwukrotnie przekraczała wartość naszego małego domku. Dużo, dużo więcej, niż potrzebowaliśmy na życie, oboje.

Nie, jeżeli to było prawdziwe – a na to wyglądało – to istniało tylko jedno wyjaśnienie. Musiał to zrobić ktoś inny. A co więcej, ktoś musiał mnie *wrobić*.

To była ustawka.

Ta myśl była niemal niewiarygodna i gapiąc się na komórkę w dłoni, nadal nie mogłam tego przyjąć do wiadomości, mimo że wydawało się jedynym wyjaśnieniem. Ale jak? *Dlaczego?*

Nie znałam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Zamiast tego dotarło do mnie z piorunującym wyrzutem adrenaliny: policja miała moja komórkę. Co oznaczało, że mieli dostęp do mojego konta Gmail. Czyli miałam tylko kilka godzin, a może nawet minut, nim też zobaczą tę wiadomość.

Musiałam pokazać Malik ten mejl, opowiedzieć moją wersję wydarzeń, nim ktokolwiek, kto miał teraz ten telefon, połączy fakty i wyciągnie błędne wnioski.

Wstałam, czując małe, elektryzujące ukłucia szoku na skórze, po czym podeszłam do drzwi. Kiedy je otworzyłam, na zewnątrz nikogo nie było, i już miałam zawołać Malik, kiedy w mojej głowie znów rozległ się głos Hel,

jej ton był ostrzegawczy. „Nie bez powodu zawsze podejrzewają małżonków. Masz możliwość i warunki. Do postawienia zarzutów brakuje ci tylko motywu. Więc proszę, bądź naprawdę ostrożna, żeby żadnego im nie podpowiedzieć”.

Cholera. Cholera. Nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić. Siedzieć i czekać na prawnika? Ale jeżeli w międzyczasie odkryją ten mejl, to będzie bardzo, bardzo źle wyglądało, że o nim nie wspomniałam.

Nie. Powinnam go pokazać Malik, natychmiast. Ostatecznie nie zrobiłam przecież niczego złego. O ile dostanę się tam szybko, nim jej współpracownicy zobaczą tę wiadomość, mogę jej zaufać i opowiedzieć własną wersję wydarzeń. „No jasne, bo poprzednio tak dobrze wyszłaś na zaufaniu policji” – odezwał się sarkastyczny głosik w mojej głowie. I nie był to głos Hel, tylko mój własny.

Pomyślałam o poprzednim razie, kiedy wzywałam policję – właściwie dokładnie z tego samego komisariatu – żeby zgłosić przemoc domową w wykonaniu mojego chłopaka, czynnego funkcjonariusza. Nie tylko mnie nie wysłuchali, o ile wiem, nie spisali nawet raportu, zrobili coś dużo gorszego: wzięli odwet. W mojej skrzynce zaczęły się pojawiać mandaty za wykroczenia popełniane w miejscach, w których nigdy nie byłam. Stałam się ofiarą „losowych” zatrzymań i przesłuchań, zaciągnęli mnie nawet na komisariat, kiedy znaleźli w mojej torbie wytrychy, i przesłuchiwali mnie godzinami, nim dowiodłam, że nie jestem włamywaczką. W środku nocy odbierałam głuche telefony; odmówiono mi ubezpieczenia samochodu, bo został oznaczony jako kradziony. I wszystko to zaczęło się w chwili, kiedy wsypałam Jeffa Leadbettera przed kolegami – a oni natychmiast stanęli po jego stronie.

I okej, może Malik to nie Jeff. Nie było jej tu w tym czasie, kiedy go zgłosiłam, z tego, co wiem. Ale tu stawka była dużo, dużo wyższa niż przykre rozstanie. Gdybym źle to rozegrała, mogłabym wylądować w więzieniu na całe życie, a tymczasem morderca Gabe’a chodziłby sobie wolno.

„Do postawienia zarzutów brakuje ci tylko motywu. Więc proszę, bądź naprawdę ostrożna, żeby żadnego im nie podpowiedzieć”.

Wciąż jeszcze próbowałam podjąć jakąś decyzję, kiedy usłyszałam głos Malik zbliżającej się korytarzem. Szybko schowałam się z powrotem w pokoju przesłuchań, serce mi waliło.

– ...wiem, ale wydaje mi się po prostu, że powinniśmy ją zawinąć – usłyszałam.

Głos był słaby, ale zbliżał się i towarzyszyło mu stukanie obcasów.

– Okej, jasne, jej odciski są na tym nożu, ale mimo wszystko mam wrażenie... – zaczął Miles, lecz Malik niecierpliwie mu przerwała:

– Ten nóż to dopiero początek, Al... Chodzi o całą resztę. – Kroki się zatrzymały, jakby Malik stanęła w połowie korytarza, żeby lepiej przedstawić swoje zdanie. – Ta chronologia zdarzeń strasznie mi śmierdzi, jej komórka była *akurat* wyłączona, żebyśmy nie mogli sprawdzić, gdzie była, a do tego wszystkiego jeszcze czekała prawie godzinę, zanim zadzwoniła pod dziewięć-dziewięć-dziewięć.

– Ja po prostu... – spróbował znów Miles, ale Malik gadała jak najęta.

– Nie mówiąc już o wstępnym raporcie śledczych z miejsca zbrodni, którzy stwierdzili, że nie było żadnych śladów włamania. Spróbuj mi to wyjaśnić.

– Sprawca mógł zadzwonić do drzwi – powiedział dość nieśmiało Miles, a Malik parsknęła.

– Myślisz, że nasza ofiara wpuściłaby do domu jakiegoś obcego, a potem siedziała tam cicho ze słuchawkami na uszach, podczas gdy tamten podrzynałby mu gardło? Facet był wielki jak czołg. Nie, przepraszam, ale ja tego nie kupuję. Zwijamy ją natychmiast. Koniec dyskusji.

– Ale jakie mamy przesłanki? – spytał Miles. – To znaczy, co się właściwie zmieniło od wczoraj? Skoro szef nie uważał, żeby była taka konieczność, to nie rozumiem, dlaczego dzisiaj miałoby być inaczej. Przede wszystkim trzyma się swojej wersji i nie ma żadnego ryzyka ucieczki, prawda? Współpracuje. Przychodzi z własnej woli.

– Może to mój szósty zmysł albo coś w tym stylu, ale ja jej po prostu nie ufam. Jakoś za łatwo znalazła na wszystko usprawiedliwienie. Komórka się rozładowała, potem sama się „zgubiła” w drodze do domu. – Niemal usłyszałam, jak wykonuje w powietrzu gest cudzysłowu. – A potem niby to „omdlenie” czy co to jej zdaniem było, kiedy w końcu wróciła. Nie, przepraszam, Al, tego wszystkiego razem jest za dużo. Nie kupuję takiej pozy na wdowę pogrążoną w żałobie. Porozmawiam z Rickiem, zanim przyjedzie prawniczka.

– Cóż, ty tu rządzisz – odpowiedział Miles, a ja usłyszałam w jego głosie rezygnację. – Nie chcesz się napić kawy, zanim wrócimy?

– Nie, dzięki. Wolałabym złapać Ricka przed wyjściem na lunch, zobaczę, czy to klepnie. Prawniczka twierdziła, że zejdzie jej przynajmniej pół godziny, więc nie ma pośpiechu.

– Dobra. To spytam ją tylko, czy czegoś nie chce, a potem widzimy się znowu w pokoju przesłuchań?

Malik wykonała pewnie jakiś gest potwierdzenia, a potem usłyszałam znów dźwięki kroków, tym razem bliżej.

Bezgłośnie wsunęłam się na swoje miejsce i usiadłam, serce mi waliło, próbowałam zrozumieć, co to wszystko znaczy.

Ktoś mnie wrabiał w morderstwo Gabe'a. *Musiąło* tak być. Z tego, co powiedziała właśnie Malik – żadnych śladów włamania, żadnych dowodów najścia – wynikało, że to nie była żadna pomyłka tożsamości ani nieudany rozbój. To był zamach przeprowadzony przez kogoś na tyle zdolnego, że włamał się i zabił Gabe'a, nie pozostawiając żadnych śladów, a teraz tuszował swoje kroki poprzez wrabianie mnie. I o ile nie popełni żadnego błędu, a dotąd tego nie zrobił, sprawa będzie się sprowadzać do tego, czy Malik mi uwierzy, kiedy powiem, że nie wykupiłam tej polisy.

Ręce mi się trzęsły. Przypomniałam sobie, że kiedy zaczęłam chodzić na zlecenia, właśnie tak drżały mi dłonie. Pamiętam, jak Gabe klęczał przede mną. „Oddychaj nosem, raz, dwa, raz... przez usta, trzy, dwa, jeden. Przez nos, trzy, dwa, jeden... przez usta. Dasz radę”.

Oddychałam powoli, zęby miałam zaciśnięte, żeby nie poddać się panice. „Myśl, Jack, myśl. Dasz radę”.

Okej. Czyli nie mogłam powiedzieć Malik. Było oczywiste, że czekała tylko na potwierdzenie mojej winy – a gdybym pokazała jej ten mejl, wręczyłabym jej dowody na tacy. Czy mogłam go wykasować? To by go usunęło z serwera i może kupiłoby mi trochę czasu, przynajmniej do momentu przyjazdu prawniczki, ale ewidentnie mieli mnie na oku. To niemal pewne, że robili jakąś kopię zapasową z mojej komórki, żeby mieć pewność, iż nie wymażę żadnych obciążających mnie danych. Tak zrobiłby Gabe, na pewno. A z rozmów z nim wiedziałam dobrze, że nic nigdy nie zostaje *naprawdę* zniszczone, nie wystarczy wcisnąć przycisku „usuń” i opróżnić kosza. Jeżeli mieli na mnie oko, to będą przeczesywać ten telefon, aż w końcu coś znajdą.

Z drugiej strony, jeśli już zobaczyli ten mejl i przyłapałoby mnie na usuwaniu go z serwera... no, to byłby mój koniec. Wyglądałoby to tak,

jakbym próbowała zniszczyć dowody. Więc nie, nie mogłam tego zrobić. To byłoby samobójstwo.

Ale siedzenie tam, z tym mejlem czającym się w mojej skrzynce, czekanie, aż ktoś go przeczyta – to wydawało się równie niemożliwe. To byłoby równoznaczne z odliczaniem czasu do mojego aresztowania. A gdyby tak się stało, to nie miałabym żadnej pewności, że Miles i Malik znaleźliby zabójcę Gabe'a. Zdaniem Malik byłam winna – ten mejl stałby się tylko gwoździem do trumny. Mogłabym znieść – niemal – aresztowanie za coś, czego nie zrobiłam, nawet myśl o procesie, ale nie potrafiłam się pogodzić z myślą, że morderca Gabe'a pozostawał na wolności i śmiał się z nas obojga. Nim moja sprawa trafiłaby do sądu, niezależnie od wyroku, prawdziwy sprawca zdążyłby pewnie uciec z kraju, zacierając za sobą ślady i uniemożliwiając jakiegokolwiek wymierzenie sprawiedliwości.

A więc tak. Miałam dwie możliwości – dać Malik ten mejl teraz lub czekać, aż sama go znajdzie – oba przypadki niemal na pewno prowadziły do tego, że zabójca Gabe'a uciekłby wolno.

A czy mogłam... Przyszła mi do głowy pewna myśl, niemal niemożliwa. Czy mogłam po prostu... wyjść? W końcu nie zostałam aresztowana. Jeszcze nie. Jak to nazwał Miles? Stawiałam się dobrowolnie. Ale potem przypominałam sobie słowa Malik z początku przesłuchania: „Nie jest pani aresztowana. Jednak jeśli odmówi pani zgody na udział w przesłuchaniu, może zostać pani uznana za podejrzaną i zatrzymana”.

A więc to o to chodziło – o ukrytą groźbę. Stawiałam się dobrowolnie – ale jeżeli spróbuję wyjść, zostanę aresztowana.

Kurwa. Kurwa.

Wdech przez nos, trzy, dwa, jeden... Ale nie uda mi się, w ogóle nic mi się nie uda. Miotalam się, i to w niedobry sposób. Gdybym tylko... gdybym tylko miała przy sobie Gabe'a, który szeptałby mi do ucha przez słuchawkę albo jeszcze lepiej – siedział obok mnie, prawdziwy, ciepły i niewypowiedziane wspierający. Ale tak się nie stało. Byłam sama. I nie miałam pojęcia, co zrobić.

Siedziałam z głową w dłoniach, starając się rozważyć swoje możliwości, kiedy gałka drzwi się przekręciła i przez szparę zajrzała uśmiechnięta twarz Milesa.

– Hej, przepraszam za opóźnienie, ale po prostu staramy się sprowadzić pani prawniczkę. Jest już w drodze; powinna dojechać za jakieś

dwadzieścia minut. Napije się pani czegoś? Herbaty? Kawy?

– Hm... – Przełknęłam z nadzieją, że cały ten wir emocji, jakie się we mnie kotłowały, nie ujawnił się na mojej twarzy. „Pomyśl o tym jak o swojej pracy, to po prostu kolejne zlecenie. Odgrywasz pewną rolę”. – Tak, bardzo dziękuję. Poproszę o herbatę.

Skinął głową i już miał się odwrócić do wyjścia, kiedy przyszło mi coś do głowy.

– Może bezkofeinową, jeśli taką macie. Albo nawet miętową? Chociaż proszę się nie przejmować, jeśli takiej nie ma, wystarczy zwykła.

Miles spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

– No, nie jestem pewien, czy coś takiego mamy, ale rozejrzę się.

Gdy zamknął drzwi, zrobiłam powolny wydech. Nie chciałam herbaty, a już na pewno nie obchodziło mnie, czy była bezkofeinowa, ale założyłam, że uprzejmy, pomocny Miles będzie chciał ją zorganizować, a nawet parę minut opóźnienia, kiedy to zacznie chodzić po współpracownikach z pytaniem, czy nie mają może miętowej herbaty, to parę minut na moją korzyść.

Bo coś do mnie dotarło – chłodna, okrutna pewność.

Nie zamierzałam siedzieć tam i czekać na aresztowanie ze przestępstwo, którego nie popełniłam. Planowałam się wydostać.

Staralam się siedzieć nieruchomo, gdy nasłuchiwałam kroków Milesa oddalających się korytarzem. Kiedy w końcu dźwięki ucichły, wstałam i podeszłam do drzwi. Serce mi waliło, ale zmusiłam się do wdechu przez nos, potem wydechu przez usta. To było po prostu kolejne zlecenie. Przerabiałam to już przecież setki razy.

W głowie ćwiczyłam historie, których użyłabym, gdybym musiała. Gdyby złapali mnie Malik lub Miles, powiedziałabym, że idę do toalety. Gdybym spotkała kogoś innego, podałabym mu fałszywe imię. Kate wydawało mi się w porządku. Żadnych nazwisk, dopóki mnie nie przycisną, ale Kate było tak popularne u kobiet mniej więcej w moim wieku, że zawsze istniała spora szansa, żeby znaleźć jakąś w każdej firmie. Poza tym musiałabym improwizować. Nie byłam ubrana dość elegancko, żeby uchodzić za prawniczkę, co więcej, nie miałam żadnych swoich sprzętów. Musiałam się ograniczyć do tego, co znajdę na komisariacie oraz co uda mi się wykombinować w różnych sytuacjach.

Miles skręcił w lewo, Malik prawdopodobnie w prawo, ale ona poszła znaleźć kogoś innego, co oznaczało spore szanse na to, iż będzie zamknięta gdzieś w jakimś biurze, podczas gdy Miles mógł w każdej chwili wrócić z tą herbatą. Poza tym przyszłam od prawej strony i najprawdopodobniej to tam znalazłabym główne wyjście.

Skręciłam w prawo. Korytarz prowadził wzdłuż rzędu pokoiów przesłuchań i innych zamkniętych drzwi. Szłam szybko i stanowczo, z płaszczem przewieszonym przez ramię, starając się wyglądać na osobę, która ma prawo tam przebywać, kogoś ze sprawą do załatwienia, z umówionym spotkaniem.

Za rogiem w lewo. Dalej minęłam jakąś szatnię. A potem kolejne rozwidlenie, na którym musiałam skręcić... Cholera, zapomniałam. Zawahałam się, próbując sobie przypomnieć trasę, którą szłam wcześniej

z Malik. Zwykle, przy prawdziwym zleceniu, bardzo uważnie przyglądałam się rozkładowi budynku, ale jeszcze przed godziną nie przyszło mi w ogóle do głowy, że mogłabym się znaleźć w obecnej sytuacji, i za bardzo nie starałam się zapamiętać, którędy szliśmy. Zamknęłam oczy, próbując sobie zwizualizować, gdzie skręcałyśmy. Minęłyśmy dyżurkę. Przeszliśmy przez drzwi. Potem korytarzem obok pokoju z ksero i dalej... w lewo? Na pewno? Tak, w lewo. Czyli musiałam skręcić w prawo.

Skręciłam i energicznie poszłam opustoszałym korytarzem. Trochę podniósł mnie na duchu widok pomieszczenia z kserokopiarką. Byłam w dobrym miejscu. To było aż zbyt proste. Jeszcze parę minut, może nawet mniej, i miałam się znaleźć na zewnątrz, na świeżym powietrzu.

I wtedy dotarłam do drzwi.

Pamiętałam, jak przez nie wchodziłam, ale teraz dotarło do mnie coś jeszcze – Malik wstukiwiała coś po lewej stronie od wejścia. Wtedy nawet o tym nie pomyślałam – założyłam, że wciskała po prostu jakiś przycisk otwierający, ale teraz zobaczyłam: beżowy, plastikowy czytnik kart. Widocznie miała w ręku jakiś brelok albo kartę, którą przyłożyła do czytnika. Kurde. Kurde. Obok widniał przycisk alarmowy pod szybką do stłuczenia, który *mógłby* otworzyć drzwi ze względów bezpieczeństwa, ale to było bardzo niepewne – zbyt niepewne, bym tak ryzykowała. Gdybym uruchomiła alarm, być może wszyscy funkcjonariusze z całego budynku przybiegliby do wyjścia – i do mnie.

Co mogłam zrobić? Ze swoimi narzędziami zdołałabym pewnie otworzyć siłą metalowy zamek – wyglądał na prosty elektromagnes – ale miałam ze sobą tylko to, w czym przyszłam. Może było jakieś inne wyjście, na tyłach? Komisariaty stanowiły zawodowe ryzyko dla pen-testerów, a w tych rzadkich przypadkach, kiedy trafiałam do aresztu śledczego, widziałam, że były wyjątkowo dobrze pozabezpieczone, jednak reszta budynku to nie był zwykle Fort Knox. Na przykład kiedy chodziłam z Jeffem po jego komisariacie... Ale odsunęłam tę myśl. Nie mogłam teraz myśleć o Jeffie. Spotkanie z nim to był jedyny sposób, by jeszcze pogorszyć moją sytuację.

Nagle usłyszałam kroki, stukot damskich obcasów dochodzący zza rogu korytarza. Powinnam zostać? Spróbować się za nią wyślizgnąć? Ale to mogła być Malik – a wtedy byłoby po mnie.

Wahałam się tak długo, że zdawało się to trwać wieczność, choć to pewnie była tylko sekunda czy dwie, a potem w ostatniej chwili

spanikowałam i schowałam się w pokoju z kserokopiarką i schyliłam za urządzeniem, kiedy ta osoba mnie mijała. To nie była Malik. Nie widziałam dokładnie, kto to taki, ale po sylwetce oceniłam, że jakaś starsza i tęzsza kobieta. Zatrzymała się przy drzwiach, usłyszałam kliknięcie czytnika, a potem wyszła.

Cholera. Cholera. Powinnam była zaufać pierwszemu przeczuciu i spróbować się za nią wymknąć. Robiłam to dość często w pracy – twierdziłam, że moja karta nie działa, albo po prostu przebiegałam jak ktoś, kto się spieszy. To się udaje dziewięć razy na dziesięć. Jednak stawka była teraz wyższa, a dziesięcioprocentowe ryzyko porażki sprawiło, że stchórzyłam.

Raptownie wypuściłam powietrze i rozejrzałam się po maleńkim pomieszczeniu, próbując coś znaleźć, cokolwiek użytecznego. Porzucona karta to byłoby zbyt wielkie szczęście – ale plan ewakuacyjny tego piętra nie był już takim nierozsądnym marzeniem i mógłby mi wskazać drugie wyjście.

Nie było tam planu. Zamiast tego oczy zaświeciły mi się do czegoś niemal równie przydatnego: markera – grubego, porządnego pisaka.

Sięgnęłam po niego, wróciłam na korytarz, rozejrzałam się, czy nikt mnie nie obserwuje, a potem postawiłam pisak przy drzwiach, opierając jego czubek pomiędzy ościeżnicą a samymi drzwiami. Dzięki Bogu, że znajdowałam się po wewnętrznej stronie. Dużo trudniej byłoby wykonać ten trik od zewnątrz.

Potem wróciłam do pokoju ksero, złożyłam kartkę do rozmiarów i kształtu karty kredytowej i czekałam. I czekałam.

Nie minęły pewnie więcej niż trzy lub cztery minuty od mojego wyjścia z pokoju przesłuchań, ale byłam boleśnie świadoma tego, że Miles niedługo wróci, jeśli już tego nie zrobił. Powiedzmy, że czajnik tych parę minut gotuje wodę. Do tego sześćdziesiąt sekund na zamieszanie naparu, znalezienie mleka. Jeżeli poszedł szukać bezkofeinowej herbaty, mogło mu to zająć kilka dodatkowych minut, ale nie mogłam być tego pewna. A gdyby wrócił i zobaczył pusty pokój, to ile by potrwało, nim wszcząłby alarm? Sześćdziesiąt sekund? Nie, spotykałam już takich ludzi jak Miles, oni nie podejmowali decyzji tak szybko. Z kolei gdyby to Malik zobaczyła pusty pokój, postawiłaby wszystkich na nogi w ułamku sekundy. Jednak Miles... nie. On nie był taki – powątpiewał w siebie, przestrzegał służbowej

hierarchii. Co oznaczało, że pewnie najpierw próbowałaby odnaleźć Malik, upewniłby się, że mnie nie aresztowała. A potem? Cóż, gdybym miała szczęście, mógłby jeszcze obdarzyć mnie kredytem zaufania i przeszukać toalety, ale nie miałam na to żadnej gwarancji, a kiedy już posterunkowy znajdzie Malik, ona na pewno wszystko utrudni. Wyglądała na taką, która najpierw szybko działa, a dopiero potem zadaje pytania.

Wciąż tak jeszcze rozmyślałam, kiedy znów usłyszałam kroki, tym razem męskie, idące zdecydowanie korytarzem. To nie był Miles. Ktoś w cięższych butach, z pewniejszym chodem. Jakiś policjant w mundurze minął pomieszczenie ksero, usłyszałam piknięcie czytnika kart, a potem drzwi się otworzyły. A gdy się zamykały, nie rozbrzmiało zgrzytnięcie zamykanego zamka. Dźwięk towarzyszący zamknięciu był inny – przypominał chrupnięcie plastiku.

Czekałam, aż policjant to zauważy, zatrzyma się, obejrzy podłogę...

Wydech przez nos, trzy, dwa, jeden...

Nic. Tylko dźwięk oddalających się kroków.

Wypuściłam powietrze i tak szybko, jak się odważyłam, wyszłam i ruszyłam korytarzem. Tym razem drzwi były oczywiście niedomknięte, tylko odrobinę. Niezauważony pisak przewrócił się w szparę i zablokował je.

Na wypadek gdyby ktoś mnie obserwował, dotknęłam czytnika złożoną kartką, udając, że go uruchamiam, a potem otworzyłam drzwi, przeszłam i kopnęłam pisak na bok. Drzwi się za mną zamknęły, znalazłam się na zewnątrz.

Kolejna część była najtrudniejsza. Byłam tak blisko – ale musiałam przejść obok dyżurki. Czy siedzący tam policjant mnie zapamiętał? Czy będzie się zastanawiał, dlaczego nie wyszłam w towarzystwie Malik lub Milesa?

Wchodząc, niosłam kurtkę w ręku, a teraz ją włożyłam. Owinęłam też szalik wokół szyi, starając się jak najbardziej ukryć charakterystyczne czerwone włosy. Och, dlaczego, *dlaczego* nie posłuchałam Gabe'a i jego: „No, na pewno cię zapamiętają z monitoringu”.

Ale na to było za późno. Musiałam po prostu szybko przejść i mieć nadzieję, że nikt mnie nie zauważy.

Wyjście na parking było coraz bliżej – podobnie jak dyżurka. Siedział tam policjant osłonięty przede mną ścianką w holu, ale widziałam, że ktoś

z nim rozmawiał. Jeśli sędzić po mowie ciała, na coś narzekał.

Przyspieszyłam do takiego tempa, które można jeszcze uznać za normalne, i niemal bez namysłu weszłam do prawej części poczekalni, tam gdzie znajdowało się martwe pole kamery, które zauważyłam wcześniej. *Wdech przez nos, trzy... dwa... jeden... Wydech przez usta, trzy... dwa... jeden...*

Byłam już prawie przy drzwiach.

– Przepraszam bardzo – usłyszałam za sobą oburzony ton i musiałam zwalczyć wszelkie odruchy, by się odwrócić, sprawdzić, czy policjant nie skierował tych słów do mnie. – Przepraszam bardzo, ale będę musiał pana prosić, żeby pan się stąd oddalił, jeżeli...

To nie do mnie. Nie mówił do mnie. Moja dłoń znalazła się na drzwiach, popchnęłam je przed siebie – i już byłam na zewnątrz, na parkingu, kolana mi drżały, a mięśnie miałam osłabione z ulgi.

Owładnęła mną chęć zadzwonienia do Hel, ale wiedziałam, że nie mogę marnować na to czasu; należało uciekać. Jeśli będę musiała, zadzwonię do niej z taksówki. Na wpół biegnąc, przemierzyłam mały parking i udałam się w kierunku drogi, rozważając w głowie możliwości. Nie uber. Nie zainstalowałam aplikacji na tej pożyczonej komórce, a poza tym zbyt łatwo było go namierzyć. Czyli tradycyjna taksówka. Mogłam się tylko modlić, że jakaś się zatrzyma. Czy miałam gotówkę? Wróciło do mnie wspomnienie tego, jak Hel wcisnęła mi w dłoń dwa banknoty, a ja wsunęłam je do etui telefonu... „Hel ma zawsze rację”. I miała, do cholery. Jeśli się z tego wygrzebię, już nigdy nie zignoruję jej żadnej rady.

W moją stronę jechała taksówka, miała włączonego żółtego koguta. Machnęłam ręką, starając się nie wyglądać za bardzo na kogoś, kto właśnie zbiegł. Dopiero gdy powiedziałam sobie te słowa w głowie po raz pierwszy, dotarła do mnie powaga sytuacji. O Boże, co ja narobiłam?

– Dzień dobry – rzuciłam lekko zdyszana, gdy taksówka zatrzymała się obok mnie. – Dzień dobry, dziękuję, czy mógłby mnie pan zawieźć do...

Urwałam. Cholera. Dokąd? Musiałam się wydostać z Londynu, ale najpierw potrzebowałam ubrań, jedzenia, a przede wszystkim pieniędzy. Dom Hel byłby najbardziej oczywistym miejscem, ale policja będzie się spodziewać, że tam pójdę, a ja nie miałam pojęcia, ile czasu mi zostało. Tak naprawdę chciałam zabrać torbę ze swojego domu, ale to byłoby samobójstwo.

Czy... może nie?

– No słucham – odparł lekko zniecierpliwiony kierowca. – Jedzie pani czy nie?

– Na, yyy... Salisbury Lane – rzuciłam, decydując się w ostatniej chwili, i wsiadłam do taksówki. Czy ja oszalałam? – SE10. Zna pan to miejsce?

– Tak, znam – odpowiedział taksówkarz i włączył się do ruchu.

Obejrzałam się za siebie, na komisariat, i wstrzymałam oddech, jakby w każdej chwili z tamtych zabudowań miały wyjechać auta z niebieskimi kogutami, ale nic się nie wydarzyło.

Oparłam się na siedzeniu i próbowałam zdecydować, czy naprawdę mogę podjąć takie ryzyko.

Jednak im więcej nad tym myślałam, tym bardziej się przekonywałam, że wcale nie jest to taki szalony pomysł. Przy drzwiach prawdopodobnie stał jakiś funkcjonariusz, ale z tego właśnie powodu to ostatnie miejsce, w jakim spodziewałaby się mnie znaleźć policja. Ich pierwszym przystankiem niemal na pewno będzie Hel – która powie im prawdę, że podwoziła mnie na komisariat. Potem... cóż, potem pewnie zaczną sprawdzać inne miejsca. Może nawet wyśledzą moją pożyczoną komórkę. Ale miałam nadzieję, że do tej pory zdążę już wejść i wyjść.

Sięgnęłam do kieszeni i wyłączyłam telefon, a potem pochyliłam się i odezwałam do kierowcy.

– Właściwie to powiedziałam „Salisbury Lane”, ale tak naprawdę chcę się dostać do Salisbury Gardens, wie pan, gdzie to jest?

– Yyy... – Kierowca podrapał się po głowie, myśląc. – To jest ta mała ślepa uliczka w rogu Salisbury Lane? Ta z pubem na końcu?

– Tak, właśnie ta. Może mnie tam pan wysadzić?

– No pewnie. Mnie to nie robi różnicy.

– A gdyby to panu nie przeszkadzało, to czy moglibyśmy nie przejeżdżać.... – Urwałam. Zamierzałam powiedzieć „całą Salisbury Lane”, bo mój dom był na początku ulicy, ale nagle uderzyło mnie, jakie to głupie. Policja nie zauważyłaby osoby przejeżdżającej taksówką, a ja przy okazji mogłabym się rozejrzeć, sprawdzić, czy jakieś służby śledcze nadal sprawdzają dom.

– Tak? – dopytał kierowca, a ja pokręciłam głową.

– Nic, nic. Przepraszam, pomieszało mi się. Proszę jechać.

– Byle szybciej w domu, co? – zaśmiał się kierowca, a ja przytaknęłam.

Ale nie zaśmiałam się. Tak, w domu. Tylko że nie byłam pewna, kto może tam na mnie czekać.



Jakieś dziesięć czy piętnaście minut później taksówka skręciła na Salisbury Lane i przez sekundę wróciło do mnie wyraźne, niemal nieznośne wspomnienie tego ostatniego razu, kiedy tu się pojawiłam – zmęczona po długiej nocy rozmów na komisariacie, szczęśliwa, że już prawie dotarłam do domu, niespodziewająca się zupełnie tego, co na mnie czekało.

Kiedy auto jechało powoli, ostrożnie podskakując na progach zwalniających, zajrzałam w okna własnego domu, próbując dostrzec w środku jakiś ruch. Nic się tam nie działo – a przynajmniej nic, co mogłabym zauważyć. Zastony były zasłonięte, drzwi wejściowe zamknięte, nie dostrzegłam też żadnych śladów obecności policji, z wyjątkiem jednego radiowozu zaparkowanego na wprost wejścia, z ciemną sylwetką za kierownicą. Albo skończyli już badać miejsce zbrodni, albo czekali na przyjazd specjalistycznej grupy.

W domu nie paliły się żadne światła, mimo że dzień był posepny i szary, a wszystkie pozostałe auta zaparkowane przy drodze znałam, należały do naszych sąsiadów. Wypuściłam powietrze z ust. *Wydech, trzy, dwa, jeden...*

– Może być tu? – Głos kierowcy wyrwał mnie z zamyślenia, kiedy skręcił i wjechał na Salisbury Gardens, a ja poczułam, że przewraca mi się w żołądku z nerwów.

– Tak, świetnie. Bardzo dziękuję. Ile się należy?

– Dwadzieścia dwa funty i czterdzieści pięć centów. To niech będzie dwadzieścia dwa.

Podaliśmy mu banknoty od Hel.

– Czy może mi pan wydać pięć funtów?

Kierowca skinął głową, wyliczył resztę, a ja schowałam monety do kieszeni i wysiadłam. Serce mocno mi waliło, gdy tak szłam przez Salisbury Garden w kierunku cieszących się złą sławą garaży na drugim końcu ulicy.

Na prawo od nich była trochę zarośnięta ścieżka, użytkowana kiedyś przez śmieciarzy, nim wprowadzono kosze na kółkach stawiane w ogrodzie od frontu. Teraz rosło tam pełno pokrzyw i jeżyn, ale dało się przejść – ludzie przedzierali się tamtędy z rowerami i akcesoriami na place zabaw dla dzieci na tyle często, że nie zarosła zupełnie.

Na jej końcu znajdowała się zamknięta brama z kodem, który powinnam znać, ale nie mogłam go sobie przypomnieć, za to łatwo było się tam wspiąć i przejść na drugą stronę. Nikt nie powinien mnie zauważyć, a jeśli nawet, to nic by nie powiedział. To nie było takie sąsiedztwo.

Domy od tyłu wyglądały zupełnie inaczej i szukałam naszego dłużej, niż się spodziewałam, wydawało mi się już prawie, że może go przegapiłam, choć nie miałam pojęcia, jak mogłoby się to stać. Jednak nagle się pojawił – mur pomalowany na biało, mały kwadrat nieporządnego trawnika; kolczaste, pnące róże, które zasadziłam bardziej dla bezpieczeństwa niż ze szczególnego uwielbienia dla kwiatów. Od tamtego czasu urosły i pokrywały już całą ścianę muru w ogrodzie, odstraszać każdego, kto próbowałby się tam wspiąć. Przeklinając dawną siebie, dbającą o bezpieczeństwo, ściągnęłam płaszcz i zatrzęśłam się, bo zimny, lutowy wiatr postanowił akurat powiać tą alejką. Zarzuciłam płaszcz na mur, zakrywając róże. Nie było to dużo, ale trochę pomogło, choć nadal czułam kolce wbijające mi się głęboko w dłonie, kiedy się podciągnęłam na szczyt muru.

Cicho zeskoczyłam na drugą stronę, do ogrodu, odzyskałam płaszcz, a potem natychmiast schowałam się pod moim stołem ogrodowym. Serce waliło mi mocno z obawy, czy ktoś mnie nie zobaczył. Jednak żaden policjant nie wyjrzał przez drzwi i po paru minutach się wyprostowałam, a potem spojrzałam ze smutkiem na swoje zakrwawione dłonie. Nie dało się nic zrobić, poza wyjęciem kilku największych kolców, wytarciem krwi o tył spodni, a potem już musiałam się zmierzyć z kolejnym wyzwaniem: dostaniem się do środka domu. Bez moich narzędzi, nawet bez kluczy, które zostały w torebce na komisariacie, nie było to łatwe zadanie – ale w jednym Malik miała rację: Gabe za nic nie wpuściłby do domu obcego człowieka, żeby potem usiąść z słuchawkami wygłuszającymi na uszach i dać sobie poderżnąć gardło. Nie, ktoś musiał się włamać, i to nie zostawiając żadnych śladów, a w takim razie ja też mogłam to zrobić.

Dwie rzeczy działały od razu na moją korzyść: po pierwsze, nie musiałam się przejmować medycyną sądową. Moje odciski palców oraz DNA i tak już były w całym domu, więc nie miałam potrzeby wkładania rękawiczek ani zakrywania ubrań. A po drugie, znałam plan przestrzenny oraz jego słabe punkty.

Problem tylko w tym, *które* słabe punkty? Ponieważ pracowaliśmy w tej branży i mieliśmy w domu mnóstwo drogiego sprzętu komputerowego, byliśmy z Gabem mocno wyczuleni na punkcie bezpieczeństwa, więc parter można było od razu wykluczyć. W tylnych drzwiach był zamontowany zamek wpuszczany, a od środka solidne zasuwki, natomiast okna parteru miały podwójne zamknięcia z czujnikami antywłamaniowymi, uruchamianymi w razie stłuczenia szyby. Oczywiście znałam kod, ale wiedziałam też, że podczas gdy otwarcie drzwi frontowych dawało człowiekowi trzydzieści sekund na wyłączenie alarmu, to stłuczenie któregoś z okien uruchomiłoby go natychmiast, a ja potrzebowałam dość czasu, żeby dostać się do środka i na górę do sypialni gościnniej, zanim przed domem dopadnie mnie policja.

Za to piętro... tu miałam więcej nadziei. Rozejrzałam się na prawo i lewo po innych podwórkach, przyciągnęłam krzesło ogrodowe do małej, jednopiętrowej dobudówki z kuchnią i wdrapałam się na płaski daszek.

Było tam jeszcze zimniej, zadrżałam na wietrze, kiedy tylko stanęłam na nogi. Kałuże na dachu były zamrożone; przeszłam między nimi bardzo ostrożnie. Gdybym się teraz poślizgnęła, byłoby po mnie.

Tuż przede mną znajdowało się okno łazienki. Było zamknięte na klucz, jak zawsze, ale zauważyłam coś dziwnego. Nie obracał się wiatraczek wentylacji w górnej części okna.

Zwykle chodził – łazienka miała trzy zewnętrzne ściany, była zimna i łatwo łapała wilgoć. Zostawianie włączonego wiatraka było jedynym sposobem, by nie dopuścić do rozwoju pleśni. W taki wietrzny dzień jak ten powinien się raźnie obracać. Ale teraz jego ramiona były ciche i nieruchome. Czy policja go odłączyła? Ale po co?

Przyjrzałam się wiatrakowi. Był zrobiony z przezroczystego plastiku. Dostrzegłam pęknięcie biegnące przez zewnętrzną część jego uchwyty; nie pamiętałam tego pęknięcia, a patrzyłam na ten wiatraczek codziennie rano i wieczorem, odkąd wprowadziliśmy się na Salisbury Lane. Za każdym razem, kiedy myłam zęby lub ręce. Teraz, gdy spojrzałam na niego jeszcze

raz, zdałam sobie z czegoś sprawę – na co mój żołądek zareagował ściśnięciem po części z nadzieją, po części z przerażenia.

Ten wiatrak był zepsuty.

Czy tak było wcześniej, czy też ktoś podważył go narzędziami, sam wiatrak był tylko luźno włożony w okrągły otwór, a kiedy teraz wsunęłam paznokcie pod plastikowe obramowanie, z łatwością go wyjęłam.

Po tym wystarczyło tylko parę sekund, żeby włożyć rękę przez tę dziurę, sięgnąć do zasuw okna, otworzyć ją, a następnie z piskiem wilgotnego drewna opuścić górne skrzydło.

Byłam w środku. I jeżeli nie myliłam się dogłębnie co do tego pęknięcia, prawdopodobnie tak właśnie dostał się do domu zabójca Gabe'a – uszkadzając ten wiatrak.

Na myśl o tym zrobiło mi się na chwilę niedobrze. Prawie na pewno podążałam śladami osoby, która poderznęła gardło Gabe'a, włamywałam się tą samą trasą, i to niecałe czterdzieści osiem godzin później. Ostatnią osobą, która dotykała tego wiatraka, tej zasuw okna; ostatnią osobą, która opuściła okno i wsunęła się cicho przez wąski otwór, tak samo jak teraz ja, był zabójca Gabe'a.

Przez sekundę, kiedy opuściłam się na podłogę łazienki, myślałam, że zwymiotuję. Nie chodziło tylko o świadomość, że przemierzałam tę samą ścieżkę, co morderca mojego męża, ale o wszystko – przyprawiające mnie o mdłości poczucie znajomości tego domu oraz strasznej obcości tego, co się działo. Łazienka wciąż była pełna moich drobiazgów, z opakowań wylewały się kosmetyki do makijażu, lakier do paznokci wyciekał na półkę szafki z lustrem. Na umywalce stał wosk do brody Gabe'a – na ten widok poczułam gulę w gardle. Jednak na klamce drzwi widniał proszek do zdejmowania odcisków palców, a kiedy wyszłam na korytarz, zobaczyłam plastikowe kratki rozłożone na podłodze, by ochronić rozprysniętą krew i ślady stóp. W powietrzu unosił się obcy zapach chemikaliów – prawdopodobnie środków i sprejów użytych do zbadania miejsca zbrodni. Przede wszystkim jednak – od tego mdliło mnie najbardziej – wciąż czułam zapach krwi Gabe'a, ten metaliczny smrodek sklepu mięsnego, który zaatakował mnie w momencie, gdy otworzyłam drzwi zaledwie kilkadziesiąt godzin wcześniej.

Nagle nie byłam już taka pewna, czy dam radę. Stałam tak dłuższy czas, trzymając się poręczy, walcząc z paniką, która zaczęła mnie obezwładniać.

Nieobecność Gabe'a jeszcze nigdy nie wydawała się taka ogromna i taka *prawdziwa*, jak w tej chwili. *Nie było go*. Spędziłam każdą świadomą chwilę od jego śmierci, próbując zrozumieć ten prosty fakt, usiłując w niego *uwierzyć*, ale teraz, w tym miejscu, otoczona naszymi wspólnymi rzeczami, zostałam tą myślą uderzona niczym falą, zbyt wielką, żeby z nią walczyć. Osunęłam się na kolana, wciąż trzymając się poręczy, a z moich ust wydobył się jakiś jęk. To było imię Gabe'a.

Tak bardzo za nim tęskniłam. W tamtej chwili oddałabym wszystko – *wszystko* – żeby usłyszeć jego klucz w zamku, jego głos niosący się korytarzem: „Kochanie, wróciłem”.

Zamknęłam oczy. „Kochanie, dasz radę”.

Nie dawałam rady. W ogóle nie dawałam sobie rady. Nie byłam w stanie.

Tylko że musiałam. Bo nikt inny tego za mnie nie robił.

Podciągnęłam się i wstałam, wzięłam długi, drżący wdech, a potem zmusiłam się, by pójść korytarzem do pokoju pełniącego funkcję jednocześnie gościnnego oraz mojego biura. Próbowałam się skupić na swoich zadaniach i rzeczach do zabrania.

Tutaj łatwiej było zignorować obecność policji. Ewidentnie potraktowali to pomieszczenie bardzo pobieżnie: brakowało mojego laptopa i kilku naszych segregatorów, ale poza tym prawie niczego nie ruszono. Zacisnęłam w myślach kciuki i podeszłam do zabudowanej szafy w rogu. Jeżeli to, co chciałam wziąć, zniknęło, cała ta wycieczka na nic, a ja właśnie straciłam cenną godzinę.

Dokładnie wiedziałam, gdzie to powinno być – na dnie szafy, ukryte częściowo za stosem walizek, pudełkiem ze świątecznymi dekoracjami i chwiejną suszarką na ubrania. Wszystkie te graty nadal tam były, kiedy otworzyłam drzwi, więc wyciągnęłam je jeden po drugim, ułożyłam w stosik, po czym odetchnęłam z ulgą. Był: skromny czterdziestolitrowy plecak, jeden z dwóch identycznych. Moja torba awaryjna.

Gabe miał swój od lat, odkąd zaczął pracować w zabezpieczeniach online. Nie było to wcale takie rzadkie, że klient dzwonił do niego z paniką i wiadomością „mamy sytuację awaryjną”, a on musiał wskakiwać do auta, żeby spędzić bliżej nieokreśloną liczbę dni i nocy na przeczesywaniu rejestrów serwera. Jego plecak był pełen sprzętu komputerowego, narzędzi diagnostycznych, zapasowych wtyczek i kabli – a do tego majtki na zmianę i próżniowo zapakowana paczka ulubionej kawy.

Nagle wezwania fizycznych pen-testerów zdarzały się rzadziej i nim poznałam Gabe'a, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zrobić sobie taką torbę. Ale namówił mnie na to, twierdząc, że nigdy nic nie wiadomo, a teraz byłam mu za to niewymownie wdzięczna.

Otworzyłam klapę i szybko przejrzałam zawartość, sprawdzając, czy wszystko jest na miejscu, ale wyglądał na nieruszony. Policja widocznie na razie skupiła swoje wysiłki tylko na miejscu zbrodni, a resztę domu przejrzała tylko w poszukiwaniu najbardziej oczywistych rzeczy. W końcu będą mieli jeszcze mnóstwo czasu, żeby przeczesać wszystko w poszukiwaniu broni i narkotyków, kiedy skończą już na dole.

Szybko i pobieżnie sprawdziłam zawartość torby: zapasowy laptop i zasilacz, ładowarka do telefonu i kilka zestawów ubrań – głównie takie ciemne, wygodne rzeczy, jakie zwykle nosiłam na zleceniach. Miałam tam też różne narzędzia i sprzęt, które policja na pewno by skonfiskowała, gdyby je zauważyła – między innymi wytrychy, różne podkładki, plik fałszywych listów uwierzytelniających oraz identyfikatorów takich firm jak Intel, Hewlett Packard, a także przeróżnych usług sprzątających oraz urządzenie do powielania kart dostępu. Było tam też parę bardziej praktycznych drobiazgów przygotowanych z myślą o długich dniach i nocach, jakie często wiązały się z tymi zleceniami – przekąski i batoniki energetyczne, leki przeciwbólowe, woda oraz kosmetyczka z podstawowymi artykułami higienicznymi.

Miałam tam też kartę kredytową, prawdopodobnie teraz dla mnie bezużyteczną, a kiedyś *było* tam również sto funtów w gotówce. Niestety jednak Gabe albo ja musieliśmy je kiedyś zwinąć, żeby zapłacić za taksówkę, bo tych banknotów już nie znalazłam.

Nie mogłam wiele zrobić w związku z tą gotówką, co najwyżej zwymyślać dawną siebie; pytanie tylko, czego jeszcze, jeśli w ogóle, potrzebowałam. Próbowałam pomyśleć. Nie chciałam dodawać sobie dużo ciężaru ani bagaży – tak zapakowany plecak był na tyle mały, że uchodził za typowy codzienny miejski bagaż, więc nie wyróżniałabym się z nim w metrze czy w biurze. Gdybym przypięła sobie do niego namiot, rzucałabym się w oczy, a poza tym byłoby to wszystko dużo trudniejsze do noszenia. Ale od góry było jeszcze dość miejsca, żeby dopakować kilka niezbędnych rzeczy. Miałam już tam parę okularów zerówek – a także ortezę na rękę i temblak, które w przeszłości przydały mi się już w kilku śliskich sytuacjach. To

niesamowite, jak pomocni stają się ludzie wobec kobiety z ręką na temblaku – przytrzymują drzwi przeciwpożarowe, wpisują kody przy zamkach i takie tam. Ale potrzebowałam pewnie cieplejszych ubrań. Ten zestaw został przygotowany po to, żeby przemknąć niezauważoną przez biuro, a nie uciekać przed policją.

Na półpiętrze stał kosz z czystym praniem czekającym na schowanie do szaf, więc zgarnęłam stamtąd kilka par skarpetek, parę ciepłych koszulek i dodatkową bieliznę, a także polar z kapturem, który mógł pełnić również funkcję poduszki lub – w razie potrzeby – symulować ciążowy brzuch.

Co jeszcze – paszport? Nie, to bez sensu. Nim dotarłabym na lotnisko, moje nazwisko znalazłoby się już pewnie na liście poszukiwanych, a poza tym naprawdę musiałam być tutaj. Moim jedynym celem było dowiedzenie się, co tak naprawdę stało się z Gabe'em, a przecież nie mogłam tego zrobić, siedząc na Kajmanach, nawet gdybym zdołała się tam dostać.

Już miałam się spakować i wyjść, kiedy wpadł mi do głowy nowy pomysł: prywatny klucz Gabe'a – kod, który dawał mu dostęp do jego portfela bitcoinów. Powiedział mi kiedyś, gdzie go schował, ale teraz nie mogłam sobie przypomnieć. Wiedziałam, że zapisał go na końcu którejś książki, tylko nie pamiętałam której. Kurde. Kurde. Dlaczego nie postarałam się bardziej, żeby to zapamiętać. Zacisnęłam oczy i zaczęłam szukać w pamięci. Powiedział mi to tak, jakby to było zabawne, tyle zapamiętałam. Jak jakiś dowcip. Gdzie się chowa takie klucze?

Większość naszych książek była na dole, w salonie, a ja nie byłam w stanie tam zejść, w każdym razie jeszcze nie teraz. Powiedziałam sobie, że to przez policjanta siedzącego na zewnątrz, że martwiłam się, czy nie zauważy jakiegoś ruchu za zasłonami, ale szczerze mówiąc, wcale nie o to chodziło – a przynajmniej nie do końca. Prawda była taka, że nie byłam jeszcze gotowa zejść tam, gdzie umarł Gabe.

Kilka regałów z książkami stało w naszej sypialni i postanowiłam sprawdzić najpierw tam. Gdybym niczego nie znalazła, wtedy zastanowiłabym się, czy ryzykować zejście do salonu.

Było mi jakoś trudniej wejść do naszej sypialni niż do pokoju gościnnego. Wyglądała tak *normalnie*. Leżały tam moje ubrania, rzucone bez troski na małą, zabytkową kanapę stojącą w nogach łóżka. Dżinsy Gabe'a starannie złożone na kaloryferze. Jego książka nadal rozłożona na nocnym stoliku, a obok garść drobnych. Nawet kołdra była jeszcze zmięta tak, jak ją

zostawił przed testem w Arden Alliance. Kiedy to było? Zaczęłam odliczać. Jeden... dwa... To było trzy wieczory temu, wtedy ostatni raz spałam w swoim łóżku, z ciałem Gabe'a przytulonym do mojego. Miałam wrażenie, że to było w innym życiu – jakby jakaś inna osoba leżała z nim tutaj, taka, która nie czuła rozdzierającego żalu i której co parę minut nie atakowały niechciane wspomnienia. Gdybym tylko. Gdybym tylko została z nim tutaj, wtulona w jego ciepłe ciało. Gdybym tylko powiedziała mu, że nie czuję się dobrze. Gdybym tylko *wiedziała*. Ale nie wiedziałam. Nie mogłam wiedzieć. A gdyby tak się stało, gdybym została w domu, zwinęła się na kanapie i oglądała telewizję, zamiast myszkować po serwerowni Arden Alliance, to może żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła. Lub może ja też bym nie żyła. Czy to byłoby gorsze?

Wiedziałam, że muszę zabrać potrzebne rzeczy i wyjść, ale nie mogłam się powstrzymać, żeby nie przejść powoli przez pokój na stronę łóżka Gabe'a i nie położyć się w tym miejscu, w którym odcisnęło się jego ciało. Leżałam i przyciskałam twarz do poduszki, która pachniała *nim*. Pachniała Gabe'em.

Czułam łzy wzbierające mi w gardle i w głębi ducha wiedziałam, że robiłam coś niebezpiecznego. Mogłam się zatracić, a policja znalazłby mnie tutaj wiele godzin później, wciąż ściskającą poduszkę Gabe'a w katatonicznym szlochu. Ale Boże, nie chciałam stąd wychodzić. Gdybym tylko mogła pozostać tam skulona choćby parę minut dłużej, z zamkniętymi oczami, udając, że wszystko jest w porządku, że Gabe po prostu parzy sobie tylko kawę na dole, że w każdej chwili może wejść na górę z kubkami w dłoniach, próbując otworzyć drzwi sypialni łokciem...

Poczułam wzbierający we mnie zwierzęcy ryk rozpacz, ale zdusiłam go w sobie i zmusiłam się, żeby usiąść, zestawiłam nogi z łóżka i głęboko zaczerpnęłam tchu.

Dasz radę.

Nie dam, pomyślałam zrozpaczona. Nie dam, z niczym nie dam sobie rady. A jeśli nawet, to wcale tego nie chcę. Nie chcę tego wszystkiego na moich barkach, całej tej odpowiedzialności.

Ale nie miałam wyboru. I wiedziałam, że gdybym to ja tam leżała, gdyby to moja krew zalała cały salon, to nie ma mowy, żeby Gabe położył się w zagłębieniu naszego łóżka i się poddał. Przenigdy. Nie spocząłby, dopóki nie namierzyłby tego, kto to zrobił, i go nie zniszczył.

Gabe nigdy by się nie poddał. Więc ja też nie mogłam.

Wstałam.

Jego regał był po tej stronie łóżka, stała na nim nadal jeszcze szklanka wody sprzed trzech wieczorów, z odciskiem jego ust na brzegu, ale zebrałam się w sobie, odsunęłam szklankę i zaczęłam przeglądać książki, przekrzywiając głowę na bok, by odczytać tytuły na grzbietach. *Sprzysiężenie głupców*, nie. *Wielkie twierdzenie Fermata*, nie. *Betonowy ogród*. *Imperium bólu*. *Muzyka liczb pierwszych*. Nie, nie i nie.

Przejrzałam półki, byłam już coraz bardziej sfrustrowana, patrzyłam na znajomą Gabe'ową mieszaninę powieści i okołonaukowych nonfików. Nasze gusta nigdy nie były zbyt zbieżne. Ja wolałam raczej Neila Gaimana, Ursulę K. Le Guin, Robin Hobb – byłam takim typowym nerdem, zaczytywałam się science fiction i fantasy. Tym trudniej było mi sobie przypomnieć ten tytuł, o którym wspominał Gabe. W każdym razie żaden z tych, byłam gotowa się o to założyć.

A potem ją zobaczyłam. Nie stała na półce, tylko leżała w poprzek, wciśnięta w szparę pomiędzy książkami a górną półką. Stara, zniszczona, w tandetnej okładce z lat sześćdziesiątych, która marszczyła się i była trochę rozdarta.

Szklany klucz Dashiella Hammetta.

Usłyszałam niski, rozbawiony głos Gabe'a dudniący mi w uszach. „Klucz z kluczem, czaisz?”

Wyciągnęłam ją ostrożnie, bo papier był stary i kruchy, a klej na grzbiecie wyglądał, jakby miał zaraz popękać. Otworzyłam ją.

W środku, na przedniej okładce, widniały trzy długie kody, starannie wypisane ołówkiem, każdy składał się z ponad dwudziestu znaków – cyfr i liter.

Jeden z nich – nie miałam pojęcia który – oznaczał grubo ponad dwadzieścia tysięcy funtów, chociaż ta suma tak bardzo się zmieniała, że nie sposób było przewidzieć, ile wynosi danego dnia. Jedynym, czego potrzebowałam, by uzyskać do nich dostęp, były właśnie te cyfry.

Nie miałam czasu, żeby to wszystko przepisać, a już na pewno nie byłam w stanie ich zapamiętać, więc wzięłam tę książkę i wepchnęłam ją do plecaka. I w tej chwili usłyszałam jakiś dźwięk z zewnątrz, po którym mój puls przyspieszył.

Był to dźwięk, który dobrze znałam – nawet sama wywołałam go zaledwie kilka wieczorów wcześniej. Ktoś kopnął w butelki po mleku przed schodami.

– Cholera – usłyszałam z ogrodu od frontu. – Przepraszam, potknąłem się o butelki po mleku.

Rozległo się trzeszczenie radia, jakieś słowa zaryczały pośród zakłóceń, a kiedy ostrożnie wyjrzałam zza zasłon w sypialni, zobaczyłam policjanta stojącego z komórką w dłoni przed drzwiami wejściowymi.

Nie sądziłam, że moje serce mogłoby zacząć bić jeszcze szybciej, ale wtedy przyspieszyło.

– Jasne – usłyszałam. – Jasne, przyjąłem. Wchodzę, ale jestem niemal pewien, że jej tam nie będzie. Nie widziałem tu nikogo prócz listonosza. Chwileczkę. Klucz ciężko chodzi.

Kurde. Kurde. Musiałam się stamtąd wydostać.

Zarzuciłam plecak na ramię i pobiegłam korytarzem tak szybko i cicho, jak tylko potrafiłam, ale byłam ledwie w połowie drogi do schodów, kiedy usłyszałam dźwięk przekręcana drugiego klucza w drzwiach wejściowych. Na chwilę zamarłam, popatrzyłam tęsknie na drzwi łazienki – ale one były w polu widzenia z wejścia, a to w każdej sekundzie mogło zostać otwarte. Odwróciłam się więc i popędziłam z powrotem do naszej sypialni, po czym zamknęłam za sobą drzwi.

Stałam w środku z zamkniętymi oczami i przycisnęłam ucho do drzwi, żeby lepiej usłyszeć, co się dzieje na dole. Rozległo się metaliczne uderzenie, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się na oścież, a zasuwa uderzyła o ścianę korytarza (sama ją malowałam!), po czym policjant wkroczył ciężko do mojego domu.

Wstrzymałam oddech, nasłuchując i zastanawiając się, co powinnam zrobić.

– Jestem w środku – usłyszałam ciche słowa z parteru. – Nie widzę niczego podejrzanego. Zrobię jeszcze mały rekonesans.

W odpowiedzi radio zatrzeszczało i usłyszałam kroki policjanta w korytarzu, a potem skrzypienie desek, kiedy wszedł do salonu.

Dzięki Bogu za stare wiktoriańskie domy. Ostrożnie przekręciłam gałkę drzwi sypialni i wystawiłam jedną stopę na zewnątrz – ale cofnęłam się od razu, kiedy usłyszałam trzeszczenie radia i kroki policjanta z powrotem w korytarzu.

– Tutaj nic. Zerknę tylko na górę.

Cholera. Teraz naprawdę byłam w pułapce. Nie było szans, żebym uciekła, kiedy on wchodził po schodach, a do tego na pewno musiał wejść do sypialni. Czy przeszuka szafy? Zajrzy pod łóżko?

Na chwilę zamarłam niezdecydowana, a potem na dźwięk skrzypiących schodów na samym dole wyrwałam się ze stuporu. To, co powiedziałam sobie w Arden Alliance, miało zastosowanie zarówno teraz, jak i wtedy: w tej pracy ryzykiem była beczynność. Czasami trzeba zaufać intuicji.

Pobiegłam przez sypialnię, unikając tych luźnych desek parkietu przy oknie, otworzyłam drzwi szafy i wskoczyłam do środka, po czym zamknęłam za sobą.

W samą porę.

Ubrania jeszcze bujały się na wieszakach, kiedy usłyszałam skrzypienie drzwi sypialni oraz stapanie butów funkcjonariusza po dywanie. Serce waliło mi w uszach, przycisnęłam sobie plecak mocno do piersi, jakbym była w stanie stłumić nim ten dźwięk. Przez uchylone drzwi szafy widziałam sylwetkę funkcjonariusza, ciemną na tle okna, i wstrzymując oddech, patrzyłam, jak schyla się, zagląda pod łóżko, a potem się prostuje. Nawet przez drzwi słyszałam ciężki świst jego oddechu. Brzmiał, jakby był przeziębiony albo może miał astmę. Czy policjanci mogą mieć astmę? Jeżeli nie był zbyt wysportowany, *może* zdołałabym go prześcignąć. Miałam tylko nadzieję, że nie będę musiała.

Zacisnęłam powieki, starając się nie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, mimo że w szafie było okropnie ciasno, a narzutka ze sztucznego futra, którą kupiłam kiedyś na ślub Hel, łaskotała mnie w nos. *Proszę, proszę*, błagałam go telepatycznie. *Proszę, wypierdalaj stąd*.

I wtedy, niemal jakbym go przekonała, odwrócił się i zaczął iść w stronę drzwi.

Wypuściłam wtedy cicho powietrze, dygocząc.

A potem kichnęłam.

Przez sekundę głupio sądziłam, że mi się upiecze – że policjant rzuci to na jakieś dźwięki z zewnątrz.

Ale wtedy odwrócił się na pięcie i wrócił do pokoju, a ja wiedziałam, że wtopiłam. Teraz tylko jedna rzecz mogła zadziałać na moją korzyść – element zaskoczenia.

Wyskoczyłam z dzikim krzykiem. Drzwi szafy otworzyły się na oścież, a policjant potknął się, zaskoczony. Otrząsnął się i ruszył na mnie, mijając nogi wielkiego łóżka, ja natomiast uskokczyłam na prawo, nie w lewo, jak się najwyraźniej spodziewał, wdrapałam się na materac i odbiłam na jego sprężynach, żeby katapultować się w stronę wyjścia z sypialni.

– Stop! – usłyszałam za sobą jego krzyk. – Zatrzymać się! Policja!

Ale nie posłuchałam. Nie byłam taka głupia. Wybiegłam na korytarz, a potem na ułamek sekundy się tam zatrzymałam. Na dół i na ulicę czy tyłem tą samą drogą, którą przyszłam?

Oba rozwiązania niosły ze sobą pewne ryzyko; przed domem stał radiowóz i bardzo prawdopodobne, że siedział w nim drugi policjant, zaalarmowany zamieszczeniem w środku budynku.

Jednak wyjście tyłem oznaczało, że jeśli obstawią alejki, znajdę się w pułapce.

Nie było czasu, żeby rozważyć moje opcje. Prawie się nie zatrzymując, wpadłam do łazienki, otworzyłam rozsuwane pionowo okno i rzuciłam się na oblodzony daszek, a potem przetoczyłam się po jego żwirowej powierzchni, pod plecami pękały mi oblodzone kałuże.

Nie było czasu na ostrożne, kontrolowane zejście, jakie sobie zaplanowałam. Zamiast tego wystrzeliłam na drugą stronę dachu, do ogródka sąsiadów – jego płot miał być kolejną przeszkodą dla policji, gdyby wyszli tylnymi drzwiami.

– Stop! – słyszałam za sobą, czemu towarzyszył ciężki, sapiący oddech. – Nakazuję...

Wylądowałam z łoskotem, poczułam promieniujący ból w kolanach, kątem oka zauważyłam zaskoczony wzrok mojego starszego sąsiada wyglądającego przez okno w kuchni, a potem boleśnie się wyprostowałam i ruszyłam w stronę bramki wychodzącej na alejkę. *Musiłam* się wydostać, nim ten funkcjonariusz wezwie wsparcie i alejka stanie się pułapką bez wyjścia.

Na bramce wisiała kłódka, a ja nie miałam czasu na szukanie wytrychu, nawet jeśli ten zardzewiały mechanizm by zadziałał. Wyrzuciłam więc plecak na ścieżkę, cofnęłam i ruszyłam z rozbiegu na murek. Wbiłam paznokcie w kruszącą się zaprawę na górze, ignorując bolesny zgrzyt, kiedy płytki połamały się i rozdwoiły. Wbijałam je, póki moja stopa nie

odnalazła wygodnej, luźniej cegły, a potem podciągnęłam się i położyłam piersią na górze.

Kiedy tylko tam wylądowałam, poczułam kłujący ból z boku, tuż pod żebrami. Jakies szkło? Sękaty kawałek powojnika? Nie było czasu, żeby się zatrzymać i sprawdzić. Widziałam stamtąd, jak tamten policjant boleśnie gramoli się przez okno w łazience, z krótkofalówką przy ustach, i słyszałam jego świszczące oddechy oraz trzeszczące odpowiedzi policyjnego kodu.

Ignorując dźwięk rozdierania płaszcza, przełożyłam jedną nogę, potem drugą i wylądowałam na ścieżce na czworakach.

Schowałam się tam pod osłoną ogrodowego muru, tak żeby funkcjonariusz na daszku nie mógł mnie wypatrzyć, i pobiegłam w złą stronę – nie do otwartego końca ścieżki, tylko przeciwnie, w ślepy zaułek. W końcu, gdy dźwięki policyjnej krótkofalówki przycichły w oddali, dotarłam do obiecująco wyglądającej bramki na drugim końcu alejki, takiej z jasną i błyszczącą kłódką. Te ogródki należały do domów przy Lancaster Lane – taras wychodził na Salisbury Lane i łączył się z naszą ścieżką na tyłach. Gdybym tylko zdołała się dostać do jednego z tych domów...

Wyciągnęłam moje wytrychy i drżącymi palcami zabrałam się do roboty najszybciej, jak umiałam, modląc się, żebym zdołała otworzyć furtkę, nim posterunkowy Świstak przedostanie się przez mur ogrodu. Na szczęście nie było to nic wyszukanego, zwykła, standardowa kłódka z Halfords, i wystarczyło tylko kilka chwil, żeby otworzyła się z krzepiącym kliknięciem, a ja prześlizgnęłam się do małego, zadbanego ogródka.

Przystanęłam tam, wygładziłam włosy i próbowałam uspokoić oddech. Teraz miało przyjść pod pewnymi względami najtrudniejsze. Pozostawało mi mieć nadzieję, że moja poza na radosną dziewczynę z sąsiedztwa zadziała.

Uśmiechnęłam się najpewniej, jak umiałam, zastukałam do drzwi, odsunęłam się i czekałam.

Wydawało mi się, że długo nikt nie przychodził, oglądałam się przez ramię i czułam narastający niepokój. Ale kiedy już zaczęłam rozważać, czy nie spróbować w innym ogrodzie – albo może wyjąć znowu wytrych – zobaczyłam za szybą jakiś cień, usłyszałam zgrzyt klucza w zamku i zobaczyłam zdumioną twarz kobiety, która do mnie wyjrzała.

– Rany, co pani robi w moim ogrodzie?

Trzymała dziecko na biodrze. Uśmiechnęłam się odrobinę szerzej i z odrobinę większą skruchą.

– Bardzo przepraszam. Bramka była otwarta. – Oczywiście to było kłamstwo, ale musiałam po prostu liczyć, że obwini o to partnera. – Jestem pani sąsiadką spod... – Urwałam na ułamek sekundy; nie chciałam podawać numeru swojego domu, na wypadek gdyby zapukała tu policja. – Czterdziestki piątki. Mam na imię Ella. Strasznie mi głupio, ale utknęłam. Myślałam, że uda mi się wyjść tamtą bramką na końcu alejki, ale zapomniałam kodu. Zna go pani może?

– Niestety nie.

Zmierzyła mnie z góry na dół, najwyraźniej zmieniła swoje początkowo wrogie nastawienie. Uśmiechnęłam się do dziecka, a ono odwzajemniło uśmiech. Z daleka usłyszałam jakieś trzaśnięcie i słabe odgłosy przekleństw. Zdaje się, że policjant przedostał się przez mur. Miałam nadzieję, że ta kobieta się zdecyduje, ale nie mogłam jej prosić. Musiała sama zaproponować. Aż w końcu, dzięki Bogu, udało się.

– Może chce pani przejść przez mój dom?

– Nie ma pani nic przeciwko? *Bardzo* panią przepraszam.

Odsunęła się, a ja weszłam za nią do maleńkiej kuchni, która była bardziej zabałaganioną i bardziej dostosowaną do dzieci wersją naszej. Do szafek przykręcono zabezpieczenia, a lodówka była upstrzona magnesowymi literkami.

– Dziękuję, ratuje mi pani życie – rozgadałam się, niemal radosna z ulgi, że drzwi się za nami zamknęły. – Czuję się jak ostatni tępak, okazało się, że w naszych drzwiach od ogrodu nie działa klucz.

– Nasz ma tak samo. – Zaczęła się trochę rozluźniać, prowadząc mnie przez wąski korytarz do drzwi wejściowych. – Zamyka się tylko od środka. Proszę się nie przejmować. Pod jakim numerem pani mieszka?

– Czterdzieści pięć. – Musiałam liczyć, że nie znała za dobrze swoich sąsiadów, ale to w końcu był Londyn, a my mieszkaliśmy na tyle daleko, że szanse na to wydawały się spore. – Miło mi panią poznać.

– Mnie również.

Byłyśmy już przy drzwiach frontowych, otworzyłam je i wyszłam, ledwie skrywając ulgę na widok pustej drogi. Żadnych radiowozów.

– Jeszcze raz dziękuję – dodałam. – Wszystkiego dobrego.

- Wszystkiego dobrego - powtórzyła, a potem jej drzwi się za mną zamknęły.

Gdy skręciłam z Lancaster Lane na główną drogę, wcisnęłam rękę do kieszeni płaszcza, żeby powstrzymać ich drżenie. Ulga, jaką poczułam, uciekając przed posterunkowym Świstakiem, przygasła, za to ból w boku, tam gdzie uderzyłam się na murku, stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Nie miałam czasu, by przystanąć i to sprawdzić. Najważniejsze, żebym oddaliła się od Salisbury Lane, gdzie prawdopodobnie zbierały się już radiowozy. A potem... Boże. Co powinnam zrobić? Potrzebowałam pieniędzy. I jakiegoś planu.

Hel. Musiałam się skontaktować z siostrą i wyjaśnić, co się stało. Ale nie mogłam iść do jej domu, to było pierwsze miejsce, w którym zjawia się Miles i Malik. Próbowałam uspokoić pędzące myśli na tyle, żeby rozważyć kilka kolejnych kroków. Czy mogłam zadzwonić? Pewnie jeszcze nie podsłuchują jej komórki – nie byłam przekonana, ale wydawało mi się, że sprawdzanie telefonów wymaga nakazu, a takie rzeczy trwają. Więc kontakt z Hel był na razie bezpieczny.

Jednak w końcu dorwą się do historii jej telefonu – więc cokolwiek bym zrobiła, znajdą to, kiedy już zaczną przeczesywać jej esemesy i listę połączeń. Czy to miało jakieś znaczenie? Próbowałam się zastanowić. Ta komórka z różowymi naklejkami jednoroźców, którą Hel wręczyła mi rano, i tak już była stracona, jeśli chodzi o namierzanie. Użyłam jej do skontaktowania się ze zbyt wieloma osobami związanymi ze mną i Gabe'em, a poza tym karta SIM prawie na pewno była zarejestrowana na Rolanda. Od dziś była dla mnie bezużyteczna. Więc mogłam równie dobrze użyć jej po raz ostatni.

Włączyłam telefon i wybrałam numer Hel.

– Jack! – Głos miała przyjemny, radosny, bez cienia troski, poza tą, którą odczuwała już dotąd z powodu mojej wizyty na policji. – Skończyłaś? Przyjechać po ciebie?

– Słuchaj – zaczęłam ostro. – Hel, zrobiłam coś bardzo głupiego. Nie... – Próbowała mi przerwać i zadać pytanie. – Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia, ale naprawdę jestem w czarnej dupie. Miałaś rację, *jestem* podejrzana.

– Okej – odpowiedziała Hel. Głos jej lekko drżał, ale czułam, że próbowała się uspokoić. – Okej. Ale... nie aresztowali cię?

– Nie zdążyli. Wyszłam z tego przesłuchania.

– I wypuścili cię?

– Nie za bardzo o tym... wiedzieli. Ale teraz już wiedzą. I jestem prawie pewna, że wydadzą nakaz aresztowania.

W słuchawce zapadła cisza. Słyszałam oddech Hel i wiedziałam, że bardzo stara się opanować, żeby nie krzyczeć na mnie przez telefon – „Co ty narobiłaś?” – chociaż pewnie bardzo chciała.

– Potrzebuję gotówki – przerwałam to napięte milczenie. – Tyle, ile możesz mi pożyczyć. Ale nie idź do banku, weź jedynie to, co zdołasz wyciągnąć z bankomatu. – Gdyby ją śledzili, wycieczka do banku byłaby wyraźnym sygnałem ostrzegawczym. – I... ciepłych ubrań. Jakiegoś śpiwora. – Cholera. Czego jeszcze? Tak naprawdę potrzebowałam *planu*, ale na razie żadnego nie miałam, poza tym, żeby wydostać się z Londynu, zanim mnie aresztują. – A, i jeszcze jedno. Rozjaśniacza. Takiego do włosów. Muszę się pozbyć tego czerwonego.

– Okej – rzuciła szorstko Hel. – O której i gdzie?

– Nie wiem. – Próbowałam się zastanowić. – Jak myślisz, ile będziesz potrzebowała, żeby to wszystko zebrać? Pewnie nie powinnyśmy zbyt długo czekać. Im więcej czasu damy policji na zdobycie nakazów i obserwację ciebie, tym będzie trudniej.

– Jest... – Usłyszałam, jak jej głos przycichł, kiedy odsunęła komórkę od ucha, żeby sprawdzić godzinę. – Jest tuż po wpół do pierwszej. Powiedzmy, że godzina na przygotowanie wszystkiego, a potem pół na upewnienie się, że nikt mnie nie śledzi. Ale o piętnastej będę musiała odebrać dziewczynki. Kurwa. Czyli nie mam za dużo czasu.

– A o której Rols kończy pracę? Albo może mogłabyś się wymknąć po kolacji?

Myśl o tym, że miałabym znaleźć jakieś nierzucające się w oczy miejsce, żeby poczekać, trzęsąc się z zimna, aż zapadną ciemności, nie była zbyt zachęcająca, ale wyglądało na to, że nie mam wyboru.

- Nie, czekaj... – powiedziała Hel. – Dziewczynki... to by się mogło udać.
- Co masz na myśli? Mamy się spotkać pod przedszkolem? Naprawdę nie sędzę...
- Nie, nie pod przedszkolem, ale... może w galerii handlowej? Tej przy głównej drodze, tam gdzie jest kino. Często się tam zatrzymujemy w drodze do domu, żeby skorzystać z toalety albo kupić przekąskę, tam jest mnóstwo wejść i wyjść.
- Nie wiem, Hel. – Staralam się nie brzmieć na zmartwioną, ale nie bardzo mi się udało. – Nie podoba mi się pomysł, żeby mieszać w to dziewczynki. Co, jeśli coś pójdzie nie tak? Jak się upewnisz, że nikt cię nie śledzi, jeśli będziesz ciągnąć za sobą dwie czterolatki?
- Żadna z nas nie wie, jak to załatwić, Jack. – Hel brzmiała na rozdrażnioną, ale słyszałam w jej głosie także troskę. – Ja też robię coś takiego po raz pierwszy. Ale wydaje mi się, że trzymanie się rutyny powinno być najbezpieczniejsze. Przecież jeżeli *jestem* pod obserwacją, to policję zaalarmują wszystkie nietypowe zachowania. A tymczasem odebranie dziewczynek, zabranie ich do domu, pójście do toalety... to wszystko robię codziennie.
- Okej – powiedziałam powoli. – To... w takim razie jaki jest plan?
- Na parterze jest toaleta, zaraz obok Urban Outfitters. Tam są dwa wejścia, jedno do kina, a drugie do głównej części sklepowej.
- Dobra. Tam się spotkamy. O której?
- Powiedzmy o... Piętnastej trzydzieści? Mogę być parę minut później, jeżeli dziewczynki będą zmęczone, ale postaram się.
- Okej – powtórzyłam. Rozejrzałam się po ulicy. – Hel, muszę się pozbyć tej komórki, masz coś przeciwko?
- Podejrzewam, że małe będą załamane, kiedy stracą swoje wyniki w grze w pieski – odpowiedziała Hel, żartując ponuro. – Ale przeżyją. No, leć już. I nie daj się złapać.

Gdy prawie dwie godziny później dotarłam do galerii handlowej wskazanej przez Hel, byłam zgrzana i strasznie bolały mnie stopy. Poszłam pieszo z Lancaster Lane zamiast jechać taksówką albo autobusem – boleśnie świadoma, że wydałam już większość z trzydziestu funtów od siostry i jeśli nie uda jej się tego popołudnia nawiązać ze mną kontaktu, to reszta może stanowić wszystkie moje środki na najbliższą przyszłość. Miałam oczywiście bitcoiny Gabe'a, ale byłam przekonana, że żaden szanujący się kantor nie wyda mi tak od razu gotówki – w każdym razie nie bez dowodu osobistego. Autobus byłby tańszy, ale w londyńskiej komunikacji nie przyjmowano już płatności gotówką, tylko bezdotykowo, a ja nie chciałam tak ryzykować. Nie miałam pojęcia, czy policja nie monitoruje już moich kart.

Po drodze przystanąłam na jednym ze wszechobecnych stoisk z turystycznym badziewiem i koszulkami „I ♥ London”, gdzie zakupiłam zwykłą czapkę z daszkiem z logotypem metra z przodu. Z podniesionym kołnierzem i czapką nasuniętą na czoło moja twarz była mocno osłonięta przed kamerami i wścibskimi spojrzeniami, ale nadal byłam boleśnie świadoma swoich jaskrawoczerwonych włosów. Dlaczego, dlaczego, *dlaczego* wybrałam sobie taki absurdalny kolor?

Nawiedziło mnie wspomnienie, ostre i bolesne: jak Gabe chował w moich włosach twarz, przyciskał usta do mojej skroni i mówił mi do ucha: „To jest dokładnie ten kolor, jaki ma jesienią winobluszcz... Strasznie go kocham...”.

Zaśmiałam się wtedy. „Dobra, poeto”.

A teraz jego słowa, ich wspomnienie – wyszeptanych tym niskim, łagodnym głosem – przyprawiało mnie o kłucie w sercu.

Ale nie mogłam o nim teraz myśleć, bo rozkleiłabym się tam na środku ulicy, między klientami i turystami. Musiałam iść naprzód, starać się

wymyślić, co zrobić z tym strasznym bigosem, w który się wpakowałam.

Podczas długiego spaceru z Lancaster Lane miałam mnóstwo czasu na myślenie o swojej decyzji i zastanawianie się, czy zrobiłam coś niewymownie, niewybaczalnie głupiego, uciekając z komisariatu. Nie łudziłam się co do tego, co osiągnęłam – w ułamku sekundy z osoby skupiającej na sobie zainteresowanie policji stałam się główną podejrzaną, zbiegiem z wielką, czerwoną tarczą wymalowaną na plecach. Bo dlaczego ktoś niewinny miałby uciekać? Tak musiała myśleć policja – i nie mogłam mieć o to pretensji. Był tylko jeden problem. *Nie byłam* winna.

Mogłam zostać. Mogłam pokazać policji ten mejl i powiedzieć: „Słuchajcie, to nie jest moja ustawka, coś jest nie tak, ktoś mnie próbuje zrobić w morderstwo Gabe’a”. Przecież na pewno mogliby jakoś namierzyć źródło tego mejla? *Ktoś* wypełnił ten formularz, wysłał go, dokonał płatności. I tym kimś *musiała* być osoba, która zabiła Gabe’a – prawda?

Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego podjęłam takie szalone ryzyko?

Znałam odpowiedź. Bo po śmierci Gabe’a nie obchodziło mnie już za bardzo, co się stanie ze mną – ale na myśl o tym, że miałabym siedzieć w areszcie i nie być w stanie nawet nigdzie zadzwonić, podczas gdy policja sprawdzałaby kolejne niewłaściwe poszlaki, z nadzieją, że zdoła mnie oskarżyć, była nieznośna. Nie tylko ze względu na to, co to oznaczało dla mnie, ale też dlatego, że w każdej chwili, którą spędzali na śledzeniu mnie, prawdziwy morderca usuwałby się coraz bardziej w cień – a ja nie byłabym w stanie zrobić niczego, żeby go powstrzymać.

Jeżeli policja nie zamierzała znaleźć zabójcy Gabe’a, ja mogłam to zrobić. A jeśli musiałam przy okazji stać się dla nich celem, to trudno.

Miałam wrażenie, że ta decyzja o ucieczce zrodziła się pod wpływem impulsu. Spędziłam jednak całe lata na zdobywaniu dogłębnej wiedzy, która sprawiła, że włamałam się przez drzwi przeciwpożarowe do Arden Alliance, zamiast czekać, aż Gabe rozwiąże za mnie problem. Zawsze powtarzałam, że czasami, a nawet często, brak podjęcia jakichkolwiek działań sam w sobie stanowi ryzyko. Tak, w tym przypadku gra toczyła się o stawkę milion razy wyższą niż w Arden Alliance. I tak, mogłam poczekać. Hel powiedziałyby pewnie, że *powinnam* poczekać. Mogłam pokazać Malik ten mejl i sprawdzić, jak go zinterpretuje.

Ale czekanie oznaczałoby ryzyko. I to duże – bo stawka *rzeczywiście* była tu milion razy wyższa niż w przypadku jakiegoś rutynowego pen-testu.

Z decyzją o czekaniu wiązały się dwa wielkie pytania, od których zależała moja wolność.

Po pierwsze – co, jeżeli ta osoba, która wykupiła na mnie ubezpieczenie, nie popełniła żadnych błędów? Co, jeżeli użyła bezpiecznej przeglądarki i VPN-u – Gabe sam go zwykle używał, na tyle często, że niekoniecznie wyglądałoby to podejrzanie – i podpięła płatność do konta Gabe’a? Nie było to niemożliwe, że udało jej się rozwiązać wszystkie logistyczne problemy, zatrzeć wszelkie ślady. W takim scenariuszu pewnie tylko moje słowa zaprzeczałyby dowodowi podanemu wprost na talerzu – a Malik zdążyła pokazać, że moje słowo nie jest dla niej warte zbyt wiele. Policja już mnie kiedyś zawiodła; nie było powodu, dla którego nie mieliby mnie zawieść ponownie. Wyobrażałam sobie, jak mogłaby wyglądać moja porażka – siedziałabym zamknięta w celi pozbawiona możliwości ucieczki, podczas gdy Jeff Leadbetter sączyłby do ucha Malik jad, opowiadając, jaką to jestem psychopatką, a morderca Gabe’a śmiałby się na wolności – ta myśl sprawiała, że robiło mi się niedobrze. Właśnie taki scenariusz przemyślany w ułamku sekundy w tamtym pokoju przesłuchań spowodował, że uciekłam.

Jednak drugi scenariusz przyszedł mi do głowy dopiero podczas pieszej trasy na Lancaster Lane. I na swój sposób był jeszcze bardziej przerażający. Brzmiał on tak: Co, jeśli osobą, która wykupiła to ogłoszenie, był... Gabe?

Nie miałam na to żadnego dowodu. Nigdy nawet o tym nie rozmawialiśmy. Ale coś... *ktoś* przyczynił się do śmierci Gabe’a. Nie miałam pojęcia, co to było – ani kto – ale teraz, patrząc wstecz na ostatnich kilka tygodni i miesięcy, zaczęłam się zastanawiać, czy Gabe może w jakimś stopniu się tego nie spodziewał.

Nie chodzi mi o to, że spodziewał się śmierci – to absurdalny pomysł. Gabe nie siedziałby i nie czekał, aż morderca przyjdzie go dopaść. Ostrzegłby mnie, zawiadomił policję, zrobiłby coś, żeby ochronić nas oboje. Ale było parę takich rzeczy, które z perspektywy czasu zaczęły mnie niepokoić. Pewna nerwowość, która nie była dla niego typowa. Kilka razy mówiłam do niego, a on odpływał gdzieś myślami i wpatrywał się w swój ekran tak długo, że musiałam stuknąć go w ramię, żeby zwrócić na siebie uwagę. Kręcił wtedy głową i odpowiadał: „Przepraszam, skarbie, stres”, ale żadna z tych rzeczy nie była normalna. Gabe kochał swoją pracę.

Oczywiście nie lubił zmagać się z podatkami ani radzić sobie z przyprawiającym o ból głowy wystawianiem faktur, nikt za tym nie przepadał, ale te zmarszczki między jego brwiami i zastanawiające roztargnienie... to coś nowego.

Im dłużej o tym myślałam, tym więcej miałam pewności, że coś *rzeczywiście* go dręczyło na około tydzień przed śmiercią. Coś na tyle drobnego, że wtedy mnie to nie zaalarmowało. Ale musiało wydarzyć się coś – coś poważniejszego, niż sądziłam, i może nawet poważniejszego, niż przypuszczał sam Gabe. A jeżeli *naprawdę* wpakował się w jakieś kłopoty, napotkał coś, przez co zaczął się bać? Do tego stopnia, że chciał mnie zabezpieczyć na wypadek, gdyby coś mu się przydarzyło? *Potrafiłam* sobie wyobrazić, że w takiej sytuacji mógł coś takiego zrobić. I może nawet mógł to zrobić, nie powiedziawszy mi o niczym – wmawiał sobie, że to absurdalne, oczywiście, że tak, nie było sensu martwić mnie swoją paranoją, ale wiadomo, nie zaszkodziło zapewnić jakiejś poduszki finansowej na wszelki wypadek.

A jeżeli tak to się odbyło, jeśli Gabe *rzeczywiście* sam wykupił to ubezpieczenie, to zupełnie nie miałam jak udowodnić, że o tym nie wiedziałam. I zamiast chronić mnie po swojej śmierci, Gabe mógł po prostu skazać mnie na gnicie w więzieniu za zabicie go.

Na tę myśl chciało mi się płakać – że Gabe troskliwie o mnie zadbał, a w ten sposób nieuchronnie zastawił na mnie pułapkę przez swoje dobre intencje.

Nie myśl o tym – powtarzałam sobie, idąc. Nie chciałam – *nie mogłam* – płakać. Nic tak nie przyciąga uwagi jak szlochająca kobieta przedzierająca się ruchliwą ulicą, nawet jeśli chowa głowę pod czapkę z daszkiem. Nie mogłam się rzucać w oczy.

Zbliżałam się już do głównego wejścia galerii handlowej, kiedy coś zauważyłam i przystanęłam. Była to budka telefoniczna, ale telefon został w niej zniszczony, a do szyby przyklejono zalaminowaną kartkę: „Nieczynne”.

Rozejrzałam się na prawo i lewo, wślizgnęłam do budki, gdzie odrzuciłam smród sików, a potem ostrożnie oderwałam kartkę.

Taśma się pogięła i posklejała, ale wywieszka była w porządku. Wsunęłam ją do kieszeni kurtki, a potem wyszłam z budki i w myślach przeprosiłam kolejną osobę, która spróbuje stamtąd zadzwonić.



W galerii handlowej było gorąco, wręcz duszno w porównaniu z chłodnym lutowym powietrzem na zewnątrz, więc natychmiast zaczęłam się pocić w kurtce i w czapce. Ale nie mogłam niczego zdjąć, więc startłam pot z nosa i precyzyjnie się przesuwałam przez tłum ludzi, starając się nie oglądać za siebie w zbyt oczywisty sposób.

Było to wielce nieprawdopodobne, żeby ktoś mnie śledził. Policja nie miała skąd się dowiedzieć, gdzie byłam ani że tu zmierzałam. Mogli obserwować Hel, ale nie miała się tu zjawić jeszcze przez... odruchowo zaczęłam szukać komórki, po czym przypomniałam sobie, że wyrzuciłam ją do kosza parę kilometrów od Salisbury Lane. Zerknęłam więc na wielki zegar wiszący nad atrium. Jeszcze piętnaście minut. Miałam mnóstwo czasu.

Mimo wszystko celowo kierowałam się przez największy tłum, wjechałam na górę ruchomymi schodami, a potem przeszłam przez hol kinowy i dopiero wtedy udałam się na wyższe piętro Urban Outfitters, a następnie zeszłam piętro niżej schodami w środku sklepu.

Wyszłam z niego i rozglądałam się za toaletami, o których wspomniała Hel, kiedy zdałam sobie z czegoś sprawę. Ból w żebrach po tym, jak uderzyłam się po upadku na kawałek powojnika, podczas mojej pieszej wędrówki się przytępił, ale teraz zaczął mi dokuczać w inny sposób. To było... kłucie. I złowieszcze swędzenie, którego nie powodował tylko pot gromadzący się na mojej skórze.

Przystanąłam w niepozornym kącie przy sztucznych roślinach i wsunęłam dłoń pod kurtkę. Kiedy ją wyciągnęłam, palce miałam czerwone. I to nie tylko muśnięte tym kolorem, ale lepkie od krwi. Uderzając o mur, musiałam się jakoś poważnie skaleczyć.

Przekląłam w duchu, wytarłam palce o dzinsy, modląc się, żeby krew nie była widoczna na ciemnej tkaninie, a potem zaczęłam się zastanawiać, co zrobić. Musiałam powstrzymać krwawienie, nim przeciekło mi przez ubrania, bo wtedy jeszcze bardziej zwracałabym na siebie uwagę. Było za późno, żeby dzwonić do Hel; na pewno już jechała, zresztą z dziewczynkami. Powinnam sobie kupić opatrunki. Naprzeciwno była

duża drogeria, Boots, w której mieli wszystko, czego potrzebowałam, i jeszcze więcej. Problem w tym, że na czapkę ukrywającą włosy wydałam niemal ostatnie pieniądze.

Stałam tak przez chwilę, przyglądając się sklepowi przed sobą i rozważając możliwości.

Zdarzyło mi się już coś ukraść w sklepie. Nie byłam z tego dumna, ale Hel i ja radziłyśmy sobie ze śmiercią rodziców na zupełnie różne sposoby. Ona się zawzięła, poszła na dziennikarstwo i zdobywała najlepsze stopnie. A ja... nie. Ja się stoczyłam, zbuntowałam, wyleciałam ze szkoły. I gdzieś po drodze zaczęłam kraść. Nie dlatego, że musiałam; nasi rodzice nie byli bogaci, ale mieli przyzwoite ubezpieczenie na życie, co oznaczało, że dostałyśmy z Hel dość pieniędzy, żeby przeżyć, o ile trochę uważałyśmy. Robiłam to, bo dzięki temu czułam... że żyję. Że miałam nad czymś kontrolę. Że jestem drapieżnikiem, a nie ofiarą.

Okazało się, że dobrze mi to szło. Bardzo dobrze. A jako osoba, która w szkole sobie nie radziła i położyła wszystkie egzaminy, niezmiernie się cieszyłam, że znalazłam coś, w czym byłam najlepsza. Nawet wtedy, jeszcze bez żadnego przygotowania, rozumiałam, jak działają systemy zabezpieczeń – jak odnaleźć martwe pola kamer, jak wykorzystywać zmiany pracowników, jak unieszkodliwiać różne rodzaje zabezpieczeń, których używały sklepy. Nigdy nikomu tym nie mówiłam – ani Hel, ani moim znajomym. Nigdy nie używałam tych skradzionych rzeczy. Nie mogłam, bo siostra zapytałaby, skąd wzięłam pieniądze na drogą torebkę albo jakim cudem stać mnie na takie dzinsy. W połowie przypadków wracałam na drugi dzień i dyskretnie porzucałam zabrane rzeczy w przymierzalni, żeby obsługa mogła je odwiesić na wieszaki. Resztę łupów oddawałam do sklepów dobroczynnych.

W końcu oczywiście mnie złapano. Zbyt wiele razy wracałam do tego samego sklepu i był taki jeden ochroniarz, który okazał się w swojej pracy lepszy od reszty, lepszy ode mnie. Ale to właśnie ten uprzejmy ochroniarz powiedział mi, że marnuję swoje talenty i że dla takich ludzi jak ja, którzy potrafią rozgryzać systemy zabezpieczeń i znajdować ich słabe punkty, istnieje legalna praca. Sam pomysł, że ktoś mógłby mi za to płacić... płacić za obchodzenie zabezpieczeń i włamywanie się do budynków... to było objawienie.

Od tamtej pory niczego nie ukradłam. Obiecałam tamtemu ochroniarzowi, że już tego nie zrobię, jeśli puści mnie wolno. Teraz, patrząc na jasno oświetlony sklep naprzeciwko, zdałam sobie sprawę, że złamię tę obietnicę.



Na opatrunkach nie było zabezpieczeń. To już coś. Ale paczka dziesięciu kosztowała prawie dziesięć funtów, a to dziewięć funtów więcej, niż miałam, i chociaż nie zdołałam obejrzeć rozcięcia pod ubraniami, ilość krwi na palcach wskazywała, że zwykle plastry za pięćdziesiąt pensów raczej sobie z nią nie poradzą. Przeglądając półki z artykułami opatrunkowymi, znów rozważałam swoje możliwości. Wciąż miałam na sobie plecak i czapkę – a to nie był idealny układ. Nie mogłam tej czapki ściągnąć, bo ktoś mógłby mnie rozpoznać po włosach. Jednak z czapką, wypchanym plecakiem na plecach i płaszczem zapiętym pod szyję, by ukryć plamy krwi, wyglądałam na złodziejkę – i to, co gorsza, na straszną amatorkę. W czasach mojej świetności mogłabym wynieść połowę towaru z tego sklepu i wyjść z wysoko podniesionym czołem. Ale teraz wyglądałam podejrzanie, a gdyby ktoś chciał przeszukać mój bagaż pełen przyborów włamywacza, nie zdołałabym się z tego wytłumaczyć. Czyli musiałam działać ostrożnie. Ochroniarz przeszedł na drugi koniec alejki, zerknął na mnie bez komentarza, a ja podjęłam decyzję: *Tylko jedna rzecz. I nie wychodzę bez płacenia.*

Wybrałam opatrunki i trzymałam je przed sobą, na widoku, po czym zdecydowanie podeszłam do kas samoobsługowych, nie przystanawszy przy stoisku z gumami do żucia oraz miętówkami, z którego zgarnęłam po drodze tanią paczkę gumy Wrigley's Extra.

Przy kasie przełożyłam paczkę opatrunków do ręki, w której trzymałam gumę, upewniwszy się, że ta była pod spodem, po czym przesunęłam nimi nad urządzeniem. Czytnik zapikał, a na ekranie wyświetlił się napis: „Guma do żucia, £0,70”.

Odłożyłam gumę na wagę do pakowania, wolną ręką przytrzymując paczkę opatrunków nad nią, po czym szybko wcisnęłam na ekranie „Płatność”, na wypadek gdyby ktoś czytał mi przez ramię. Niepotrzebnie się

przejmowałam. Pracownica obsługująca kasy nie była ochroniarzem, tylko zwykłą kasjerką. Oglądała sobie paznokcie na drugim końcu kolejki i w ogóle nie patrzyła w moją stronę. Wrzuciłam funtową monetę do otworu, modląc się, żeby jej nie wypluło, a kiedy na ekranie pojawiło się „Płatność zaakceptowana”, zamknęłam oczy, nawet nie starając się ukryć ulgi.

Dostałam paragon i resztę, chwyciłam jedno i drugie, a potem zdecydowanie ruszyłam w stronę wyjścia, z wysoko uniesioną głową i odwrócona plecami do kamery. Gdy wyszłam ze sklepu, wypuściłam powietrze z płuc. Udało mi się. Ukradłam coś po raz pierwszy od prawie dziesięciu lat – i upiekło mi się. To dziwne, nie do końca przyjemne uczucie.



Łazienka była pusta, wszystkie pięć kabin stało szeroko otwartych, więc nie traciłam czasu, umyłam ręce i wyciągnęłam spod kurtki kartkę z napisem „Nieczynne”. Przyczepiłam ją do drzwi środkowej kabiny. Sklejona taśma nie chciała się rozdzielić, ale w końcu mi się udało, tylko wyszło odrobinę krzywo, a ja weszłam do kabiny. Zamknęłam za sobą drzwi, a następnie opuściłam deskę klozetową i usiadłam, podnosząc nogi i krzyżując je po turecku, żeby nie dało się mnie dojrzeć z zewnątrz.

Potem ściągnęłam kurtkę, podciągnęłam koszulkę i obejrzałam w końcu, co takiego sobie robiłam w tym ogrodzie sąsiada.

Najpierw pomyślałam, że to naprawdę *dużo* krwi. Więcej, niż się spodziewałam, i dość, żeby nieprzyjemnie przewróciło mi się w żołądku na wspomnienie Gabe'a. Ściekła mi po brzuchu i wsiąkła w dżinsy, a żebra miałam tak mocno zakrwawione, że trudno było dostrzec, co tam się w ogóle stało. Na szczęście miałam czarną koszulkę, ale kiedy jej dotknęłam, okazało się, że materiał jest sztywny i mokry.

Kiedy już oczyściłam rozcięcie śliną i papierem toaletowym, sama rana nie wyglądała tak źle – ale też niezbyt dobrze. Spojrzałam na małe, poszarpane rozcięcie, z którego sączyła się ciemna krew, i pożałowałam, że nie wiem więcej o pierwszej pomocy. To nie było zadrapanie od pnącza. Ze szczytu tego muru musiało coś wystawać, jakiś metalowy pręt albo może

odłamek szkła. Cokolwiek to było, rzuciłam się na to z taką siłą, że przebiło się przez kurtkę i bluzkę, po czym wbiło mi się w brzuch tuż pod lewym dolnym żebrem.

Bolało, ale nie tak bardzo, jak się spodziewałam, było to bardziej lekkie pulsowanie. Przede wszystkim czułam wściekłość na siebie za tę głupotę, że nie przesunęłam dłonią po szczycie tego muru, zanim na niego wskoczyłam.

Tak naprawdę potrzebowałam – i to powinnam była ukraść – czegoś do odkażania. Ale nie byłam w stanie podjąć się drugiej kradzieży, a poza tym nie mogłam sobie pozwolić na rozminięcie się z Hel. Wyciągnęłam więc tylko opatrunek z plastrem z opakowania, przycisnęłam go sobie do rany i sięgnęłam do plecaka po czystą koszulkę. A potem czekałam.

Kilka kolejnych minut mijało mi bardzo powoli. Nie miałam nawet pożyczonej komórki, więc nie byłam w stanie sprawdzić godziny, ale mimo wszystko, odliczając sekundy w głowie i nasłuchując wchodzących oraz wychodzących ludzi, byłam pewna, że minęło więcej niż dziesięć minut. Dużo więcej.

– Kurde, tu jest zawsze nieczynne! – Usłyszałam jedną dziewczynę, która najwyraźniej patrzyła na moją wywieszkę. – To jest, kurwa, jakiś absurd.

– A, bo ludzie wrzucają do kibla mokre chusteczki – odpowiedziała jej koleżanka.

Brzmiało to tak, jakby malowały się przed lustrem; głos tej drugiej był nieco zniekształcony, jak u kogoś, kto nakłada szminkę.

– Rury tego nie wytrzymują.

– Skończyłaś? Film zaczął się o wpół.

– Oj, spokojnie, zawsze jest masa reklam. Jest dopiero... – Krótka pauza.

– Dopiero za dwadzieścia.

– Tak, ale ja lubię trailery. A poza tym chcę sobie kupić colę.

– Nie zesraj się – burknęła druga dziewczyna, ale usłyszałam kliknięcie zamykanej szminki. – Proszę. Zadowolona? No to idziemy.

Kiedy drzwi do kina się otworzyły, usłyszałam muzykę, którą znów stłumiło ich zamknięcie. Powstrzymałam się od jęknięcia. Za dwadzieścia. Co takiego się stało? Czy Hel zauważyła, że ktoś ją śledzi? Ile powinnam poczekać, nim się poddam i wyjdę? Kolejne dziesięć minut? Kolejne dwadzieścia?

Minuty dalej płynęły, a ja już miałam zaakceptować porażkę i się poddać, nim sprzątaczkę przyjdą i zauważą wywieszkę „Nieczynne”, kiedy drzwi od strony centrum handlowego otworzyły się na oścież i usłyszałam znajomy cienki, piskliwy głosik.

– Ale mamusiu, *dlaczego* nie możemy kupić pączków?

– Bo ja tak powiedziałam – odwarknęła Hel. Brzmiała na zmartwioną i na taką na granicy wybuchu. – Oraz dlatego, że mają mnóstwo cukru, a wy już zjadłyście swoją przekąskę po szkole. A teraz proszę do toalety, obie.

Uchyliłam drzwi kabiny i odezwałam się ostrożnie:

– Hel?

Hel obróciła się gwałtownie, a jej twarz przebiegła cała gama różnych emocji w ciągu zaledwie paru sekund – od strachu, przez zaskoczenie, aż po głęboką ulgę.

– Jack! O Chryste. – Objęła mnie ramionami, jej głos stłumiły moje włosy. – Już myślałam, że się z tobą minęłam. Przepraszam, że tyle to trwało.

– O Boże, Hel, nie, nie przepraszaj. To ja powinnam przepraszać. Wszystko w porządku? Wszystko się udało, no wiesz, po drodze?

Czy ktoś cię śledził, chciałam spytać, ale wolałam tego nie mówić przy dzieciach. Bez sensu jeszcze niepotrzebnie je straszyć.

– Tak sobie – odparła Hel i zabujała w powietrzu dłonią. – Jestem prawie pewna, że przed domem czekał jakiś tajniak, ale urwałam im się, kiedy weszłam do przedszkola. Wyszłyśmy przez boisko, tak na wszelki wypadek. Trudno, żeby jakiś samotny gość kręcił się tam niezauważony. Ale to nie to nas zatrzymało; kiedy już się tam znalazłyśmy, nie mogłam nie zostać jeszcze z dziesięć minut na huśtawkach. Na szczęście Kitty musiała do toalety.

– Mamusiu – dobiegło z kabiny. – Zrobiłam kupę. Możesz mi wytrzeć pupę?

Hel westchnęła.

– Tak, jasne, już idę. Ale w przedszkolu dajesz sobie radę, Kitty, więc nie rozumiem, dlaczego gdzie indziej potrzebujesz mojej pomocy. Jesteś już dużą dziewczynką.

– Ja umiem sobie wycierać pupę – oznajmiła z wyższością Millie z sąsiedniej kabiny. – Zrobiłam tak dzisiaj na przerwie.

– Rany boskie – mruknęła Hel.

– Słuchaj, muszę się stąd zbierać – powiedziałam. – Przyniosłaś wszystko?

– Tak. Mam to tutaj.

Wyciągnęła reklamówkę z Tesco ze swojej przepastnej torby Cath Kidston – zwykle używała jej do pakowania zapasowych koszulek dla dziewczynek, przekąsek i prac z przedszkola.

– Przepraszam, nie mogłam przynieść więcej. Pomyślałam, że zabieranie ze sobą walizki mogłoby wzbudzić podejrzenia. Ale masz tu ubrania, śpiwór, rozjaśniacz do włosów, telefon na kartę z Tesco i dwieście pięćdziesiąt funtów. Przepraszam, nie udało mi się wypłacić więcej, przekroczyłam dzienny limit na karcie.

– Serio, *przestań* przeproszać.

Przeglądałam zawartość torby i poczułam, jak ogarnia mnie ulga, kiedy zobaczyłam, ile Hel zdołała tam upchnąć. Pod śpiworem były granatowa bluza i szara czapka, więc ściągnęłam kurtkę i czapkę z daszkiem, po czym zamieniłam je na bluzę i dzianinową czapkę. Ostrożnie schowałam czerwone pasma pod jej brzegi, z nadzieją, że nie będzie to zbyt oczywiste, iż ukrywam włosy, a potem wcisnęłam wszystko z powrotem do torby.

Z odkrytą twarzą, ale ukrytymi włosami, byłam już wystarczająco niepodobna do tej kobiety, która weszła do toalet od strony części sklepowej – pomyślałam, że na nagraniach z kamer mogę uchodzić za inną osobę.

– Zapłaciłaś za tę komórkę gotówką? – spytałam, kiedy zarzuciłam sobie na ramiona plecak, krzywiąc się trochę z bólu.

– Tak, gotówką. I za kartę SIM też; kupiłam ją w jednym z tych podejrzanych sklepów przy głównej ulicy, wykupiłam na niej kredyt w wysokości stu funtów. Słuchaj, Jack... – Chwyła mnie za rękę i spojrzała na krew, która została mi pod paznokciami. – Czekaj, czy to krew? Nic ci nie jest?

– To nic takiego, naprawdę. Tylko rozcięcie. Kurde, Hel, jesteś wspaniała.

– Mamusiu, na mojej pupie *nadal* jest kupa – dobiegło z kabiny takim dziecięcym, stanowczym tonem, typowym wyłącznie dla czterolatek. – Czy ty *kiedyś wreszcie* przestaniesz gadać?

– Powiedziałam, że już *idę* – warknęła Hel.

– Idź. – Objęłam ją znowu, tym razem ściskając mocniej, świadoma tego, że być może widzimy się po raz ostatni na... cóż, nie chciałam za bardzo

myśleć o tym, co się mogło stać, gdyby nie udało mi się tego naprawić. –
Zajmij się Kitty. Kocham cię, Hel.

– Ja też cię kocham. – Załamał jej się głos.

– Mamusiu, zaczynam liczyć do trzech – usłyszałam, kiedy otwierałam
drzwi. – I jeśli nie zdążysz mi w tym czasie wytrzeć pupy, to będę bardzo,
bardzo zła. Jeden, dwa...

Wyszłam do tętniącego życiem centrum handlowego.

Otaczały mnie setki ludzi – kupujących, sprzedawców, ochroniarzy.
A jednak jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna.

Wyszłam z centrum handlowego innym wejściem niż to, którym wchodziłam, a potem znalazłam się na ulicy i próbowałam wymyślić, co dalej począć.

Co mogłam zrobić? Powaga mojej sytuacji, potworność tego, czego się dopuściłam, kiedy wstałam i wyszłam z tamtego komisariatu, dopiero zaczęły do mnie docierać, a gdybym myślała o tym zbyt długo, ciężar mógłby mnie złamać. Byłam uciekinierką. Byłam *zbiegiem*. Wprost nie sposób w to uwierzyć.

Nagle zdałam sobie sprawę, że jestem straszliwie zmęczona. Zapewne miałam też ograniczony czas na wydostanie się z Londynu. Policja prawdopodobnie nadal jeszcze przeszukiwała moje sąsiedztwo, potem ruszy w stronę domu Hel z nadzieją, że gdzieś się wychylę, skontaktuję ze znajomymi albo wrócę na znajomy teren. Jednak prędzej czy później domyślą się, że uciekłam. I wtedy poszukiwania zostaną poszerzone, może nawet funkcjonariusze zaczną się kontaktować z innymi służbami.

Musiałam się wydostać z Londynu i udać gdzieś... w jakieś niespodziewane miejsce. A potem będę miała trochę czasu, żeby przemyśleć kolejny krok.

Problem tylko w tym, dokąd pójść. Miasta były drogie, a do tego pełne kamer i policji. Z drugiej strony społeczności wiejskie są niewielkie i szybko dostrzegają obcych, a już zwłaszcza samotną kobietę, która pojawia się znikąd w środku lutego.

W takim razie coś pomiędzy.

Ale najpierw musiałam zmienić kolor włosów.

Bez tej czerwieni byłabym po prostu zwyczajną kobietą jakoś pomiędzy dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, szczupłej budowy, ubraną w bliżej nieokreślone ciuchy, bez żadnych cech szczególnych. Na razie można było mnie rozpoznać natychmiast.

Monitoring wychwyciłby mnie od razu, a liczba miejsc, w których mogłam swobodnie nosić czapkę lub kaptur, była przecież ograniczona.

Pomyślałam przelotnie, czy nie poszukać kolejnej publicznej toalety, ale rozjaśniacz potrzebuje czasu, żeby zadziałać. Nie, lepszy byłby tani hotel. Albo jeszcze lepiej – hostel. W takim miejscu mogłabym się wtopić pomiędzy innych młodych ludzi z plecakami, którzy zatrzymują się tylko przelotnie.

Wyciągnęłam z kieszeni komórkę od Hel, odblokowałam ją i wpisałam „hostel, Londyn”. Jeden był tuż za rogiem, przyjmowali gotówkę. Zarzuciłam sobie plecak na ramię i ruszyłam.



– Zasady są takie: żadnej muzyki w sypialniach po dwudziestej drugiej – oznajmiła znudzona dziewczyna w recepcji. Mówiła z wyraźnym australijskim akcentem. – Można używać słuchawek. Żadnego alkoholu i jedzenia w sypialniach, proszę korzystać z jadalni. Zakaz palenia w całym budynku, papierosów oraz trawy. W takim wypadku *na pewno* włączy się alarm przeciwpożarowy i wylecisz, więc po prostu tego nie rób, jasne?

– Okej – odparłam. – Nie palę.

– Pewnie – odpowiedziała dziewczyna i machnęła ręką. – Pewnie, że nie palisz. Góra czy dół?

– Słucham?

– Na górnym czy dolnym łóżku?

– Yyy... chyba... na górnym?

Dziewczyna skinęła głową i położyła na ladzie plastikową kartę oraz mały kluczyk do szafki.

– Klucz do hostelu – oznajmiła, wskazując kartę. – I jednocześnie klucz do pokoju. Masz łóżko z numerem pięć.

– A to? – Podniosłam kluczyk do szafki.

– Klucz do szafki na bagaż. – Zerknęła na mój plecak. – Może ci się nie przydać. Mówiłaś, że chcesz jedną noc?

– Tak.

– Dwadzieścia cztery funty.

Wygrzebałam z kieszeni dwa banknoty z tych, które dała mi Hel. Dziewczyna pokręciła głową i przesunęła po blacie czytnik kart, po czym zastukała w niego paznokciem.

– Niestety, nie przyjmujemy gotówki.

– Co? Ale musicie przyjmować. Tak macie napisane na stronie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Widocznie jest nieaktualna. Kartą albo bezdotykowo.

– Nie mogę zapłacić kartą.

Starałam się mówić spokojnie i uprzejmie, ale czułam się, jakbym miała się zaraz rozplakać. Wydawało mi się, że nie spałam od stu lat, a jeszcze więcej czasu minęło, odkąd byłam szczęśliwa albo po prostu mogłam odetchnąć. Ja przeżywałam koszmar na jawie, a ta głupia dziuńka nie chciała przyjąć gotówki?

– Przekroczyłam limity na koncie. Mam gotówkę.

– Kartą albo bezdotykowo – powtórzyła dziewczyna.

Wpatrywałam się w nią. Nie wiedziałam, co zrobić.

– Przykro mi – dodała, ale nie brzmiało to szczerze. – Przy Maida Vale jest takie miejsce, w którym może przyjmują gotówkę.

Wyciągnęła rękę po kartę dostępu.

Popatrzyłam na nią, myśląc o długiej pieszej drodze na Maida Vale, o taksówce, na którą nie było mnie stać, oraz o policji, która nawet w tej chwili mogła śledzić Hel w drodze do domu z galerii handlowej. Co ja miałam począć, do cholery?

– Proszę – odezwał się za mną niski głos z amerykańskim akcentem.

Ktoś pochylił się ponad moim ramieniem i przyłożył swoją komórkę do czytnika. Piknęło radośnie. „Płatność zaakceptowana” wyświetliło się na ekranie.

Odwróciłam się i spojrzałam w górę. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Jakiś wysoki, czarnoskóry facet ze starannie ułożonymi loczkami stał za mną z rękoma w kieszeniach. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, wzruszył skromnie ramionami i uśmiechnął się.

– Ja... o mój Boże, to znaczy... dziękuję! – Zaczęłam się jąkać, ale nie miałam pojęcia, co powiedzieć. – Naprawdę, uratowałeś mi życie. *Dziękuję*. O, i proszę.

Wyciągnęłam do niego banknoty, ale on pokręcił głową.

– Neeee, nie trzeba.

– Ale ja nie mogę...

Próbowałam wymyślić, jak to ująć. Nie był dużo młodszy ode mnie. Jeżeli zrobił to z nadzieją na jakąś randkę czy coś... no, to była to tak żałośnie daleka perspektywa, że prawdopodobnie powinnam dać mu o tym znać. Chociaż może był po prostu dobrym samarytaninem? Jak miałam mu to zasygnalizować, żeby nie wyjść na zadufaną?

– Jestem tu tylko na jedną noc – spróbowałam. – Jeśli nie oddam ci teraz...

– Nie trzeba – powtórzył i uśmiechnął się. Poczułam, że coś we mnie pękło. – Nie musisz mi oddawać; ludzie w podróży są dla mnie dobrzy. Cieszę się po prostu, że mogę pomóc damie w opałach.

Mimowolnie odwzajemniłam uśmiech. To staroświeckie określenie brzmiało strasznie zabawnie, wypowiedziane z tym jego amerykańskim akcentem.

– Słuchaj, Ruda, zrób mi tę przyjemność i zapłać następnym razem za kogoś, kto będzie w potrzebie, dobra?

– Tak zrobię – odpowiedziałam.

Żałowałam, że nie mogę mu wyznać, ile znaczy dla mnie jego gest, ale nie mogłam niczego powiedzieć, żeby nie zwrócić na siebie jeszcze więcej uwagi.

– Dziękuję, naprawdę. J-jak się nazywasz?

– Lucius.

Wyciągnął dłoń i uścisnął moją. Miał wielką, ciepłą rękę i przez krótką, bolesną sekundę jego palce na moich przypomniały mi o Gabie.

– Lucius Doyle. A ty?

To pytanie mnie zaskoczyło.

– Słucham?

– Jak się nazywasz. – Uśmiechnął się, rozbawiony, jego szeroki uśmiech zawijał się w kąciku, jakby miał zaraz eksplodować. – *Tyle* chyba wiesz?

Cholera. Dlaczego o tym nie pomyślałam?

– K-Kate – odpowiedziałam, przypominając sobie poniewczasie imię, którego chciałam użyć na komisariacie. – Kate... Hudson.

To nazwisko pojawiło się znikąd. Nie znałam żadnych Hudsonów, ale wydawało mi się wygodnie anonimowe, trudne do zapamiętania i niebrzmiające jak pseudonim.

– Jak ta aktorka? – spytał Lucius, a ja wyobraziłam sobie, że uderzam się ręką w czoło.

Oczywiście, że jak ta cholerna aktorka. Dlatego w ogóle to nazwisko przyszło mi na myśl.

– Tak – odparłam, próbując się roześmiać. – Niestety nie jesteśmy spokrewnione. Jak się pewnie domyślasz.

– Musisz się podpisać – odezwała się dziewczyna za ladą z bardzo oczywistym ziewnięciem wyrażającym: „och, przepraszam, że wam przerywam”. – Nazwisko, adres, mejl, numer telefonu.

– Jasne – odpowiedziałam i odetchnęłam z ulgą, że pozwoliła mi się wycofać z rozmowy z Luciusem.

Byłam mu wdzięczna, ale to nie oznaczało, że mogłam sobie pozwolić na rozluźnienie, a właśnie zaistniało takie niebezpieczeństwo. Wypełniłam formularz i przesunęłam go po blacie. Wymyśliłam fikcyjny adres w Kornwalii i miałam nadzieję, że dziewczyna nie zauważy, iż kompletnie zmyśliłam kod pocztowy, bo nie znałam prawdziwego do Padstow. Byłam przekonana, że nie brzmi on EX24.

Nie spieszyłam się, starałam się pisać tak, żeby trudno było odczytać adres mejlowy i numer telefonu. Nie przypuszczałam, żeby mieli je sprawdzać, ale gdyby tak się zdarzyło, to wiarygodnie rozmazany tusz mógłby mnie uratować.

Gdy podniosłam wzrok, Luciusa już nie było.

– Mówiłam, że zaraz skończę! – krzyknęłam.

To był trzeci raz, kiedy ktoś walił do drzwi prysznic i właściwie nie mogłam mu mieć tego za złe. Siedziałam tu już od prawie godziny, bo najpierw oczyszczałam i opatrywałam na nowo rozcięcie pod żebrami na tyle, na ile byłam w stanie, a potem nałożyłam rozjaśniacz. Miało to trwać tylko pół godziny, ale czerwona farba okazała się uparta i musiałam spróbować drugi raz. Dzięki Bogu, Hel pomyślała, żeby kupić dwa opakowania. Za drugim razem pachniało to jeszcze gorzej, a teraz już nie tylko leciały mi łzy z oczu, ale nos mnie swędział i skóra na głowie zaczynała szczytać. „Nie zostawiać na włosach dłużej niż trzydzieści minut” napisano na opakowaniu. Za pierwszym razem odczekałam dwadzieścia, ale to nie wystarczyło, więc dałam sobie całe trzydzieści. Może wypadną mi wszystkie włosy. Czy łysa kobieta będzie się rzucać w oczy mniej niż taka z jasnoczerwonymi włosami? Wątpliwe.

W końcu zapikał mi zegarek w komórce, weszłam pod prysznic i nachyliłam się, żeby woda nie poleciała na świeży opatrunek na żebrach. Patrzyłam, jak kremowobiała piana znika w odpływie. Wyglądało na to, że nie odpływa z nią zbyt wiele moich włosów. Potem wyszłam spod prysznic, trzęsąc się, i spojrzałam w lustro niepewna, czego się spodziewać. Na szczęście nadal miałam włosy i czerwień wreszcie zniknęła. Z lustra popatrzyła na mnie dziewczyna z mokrymi kosmykami w jasnym odcieniu blond, wyglądała na dziwnie zaskoczoną; podobna do mnie, tylko bez kolorów.

Kiedy uniosłam dłonie, by przeczesać nimi delikatne, wilgotne pasma, zobaczyłam, że drżą mi palce. Nie jadłam od... próbowałam sobie przypomnieć. Od śniadania, a i wtedy zgarnęłam tylko kawałek tostu. Żyłam szokiem i strachem. Teraz, kiedy walenie do drzwi się powtórzyło,

podskoczyłam gwałtownie, miałam zszargane nerwy. Zdałam sobie sprawę, że muszę coś zjeść, bo inaczej zemdleję.

– Powiedziałam... – Staralam się nie szlochać, wciągając dzinsy na mokre, rozdygotane nogi. – ...że już, kurwa, *wychodzę*. Daj mi spokój.

– Ja pierdołę, to nie jest salon spa – warknęła dziewczyna stojąca za drzwiami, gdy je otworzyłam.

Była ładna i bardzo opalona.

– Kurde, w całym budynku są tylko trzy prysznice. Ludzie nie mają wstydu.

Przecisnęła się przez wąskie wejście, specjalnie zahaczając mnie po drodze ramieniem.

– Pierdol się – rzuciłam gorzko, przełykając gulę wzbierającą mi w gardle.

Chciałam... Boże, nie wiedziałam nawet, czego chciałam. Chciałam się skulić na wynajętej pryczy, zaciągnąć zasłony wokół materaca i schować się przed tym wszystkim, póki samo nie zniknie. Chciałam obudzić się nazajutrz i zobaczyć, że to był po prostu najgorszy koszmar, jaki mi się przyśnił. Chciałam się dowiedzieć, kto zrobił to Gabe'owi, i rozedrzeć tego człowieka na strzępy, kawałek po kawałku, aż wykrwawi się na śmierć, powoli i w boleściach. Chciałam wrócić do domu, wtulić twarz w pierś męża i objąć ramionami jego ciepłe, solidne ciało. Chciałam posłuchać jego serca. Chciałam *plakać*. Dlaczego nie mogłam płakać?

Tymczasem wyjęłam laptop z zamykanej szafki i zeszłam na dół do wspólnej stołówki, w bufecie kupiłam sobie chińską zupkę w kubku i zalałam ją wrzątkiem z elektrycznego czajnika stojącego w rogu, po czym usiadłam na miejscu pod oknem, żeby zjeść.

Wkładałam sobie parzący makaron do ust i starałam się ignorować przeszywający ból w boku. Nazajutrz powinnam się wydostać z Londynu, to było pewne. Ale dokąd jechać? Musiałam też skontaktować się z Hel i dać jej znać, że nic mi nie jest, przynajmniej dziś. Nie byłam tylko pewna jak. Znałam jej numer na pamięć, ale gdybym wysłała jej esemes z mojej komórki, policja mogłaby się zorientować, a kiedy już zdobędą ten numer, od razu będą w stanie mnie namierzyć.

Mogłam jej wysłać mejl – Gabe zainstalował VPN-y na wszystkich naszych laptopach, więc teoretycznie nie dałoby się sprawdzić mojej lokalizacji na podstawie mejla, o ile byłabym ostrożna. Ale musiałam

zakładać, że ostatecznie przeczytają wszystko, co wysłałam – razem z odpowiedzią Hel.

Otworzyłam laptop. Pierwsze, co zrobiłam, to wyłączyłam wszelkie usługi lokalizacji. Potem odpaliłam VPN i podłączyłam się do internetu. Serce mi waliło, kiedy zatrzymałam kursor na ikonie przeglądarki. Wiedziałam, że logicznie rzecz biorąc, VPN powinien mnie osłonić – ukrywał mnie przed wszystkimi urządzeniami podłączonymi do hostelowego Wi-Fi, a to oznaczało, że gdyby ktoś chciał sprawdzić pochodzenie mejla wysłanego do Hel, zaprowadziłoby go to do biur operatora VPN-u, ale nie dalej. Jednak, w przeciwieństwie do Gabe'a, ja nie do końca rozumiałam stojącą za tym technologię. Wiedziałam, jak działają VPN-y – przynajmniej z grubsza. Ale czy mogłam bezpiecznie otworzyć Gmaila w normalny sposób? Czy powinnam użyć Tora, anonimowej przeglądarki darkwebu, przez którą Gabe zaglądał na bardziej podejrzane fora hakerskie? Czy Gmail w ogóle działał na Torze?

Siedziałam tak dobrych pięć minut z palcem na touchpadzie, ale nie klikając, aż w końcu się poddałam i wcisnęłam przycisk. Bardzo mało prawdopodobne, żeby policja monitorowała w tej chwili pocztę Hel, a kiedy w końcu zdołają namierzyć ten hostel, to mam nadzieję, że mnie tu już dawno nie będzie.

Przejrzałam listę służbowych mejli i codziennych powiadomień, sprawdzając, czy nie ma tam czegoś ważnego. Nic mi się nie rzuciło w oczy, póki nie trafiłam na mejl otrzymany od Sunsmile Insurance – ten, od którego wszystko się zaczęło. Na jego widok przewróciło mi się w żołądku, bo przypomniałam sobie chwilę, gdy zdałam sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. Czy to naprawdę było dziś rano? Miałam wrażenie, jakbym postarzała się od tamtej pory o pięćdziesiąt lat.

Mejl czekał tam przeczytany, ale poza tym wydawał się nietknięty, choć nie miałam jak się dowiedzieć, czy policja już go sprawdziła, czy może zdążyli się już skontaktować z ubezpieczycielem. Jeżeli tak, to nie mogłam teraz już nic na to poradzić. Musiałam działać dalej, małymi krokami.

Wciąż wpatrywałam się w nieprzeczytane wiadomości, próbując wymyślić, co mogłabym szczerze napisać Hel, żeby ją pokrzepić, kiedy komputer zapikał i w rogu ekranu pojawiło się powiadomienie o nowej wiadomości.

Mój wzrok od razu powędrował w kierunku nadawcy.

Mejl był od Jeffa Leadbettera.

Przez minutę niczego nie zrobiłam. Nie otworzyłam go. Trochę chciałam – on w końcu pracował z Milesem i Malik. Mógł mieć jakieś informacje, które mogłabym wykorzystać, albo mogło mu się wymknąć coś na temat tego, jak blisko znalezienia mnie znajdowała się policja. Ale z drugiej strony chodziło o Jeffa. On *należał* do policji. Był również mężczyzną, którego od pięciu lat starałam się unikać i pragnęłam o nim zapomnieć.

Jego wiadomość przycupnęła na samej górze mojej skrzynki odbiorczej, niczym nieodpalona bomba możliwości. Co, jeśli w załączniku był wirus? Nie było tam żadnych załączników, a przynajmniej ja ich nie widziałam, ale Gabe opowiadał mi kiedyś o wykorzystywaniu do zajmowania komputera wklejonych obrazów wychodzących z wiadomości tuż po jej otwarciu. Przełknęłam ciężko. Potem przeszłam do ustawień i zaznaczyłam okienko opisane: „Zapytaj przed pobraniem załączonych obrazów”.

W końcu, z poczuciem, że robię ogromny krok na zupełnie niezbadany grunt, otworzyłam mejl od Jeffa.

No, no, no – zaczynał się.

Co za niegrzeczna dziewczynka.

Prawie go zamknęłam. Wezbrały we mnie jakieś wściekłe mdłości. Jakim cudem w ogóle spotykałam się z tym mężczyzną, i w dodatku z nim sypiałam? Robiło mi się niedobrze na samą myśl.

Ale zmusiłam się do dalszej lektury.

Zadzwoiła dziś do mnie Habiba Malik. Powiedziała, że jej współpracownik Alex odbywał bardzo ciekawą rozmowę z moją znajomą – do momentu, aż wspomniana znajoma wymknęła się z przesłuchania. Niczego nikomu nie mówiąc. A potem chłopaki z działu technicznego znalazły podobno baaarrrrdzo podejrzane rzeczy na jej komórce.

A teraz serio, Jack – masz kłopoty. Poważne kłopoty. I wiesz, że nie ma szans, żeby ci się to udało? Nie mam pojęcia, co próbujesz osiągnąć, ale nie wydaje mi się, żeby cywile zdawali sobie sprawę, jak trudno jest nie dać się złapać. Skończą ci się pieniądze, nie możesz korzystać ze swoich kart, nie możesz używać telefonu, nie ma szans, żebyś wyjechała z kraju, a jeśli to czytasz, chłopaki z technicznego pewnie już właśnie namierzyli Twój adres IP. Po prostu masz przesrane, że się tak wyrażę. Ale jesteś tego świadoma, prawda?

Posłuchaj mojej rady. Zgłoś się na komisariat. Będzie tylko gorzej, im później cię złapią. Bo NA PEWNO cię złapią. Każdego się w końcu łapie. Nie. Zgłoś się, zorganizuj sobie dobrego prawnika, przyznaj się do winy.

A właściwie dlaczego to zrobiłaś? Bił cię? Zdradzał? Trzeba było się zgłosić do mnie. Zająłbym się nim za ciebie. Oczywiście w pełni profesjonalnie, stosownie do pozycji czynnego funkcjonariusza ;)

J

Kiedy skończyłam czytać ostatnią linijkę, strach i mdłości odeszły – spaliły się w jedynej emocji, jaka mi pozostała: dzikiej wściekłości. Niewiele myśląc, wcisnęłam „Odpowiedz”, a potem zaczęłam pisać, uderzając w klawisze tak mocno, że laptop kołysał mi się na kolanach.

Jeff. Pierdol się. Poważnie. PIERDOL SIĘ. Jak w ogóle śmiesz – sam pomysł, że Gabe mógłby mnie w ogóle krzywdzić fizycznie... To do prawdy ZABAWNE.

Czy twoi przełożeni to czytają? Czy wyrazili zgodę na wysłanie takiego żalosego elaboratu z nadzieją, że wyznam ci wszystkie tajemnice, może będę błagać o ratunek albo zdradzę coś na temat swojego położenia? No to mam nadzieję, że to CZYTAJĄ, bo ja też mam coś do powiedzenia – coś, co próbowałam powiedzieć pięć lat temu, tylko nikt nie chciał mnie wtedy słuchać.

Do każdego, kto to czyta: Spotykałam się z Jeffem Leadbetterem między 20 a 22 rokiem życia. Przez przynajmniej 80% procent tego czasu traktował mnie jak szmatę, a kiedy w końcu się pozbierałam i go zostawiłam, uderzył mnie, groził mi, a następnie prześladował mnie przez pół roku. Kiedy go zgłosiłam na policję, jego koledzy zamietli to pod dywan.

Więc pierdol się, Jeff, i pierdolcie się wszyscy, którzy to czytacie. I nie, nie ma mowy, nie zabiłam mojego męża. Ale ktoś to zrobił i ktokolwiek to był, włamał się do naszego domu przez wentylator w oknie łazienki, a potem poderżnął mu gardło. Odkrycie tego zajęło mi pięć minut – wam też by tyle zajęło, gdybyście nie zajmowali się w tym czasie próbami oskarżenia mnie. Więc weźcie się do roboty, spadajcie stąd i, do cholery, ZŁAPCIE GO.

Byłam wściekła, palce trzęsły mi się ze złości, wcisnęłam „Wyślij” i patrzyłam, jak mejl odlatuje. Potem schowałam twarz w dłoniach i próbowałam się zastanowić, co takiego właśnie narobiłam i czy był to ogromny błąd.

W dużej mierze wiedziałam, że prawdopodobnie zrobiłam dokładnie to, czego policja spodziewała się w związku z tym mejlem – o ile o nim

wiedzieli. Musieli założyć, że mnie zdenerwuje – nawet ktoś, kto nie wiedział o mojej przeszłości z Jeffem, nie mógł odczytać tych prześmiewczych i protekcyjnych słów inaczej niż jako prowokację. A ja właśnie odpowiedziałam, wpadłam w pułapkę jak jakiś forumowicz łapiący się na przynętę internetowego trolla i wybuchający w odpowiedzi.

Jednak być może policja nie spodziewała się VPN-u Gabe'a – superbezpiecznego, przerzuconego przez kilka krajów znanych z braku współpracy z brytyjskimi i amerykańskimi organami ścigania.

Cóż, cokolwiek właśnie robiłam, musiałam z tym żyć. Nie dało się cofnąć tego mejla, a jeżeli *udostępniłam* im swoją lokalizację, równie dobrze mogłam przy okazji zrobić coś pożytecznego.

Świadomie odpychając od siebie myśli o Jeffie Leadbetterze, otworzyłam nowe okienko mejla i wpisałam na górze adres Hel. To była ta łatwa część, bo kiedy próbowałam wymyślić, co jej przekazać, zderzyłam się ze ścianą. „Mam się dobrze?” Przecież to nieprawda. „Nie martw się?” Zdecydowanie powinna.

Kochana Hel – wysiliłam się w końcu.

Jestem bezpieczna. Mam dostęp do mejla, ale powinnaś zakładać, że policja czyta wszystko, co tu piszesz.

Jak na razie bez sensu. Jak mogę napisać jej coś, co naprawdę miałyby znaczenie?

Pomyślałam z goryczą w gardle, że byłoby to wszystko dużo prostsze, gdybym *rzeczywiście* zabiła Gabe'a. Byłabym wtedy w gotowości, mogłabym się jakoś nastawić – miałabym gotówkę i całe mnóstwo zapasowych komórek na kartę, a do tego starannie sprawdzony protokół bezpiecznej wymiany wiadomości z Hel. A tymczasem wymyślałam go na bieżąco, tonąc w rozpacz i starając się nie spieprzyć wszystkiego jeszcze bardziej.

Wciąż jeszcze próbowałam wymyślić, co powiedzieć, kiedy znów piknęło mi powiadomienie o mejlu, przyprowadzając mnie o lekki skok adrenaliny. Czy to była już odpowiedź od Jeffa?

Ale kiedy przełączyłam się do skrzynki odbiorczej, okazało się, że nadawcą najnowszej wiadomości nie jest Jeff. Ledwo rozpoznałam to

nazwisko – Julian Archer, dawny znajomy Gabe’a. A temat brzmiał: *Wyraży współczucia.*

Kochana Jack – przeczytałam na podglądzie.

Cole Garrick przekazał mi właśnie te straszne wieści...

Zamknęłam oczy. Nie mogłam się z tym mierzyć – z tym zaskoczeniem, współczuciem, pytaniami.

Zamknęłam przeglądarkę.

Jednak coś z tej wiadomości utkwiło mi w głowie – imię Cole’a. A wraz z nim usłyszałam w uchu głos Cole’a z tego poranka, kiedy rozmawialiśmy przez jednoróżcową komórkę Hel.

Cole znał się na komputerach równie dobrze jak Gabe, a prawdopodobnie jeszcze lepiej na bezpieczeństwie telefonów komórkowych, bo tym zajmował się zawodowo. To właśnie on byłby mi w stanie powiedzieć wszystko, co potrzebowałam wiedzieć – jak można się bezpiecznie porozumiewać z Hel. Policja na pewno miała już na radarze wszystkich moich znajomych i rodzinę, ale jeśli chodzi o Cole’a, nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy dzwoniłam do niego po raz ostatni poza tym porankiem, a wtedy użyłam komórki Hel, nie swojej. Wcześniej porozumiewaliśmy się zawsze przez Gabe’a. Policja w końcu do niego dotrze, nie miałam co do tego wątpliwości, ale brakowało im powodów, by umieszczać go na szczycie listy.

Co najważniejsze, Cole był najlepszym przyjacielem Gabe’a. Jeżeli coś *rzeczywiście* chodziło mojemu mężowi po głowie przez tych ostatnich kilka tygodni, coś, czego nie był z jakiegoś powodu w stanie mi powiedzieć, to Cole był jedyną osobą, której mógł się zwierzyć. *Musiałam* ustalić, czy Gabe wykupił to ubezpieczenie na życie, czy nie, a istniała szansa – może niezbyt duża, ale zawsze – że Cole mógł coś o tym wiedzieć.

Tylko jak mogłam się z nim skontaktować, żebyśmy oboje nie znaleźli się na celowniku policji?

Wciąż starałam się coś wymyślić, kiedy przede mną rozbrzmiał niski głos.

– Hej, co się stało z twoimi włosami, Ruda?

Te słowa wyrwały mnie z zamyślenia i podniosłam głowę, lekko zaniepokojona tym, że ktoś śledził to, jak wyglądam. Potem zrozumiałam –

to był Lucius, ten gość z recepcji. Oczywiście. Po południu widział mnie jeszcze z czerwonymi włosami.

Zaśmiałam się nerwowo.

– Sama nie wiem... chyba po prostu potrzebowałam zmiany. Wiesz, jak to się mówi, blondynki lepiej się bawią.

– Rozumiem. Chociaż wyglądałaś przed chwilą bardzo poważnie. Wszystko w porządku?

To było miło sformułowane pytanie, ale jego absurdalność sprawiła, że wezbrał we mnie niemal histeryczny śmiech i istniało niebezpieczeństwo, że zaraz mi się wyrwie. Popatrzyłam na niego, zastanawiając się, co powiedzieć.

No wiesz, zastanawiałam się właśnie, jak się skontaktować z najlepszym przyjacielem mojego zmarłego męża tak, żeby nie namierzyła mnie policja. Jakies pomysły?

– Mam... mam do napisania trudny mejl – powiedziałam w końcu. – Do przyjaciela. Zastanawiałam się właśnie, jak go sformułować.

– Ach – odparł Lucius.

Uśmiechnął się tak miło, że zmrużył oczy. Zdałam sobie sprawę, że jest starszy, niż początkowo myślałam. Pewnie w moim wieku. Co najmniej.

– Wiesz co? Ja mam taką zasadę, że jeśli nie potrafię czegoś napisać, to to mówię. Zawsze się okazuje, że o ważnych rzeczach lepiej porozmawiać w cztery oczy.

W cztery oczy. Przygryzłam wargę, zastanawiając się, czy to najgłupszy pomysł, jaki w życiu słyszałam, czy może ten człowiek jest geniuszem. W cztery oczy. Wiedziałam, gdzie mieszka Cole. Wiedziałam, gdzie pracuje. Było to bardzo, *bardzo* mało prawdopodobne, że jest pod nadzorem – przynajmniej teraz. Czy mogłam po prostu... go znaleźć?

– Wiesz co... – odparłam powoli. – Wydaje mi się, że możesz mieć rację.

– Ja zawsze mam rację – odpowiedział Lucius i mrugnął. – Dobranoc... Blondyneczko.

– Dobranoc – powtórzyłam.

Kiedy zniknął na schodach prowadzących do pokoi, zamknęłam laptop, wrzuciłam plastikowy kubek po zupce do kosza i wstałam z nowym poczuciem... może nie nadziei, ale przynajmniej jakiegoś celu. Miałam plan – choć dość pobieżny.

Zamierzałam trochę się przespać. A potem odnaleźć Cole'a.

Wtorek, 7 lutego

MINUS PIĘĆ DNI

Obudziłam się z poczuciem całkowitego zagubienia. Leżałam w obcym łóżku, otoczona fioletowymi zasłonami, a pod żebrami po prawej stronie czułam tępy, pulsujący ból. Pokój był strasznie ciepły, moje włosy pachniały rozjaśniaczem i tanim szamponem, słyszałam oddechy innych ludzi.

Wtedy do mnie dotarło – byłam w hostelu, leżałam na cienkim materacu na piętrowym łóżku z zasłonkami, a moi współlokatorzy spali, co oznaczało, że prawdopodobnie było jeszcze wcześniej. Podniosłam się na poduszkach. Bolała mnie głowa, bolał mnie bok i czułam się, jakbym w ogóle nie spała, choć wiedziałam, że było inaczej. Moje sny wypełniały potworne koszmary – obrazy Gabe'a zalanego krwią, idącego chwiejnie ze złowieszczym uśmiechem i błagającego: „Proszę, pomóż mi”, podczas gdy jego rozcięte gardło świszczało przy każdym słowie. Śniły mi się wyczerpujące pościgi przez gorące centra handlowe z depczącym mi po piętach policjantem, bardzo przypominającym Jeffa Leadbettera, tylko że miał na sobie płaszcz Hel i pchał w wózku przed sobą bliźniaczki – to powinno być zabawne, ale w tym koszmarze w ogóle takie nie było.

Przez kilka chwil siedziałam, czekając, aż wszystko się uspokoi, aż przyprawiający mnie o mdłości strach ustąpi i wszystko wróci na swoje miejsce. W końcu, kiedy zrozumiałam, że lepiej już nie będzie, rozsunałam zasłony, usiadłam bokiem na łóżku i zesłam po drabince na podłogę.

Na dole ubrałam się najciszej, jak zdołałam w półmroku. Moja komórka wskazywała szóstą trzydzieści cztery. Cole wstawał wcześniej – zwykle chodził przed pracą na siłownię i najpóźniej o dziewiątej siadał w swoim biurze w Limehose. Co oznaczało, że miałam jeszcze dość czasu, by przejść przez Londyn i spotkać się z nim po drodze. Pytanie tylko, co zrobić z moim plecakiem. Był ciężki – za ciężki, żebym go nosiła ze sobą, a w schowku na bagaż pod łóżkiem byłby bezpieczny. Nie wiedziałam

jednak, czy tu wrócę – zbyt prawdopodobne było to, że wieczorna odpowiedź na mejl Jeffa okaże się dużym błędem. Ostatecznie otworzyłam schowek, wyciągnęłam plecak i krzywiąc się, zarzuciłam go na plecy.

W recepcji zostawiłam klucze na ladzie, po czym wyszłam w chłodny, wczesny poranek lutowego Londynu.



Trasa do Limehouse okazała się dłuższa, niż podejrzewałam, a kiedy zaczęłam krążyć wąskimi uliczkami Wapping, w stronę rzeki i biura Cole'a, zrobił się już duży ruch, a ja coraz bardziej się niepokoiłam.

Martwiła mnie nie tylko zbliżająca się godzina przybycia Cole'a. Jeszcze nigdy nie czułam się obserwowana przez setki, tysiące kamer monitoringu znajdujących się w Londynie – dotąd w ogóle rzadko je dostrzegałam, chyba że przy jakimś zleceniu. Teraz, kiedy chowałam się w alejkach i szybko mijałam wejścia do metra, byłam ich dotkliwie świadoma – tych małych, plastikowych soczewek, które mnie śledziły, nagrywały, przechowywały mój obraz na dysku albo przekazywały go zdalnie do jakiejś dyspozytorni w Scotland Yardzie. Jedyną zaletą – o tym starałam się pamiętać, kiedy moja paranoja narastała – była właśnie ich *ogromna* liczba. Wypatrywanie jednej osoby na tysiącach obrazów wyrzucanych przez wielką londyńską sieć monitoringu musiało przypominać nie tyle szukanie igły w stogu siana, ile konkretnego ziarenka piasku na plaży. Musiałam po prostu mieć nadzieję, że rozpoznawanie twarzy nie rozwinęło się jeszcze na takim poziomie, żeby komputery były w stanie odróżniać ludzi i skanować obrazy na podstawie pewnych danych biometrycznych. Jeszcze nie umiały tego zrobić... ale czy na pewno? Miałam wrażenie, że zaledwie wczoraj czytałam te sarkastyczne blogowe wpisy o tym, że iPhone'y nie są w stanie rozróżniać twarzy Chińczyków.

A jeśli umiały, to chwilowo nie byłam w stanie nic na to poradzić. Mogłam tylko dostać się przed biuro Cole'a i złapać go, zanim zniknie na cały dzień w środku.

Cerberus Security to firma informatyczna specjalizująca się w aplikacjach zabezpieczających telefony komórkowe. Zaczynali powoli, od aplikacji blokującej reklamy, która okazała się niespodziewanym

sukcesem. Potem przeszli do tworzenia menedżerów haseł, aplikacji antywirusowych oraz oprogramowania kierowanego do zmartwionych rodziców, którzy starają się mieć na oku swoje dzieci.

Firma mieściła się w Kynes Wharf, ogromnym, pomalowanym na czarno drewnianym budynku tuż nad Tamizą. Dawniej był to magazyn bawełny, w którym gromadzono bele z całego świata, przywożone na statkach sunących podczas przyływu w górę rzeki. Teraz przekształcono go w hipsterskie biura. Dawno temu Cerberus zajmował tylko najwyższe piętro, wtedy właśnie Cole dołączył do nich tuż po studiach. Od tamtej pory rozwinęli się tak, że zajęli cały budynek, powoli wyparli innych najemców, a Cole rozwijał się razem z nimi.

Teraz, kiedy wyszłam zza rogu, zobaczyłam niekończący się strumień młodych ludzi nadchodzących z naprzeciwka. Nie przypominali pracowników Arden Alliance – większość z nich była zbyt młoda i w większości nie nosili garniturów ani krawatów. Dobrze bym tu się wpasowała z czerwonymi włosami i w converse'ach. Nie zamierzałam jednak wchodzić do środka, w każdym razie jeszcze nie teraz. Czekałam zatem, przyglądając się nadchodzącym pracownikom, wypatrując twarzy Cole'a i starając się nie patrzeć w kanciastą kamerę monitoringu zamontowaną na samej górze wysokiej ściany, wystającą jak jakiś dziwny ptak z płataniny drutu kolczastego. Jezu. One były wszędzie. Odsunęłam się, odwróciłam twarzą do Tamizy, do jej niskiego, śmierdzącego i błotnistego nurtu, choć wiedziałam, że to głupie – gdyby policja sprawdziła nagrania z tej kamery, i tak byłoby już po wszystkim. Odwracanie się plecami w niczym nie pomoże.

Zerknęłam na komórkę, niepokój związał mój żołądek na supeł. Dziesięć po dziewiątej. Minęłam się z nim? Myśl o tym, że miałabym się odważyć na te ich wszystkie „Czy jest pani umówiona?” oraz „Czy mogę prosić o dokument tożsamości?” w recepcji nie była przyjemna.

A potem go zobaczyłam. Żołądek podszedł mi do gardła.

Szedł powoli, z opuszczoną głową, patrząc w telefon i chowając twarz pod kapturem. Jego ciemne blond włosy, przynajmniej na ile je widziałam, wydawały się mokre i nieuczesane, jakby wyszedł prosto spod prysznic na siłowni. Wyglądał na wychudzonego, nieogolonego, do tego jakby nie spał. Cole zawsze prezentował się jak główni bohaterowie seriali o nastolatkach – przystojny, świeżo ogolony, całkowite przeciwieństwo brudnego,

zarośniętego, seksownego Gabe'a. Słyszałam kiedyś, jak dwie nastolatki na lotnisku z chichotem spierały się, czy Cole to przypadkiem nie Zac Efron. Teraz wyglądał – cóż, wyglądał chyba jak człowiek, któremu brutalnie zamordowano najlepszego przyjaciela.

– Cole – odezwałam się, nie podnosząc głosu.

Podniósł głowę, rozejrzał się zaskoczony; najwyraźniej nie wiedział, skąd to wołanie. Nabrałam powietrza.

– Cole, to ja.

Zatrzymał się wtedy, tym razem popatrzył prosto na mnie, zdumiony. Potem nastąpiło rozpoznanie i na jego twarzy odmalował się szok.

– *Jack?* – Na dźwięk jego głosu znów przewróciło mi się w żołądku, tak samo jak podczas naszej rozmowy telefonicznej poprzedniego dnia. – Czy... czekaj, ty zrobiłaś coś z włosami? Ledwo cię poznałem.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Byłam sina z wysiłku, żeby utrzymać wszystko pod kontrolą.

Cole skinął głową, ewidentnie zatroskany, choć starał się tego zbyt mocno nie okazać.

– No jasne. – Machnął rękę w stronę drzwi Cerberus Security. – Wejźmy do środka.

Przez chwilę się wahałam. Czułam, że to bardzo niedobry pomysł – wejść do jego biura na oczach współpracowników, ludzi z recepcji i ochrony. Ale czy istniała alternatywa? Mieliśmy rozmawiać na ulicy? Jedno i drugie wydawało się niemożliwe.

– Czy moglibyśmy... – Przełknęłam i rozejrzałam się po ulicy, znów zerkając na kamery monitoringu oraz na ochroniarza tuż przy wejściu do biura. – Czy jest tu jakaś kawiarnia lub inne miejsce, do którego moglibyśmy pójść porozmawiać na osobności? Nie chcę... – Urwałam, niepewna, jak to wyrazić.

Chciałam przekazać, że nie zamierzałam sprawić mu kłopotów, gdyby po naszym spotkaniu policja przyszła zadawać mu pytania, ale jak mogłam zacząć od tego rozmowę?

Cole przez chwilę stał i na mnie patrzył, a pomiędzy jego ciemnymi brwiami odmalowały się zmartwienie i zdumienie.

– To zależy, na jakim stopniu prywatności ci zależy. Moglibyśmy może wrócić do mojego mieszkania?

Mieszkał zaledwie dziesięć minut od Cerberusa, w przepięknym apartamentowcu w przebudowanym magazynie tuż nad Tamizą. Kiedy nam go pierwszy raz pokazywał, Gabe jęknął, że wybrał niewłaściwy zawód. Byłoby tam cicho... i dyskretnie. Ale ta propozycja wprawiała mnie w jakiś niepokój. Taki drogi budynek na pewno ma monitoring i nie było to wcale takie mało prawdopodobne, żeby policja nie miała go już pod obserwacją. Do tego jeszcze dochodziła dziewczyna Cole'a, piękna modelka o imieniu Noemie, teraz zajmująca się sztuką. Nie chciałam jej w to wciągać, o ile byłam w stanie temu zapobiec.

– Czy Noemie tam jest? – spytałam w końcu, a Cole pokręcił głową.

– Wyjechała służbowo do San Francisco.

– Wydaje mi się po prostu, że twoje mieszkanie... – Urwałam i zerknęłam na mijających nas jego współpracowników.

Nie mogłam powiedzieć tego, co chciałam – że ściga mnie policja i jego mieszkanie wydaje się zbyt niebezpieczne. Nawet kiedy tam stałam, czułam się wystawiona na widok, nie potrafiłam tego opisać. Ale Cole najwyraźniej mnie zrozumiał.

– Wiesz co, dobra. Mam pomysł. Stary kościół tuż za rogiem. O tej porze roku nigdy go nie zamykają, wikary zostawia otwarte drzwi, na wypadek gdyby jakiś bezdomny potrzebował się ogrzać.

Pokiwałam głową, a on poprowadził mnie z powrotem w kierunku, z którego przyszedł, przez kilka wąskich uliczek, prosto na opustoszały cmentarz. Obok stał mały, zabrudzony sadzą kościółek, nad którym górowały dwa ogromne cisy. W rogu stało kilka namiotów i jakiś bezdomny przewrócił się na drugi bok w śpiworze. Miał zamknięte oczy. Zadrżałam empatycznie i wrzuciłam kilka monet – wszystkie drobne, jakie miałam – do pustego papierowego kubka koło jego karimaty. Nie poruszył się i miałam tylko nadzieję, że się obudzi, nim ktoś inny poczęstuje się tymi monetami. Potem popędziłam za Cole'em.

Nie mogłam się powstrzymać przed zerkaniem przez ramię, szukając kamer, kiedy szliśmy ścieżką pomiędzy poprzewracanymi nagrobkami, ale żadnych nie było lub też ich nie widziałam. Wysokie, drewniane drzwi wydawały się zamknięte – ale kiedy Cole popchnął je delikatnie, otworzyły się i wślizgnęliśmy się razem do kościoła.

W środku było chłodno i cicho, budynek sprawiał wrażenie prawie opustoszałego. Kiedy szłam środkiem za Cole'em, minęliśmy ławki

z prostymi oparciami stojące przed dość zakurczonym ołtarzem. Malutkie, srebrne drobinki unosiły się w słabym świetle wpadającym przez witrażowe okna.

– Skąd znasz to miejsce? – szepnęłam.

– Czasami spaceruję po tym cmentarzu w przerwie na lunch – odparł Cole.

Nie mówił tak cicho jak ja, jego głos odbił się echem od krokwi.

– Tak, wiesz, żeby się trochę oderwać od biurka. I jednego dnia taka starsza pani, która wyrzucała kwiaty, spytała, czy nie chciałbym wejść do środka i się rozejrzeć. Ale Jack, słuchaj... co się dzieje? Wszystko w porządku? To znaczy... – Urwał i przełknął. – Przepraszam, to strasznie głupie pytanie. Chodziło mi o to... ja po prostu...

Znów urwał, a ja pokręciłam głową, bo nie potrafiłam wyrazić, jak bardzo nie w porządku to wszystko było.

– Nie – odpowiedziałam w końcu. – Nic nie jest w porządku. Nie...

Cole wyciągnął do mnie ramiona, a ja się w nie wtuliłam, wciąż kręcąc głową. Czułam jego uścisk. Stałam, przyciskając twarz do jego ciepłej piersi, czując wznoszenie i opadanie jego oddechu i przewyciężając po raz pierwszy od chyba wielu dni rozdzierający ból po tym, co oboje utraciliśmy.

Staliśmy tak przez dłuższy czas, po prostu trwając w tym pustym prezbiterium. Przyciskałam czoło do jego miękkiego kaptura, czułam, jak jego ramiona i klatka piersiowa drżą od skrywanych uczuć. Zdałam sobie sprawę, że płakał, a to sprawiło, że ukłuło mnie poczucie winy. On płakał – dlaczego *ja* nie mogłam płakać? Gabe był moim mężem – dlaczego nie mogłam płakać?

– To tak cholernie niesprawiedliwe – wydusił z siebie w końcu, a głos miał ochrypy od łez i złości. – Cholera, Jack, jak my sobie poradzimy?

– Nie mam pojęcia – odparłam, czując, że gardło boli mnie z wysiłku.

Cole się wyprostował, a potem wolną ręką przetarł oczy i łyzy wsiąkły w rękaw jego szarej melanzowej bluzy z kapturem.

– Słuchaj, wiem, że pytanie cię o samopoczucie jest głupie, biorąc pod uwagę okoliczności, ale Jack, wyglądasz...

Urwał, ale wiedziałam, o co mu chodziło. Widziałam się w niewyraźnym, ochlapanym pastą lustrze hostelowej łazienki, kiedy myłam rano zęby. Sama byłam w szoku, kiedy się zobaczyłam. Niemożliwe, żebym schudła w ciągu trzech dni od śmierci Gabe'a, ale wyglądałam, jakby tak się stało –

moja koścista twarz zmieniła się ze szczupłej w wychudzoną, a rysy wydawały się bardzo delikatne i niewyraźne bez kociej kreski nad okiem.

Z białymi włosami i bez makijażu przypominałam ducha, którym właściwie byłam: byłam duchem kobiety, która zaledwie parę dni wcześniej wyjechała z Salisbury Lane do Arden Alliance. Tamta kobieta była szczęśliwa, bezpieczna, była kochającą żoną kochającego męża. Teraz żadna z tych rzeczy nie była aktualna. Byłam... To słowo wisiało dziwnie w powietrzu, niewypowiedziane na głos. Byłam *wdową*. I byłam osobą poszukiwaną.

– Cole, przepraszam, że stawiam cię w takiej sytuacji, ale nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić.

– Za co mnie przepraszasz?

Nabrałam powietrza.

– Słuchaj, muszę ci to powiedzieć od razu, żebyś mógł zdecydować, czy chcesz mi w ogóle pomóc. Bo jeśli tak...

– Jack, o *co chodzi?* Zrobię to, cokolwiek masz na myśli. W ogóle się nie zastanawiaj. Po prostu mi powiedz, powiedz mi o wszystkim.

– Jestem poszukiwana – powiedziałam wprost, niepewna, jak inaczej to ująć.

Wyszło to głośniejsze, niż zamierzałam. Te dwa słowa poniosły się echem po nawie, ścigając się ze sobą i nakładając na siebie. Gdzieś wysoko ponad ołtarzem poderwał się do lotu ptak, ostrzegawczo załopotał skrzydłami, a potem znów usiadł.

Cole zamrugał.

– Słucham? Nie zrozumiałem. Czego szukasz?

– Nie, Cole. – Ściszyłam głos. – *Ja* jestem poszukiwana. Poszukiwana przez policję. Jeżeli mi pomożesz, to możesz zostać oskarżony o współudział. I na Boga, nie mów o niczym Noemie. Nie chcę jej w to wciągać.

– Co?

Jego twarz, już i tak zaniepokojona, nagle zrobiła się biała, i przez chwilę wydawało mi się, że on zaraz zemdleje, choć to może brzmieć absurdalnie. Jeszcze nigdy nie widziałam nikogo tak niewymownie zszokowanego.

– Jesteś poszukiwana przez *policję*? Czy oni oszaleli? Co się stało?

– Myślą, że to ja zabiłam Gabe'a.

Kiedy wypowiedziałam to na głos, usłyszałam kotłujący się we mnie gorzki, histeryczny śmiech. To po prostu brzmiało jak szaleństwo. Jakim cudem w ogóle mówiłam o tym na głos?

– Nie – powiedział niemal odruchowo Cole. – *Nie*. To jest po prostu... to szaleństwo. *Nie!*

– Uważają, że kolejność wydarzeń tamtejszej nocy, którą podałam, się nie zgadza. Ale nie tylko. Znaleźli w mojej skrzynce mejl. To jest ogromna polisa ubezpieczeniowa, którą Gabe... *ktoś*... wykupił tuż przed jego śmiercią. Myślą, że to ja albo że przynajmniej o tym wiedziałam. Myślą, że *to ja* go zabiłam i że zrobiłam to dla pieniędzy.

– Polisa ubezpieczeniowa? – Cole mrugał jak ktoś całkowicie oszołomiony.
– Ale... ja nie...

Wyszukał sobie dłonią kościelną ławkę i usiadł, opuścił bezwładne ręce między kolanami, jakby próbował się pogodzić z tym, co właśnie powiedziałam. Przysunęłam się i usiadłam obok niego.

– Wiem. Wiem. Też byłam w szoku. Ale policja ma moją komórkę i wiedzę o tym ubezpieczeniu. Nie mam pojęcia, czy ktoś mnie wrabia, czy też Gabe... – Przełknęłam. Ogromnie trudno było mi wykrztusić to, co chciałam powiedzieć. – Czy Gabe... czy Gabe może sam wykupił to ubezpieczenie, bo czegoś się obawiał. O to właśnie przyszłam cię spytać. Powiedział ci coś takiego? Przed śmiercią?

– Jezu... nie. Niczego nie powiedział. Dlaczego... co...

Urwał. Jego twarz wyrażała najwyższe zdumienie.

– Jeżeli to nie on – powiedziałam to za niego – to w takim razie ktoś mnie wrabia. Rozumiesz? Ktoś zabił Gabe'a, a teraz mnie w to wrabia. To nie jest żadne włamanie, które zaszło za daleko, ani też pomyłka co do tożsamości. Ktoś przygotował zamach na Gabe'a, a teraz próbuje zrobić mnie tak, żebym to ja poszła siedzieć. A jeżeli to *Gabe* wykupił ubezpieczenie, są sporo szanse, że zrobił tak, ponieważ się tego spodziewał.

Przez dłuższy czas Cole tylko wpatrywał się we mnie, jakby nie miał pojęcia, co zrobić albo powiedzieć. Potem coś w nim zaskoczyło i wyraźnie zobaczyłam, że zmienił bieg – z miejsca stał się osobą nastawioną na rozwiązanie problemu, napędzaną adrenaliną, tak podobną do Gabe'a, że aż zabolowało mnie serce.

– Okej – powiedział. Wstał, przeszedł pomiędzy ławkami do bocznej alejki, a potem wrócił. – Okej. Więc... Zróbmy podsumowanie. Ściga cię

policja. Co wiedzą?

– Mają moją komórkę... Odblokowaną – dodałam w odpowiedzi na pytanie, którego się spodziewałam.

Cole się skrzywił.

– Nie jest to idealny układ, ale okej.

– Mają też większość urządzeń Gabe'a: komórkę, laptop i tak dalej. Dałam im te hasła, które znałam, ale nie mam wszystkich jego loginów. O, czekaj. – Przypomniało mi się coś z policyjnego przesłuchania. – Nie mają jego dysku twardego. Ktoś go zabrał.

– Ktoś *zabrał* jego dysk twardy? – Cole wydawał się równie zdumiony co ja wcześniej.

– Tak, w każdym razie go nie ma. Pytali mnie o to.

– Dysk twardy z jego głównego komputera?

– Tak.

– Brakuje czegoś jeszcze?

– Nie mam pojęcia. Nie rozglądałam się przed wezwaniem policji. Nie sprawdziłam żadnych jego sprzętów, kiedy wróciłam do domu, ale zakładam, że policja wszystko wzięła.

– Okej... – powiedział powoli Cole. – A czego potrzebujesz?

– No, mam trochę gotówki. I mam też ubrania oraz komórkę na kartę, którą kupiła mi Hel, moja siostra. Ale potrzebuję sposobu komunikacji z nią. A na dłuższą metę także miejsca do spania.

– Możesz się zatrzymać w m... – zaczął Cole, po czym pokręcił głową. – Nie, przepraszam. Głupi pomysł, sam to widzę. W końcu do mnie dotrą. Okej, nie, zacznijmy od najważniejszego. Komunikacja. Niech pomyślę...

Odwrócił się i zapatrzył we wzory rzucane przez wysokie witrażowe okna na surowe, szare flagi. Potem na mnie spojrział.

– Wydaje mi się, że najlepszy będzie Signal. To jest szyfrowanie typu *end-to-end* i ma też takie ustawienie, że wiadomości mogą zniknąć po przeczytaniu.

– Ale żeby się podłączyć do Signala, trzeba podać swój numer telefonu, prawda? A to nie jest zaszyfrowane. Więc jeżeli policja sprawdza komórkę Hel, to będą w stanie znaleźć ten numer, i wtedy będzie po mnie.

Ale Cole pokręcił głową.

– Nie. Musisz podać *jakiś* numer telefonu, ale nie musi być *twój*.

– Jak to? Przecież trzeba go zweryfikować, jestem tego pewna.

– Potrzebujesz tylko jakiegoś numeru, z którego możesz odbierać wiadomości tekstowe – odparł Cole. – Patrz. – Usiadł koło mnie na ławce, otworzył torbę na laptop i wyciągnął swojego macbooka. – Jest wiele stron, na których można to zrobić, używamy ich do narzędzi programistycznych. Generują jednorazowy numer, a niektórych z nich można używać do tymczasowego odbierania wiadomości. Więc... dobra, niech będzie ten.

Wybrał jedną stronę z wielu zakładek, chyba przypadkowo, i przeklikał. Na ekranie natychmiast wyskoczyła lista brytyjskich numerów telefonów, zaznaczył jeden i kliknął „Otwórz”.

– Dobra. Zainstaluj sobie na komórce Signal i wpisz ten numer.

Zrobiłam, jak powiedział, mozolnie wpisałam nieznany numer i przesłałam przez proces rejestracji, aż w końcu pozostała tylko weryfikacja numeru. Kliknęłam ją i kilka sekund później na ekranie komputera Cole’a wyskoczyła wiadomość.

– „Wciśnij, żeby zweryfikować”... – przeczytał na głos Cole i wykonał polecenie.

Nastąpiła chwila ciszy. Cole wziął swoją komórkę, wpisał coś, a wtedy mój telefon zawibrował i rozświetlił się ekran. Odblokowałam go. Na górze pojawiło się powiadomienie o wiadomości: „Czerwona Jaskółka, odbiór”.

Zerknęłam na komórkę w dłoni. Uśmiechnęłam się, chyba po raz pierwszy od wielu dni.

– Kurde, Cole, jesteś genialny. *Dziękuję.*

– Możesz teraz pisać z tego numeru do Hel i nie ma szans, żeby policja to wysłedziła. Czy ona ma Signal?

– Nie wydaje mi się. WhatsApp jest bardziej w jej stylu.

– No to nie martw się, jakoś jej przekażę, powiem, żeby się z tobą skontaktowała. Należy pewnie założyć, że policja może odczytywać te wiadomości, jeżeli sprawdzają jej telefon, ale nie powinni być w stanie namierzyć twojej lokalizacji.

– Dobra. I *dziękuję.* Całe szczęście, że ty się na tym znasz.

– Taka praca – odparł Cole, odrobinę ponuro. – Słuchaj, myślę o wieczorze. Chciałbym ci zaproponować moje mieszkanie...

Kręciłam głową, nim jeszcze zdążył dokończyć to zdanie.

– ...ale policji nie zajmie dużo czasu, żeby przyjść tam szperać. Za to Noemie ma mały domek. Kupiła go dawno temu, żeby tam pracować. To koło Rye, czasami spędzamy tam weekendy. Nic wyszukanego, właściwie to

tam chyba nie ma nawet centralnego ogrzewania, ale miejsce jest ciche i odcięte od świata, do tego właścicielką jest Noemie, więc to jeszcze dalszy trop. Możesz się tam zatrzymać, nim obmyślisz kolejny krok.

Jego słowa nieprzyjemnie ścisnęły mnie w żołądku – może dlatego, że były echem tych pytań, które przez całą noc zadawałam sobie na wpół świadomie: Co ja, u licha, sobie myślałam? I co teraz *zrobię*? Nie mogłam przecież uciekać w nieskończoność.

– To jest część mojego problemu – odparłam. – Na-naprawdę nie mam pojęcia, jaki będzie mój kolejny krok. Nie planowałam tego, a teraz... teraz utknęłam. Jedyne wyjście to iść dalej.

– Dalej? Dokąd?

– Muszę się dowiedzieć, kto zabił Gabe'a. – Mój głos pobrzmiwał, nawet w moim uchu, desperacją. – *Muszę*. Nic innego się nie liczy.

– Ale Jack... – Cole miał zaniepokojoną minę. – Jeżeli masz rację... jeśli to był zaplanowany atak, a nie jakiś punk, który chciał okraść Gabe'a ze sprzętu komputerowego, czy też nieudane włamanie, to ci ludzie są niebezpieczni. Możesz sama zginąć. Naprawdę nie powinnaś teraz z nimi igrać.

– Nie... Wszystko mi jedno.

Był to pierwszy raz, kiedy powiedziałam te słowa na głos, chociaż byłam blisko podczas rozmowy z Heleną. Nie wypowiedziałam ich wtedy, nawet się do nich nie przyznałam, ale mało brakowało.

– Albo to, albo gnicie w więzieniu za morderstwo człowieka, którego ko...

Nagle nie byłam w stanie mówić. Neuronione łyzy wróciły, ugrzęzły mi w gardle, uniemożliwiając wydobyć głos. Znów uderzyła mnie niczym fala gorycz tej sytuacji. Śmierć Gabe'a. Nasze życie zrujnowane. Policja ścigająca mnie za przestępstwo, którego nie popełniłam, a zabójca Gabe'a... *Zabójca* Gabe'a... Jeśli nie będę o tym myśleć, tylko iść naprzód małymi krokami – jedynie wtedy dam radę. Ale słowa Cole'a sprawiły, że podniosłam głowę, zaczęłam myśleć o swoim położeniu i o tym, co robiłam, po raz pierwszy od opuszczenia komisariatu. To wszystko było takie niesprawiedliwe, że jęknęłam.

– Jack, nie. – Cole mówił cicho, ale w jego głosie pobrzmiwała nuta przerażenia. – Proszę, *proszę*, nie mów tak. Nie mogę cię tam wysłać, żeby się zastanawiać, czy nie zrobisz jakiejś głupoty...

– Ja już *zrobiłam* głupotę – odparłam beznamiętnie. – Kiedy wyszłam z tego komisariatu. Wyznaczyłam się na podejrzaną numer jeden. Teraz liczy się tylko sprawdzenie, kto to zrobił, bo jeżeli się nie dowiem, kto zabił Gabe’a, to moje życie i tak jest skończone. Nie mam po co żyć, nie rozumiesz tego?

– Jack, *nie* – powtórzył Cole, a tym razem głos mu się załamał. – Proszę cię, nie mów tak, Gabe by nie chciał...

Urwał. Zacisnęłam oczy, czując, że grozi mi zaraz fala łez, które jakoś nigdy nie nadchodziły. Bo to było najgorsze – on miał rację. Gabe nie chciałby tego wszystkiego. Nie chciałby, żebym to robiła, żebym poddawała się jakimś pokrętnym marzeniom o zemście. Ale cóż, Gabe’a już *nie było*. Odszedł, dał się zabić i zostawił mnie tu samą. Więc nie było nikogo poza mną, kto mógłby to rozwiązać – nikogo poza mną, by podjąć decyzję o tym, co dalej.

Przez sekundę miałam przelotną, dziwaczną halucynację – przypomniałam sobie gumowe ciepło słuchawki Bluetooth w moim uchu i głos Gabe’a – niski, intymny, zawsze dotrzymujący mi towarzystwa na zleceniach.

„Dasz radę, kochanie”.

Zacisnęłam mocno pięści, aż paznokcie wbiły mi się w miękką skórę wewnątrz dłoni. Nienawidziłam go za to, że mnie okłamał.

A potem Cole znów mnie objął, otarłam twarz o jego ramię i żałowałam, jeszcze bardziej niż dotąd żałowałam, że łzy nie chcą popłynąć, że nie mogę się zatracić w szlochu.

– Jak on mógł mnie zostawić? – powiedziałam, a głos mi się załamał na ostatniej sylabie. – Jak on mógł, Cole? Dlaczego z nimi nie walczył? Dlaczego na to pozwolił?

Cole nie odpowiedział, głaskał mnie tylko po plecach, ale ja znałam prawdę. Gabe mnie zostawił, bo nie miał wyboru. Tak jak ja nie miałam wyboru, kiedy uciekłam z tego komisariatu. Nie widziałam innej możliwości.

A teraz nie miałam innej możliwości niż iść dalej i spróbować się dowiedzieć, kto to zrobił Gabe’owi. A co potem? Ale nie byłam w stanie wybiegać myślami tak daleko.

Najpierw jeden problem do rozwiązania. A potem kolejny.

Krok za krokiem.

Aż w końcu nie da się iść dalej.

Ryzykowanie na stacji kolejowej Caring Cross wydawało się... cóż, tak szczerze mówiąc, to wydawało mi się to szaleństwem. Przejście przez halę na oczach funkcjonariusza brytyjskich kolei, opartego leniwie plecami o filar, zdawało się czymś podobnym do wejścia w gigantyczną pułapkę transportu publicznego.

Ale wyglądałam, wiedziałam o tym, zupełnie inaczej niż tamta kobieta, która poprzedniego poranka zwiłała z komisariatu. Nie miałam już czerwonych włosów, a dzięki pomocy Cole'a i nożyczek z jego biurka resztę przycięłam w całkiem przyzwoitą krótką fryzurę w odcieniu jasny blond. Pożyczyłam też od Cole'a okulary przeciwsłoneczne oraz płaszcz pozostawiony przez Noemie w jego biurze – piękny, długi trenz w wielbłądzim kolorze; musiał kosztować niewyobrażalne pieniądze. Czułam to po miękkości wełny, kiedy go wkładałam. Ale Cole się uparł: musiałam go zabrać. Mogłam go zostawić w domku, jeżeli naprawdę chciałam, powiedział, ale Noemie i tak nie robiło to różnicy – nie zauważyła nawet, że od pół roku wisiał za drzwiami w jego biurze. Pod sweter włożyłam zwinięty polar, który zamocowałam sobie w pasie na kształt ciężowego brzucha – całkiem wiarygodnie to wyglądało, o ile się go nie dotknęło. Jediną niepasującą rzeczą był plecak na plecach – bardziej pasował do podróżującej studentki niż seksownej mamuśki, ale miałam nadzieję, że ujdzie.

Mijając zaciemnioną witrynę sklepową przy wejściu na stację, zerknęłam na swoje odbicie. Policja szukała czerwonowłosej uciekinierki w taniej kurtce przeciwdeszczowej. Kobieta patrząca na mnie z odbicia była dobrze ubraną ciężarną blondynką w ciemnych szklach od Dolce & Gabbana oraz płaszczu kosztującym pewnie ponad dwa tysiące. Efekt był... cóż, robiło to wrażenie, musiałam to przyznać Cole'owi. W ogóle nie przypominałam tej przestraszonej dziewczyny, która zaledwie kilka godzin wcześniej napadła

go przed jego biurem. Mimo wszystko przejście obok strażnika w wejściu to była trudna chwila.

W automacie biletowym zapłaciłam gotówką. Palce mi się trzęsły, kiedy ledwo nawigowałam po nieporęcznym ekranie dotykowym i wciskałam pogniecione banknoty do otworu. Gdy bilety się drukowały, boleśnie wolno, zerknęłam w górę na tablicę, żeby się upewnić, czy dobrze sprawdziłam godzinę odjazdu i peron. Nie chciałam wsiadać zbyt wcześnie do pociągu i ryzykować, że zostanę uwięziona w środku, jeśli coś się wydarzy. Nie powinnam też jednak ruszać zbyt późno. Zostało mi pięć minut, czyli idealnie.

Ostatni paragon został wreszcie wypluty na podajnik, a ja zgarnęłam wszystko razem i przeszłam przez bramkę biletową. Miałam ochotę schylić głowę, gdy przechodziłam pod kamerą monitoringu skierowaną na bramkę, ale wiedziałam, że to tylko jedna z wielu. Poza tym ukrywanie twarzy przyciągnęłoby tylko niechcianą uwagę. Sięgnęłam więc do kieszeni płaszcza i wyjęłam komórkę, udając, że patrzę w ekran. Kobieta osłaniająca twarz pod kamerą – wielki sygnał ostrzegawczy. Kobieta pochłonięta Twitterem w drodze na peron – nic rzucającego się w oczy.

Mimo wszystko byłam już spocona pod wełnianym płaszczem, nim wybrałam wagon, i teraz zastanawiałam się, które miejsce będzie najlepsze. To przy drzwiach, z łatwą drogą ucieczki, gdyby policja wsiadła do pociągu? Czy to w głębi, gdzie dłużej im zejdzie, zanim mnie znajdą? W sumie wolałam przy wejściu – szansa, że wsiadą akurat do mojego wagonu, wydawała się niska – ale wszystkie miejsca były zajęte.

Wciąż jeszcze nie mogłam się zdecydować, kiedy młody mężczyzna wstał z jednego z miejsc dla uprzywilejowanych.

– Proszę bardzo, kochana.

Przez chwilę mrugałam, bo nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi. Dopiero kiedy spojrzałam w dół, zrozumiałam. Mój brzuch. Miejsca dla uprzywilejowanych były przeznaczone dla osób starszych, z niepełnosprawnościami i... ciężarnych.

Poczułam, jak rumieniec wstydu wstąpił mi na pierś i powędrował w stronę policzków, chociaż po części śmiałam się z siebie. Byłam zbiegiem, uciekałam przed policją, ścigali mnie za *morderstwo*, a było mi głupio akurat z powodu sztucznego brzucha.

– Nie trzeba – odpowiedziałam, mając nadzieję, że ten rumieniec nie rzuca się zbyt mocno w oczy. – Naprawdę, przejdę dalej.

– Nie, proszę bardzo – zaproponował chłopak.

Był jednocześnie dziwnie pewny siebie i zawstydzony, co wydawało się typowe dla nastolatków. Pochylił głowę, sięgnął po swoją torbę i zaczął iść alejką, zostawiając mi wolne miejsce.

– I tak nie lubię siedzieć koło kibla – powiedział, nim drzwi się za nim zasunęły, co mnie rozbawiło.

Zostały jeszcze dwie minuty do odjazdu. Wsunęłam się na wolne miejsce i położyłam plecak na kolanach. Nie mogłam się powstrzymać przed zerknięciem za okno, na peron. Nasłuchiwałam dudnienia kroków i krzyków: „Policja! Zatrzymać pociąg!”.

Ale nikt nie przyszedł. Mijały minuty, aż w końcu zrobiła się dwunasta czterdzieści – o tej porze pociąg miał ruszyć. Nic się nie wydarzyło. Przełknęłam, świadoma, że szyja i szczeka bołą mnie z napięcia. Dlaczego? Dlaczego jeszcze nie ruszaliśmy?

Zatrzeszczał głośnik w pociągu i poczułam, jak przewraca mi się w żołądku. Zdenerwowałam się tak strasznie, aż myślałam, że zwymiotuję. Odwołali pociąg? Zatrzymali nas na „rutynową inspekcję”?

Ale wtedy, zdawało się, że po ciszy trwającej całe wieki, rozbrzmiał głos konduktora.

– Witamy na pokładzie pociągu odjeżdżającego o dwunastej czterdzieści do Ashford International, zatrzymującego się na stacjach Waterloo East, London Bridge...

Ciągnęła się litania znanych mi stacji, a obok głosu konduktora usłyszałam „piiik, piiik, piiik” ostrzegające przed zamknięciem drzwi pociągu i silniki zaczęły pracować.

– ...Headcorn i Pluckley, planowy przyjazd do Ashford International o czternastej zero zero. Przepraszamy za opóźnienie odjazdu wynikające z okrojonej liczby pracowników i mamy nadzieję, że nadrobimy ten czas na trasie. Następny przystanek...

Pociąg przyspieszał. Oddalaliśmy się od peronu. A potem wyjechaliśmy prosto w jasne, świeże powietrze słonecznego zimowego popołudnia.

Oparłam głowę o siedzenie, czując, że wypuszczam powietrze z płuc, jakby ktoś wcisnął tam przycisk zwalniający.

Udało się. Wyjechałam z Londynu.



– Może pan stanąć tutaj – odezwałam się do taksówkarza.

Zatrzymał się tam, gdzie wskazałam, i rozejrzał się z powątpiewaniem po opustoszałym parkingu. Latem było to pewnie urocze miejsce, z budką sprzedającą lody, plastikowymi wiaderkami i łopatkami. W zimne, pochmurne lutowe popołudnie wydawało się niemal wymarłe.

– Jest pani pewna?

Pokiwałam głową. Jazda taksówką była ryzykowna – dokładnie takich pytań chciałam uniknąć, ale do wyboru miałam jeszcze ośmiokilometrowy spacer z dworca w Rye przez wiejskie drogi w coraz większej ciemności, co też nie do końca do mnie przemawiało.

– Tak, jestem pewna. Umówiłam się ze znajomym.

Kierowca wzruszył ramionami.

– Osiem funtów i dwadzieścia pensów.

Pochyliłam się, odliczyłam funt po funcie resztę z opłaty za bilet kolejowy i dodałam tak niski napiwek, że od razu się zawstydziłam – ale mój zapas gotówki kurczył się boleśnie szybko, a ja nie wiedziałam, kiedy będę w stanie zdobyć więcej. Wyglądało jednak na to, że kierowca nie ma mi za złe, i mimo wiatru zamiatającego asfalt wysiadł żwawo, żeby otworzyć bagażnik i wyciągnąć mój plecak.

– Proszę bardzo, kochana. I powodzenia.

Wskazał na mój brzuch, a ja natychmiast poczułam jeszcze większy wstyd.

Odczekałam, aż wsiadł do auta i zgrzytając skrzynią biegów, zawrócił na trzy, żeby wyjechać na główną drogę, po czym się odwróciłam i zaczęłam iść wzdłuż plaży w kierunku, w którym, jak miałam nadzieję, stał domek Noemie.

Było bardzo zimno. Wiatr zamiatał piaskiem po płaskiej plaży aż na wysokość kolan, i to tak mocno, że nawet przez dzinsy czułam kłujące drobinki uderzające w moją skórę niczym maleńkie igły.

Stopy zapadały mi się w miękkie wydmy, a oczy łzawiły od wiatru, piasku i wody morskiej – przez chwilę bardzo żałowałam, że nie podjechałam taksówką pod sam domek. Ale to było zbyt ryzykowne.

Moja komórka na kartę twierdziła, że z parkingu do domku jest tylko osiemset metrów, ale wydmy ciągnęły się i wydawało się, że to znacznie, znacznie dalej, aż zaczęłam się zastanawiać, czy nie popełniłam jakiegoś błędu. Nogi miałam jak z galarety z wysiłku od przedzierania się przez grząskie piaski. Plecak na plecach sprawiał wrażenie, jakbym niosła w nim nie ubrania, narzędzia i śpiwór, tylko cegły, a rana w moim boku kurewsko bolała.

Pokręciłam głową i zamrugałam, żeby pozbyć się soli z oczu. Co się ze mną działo? To nie ja. Byłam silna, kompetentna, sprawna fizycznie. Co prawda to Gabe był tą osobą w naszym związku, która odkręcała śłoiki i wyciągała pralkę z zabudowy, kiedy odpływ się zatykał, ale to ja miałam odporność i wytrzymałość. W ubiegłym miesiącu pobiegłam w charytatywnym górskim maratonie na rzecz badań nad nowotworami. A teraz nie byłam w stanie przejść plażą?

Jednak prawda przedstawiała się oczywiście tak, że Gabe *nie był już* tą osobą. Ponieważ nie żył. Wszystkie uparte nakrętki, a właściwie to wszelkie problemy, będą należały tylko do mnie.

Znów uderzyło mnie, jakie to niesprawiedliwe, poczułam się, jakbym dostała cios w brzuch, i opadłam na wydmy, kryjąc twarz w dłoniach. Może powinnam się po prostu poddać, położyć się tu, na tej plaży, i pozwolić, by fale przyszły po mnie i zabrały mnie do morza. Bo jakie to miało znaczenie? Kto by uwierzył, że jestem w stanie zrobić to sama, zrobić cokolwiek? A co dopiero namierzyć osobę, która skrzywdziła Gabe'a. Może i potrafiłam wspinać się na mury i otwierać zamki, ale rozgryźć, kto zabił mojego męża? To zadanie dla policji. A oni mieli już podejrzanego: mnie.

Jednak nie mogłam się poddać, wiedziałam o tym. Nie mogłam tak po prostu siedzieć i użalać się nad sobą. Coś stalowego wewnątrz mnie zbierało już moje mięśnie, przygotowywało mnie, żeby wstać i iść dalej. Nie było to nawet nic świadomego – bo ta świadoma część mojego umysłu mówiła, że jestem idiotką, która powinna się poddać na miejscu. To było coś innego, coś bardzo głęboko w samym wnętrzu. Ta twarda, niezłomna część osobowości, która nie zamierzała się poddać żałobie po śmierci Gabe'a – a przynajmniej nie teraz. To dzięki niej stałam w łazience w oparach rozjaśniacza szczypiącego mnie w oczy, szorując bolącą skórę głowy, aż w końcu zniknął ostatni ślad czerwieni. To ona ponaglała mnie podczas zleceń – nie żeby oddać się w ręce ochrony, tylko żeby zrobić coś

więcej, zdobyć te dodatkowe dokumenty, nawet jeżeli Gabe mówił mi do słuchawki, że już wystarczy i mogę wracać do domu.

Cóż, nie miałam już domu. I nie było sensu z tego powodu płakać. Musiałam po prostu iść dalej.

Podniosłam się powoli, przyciskając dłoń do żeber, żeby złagodzić pulsowanie, po czym zaczęłam iść ścieżką w głąb lądu, robiło się coraz ciemniej.

Gdy szłam, wiatr ustał, ale za to w zagłębieniach wydm zaczęła się zbierać mgła, taka wirująca morska mgła, która zdawała się wypełzać na mnie z kanału. Początkowo były to tylko pojedyncze smugi, ale potem złączyły się jedną warstwę, a ta warstwa stawała się coraz grubsza, aż w końcu ledwie widziałam własną dłoń naprzeciw twarzy. Nie pomagało też włączenie latarki w komórce – zmieniała ona tylko ruchomą ciemność w białą ścianę, która z oślepiającą intensywnością odbijała snop światła latarki w moją stronę. Męczyłam się tak przez parę minut, a potem wyłączyłam ją i czekałam, aż moje oczy się przystosują.

Nie miałam pojęcia, która była godzina, kiedy zdałam sobie sprawę, że kształty w ciemności złączyły się w coś, co nie było tylko wzgórzem ani drzewem, tylko czymś większym; zdecydowanie miało to kształt budynku. Zaledwie parę kroków dalej boleśnie uderzyłam goleniem o jakiś kształt, na pewno *bardzo* twardy. Najpierw pomyślałam, że to płot, ale potem, obmacując go rękoma, zrozumiałam. Była to gruba deska, a nawet kilka desek, ułożonych jedna na drugiej. Weszłam w jakąś ławkę, albo może podniesioną grządkę, jeśli wnosić po leżącej w środku ziemi.

Ostrożnie, z wyciągniętymi przed siebie rękoma szukając drogi, podeszłam do ciemnego kształtu wyłaniającego się z mgły. Modliłam się, żeby to był domek Noemie – ale nawet gdyby nie był, zaczęłam już poważnie rozważać włamanie i przespanie się tam. Komórka mi nie pomagała – znacznik na Mapach Google przeskakiwał niezdecydowanie to kilometr w tę, to w tamtą, a żadne z jego oszacowań nie były nawet blisko tego, co Cole pokazywał mi na swoim telefonie w Londynie. „Dokładność lokalizacji: niska” informowała mnie uprzejmie aplikacja. Przypomniałam sobie swój esemes do Gabe’a: „No co ty nie powiesz”.

Ale zbliżając się do budynku, zorientowałam się, że pasował do opisu Cole’a: dach z blachy falistej, czarne ściany, musztardowe drzwi wejściowe. A potem zauważyłam coś, co rozstrzygnęło sprawę: kawałek wyrzuconego

na brzeg drewna z wyżłobionym słabo widocznym, wytartym napisem: „Bryzg fali”. Pospiesznie, niemal trzęsąc się z ulgi, sięgnęłam do kieszeni plecaka i wyciągnęłam klucz, który Cole wcisnął mi do ręki rano.

Przekręciłam go w zamku – i już byłam w środku. Zmarznięta, głodna, prawie omdlała z wyczerpania – ale byłam w środku i to na razie wystarczyło.

Dopiero dobrą godzinę później zobaczyłam jakąś wiadomość w komórce. Nie byłam pewna, od jak dawna czekała. Tyle zajęło mi rozpalenie lamp, kominka i zagrzanie czajnika wrzątku. Cole powiedział mi, że w tym domku nie ma ogrzewania. Nie wspomniał za to, że nie ma również prądu. To znaczy, *kiedyś* na pewno był; znalazłam przynajmniej dwa gniazda, a przy kanapie stała lampka elektryczna. Ale albo coś się zepsuło, albo domek został odpięty od sieci. W każdym razie długie grzebanie w zabytkowej i pięknej skrzynce z bezpiecznikami do niczego nie doprowadziło, ostatecznie musiały mi wystarczyć lampy naftowe oraz świeceki porozstawiane w różnych kątach.

W ciepłym świetle świec chatka okazała się piękna, ale bardzo mała. Było to pojedyncze pomieszczenie z wysokimi krokiewiami i z ręcznie wykończoną kuchnią, w której wzdłuż ściany stały szafki z recyklingowanego drewna, porcelanowy zlew z jednym kranem z zimną wodą oraz wintydżowym piecem z lat 50., który, jak się okazało, był zasilany z butli gazowej. Naprzeciwko stała wygodna rozkładana kanapa, a pomiędzy nimi sztalugi Noemie, mały okrągły stolik z krzesłami z giętego drewna oraz niewielki kominek. Na ścianach wisiały dzieła Noemie – rozległe, abstrakcyjne krajobrazy w morskich kolorach. Wszystko było małe, ale naprawdę piękne, pełne protestanckiej prostoty, i rozumiałam, dlaczego Noemie zachwyciła się tym miejscem. Musiało być idealne dla artysty – zupełnie ciche, poza utartymi szlakami. Miejsce, w którym naprawdę można tworzyć.

Lodówka była pusta, stała wyłączona, a jej otwarte drzwi podparto małym japońskim wazonikiem z mikołajkiem nadmorskim, ale w szafce przy tylnych drzwiach znalazłam makaron i kilka słoików pesto. Siadałam więc właśnie zmęczona przy małym stoliku z parującą miseczką

fusilli, kiedy zauważyłam powiadomienie w telefonie. Dostałam wiadomość na Signal z nieznanego numeru. Otworzyłam ją pospiesznie.

„Jack, to ja, Hel. Wszystko w porządku?”

Serce podskoczyło mi w piersi i szybko odpisałam.

„Tak! OMG, tak, w porządku. Ale to nie twój numer?”

Nastąpiła przerwa, a potem wyświetliła się wiadomość.

„Nie. C doradził mi, żebym też kupiła sobie zapasową komórkę, na wypadek gdyby policja dorwała się do mojej. Ustawiłam wiadomości tak, żeby się kasowały, ale on powiedział, że tak będzie bezpieczniej. Gdzie jesteś?”

Nastąpiła chwila ciszy, po czym telefon znów zapikał.

„Czy myślisz, że nie powinnaś mówić?”

Siedziałam, przygryzając wargę i zastanawiając się, ile mogę albo powinnam pisać. Skoro Cole był pewien, że wiadomości na Signal są bezpieczne, to ja mu wierzyłam. W końcu specjalizował się w zabezpieczeniach. I ani przez sekundę nie pomyślałam, że Hel mogłaby mnie wydać – jednak nie chciałam też stawiać jej w takiej sytuacji, żeby musiała kłamać przed policją.

„Jestem bezpieczna” – napisałam w końcu. „Zatrzymałam się w ciepłym i suchym miejscu. Prawdopodobnie nie powinnam ci więcej mówić”.

„Dobrze. Martwiłam się. Ale Jack, co zamierzasz zrobić? Tak na dłuższą metę?”

O to samo pytał mnie Cole, a teraz poczułam się jeszcze gorzej.

„Nie wiem” – napisałam. A potem zaraz wysłałam kolejną wiadomość: „Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił, ale nie mam pojęcia, od czego zacząć. Na razie moim jedynym punktem zaczepienia jest zepsuty wiatrak. To niewiele”.

„Zepsuty wiatrak?”

Odpowiedź Hel emanowała zdumieniem i zdałam sobie sprawę, że nie opowiadałam jej o włamaniu do domu oraz znalezionym pęknięciu w wentylatorze w oknie łazienki.

„Nieważne. To dłuższa historia. Ale będę potrzebowała czegoś bardziej konkretnego, żeby zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi”.

A wtedy, gdy kliknęłam „Wyślij”, coś przyszło mi do głowy. *Było* coś takiego – przynajmniej prawdopodobnie. Jeżeli miałam rację i Gabe nie wykupił tego ubezpieczenia, musiał to zrobić ktoś inny. A ten ktoś może

zostawił jakiś ślad. Problem w tym, że tego typu praca – włamywanie się do baz danych i szukanie śladów informacji – zwykle należy bardziej do Gabe'a niż do mnie. *Należała*, przypomniałam sobie boleśnie. *Należała* do Gabe'a.

„Właściwie to... jest jeden trop” – napisałam do Hel i w tym samym momencie przyszła wiadomość od niej.

„Tak się zastanawiałam...”

„Sorry, przerwałam ci”.

„Ty pierwsza :)” – odpisała z nietypową dla siebie uśmiechniętą buźką. Hel zwykle nie używała emotek, ale to w końcu nie była typowa sytuacja.

„Jaki masz trop?”

„Ok. No to... Tak sobie myślałam, że JEST jedna wskazówka. To ubezpieczenie”.

Nastąpiła długa przerwa. Niemal słyszałam, jak mózg Hel pracuje. A potem przyszła odpowiedź.

„Co masz na myśli?”

„Ktoś wykupił tę polisę. I naprawdę nie sędzę, żeby to był Gabe. To po prostu nie jest w jego stylu”.

Nie było, przypomniałam sobie gorzko. To *nie było* w jego stylu. Czy kiedykolwiek przywyknę do tego, żeby myśleć o nim w czasie przeszłym? Wydawało się nieprawdopodobne, że go nie ma, mimo że wcześniej trzymałam w objęciach jego martwe ciało.

Odpowiedź Hel piknęła mi już w komórce.

„Okej. Ale jak to udowodnisz?”

„Nie jestem pewna” – odpisałam. „Mogłabym spytać Cole'a. Może on zdołałby coś zakręcić w ich systemie, wysledzić adres IP osoby, która złożyła wniosek?”

Nastąpiła dłuższa przerwa. Potem pojawiła się wiadomość. Tylko jedno słowo.

„Może”. Niemal słyszałam to powątpiewanie po drugiej stronie. Z jakiegoś powodu się zirytowałam.

„No dobra – to nad czym ty się zastanawiałaś?”

„Cóż... nie wiem, czy to ci się spodoba...”

Znów zrobiła przerwę, a ja niemal przewróciłam oczami. Nie podobało mi się w tej sytuacji dosłownie *nic*. Trudno, żeby Hel była w stanie ją jeszcze jakoś pogorszyć.

Telefon znów zapikał.

„Ale tak się zastanawiałam... miałaś ostatnio jakieś wieści od Jeffa Leadbettera?”

„Od Jeffa?”

Przez sekundę byłam zaskoczona, zastanawiałam się, skąd, u licha, dowiedziała się o mejlu od Jeffa. Nie była... nie mogła?

„Co masz na myśli? Do ciebie też napisał?”

„Wysłał ci mejla?”

„Tak. Nie dlatego pytasz?”

„Nie, jak to napisał do ciebie mejla?”

Westchnęłam, a ten dźwięk okazał się zaskakująco głośny w małej chatce, słyszalny nawet mimo trzaskania i syczenia ognia w kominku.

„O Boże, wysłał mi taką głupią, prowokatorską wiadomość na temat śmierci Gabe'a. Zakładam, że przełożeni mu kazali. Prawdopodobnie z nadzieją, że odpowiem i zdradzę swoją lokalizację”.

Tym razem odpowiedź Hel przyszła szybko.

„I zrobiłaś to? Odpowiedziałaś?”

„Tak, ale włączyłam najpierw VPN. Nie sądzę, żeby byli w stanie z tego coś wyciągnąć”.

Nastąpiła kolejna długa przerwa. Prawdopodobnie Hel próbowała rozgryźć, czy popełniłam właśnie jakąś niewiarygodną głupotę.

„To taka wirtualna prywatna sieć” – dodałam, na wypadek gdyby Hel nie wiedziała, o czym mówię. „Ukrywa lokalizację”.

Nadal nie było odpowiedzi.

„A poza tym dlaczego pytałaś o Jeffa?” – wystukałam, żeby się dowiedzieć, o czym myślała. Te długie przerwy wprawiały mnie w niepokój. Wyobrażałam sobie, jak policja wyważa drzwi domu siostry i zabiera tę komórkę, mimo że bardziej prawdopodobne było, iż po prostu pisała jedną ręką, jednocześnie próbując położyć bliźniaczki spać.

„Hel?” – pisałam właśnie, kiedy przyszła jej wiadomość.

„Wiesz co... Może się mylę, ale powiedzmy, że ktoś zabił Gabe'a. I powiedzmy, że masz rację, że ktoś cię wrabia. Obie zakładamy, że to miało jakiś związek z Gabe'em, ale może wcale nie? Co, jeśli to miało związek z tobą?”

„Co?” Nie rozumiałam, zmęczenie ogarniało mnie do tego stopnia, że nie docierało do mnie za bardzo, co ona próbowała mi przekazać. „Hel,

przepraszam, ale będziesz musiała napisać wprost. Co masz na myśli?”

„Chodzi mi o to, że co, jeśli ktoś zabił Gabe’a nie po to, by ukarać jego, ale CIEBIE? A teraz zamierza zniszczyć twoje życie? A jedyną osobą, która jest popieprzona na tyle, by zrobić coś takiego...”

Wiadomość się urwała, ale mnie całkowicie zmroziło, bo wiedziałam, czego siostra nie napisała.

Jedyną osobą, która jej zdaniem mogła chcieć celowo zniszczyć moje życie, jedyną, która *moim* zdaniem mogła tego chcieć, był Jeff Leadbetter.

Przez długi czas nie odpowiadałam. Siedziałam tylko, próbując przyswoić sugestię Hel. To nie mogła być prawda. *Nie mogła*. A jednak... może mogła? Mandaty za przekroczenie prędkości, które pojawiały się tajemniczo znikąd. Głuche telefony po nocach. Przeszukanie przez oddział antynarkotykowy w moim starym mieszkaniu, z sześcioma uzbrojonymi policjantami, którzy wyważyli drzwi i wpadli do środka o drugiej w nocy, kiedy spałam. „Anonimowy donos, kochana” – brzmiało jedyne wyjaśnienie, jakie otrzymałam, ale znałam prawdę. Jeff. I może gdybym była innym typem człowieka, na przykład bardziej porywczym, albo nawet – Boże, broń – takim, który od czasu do czasu raczy się jointem albo odrobiną kokainy, tak jak to miało miejsce, gdy byłam młodsza – to mogłabym skończyć w więzieniu lub nawet martwa, gdyby sprawy przybrały naprawdę kiepski obrót.

Najgorsze było to przeszukanie w środku nocy i po nim wszystko trochę przycichło, wróciliśmy do głuchych telefonów i od czasu do czasu „rutynowych” zatrzymań auta. W końcu, kiedy poznałam Gabe’a i zamieszkałam z nim, ustały całkowicie. Naiwnie założyłam, że Jeff wystraszył się Gabe’a albo po prostu dał sobie spokój.

Ale co, jeśli nie? Jeśli po prostu się czał i czekał na okazję, by ukarać nas oboje?

To była nierealna myśl. Ale to samo dotyczyło się każdej innej teorii, która przychodziła mi do głowy.

Komórka znów zapikowała.

„Jack? Jesteś tam?”

„Tak, jestem” – odpisałam. „Myślę”.

„O czym?”

Szczerą odpowiedzią byłoby, że według mnie jej teoria nie ma żadnego sensu. Jeff? Gliniarz? Planujący morderstwo mojego męża tylko po to, żeby

ukarać mnie za jakieś dawne rozstanie? To się wydawało absurdalne – nie tylko dlatego, że widziałam go na komisariacie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Gabe musiał umrzeć. Z drugiej strony to *on* był jedyną osobą, która przychodziła mi do głowy i mogła żywić do nas taką urazę, i choć nawet mój logiczny umysł był w stanie wymyślić sto powodów, dla których to nie mogła być prawda, jedno pytanie wciąż pobrzmiewało zdradziecko na skraju podświadomości. Czy to była *moja* wina? Czy Gabe zginął przeze mnie?

Siedziałam tak, gapiąc się w ekran, próbując wymyślić, co odpowiedzieć Hel, kiedy wyświetliło mi się ostrzeżenie. „15 procent baterii”.

Kurde. Zupełnie zapomniałam o tym, że bez prądu nie zdołam naładować komórki.

„Słuchaj, komórka mi się rozładowuje” – napisałam do Hel. „Będę kończyć. Ale kocham cię”.

„Też cię kocham” – odpisała. „Trzymaj się, dobra?”

„Dobra”.

Nastąpiła krótka przerwa, czekałam, czy mi jeszcze nie odpisze, ale nie zrobiła tego, więc w końcu zablokowałam komórkę i po prostu leżałam, gapiąc się w oświetloną ogniem przestrzeń i próbując przyswoić to, co mi powiedziała. Im więcej o tym myślałam, tym mniej prawdopodobne się to wydawało – pewnie, Jeff był dupkiem, ale nie mordercą. I co więcej, był dupkiem z alibi – sama mogłam je potwierdzić.

Ale kiedy zamknęłam oczy, próbując zasnąć, to nie słowa Hel tkwiły mi w głowie, tylko właśnie Jeffa. Wysyczał je do mnie, kiedy pakował się tego ostatniego dnia, gdy go wreszcie na dobre rzuciłam. „Będiesz tego żałować, ty durna pizdo. Nikt nie będzie cię miał, jeśli ja nie mogę”.

Wtedy jeszcze nie sądziłam, że naprawdę tak myśli. Zrzuciłam to na gorące emocje, potraktowałam jak puste słowa rzucone przez mężczyznę z przerostem ego i nieumiejącego pogodzić się z odrzuceniem. Ale teraz... teraz Gabe nie żył. A ja nie byłam już pewna niczego.

Środa, 8 lutego

MINUS CZTERY DNI

Kiedy się obudziłam, było bardzo zimno i przez chwilę po prostu leżałam, skulona na kanapie, próbując określić, która godzina. Ogień w nocy wygasł i w kominku leżały tylko biały popiół oraz czarne węgielki. Gdy wydychałam powietrze, widziałam parę.

Zasnęłam w ubraniu, owinięta ręcznie dzierganym wełnianym kocem, co teraz okazało się dobrą decyzją. Może i byłam zmarznięta i zeszywniała, ale przynajmniej nie musiałam się ubierać.

Musiałam jednak zrobić siku – i choć długo starałam się go ignorować, ból w miednicy w końcu zmusił mnie do tego, żeby się podnieść. Bolał mnie nie tylko pęcherz. Bolało mnie wszystko. Z boku, tam gdzie miałam ranę, pulsujący ból odzywał się za każdym razem, kiedy próbowałam się obrócić na kanapie. Mięśnie ud paliły po mozolnym marszu przez wydmy poprzedniego dnia. Stopy po przejściu prawie dziesięciu kilometrów po londyńskich chodnikach do biura Cole'a, a potem jeszcze kolejnych pięciu w przeciwnym kierunku, na dworzec Charing Cross. Nawet palce miałam zeszywniałe i obolałe – prawdopodobnie od zaciskania pięści, żeby powstrzymać drżenie dłoni za każdym razem, gdy mijałam funkcjonariusza policji lub kamerę monitoringu.

Czułam się jak staruszka, wszystkie stawy mi zatrzeszczały, gdy wstałam zeszywniała z kocem na ramionach, żeby osłonić się przed chłodem poranka.

Łazienka była w malutkiej przybudówce z dachem z blachy falistej i było tam, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze zimniej niż w głównym pomieszczeniu. Skrzywiłam się, kiedy dotknęłam gołą skórą lodowatej deski, a potem siedziałam tak dłuższy czas z twarzą w dłoniach, próbując wymyślić, co dalej.

Tak naprawdę chciałam zadzwonić do firmy ubezpieczeniowej, wejść w rolę pen-testerki i spróbować wyciągnąć od nich jakieś informacje na

temat tej polisy, chociażby datę i godzinę jej założenia. Ale nie mogłam niczego działać bez naładowanej komórki. Wszystko od tego zależało.

Co oznaczało, że najpierw powinnam się zająć kwestią prądu.

Po drugie... musiałam spróbować się w jakiś sposób dowiedzieć, czy za tym wszystkim stoi Jeff Leadbetter. Po prostu nie miałam pojęcia, co z tym zrobić, a co dopiero jak tego dowieść.

Dwie kawy później i z małym ogniem trzaskającym w kominku zrobiło mi się odrobinę mniej zimno – ale wciąż nie byłam w stanie uruchomić prądu, a miałam wątpliwości, czy bez tego będę mogła tam zostać.

Wyłączyłam komórkę na noc, żeby oszczędzić baterię, ale teraz włączyłam ją z powrotem i z zaskoczeniem odkryłam, że dochodzi jedenasta. Spałam dłużej, niż sądziłam. A co gorsza, bateria miała już tylko osiem procent.

Otworzyłam Signal i napisałam do Cole'a.

„Hej, Cole, to ja. Przepraszam, że ci zawracam głowę, ale nie mogę włączyć prądu. Czy jest tu jakiś główny włącznik? Nie mogę naładować komórki i już prawie wyczerpała mi się bateria”.

Odczekałam kilka minut, żeby sprawdzić, czy odpowie, ale nic nie przyszło. Kiedy wpatrywałam się w podświetlony ekran, pasek baterii spadł od siedmiu procent i poczułam narastającą panikę. Bez jakiegokolwiek komórki będę miała przejebane. Nie zdołam nawet skorzystać z laptopa – używałam jej jako hotspota do internetu.

Kolejne trzydzieści sekund. Nadal bez odpowiedzi. Kurde. Kurde.

Poczułam pustkę w żołądku i wyłączyłam telefon.



Musiałam sobie postanowić, że będę sprawdzać, czy coś przyszło, co pół godziny, ale udało mi się zajrzeć tylko dwa razy, nim bateria całkiem umarła, jakoś między dwunastą trzydzieści a pierwszą. Później nie miałam już jak określić czasu, ale wydawało mi się, że jakieś trzy, może cztery godziny później siedziałam w bujaku na ganku dokładnie otulona wielbłądzim płaszczem Noemie i czytałam jedną z książek o curlingu, które znalazłam na gzymsie kominka. Słońce chyliło się ku zachodowi, cienie się wydłużały, a ja usłyszałam warkot silnika samochodowego gdzieś na drugim końcu drogi. Usiadłam prosto, natychmiast nadstawiłam uszu

i próbowałam ustalić, czy to dźwięk zbliżającego się, czy też oddalającego pojazdu.

Wśród odległego szumu fal początkowo trudno było to określić, ale w końcu nabrałam pewności, auto *nadjeżdżało*. Było coraz bliżej.

Ogarnął mnie lęk. Zerwałam się na nogi, rozglądałam na prawo i lewo, czułam obezwładniającą panikę. Cholera. Dlaczego się na to nie przygotowałam? Moje rzeczy były rozłożone po całym domku. Nie mogłam pozwolić sobie na to, żeby tak po prostu porzucić całą zawartość plecaka – to było wszystko, co posiadałam – ale gdybym się zatrzymała, żeby się spakować, mogłoby być za późno.

W końcu, z sercem walącym w piersi, podjęłam decyzję. Rzuciłam książkę, wbiegłam do domku, chwyciłam komórkę i to, co zdołałam złapać z reszty rzeczy, po czym wybiegłam z powrotem, kierując się na wydmy.

Potem przykucnęłam pomiędzy dwoma skarłowaciałymi krzewami.

Miałam wrażenie, że trwało to ze sto lat. Byłam teraz bliżej oceanu i niewiele słyszałam poza szumem fal, własnym tętnem w uszach i swoim zdyszonym oddechem. Wydawało mi się – choć równie dobrze mogłam to sobie wyobrazić – że dźwięk silnika zrobił się głośniejszy, a potem ustał. Ale nie byłam pewna. Za to nie słyszałam, i co do tego byłam przekonana, żeby auto odpaliło znowu i odjechało.

Czy to była policja? Czy jakiś pomocny sąsiad podjechał sprawdzić, co to za światła i dym z komina? A może po prostu listonosz?

Słońce schowało się już za linią horyzontu i robiło się strasznie zimno, wiatr się nasilał, podobnie jak poprzedniego wieczoru o tej samej porze. Wciąż kucałam, obejmując ramionami plecak, kryjąc głowę w jego klapie i starając się nie myśleć o tym, co zrobię. Nie mogłam tu spędzić całej nocy – zamarzałabym. Ale może gdyby pojawiła się mgła, mogłabym uciec? Nadal miałam na sobie ten wełniany płaszcz – i ta jedna rzecz mi sprzyjała, nie tylko dlatego, że był taki ciepły, ale też niemal idealnie wtapiał się w skropione deszczem wydmy. Gdyby naprawdę chcieli mnie znaleźć, zrobiliby to, nie miałam wątpliwości. Moja kryjówka nie była trudna do namierzenia przez porządną ekipę poszukiwawczą, a co dopiero policyjne psy, a ja w ogóle nie postarałam się o zatarcie śladów w chatce. Ale jeżeli odwiedziła mnie jedna osoba, żeby pobieżnie sprawdzić teren, to być może byłabym w stanie wymknąć się w ciemnościach, kiedy słońce już całkiem zajdzie.

Wciąż jeszcze rozważałam w głowie moje rozpaczliwe możliwości, kiedy usłyszałam jakiś dźwięk. Był to niski gwizd, właściwie nie melodia, tylko falujący riff, który od razu wydał mi się znajomy, choć nie umiałam określić, co to takiego. Nie ruszałam się z miejsca, próbując zrozumieć, co się dzieje. Czy to jakiś wieczorny spacerowicz z psem zmierzający nad morze i gwizdający po drodze? Może, ale wybór melodii był dziwny. Nie była łatwa ani rytmiczna, nie przypominała niczego, co ludzie zwykle nucą. I dlaczego wydawała mi się taka znajoma? Przyprawiała mnie o dziwne kłucie wokół serca – rodzaj smutnej tęsknoty, zupełnie nieproporcjonalnej do tych paru krótkich nut.

Nastąpiła przerwa, po czym dźwięk rozbrzmiał znowu, trochę bliżej, ale zagłuszał go co chwilę wiatr, aż w końcu nagle ogarnął mnie szok, bo poznałam tę melodię. Wiedziałam, gdzie ją wcześniej słyszałam i dlaczego dawała mi to dziwne słodko-gorzkie poczucie straty: był to początkowy riff z piosenki Talking Heads *This Must Be the Place*. A rozpoznałam ją dlatego, serce bolało mnie z tego powodu, że moje ciało ją skojarzyło, jeszcze zanim mózg zdążył posklejać te fragmenty układanki. Był to utwór, do którego tańczyliśmy z Gabe'em pierwszy taniec na naszym weselu, bujając się wspólnie na greckiej plaży pod sznurami światełek, otoczeni uśmiechniętymi przyjaciółmi i rodziną.

Tylko ktoś, kto dobrze nas znał, mógł zaintonować te pierwsze nuty. Tylko taka osoba zapamiętałaby, wiedziałaby, co ta piosenka dla mnie znaczy. Nie zastanawiając się, nie myśląc w ogóle, jakie to potencjalnie niemądre, opuściłam plecak i wstałam – a tam, dwa lub trzy piaszczyste grzbiety dalej, w zagłębieniu wydmy stał Cole. Na tle ciemnego nieba zmartwiony wpatrywał się w morze.

– Cole! – wykrztusiłam, a jego twarz natychmiast się rozpogodziła na mój widok.

– Jack! – Rzucił się przez piasek i objął mnie ramionami. – Dlaczego ty się tu, u licha, chowasz? Nie dostałaś mojej wiadomości?

– Komórka mi padła – wyjaśniłam, wyciągając ją przed siebie.

Cole przeklął.

– Tak pomyślałem, że może za późno zobaczyłem twoją wiadomość. Próbowałem do ciebie pisać, a kiedy nie udało mi się z tobą skontaktować, spanikowałem i stwierdziłem, że lepiej przyjadę. Jak wszedłem do chatki

i zobaczyłem, że brakuje połowy twoich rzeczy... – Urwał, a ja mogłam sobie tylko wyobrażać, co takiego sobie pomyślał.

– Przepraszam – powiedziałam. – Usłyszałam twoje auto i nie wiedziałam, co zrobić. Myślałam... wiesz co, nieważne.

Rozejrzałam się po coraz ciemniejszej plaży. Była pusta, ale nagle poczułam się bardzo na widoku. Świadomość, że Cole przyjechał tu swoim autem, a automatyczne rozpoznawanie tablic odnotowało każdy jego krok...

– Powinniśmy wejść do środka.

Cole pokiwał głową, podniósł mój plecak i poszliśmy przez wydmy z powrotem do chatki.

W środku Cole zapalił lampy, a ja dorzuciłam do ognia, podczas gdy on próbował rozgryźć skrzynkę z bezpiecznikami w przybudówce. W końcu się poddał i wrócił do głównego pomieszczenia, kręcąc głową.

– Nie wiem, co jest nie tak. Coś padło i wydaje mi się, że trzeba by tu kogoś z prawdziwymi kwalifikacjami, żeby to naprawić, ale wiesz co? Przywożem ci powerbank, możesz przynajmniej naładować komórkę.

Wyciągnął z kieszeni coś, co wyglądało jak kanciasty telefon, i podał mi to, a ja z wdzięcznością wyszperałam z plecaka ładowarkę i podłączyłam swoją komórkę.

– Na ile ładowań wystarczy? – spytałam, kiedy pasek baterii zaczął uspokajająco podnosić się do góry.

Cole wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale mnie wystarczy na przynajmniej cztery ładowania, a jeszcze przed wyjazdem mogę ci go podładować w aucie.

– Boże. – Usiadłam na kanapie. – Muszę ci coś powiedzieć. Cole, cieszę się, że cię widzę, ale... myślisz, że to był dobry pomysł, przyjeżdżać tu autem? Co, jeśli ktoś cię śledził?

Cole znów wzruszył ramionami, tym razem z żalem.

– No wiem. Po prostu... Spanikowałem, kiedy nie mogłem się z tobą skontaktować. Cały czas myślałem, co poczniesz, jeśli utkniesz w tej chatce bez prądu i bez żadnej możliwości wezwania pomocy. A potem zacząłem myśleć, że zostałam prawie bez jedzenia i w ogóle jakichkolwiek zapasów. Chyba po prostu zdałem sobie sprawę, jaki to był głupi plan.

– Chyba żartujesz. – Podeszłam do niego do stołu i położyłam mu dłoń na ramieniu. – To był świetny plan. I jestem ci cholernie wdzięczna za to, że

wydostałeś mnie z Londynu. Po prostu... po prostu się martwię, że gdyby policja miała cię pod obserwacją... – Urwałam.

Cole potarł sobie smutno twarz.

– No wiem. Wiem. Ale słuchaj, nie wydaje mi się, żeby ktoś mnie śledził. To znaczy, jestem tego pewien. Te wiejskie drogi na końcu... to są jednopasmówki, którymi przejeżdża jedno auto na godzinę. Nie da się tu nikogo śledzić tak, żeby cię nie zobaczył. A z autostrady zjechałem koło Maidstone, dalej automatyczne rozpoznawanie tablic nie sięga. Tylko że... Jack, jeśli oni naprawdę zaczną szperać, znajdą to miejsce. Należy do Noemie, ale to ja płacę większość rachunków i jestem prawie pewien, że widnieję tu jako płatnik podatku. Przyjeżdżam tu latem praktycznie co weekend. Naprawdę nie zajmie im to długo. To było tylko tymczasowe rozwiązanie. Jeśli chcesz, żeby nikt cię nie namierzył, potrzebujesz miejsca zupełnie niezwiązanego z żadnym z nas.

Znużona pokiwałam głową. Wiedziałam, co miał na myśli. Ale nie zamierzałam tak długo uciekać. Nie byłam w stanie.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważył Cole. – Jadłaś coś?

– Tak – odpowiedziałam, choć nie była to do końca prawda.

Poprzedniego wieczoru pochłonęłam ten makaron z pesto, na śniadanie batonik musli, a potem próbowałam zjeść resztę zimnego makaronu na lunch, ale zrobiło mi się od niego jakoś niedobrze. Teraz nagle poczułam wielki głód.

– Przywiozłem jedzenie – oznajmił Cole, wstając. – I wino. Ugotuję ci cholernie dobry obiad. Chciałbym, żebyś sobie posiedziała i kompletnie nic nie robiła, przez parę godzin poudajemy, że nic się nie wydarzyło, dobra?

– Okej – zgodziłam się.

Poczułam gulę w gardle – może dlatego, że Cole był taki miły, a może po prostu zdałam sobie sprawę, jak bardzo, *bardzo* chciałam, żeby to była prawda.

I przez dwie kolejne godziny właśnie tak robiliśmy. On gotował – jakieś wspaniałe wytrawne danie ze smażonej czerwonej papryki, makaronu i mnóstwa miso, a ja siedziałam przy stole, pilnowałam ognia i piłam jedwabiste czerwone wino przywiezione przez Cole'a, aż zaczęło mi szumieć w głowie i wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni, przykryła dziwna patyna nierealności.

Gdy Cole podał jedzenie, wciągnęłam cały talerz, a potem jeszcze zjadłam połowę ogromnej dokładki, którą natychmiast mi zaserwował. Później się rozsiadłam i poczułam się taka pełna, że ledwo byłam w stanie myśleć. Sięgnęłam po butelkę.

– Boże, właśnie zdałem sobie sprawę, że chyba wypilem za dużo, żeby pojechać autem – zauważył Cole, kiedy się nachyliłam, żeby najpierw dolać do jego kieliszka, a potem do mojego.

– Nie wygłupiaj się. To twój dom. Powinieneś zostać.

– Jesteś pewna? – Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. – To znaczy, technicznie rzecz biorąc, ten dom należy do Noemie. – Popatrzył na dywan przed kominkiem, a ja widziałam, że zastanawia się, jak będzie mu zimno o drugiej w nocy, kiedy będzie spał owinięty własnym płaszczem. – Mógłbym chyba się przespać w aucie.

– Cole, zostań tutaj. Ta kanapa jest dla dwóch osób. To nie będzie pierwszy raz, kiedy będę waletować z kumplem. Poza tym... – Uśmiechnęłam się po raz pierwszy od, jak mi się zdawało, wielu dni. – Może nawet obudzę się jutro i będę czuła palce, jeśli będzie tu ktoś, kto mnie trochę ogrzeje.

– Dobra – odparł Cole, choć trochę z oporem. – Ale rano będę musiał wcześniej wyjechać. O dziesiątej mam spotkanie w Londynie.

– W porządku. – Powstrzymałam ziewnięcie. – Jestem wykończona. Pewnie zasnę w dziesięć minut.

– Naładował ci się telefon? – spytał Cole, wstając i zaczynając sprzątać naczynia.

Pokiwałam głową i włączyłam go, trochę z nadzieją, że zobaczę tam wiadomość od Hel, ale niczego nie było – tylko cztery wiadomości od Cole'a, każda kolejna bardziej zaniepokojona, tuż po tym, jak padła mi komórka, z pytaniami, czy wszystko w porządku, i sygnalizującymi, że chce do mnie przyjechać.

Ale kiedy pomyślałam o Hel, coś sobie przypomniałam – naszą rozmowę z poprzedniego wieczoru.

– Cole – odezwałam się. – Bardzo cię przepraszam, ale muszę cię prosić o kolejną przysługę.

– Jack...

Odstawił talerze do zlewu i przyszedł usiąść obok mnie, z poważną miną. Ujął moją dłoń, objął ją ciepłymi i delikatnymi palcami.

– Proszę, na Boga, przestań mnie przepraszać. Ja *chcę*, żebyś mnie prosiła, nie rozumiesz tego? Chcę pomóc. Zrobiłbym wszystko, *wszystko* dla Gabe'a. Więc proszę. O cokolwiek chodzi, powiedz mi o tym. A jeśli dam radę to zrobić, zrobię.

– Właśnie chodzi o to, że nie wiem, czy dasz radę – odparłam, a potem opowiedziałam mu o teorii Hel na temat Jeffa oraz o moich własnych podejrzeniach co do polisy ubezpieczeniowej.

Gdy mówiłam, twarz Cole'a stawała się coraz poważniejsza, a kiedy skończyłam, wyglądał na bardzo zmartwionego.

– Nie podoba mi się to.

– Ale myślisz, że to mogłaby być prawda?

– Tak. Cholera. To znaczy, nie jest dobrze. Już gdyby chodziło o pomyłkę tożsamości, jakieś nieudane włamanie, byłoby wystarczająco niedobrze. Ale jeśli Hel ma rację, Jack, to ten gość jest psychopata. Możesz być w prawdziwym niebezpieczeństwie.

– To nie wszystko – dodałam z pewnym oporem, a potem powiedziałam mu o tym mejlu od Jeffa i mojej impulsywnej odpowiedzi. – Myślisz, że źle zrobiłam? To znaczy, odpisując mu?

Cole pokręcił głową.

– Nie wiem. Boże. No... szczerze mówiąc, nie było to pewnie najmądrzejsze, ale Gabe potrafił postawić dobry VPN, a jeśli to sprawi, że współpracownicy Jeffa zaczną się nim bardziej interesować...

– Czyli myślisz, że Hel *ma* rację?

Cole wyglądał na zaskoczonego.

– Cóż... chyba tak? A ty nie?

– Nie wiem – odpowiedziałam. Głowę miałam ociążałą, czułam się głupia, a od całego tego jedzenia i wina trudno mi było logicznie myśleć. – Po prostu... rozumiem jej punkt widzenia. Tak jak powiedziała: w takich przypadkach prawie zawsze chodzi o byłych małżonków, małżonków i byłych partnerów. A Jeff jest moim jedynym ważnym byłym, a już na pewno jedynym, z którym rozstałam się w złej atmosferze. Ale po prostu... Sama nie wiem, Cole, po prostu *nie czuję*, żeby on mógł zrobić coś takiego. Poza tym był na komisariacie mniej więcej w tym samym czasie co ja.

– Mógł kogoś zatrudnić – zauważył Cole. – W końcu jest policjantem. Musi znać odpowiednich ludzi, z którymi da się dogadać.

– Nie chodzi tylko o to... ale po prostu to wszystko, to wykupienie ubezpieczenia. Mam wrażenie, że to zbyt złożone. Chciałabym wiedzieć, o co tu chodzi. Kto je wykupił i czy to naprawdę ma jakiś związek z morderstwem. Da się to jakoś sprawdzić?

– Może – odparł Cole. Potarł sobie skronie. Wyglądał, jakby intensywnie myślał. – Kurde, naprawdę to Gabe lepiej się znał na takich rzeczach. Najłatwiej byłoby zdobyć materiały policyjne, sprawdzić, czy nie ma tam jakichś błędów, czegoś wskazującego na to, że to nie Gabe wykupił polisę. W takim przypadku może tyle by wystarczyło, żeby policja przyjrzała się temu od drugiej strony. Gdyby zdołali zdobyć adres IP tej osoby, która wykupiła ubezpieczenie... Jak myślisz, czy Jeff jest dość sprytny, żeby użyć VPN-u?

– Nie wiem. – Bolała mnie głowa. – On nie jest zbyt zaawansowany technologicznie. Wydaje mi się, że dostałam dokumenty od tej polisy. Zaczekaj.

Otworzyłam laptop, odnalazłam mejl wysłany przez ubezpieczyciela i kliknęłam, żeby przejrzeć załączniki. Ten oznaczony *Skrót polisy ubezpieczeniowej* wyglądał najbardziej obiecująco, otworzyłam go.

Na moim ekranie pojawił się długi dokument PDF, przewinęłam go i przejrzałam strony wypełnione żargonem prawniczym w poszukiwaniu informacji na temat Gabe'a. Znajdowało się tam jego imię i nazwisko, włącznie z drugim imieniem, wszystko się zgadzało. Wzrost. Waga. Zawód. Data urodzenia, w porządku. Sporadyczne spożycie alkoholu. Niepalący – cóż, to nie była do końca prawda. Gabe lubił czasem zapalić jointa. Ale rzeczywiście nie palił papierosów, a poza tym nie byłam pewna, czy sam przyznałby się w polisie ubezpieczeniowej do tego, że czasem lubi się zaciągnąć. Nie wydawało się to takie istotne. Ale było tam *dużo* informacji, wszystkie poprawne i nie miałam pojęcia, jak Jeff mógłby znać choć połowę z nich.

– To nie był Jeff – powiedziałam na głos. – To niemożliwe. Są tu informacje, których nie mógł zdobyć. No bo ile osób wiedziało, że Gabe ma na drugie imię... – Urwałam boleśnie i poprawiłam się: – Miał na drugie Charles?

– Od tego jest phishing – zauważył z powątpiewaniem Cole, ale pokręciłam głową.

– Mówiłam ci, Jeff nie jest taki obcykany. Nie chodzi tylko o to, że nie ma umiejętności informatycznych; on chyba nie myśli w taki sposób. W jego stylu jest raczej wykorzystanie znajomości.

– Czekaj. – Cole odstawił szklanę. – Chwileczkę. Znajomości Jeffa. A co z policyjnymi bazami danych?

– To znaczy?

– Ten Jeff... On jest policjantem, tak? A Gabe...

– Był aresztowany w wieku siedemnastu lat – dokończyłam, bo nagle dotarło do mnie, do czego zmierza Cole. – Kurwa. Ale on był wtedy nieletni. Myślisz, że to nadal może być w systemie?

Cole wzruszył ramionami.

– Szczerze? Nie mam pojęcia. Wiem, że tego typu wyrok po pewnym czasie zostaje uznany za przedawniony, ale przypuszczam, że jest gdzieś odnotowany. A ktoś taki jak Jeff mógłby to pewnie sprawdzić. Nie wiem, jakie dane sobie tam zapisują, ale data urodzenia, wzrost i takie tam na pewno. Jeśli chodzi o wagę, to... no cóż, Gabe przybrał trochę od czasu, jak skończył siedemnaście lat, ale wystarczyłoby na niego spojrzeć, żeby to oszacować. Co do reszty...

– A co do reszty, pewnie można po prostu to dość trafnie odgadnąć. Cholera.

Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, poczułam się, jakby ktoś polał mi kark zimną wodą. Powinnam się czuć... może nie radosna, ale przynajmniej powinnam odczuwać jakąś ponurą satysfakcję, że być może zbliżyłam się do odkrycia, co się przydarzyło Gabe'owi i kto to zorganizował. Ale tak nie było, ogarniało mnie wszechogarniające przerażenie. Bo jeśli to *rzeczywiście* był Jeff, prawdopodobieństwo rozwiązania tej sprawy przez policję zmieniało się z niskiego w praktycznie zerowe.

Nie chodziło o to, że moim zdaniem Malik i Jeff ze sobą współpracowali – nie do końca. Nie umiałam sobie wyobrazić, żeby surowa, zdecydowana Malik siedziała pochylona z kolegą z pracy i przygotowywała z nim plan morderstwa niewinnego faceta oraz aresztowania jego dziewczyny. To po prostu nie brzmiało wiarygodnie. Ale sama myśl, że może nie będą zbyt mocno się starali prowadzić śledztwa na własną rękę, że być może potraktują z pewnym sceptycyzmem zeznania niestabilnej, histeryzującej dziewczyny, która ma na koncie kilka „fałszywych” zgłoszeń... tak. To już się wydawało całkiem prawdopodobne.

– Jeśli to prawda – odezwałam się beznamiętnie – to jak to, do cholery, udowodnię?

– Słuchaj.

Objął mnie, a ja poczułam to samo pragnienie co poprzedniego dnia, nim przytulił mnie w tamtym kościele. Pragnienie, by oprzeć twarz na jego piersi i zapłakać, tak jak bym zrobiła przy Gabie. Tylko że wciąż nie byłam w stanie płakać. Nie udawało mi się rozluźnić na tyle, żeby płakać.

– Jack – usłyszałam jego głos koło mojego ucha.

Ciepło jego ciała, jego wzrost, jego podobieństwo do Gabe'a, mimo różnic – to wszystko sprawiło, że poczułam gulę w gardle.

– Będzie dobrze.

Staliśmy tak przez długi czas, Cole mnie obejmował, ja przyciskałam policzek do jego piersi, słuchając bicia jego serca. Po raz pierwszy od wielu dni czułam się... bezpieczna. Ale wiedziałam, że to tylko złudzenie. Cole nie mógł mnie ochronić przed tym, co mnie czekało, tak jak Gabe nie zdołał uchronić siebie.

– Nie sądzę – szepnęłam.

– Jack. – Cole dotknął mojej brody i przechylił moją twarz, żebym na niego spojrzała. – Posłuchaj mnie, wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Chciałam mu wierzyć. *Tak bardzo* chciałam mu wierzyć.

Niestety oboje wiedzieliśmy, że to bzdura. Cole nie mógł mi tego obiecać. A najgorsze już się wydarzyło. Gabe nie żył. Jeśli zostanę skazana za zamordowanie go... Cóż, to byłaby już tylko wisienka na tym głównianym torcie.

Stałam w milczeniu, patrzyłam na niego, na zmarszczone brwi, ciemne blond włosy, zmartwione niebieskie oczy, które stały się granatowe w tych ciemnościach oświetlonych jedynie blaskiem świec. Położył mi dłoń na policzku.

A potem pochylił się i mnie pocałował.

Przez chwilę myślałam... nie wiem. Pomyślałam, że może to był gest współczucia, delikatny braterski pocałunek, który miał wylądować na moim policzku lub czole, ale niechcący trafił na usta. Ale wtedy jego wargi się rozchyliły, dłonie objęły twarz, a ja zdałam sobie sprawę, że *naprawdę* mnie całował. Tak prawdziwie, jego rozchylone usta na moich, jego język pomiędzy moimi wargami. I przez sekundę, dziwną, otępioną winem

i przepełnioną tęsknotą sekundę, pozwoliłam mu na to. Nie, nawet więcej, jeśli mam być w pełni szczerą – nie tylko pozwoliłam Cole’owi się pocałować. Odwzajemniłam ten pocałunek.

Jednak potem coś się we mnie odezwało, jakieś poczucie, że było to dogłębnie, kompletnie niewłaściwe, nawet jeśli bardzo pragnęłam, by ktoś mnie objął i przycisnął swoje ciało do mojego. Tak, pragnęłam kogoś – pragnęłam ust, ciepła, miękkości nagiej skóry – ale nie chciałam kogokolwiek, tylko *Gabe’a*.

– Nie – powiedziałam najpierw niewyraźnie; to słowo stłumiły usta Cole’a.

Jednak potem powtórzyłam gwałtowniej i odepchnęłam rękoma jego twardą pierś.

– *Nie!* Cole, nie chcę tego!

Cole zatoczył się do tyłu, jakbym uderzyła go w twarz, choć tak naprawdę nie popchnęłam go wcale mocno.

– Przepraszam – powiedział, jakby zdumiony, chociaż nie wiedziałam, czy moim zachowaniem, czy swoim. – Boże, przepraszam... to wino... po prostu...

– W porządku – odparłam cierpko, choć wcale nie byłam tego taka pewna. – Oboje byliśmy... Słuchaj, rozumiem. Piliśmy, oboje jesteśmy w żałobie...

Ścisnęło mnie w gardle. I naprawdę czułam, że tak mogło być, zarówno w jego przypadku, jak i moim. Rozumiałam, jak ta tęsknota, rozpacзлиwa tęsknota za *Gabe’em*, mogła spowodować, że zwróciliśmy się do osoby, która była najbliżej niego. Ale Cole był z Noemie, a ja... Kim ja w ogóle *byłam?* Wdową po jego najlepszym przyjacielu?

– Przepraszam – powtórzył.

Wyciągnął do mnie rękę, ale odruchowo zrobiłam krok w tył, a on się skrzywił, jakbym go zraniła.

– Bardzo przepraszam. Prześpię się w aucie.

– Nie wygłupiaj się – odpowiedziałam. – Zamarzniesz.

– Włączę ciepły nawiew.

– Nie możesz włączyć nawiewu na całą noc, akumulator ci się rozładuje. Przestań, Cole. Jesteśmy oboje dorośli, popełniliśmy... – *Popętniłeś*, pomyślałam, choć nie powiedziałam tego na głos, w końcu prawda była taka, że przynajmniej na początku ja też go całowałam. – *Popętniliśmy*

błąd. Nie musimy pozwalać na to, by zrujnował on naszą przyjaźń. Mam śpiwór... Prześpię się na podłodze.

– Nie – zaprotestował zdecydowanie Cole. – Nie, jeśli już ktoś musi spać na podłodze, to ja. Przepraszam... Byłem... Nie wiem, co sobie myślałem, Jack. Byłem po prostu zagubiony. I...

Urwał.

– Tak? – dopytałam.

Czułam się... sama nie wiem. Zagubiona, ale też było mi go szkoda. Ale on pokręcił głową.

– Nieważne. – Wyciągnął z kieszeni komórkę, zerknął na nią i westchnął.
– Wiesz co, jest prawie północ. Prześpijmy się trochę. I ja prześpię się na podłodze, okej? Nie chcę już więcej o tym słyszeć.

Przez chwilę miałam ochotę się z nim jeszcze spierać, ale potem się poddałam i pokiwałam głową. Cole miał wrócić na drugi dzień do domu, do swojego porządnego łóżka i materaca. Nic mu nie będzie, jeśli jedną noc spędzi na podłodze.

– Okej.

Przez kilka kolejnych minut milczeliśmy, Cole rozwinął mój śpiwór na podłodze, a ja przygotowałam kanapę. Poprzedniej nocy nie próbowałam jej rozkładać; po prostu przespałam się na złożonej, a teraz mechanizm ciężko chodził. Działała hałaśliwie, wysunęła się niespodziewanie i uderzyła mnie w żebra. Nie był to mocny cios, ale trafił akurat w to miejsce, gdzie rozcięłam się wcześniej na murze. Przeszyła mnie gorąca fala bólu, krzyknęłam i upuściłam część kanapy, żeby złapać się rękoma za opatrunek.

– Jack? – spytał Cole i wyprostował się zaskoczony nad śpiworem. – Co... wszystko w porządku?

Nie mogłam mówić. Stałam tylko z ręką przyciśniętą do boku, poruszyłam głową, choć nie było to ani przytaknięcie, ani zaprzeczenie, i starałam się nie jęczeć z bólu.

– Jack, co, do cholery? – Cole podszedł, teraz już zaniepokojony.

Czułam, jak coś gorącego ściekło po moim boku spod opatrunku. *Kurde.*

– Nic... mi nie jest – wykrztusiłam. Ból ustępował, wracał do lekkiego pulsowania, do którego zaczynałam się już przyzwyczajać. – Nic mi nie jest. Zraniłam się... wspinając się po murze. Kanapa po prostu... Po prostu pechowo mnie trafiła.

– Jack, nie. Zrobiłaś się cała szara. To nie jest... Pokaż mi.

Pokręciłam głową. Nie zamierzałam ściągać koszulki przy Cole'u, nie po tym, co się prawie między nami wydarzyło, ale on musiał się tego domyślić, bo jego twarz przybrała poważny i odrobinę zniecierpliwiony wyraz.

– Na Boga, Jack. Nie zamierzam się na ciebie rzucić, jeśli tego się obawiasz. Tak, przez chwilę zachowałem się głupio, nie przeczę. Ale ludzie zwykle nie mdleją z bólu po tym, jak zahaczą bokiem o kanapę; to nie jest normalne. Pokaż mi, co się stało.

Zamknęłam oczy. Potem niechętnie podciągnęłam koszulkę.

Najpierw zobaczyłam opatrunek – teraz już dwudniowy – ciemny od zaschniętej krwi. Więcej krwi, czerwonej i świeżej, wyciekało spod jednego rogu. Cole spojrzał na mnie, jakby chciał spytać: „Mogę?”. A kiedy skinęłam głową, zaczął odrywać mokry brzeg plastra. Zacisnęłam oczy, poczułam narastanie bólu, bo lepkie brzegi ciągnęły mnie za ranę. Mimo wszystko usłyszałam zaskoczone sapnięcie Cole'a, kiedy oderwał cały opatrunek.

– O Jezusie, Jack... To... to nie wygląda dobrze.

Otworzyłam oczy.

– Jak to?

Zerknęłam w dół na swój bok, próbując coś dojrzeć ponad zwiniętą koszulką, którą Cole przytrzymał wolną ręką. W drugiej miał poczerniały, zaschnięty opatrunek.

Zobaczyłam coś, co sprawiło, że do gardła podeszła mi kwaśna treść żołądka.

Rana się nie zagoiła. Nadal była tym samym małym, złośliwym rozcięciem tuż pod żebrem. Teraz jednak brzegi były odstające i spuchnięte, jak białe, niezdrowo wyglądające mięso, które za długo leżało w wodzie. A płyn wydzielający się powoli z otworu był połączeniem krwi oraz czegoś bardziej niepokojącego, jakiejś klejącej, jasnej cieczy, która nie pachniała zbyt dobrze.

– Tym się musi zająć lekarz.

– Nie mogę iść do szpitala. Tam chcą dokumentów tożsamości i numerów ubezpieczenia. Wiesz co, spróbujmy to po prostu... – Przełknęłam. – Sama nie wiem. Oczyszczyć. Mam w plecaku więcej opatrunków, a może jutro kupię coś w aptece.

– Nie sądzę, żeby apteka się tu na coś zdała – zauważył Cole z nieszczęśliwą miną. – Potrzebujesz szwów i pewnie jakiegoś antybiotyku.

– No ale raczej nie wydadzą mi recepty na antybiotyki bez podania nazwiska, prawda? A ja nie mogę im podać swojego. Więc jeśli nie masz jakiegoś lepszego pomysłu, to może lepiej się zamknij i zrób coś pożytecznego... Na przykład przynieś mi ręcznik.

Zapadła cisza. Potem Cole skinął krótko głową, obrócił się na pięcie i zniknął w małej łazience w przybudówce.

Westchnęłam. Wiedziałam, że warknęłam na niewłaściwą osobę – że Cole jest jedną z niewielu, które próbowały mi pomóc. Ale towarzyszyła mi też świadomość, że choć pewnie miał rację, jego sugestia jest bezużyteczna. Potrzebowałam szwów, antybiotyków, przespanej nocy w wygodnym łóżku oraz dostępu do bazy danych firmy ubezpieczeniowej – a także tysiąca innych rzeczy, których nie byłam w stanie zdobyć. Antybiotyki były tu najmniej ważne; tak naprawdę potrzebowałam *Gabe'a*, a jego nie było. Więc wysłuchiwanie od Cole'a o tych wszystkich rzeczach, które *powinnam* zrobić, w ogóle mi nie pomagało.

– Przepraszam – odezwałam się, kiedy wrócił z kostką mydła i czystym ręcznikiem, po czym położył je na stole. – Wiem, że próbujesz pomóc, i masz rację, ale... teraz muszę się skupić na tym, żeby odkryć, kto to zrobił *Gabe'owi*.

– I jak zamierzasz tego dokonać? – spytał.

Podszedł do kuchenki, stanął plecami do mnie i zaczął grzać garnek wody, więc nie mogłam odczytać jego wyrazu twarzy, ale głos miał opanowany, jakby starał się nie okazywać uczuć.

– Nie wiem. Muszę... muszę się dowiedzieć, kto wykupił tę polisę. *Kurde*, gdyby tylko *Gabe* tu był.

Zapadła długa cisza. Cole pochylił się, stojąc przy kuchence, i wiedziałam, że oboje myślimy o tym samym – o tym, jak bardzo tęsknimy za *Gabe'em*, oraz o tym, jaka okropna i popieprzona jest cała ta sytuacja. Najbardziej na świecie pragnęłam, żeby to było tylko ćwiczenie – z jasnym celem i z *Gabe'em* mrużącym mi instrukcje do ucha przez słuchawkę Bluetooth.

No więc? – powiedział głos w mojej głowie. Serce mi się ścisnęło, bo bardzo przypominał głos *Gabe'a*. *Udawaj, że to tylko ćwiczenie. Jaki masz cel?*

Moim celem było... cóż, to właśnie powiedziałam Cole'owi: dowiedzieć się, kto to zrobił Gabe'owi, i zdemaskować go. To od początku był mój cel. Dlatego w ogóle uciekłam z komisariatu – bo bycie na celowniku nie miało znaczenia, *jeżeli* pozwalało mi to na swobodę w polowaniu na zabójcę Gabe'a.

Co ty nie powiesz, Cross. Jaki jest twój najbliższy cel?

To brzmiało zupełnie jak Gabe. Zawsze zadawał trudne pytania. Bo to bez wątpienia było trudniejsze. Moim najbliższym celem było określenie, kto wykupił polisę ubezpieczeniową. Ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Mogłam zadzwonić do firmy – ale nie byłam pewna, ile dodatkowych informacji mi udzielą. Prawie na pewno wszystko, co będą w stanie powiedzieć przez telefon, miałam już w dokumentacji polisy, a jeżeli ktoś ich poinformował o śmierci Gabe'a, to może nawet nie. Gdybym tylko zdobyła dostęp do oryginalnych plików... Musiały być tam jakieś dodatkowe informacje, na przykład dane karty kredytowej albo nagrania rozmów telefonicznych. Ktoś musiał za tę polisę zapłacić... Kto? Gdyby Gabe tu był, na pewno razem włamałibyśmy im się do dokumentacji firmy, ale hakerstwo było jego specjalnością. Ja nie miałam pojęcia, jak uzyskać zdalny dostęp do zabezpieczonej bazy danych. Specjalizowałam się w budynkach... w fizycznym włamywaniu się. Ale...

I wtedy przyszło mi coś do głowy. Gdybym zdołała dostać się do biur Sunsmile Insurance Ltd., to nie potrzebowałabym żadnego hakowania. Mogłabym się zalogować do ich bazy jak zwykły pracownik. A dostawanie się w różne miejsca, w których nie powinnam się znaleźć – to była moja praca.

Po raz pierwszy poczułam, że mam jakiś plan, i zaiskrzyło we mnie coś, co mogło być nawet... czy to była nadzieja?

– Cole – odezwałam się, a potem urwałam.

Nie byłam pewna dlaczego.

Cole odwrócił się znad kuchenki i spojrzał na mnie.

– Tak?

– Nieważne – odpowiedziałam.

Nie wiedziałam, dlaczego nie chciałam mu zdradzać swoich przemyśleń. Czułam tylko, że zamierzam zrobić coś niebezpiecznego, i wolałam, żeby nikt nie gasił mojego pomysłu, nim jeszcze zdążył się ukształtować. Jeżeli

miałam to zrobić, musiałam się trzymać tego skrawka nadziei. Jedyne, jaki miałam.

Cole podniósł gorący garnek z kuchenki i przeniósł go ostrożnie na stół.

– Podnieś koszulkę – powiedział. – To może boleć.

Bolało. *Bardzo* bolało. Naprawdę dużo bardziej niż przed dwoma dniami, kiedy myłam ranę w hotelowej łazience. Gdy skóra była czysta, Cole nałożył na nią jakiś przeciwbakteryjny krem, który znalazł w szafce w łazience, a potem przykleił nowy opatrunek. Wypuściłam powietrze.

– Jak się czujesz? – spytał Cole, jego spojrzenie wyrażało coś pomiędzy zmartwieniem a wyczerpaniem.

– Lepiej – powiedziałam, choć nie byłam tak do końca pewna, czy to prawda.

Było mi niedobrze, czułam się wyczerpana, a rana cholernie mnie szczypała. Natomiast garnek wody w rękach Cole'a był niepokojąco czerwony. Ile krwi straciłam? Jednak w świeżym opatrunku było coś krzepiącego i nawet to szczypanie rany było w jakiś sposób pocieszające – na zasadzie „jak boli, to żyję”.

Nagle poczułam ogromne zmęczenie i kanapa z miękkim materacem oraz dzierganą narzutą wydała mi się nieodparcie kusząca.

– Powinniśmy się trochę przespać – powiedziałam, a Cole pokiwał głową.

– Dobranoc, Jack.

Zdmuchnął świeczkę na stole, a ja schowałam zapasowe opatrunki i krem do plecaka, po czym zapięłam polar.

– Dobranoc, Cole.

Następnie weszłam na rozłożoną kanapę, zgasiłam lampę naftową i położyłam się.

Ogień już przygasał, żarzyły się tylko węgielki, a ja nasłuchiwałam, jak Cole kładzie się do śpiwora; sztuczny materiał szeleścił.

Potem na sekundę rozświetlił się ekran jego komórki, kiedy sprawdzał godzinę, a następnie Cole odwrócił się do mnie plecami i usłyszałam, jak westchnął.

Czwartek, 9 lutego

MINUS TRZY DNI

Otworzyłam oczy. Słabe, szare światło księżyca przedzierało się przez zasłony, a Cole chrapał na dywaniku przed kominkiem, w którym wygasł już ogień. Rana pod żebrami mnie bolała i było mi bardzo zimno, ale byłam też pewna, że nie obudziła mnie żadna z tych rzeczy. Ze snu wyrwało mnie coś innego.

Gabe zawsze mawiał, że byłam świetną pen-testerką wcale nie ze względu na moje umiejętności fizyczne. Nie chodziło o to, że byłam szybsza, silniejsza, sprawniejsza w otwieraniu zamków wytrychem czy śmielsza w przeskakiwaniu przez mury. Było wielu gości lepszych w wyważaniu drzwi czy też kobiet z bardziej wymyślnymi narzędziami. Nie. Tym, co mnie ratowało raz za razem i co dawniej czyniło ze mnie cholernie dobrą złodziejkę sklepową, było zauważanie różnych rzeczy – takich, których nie widzieli inni – oraz wiara we własną intuicję.

Martwe pola monitoringu. Przerwa w krokach ochroniarza. To zabezpieczenie, które da się dezaktywować za pomocą długopisu.

Coś zauważyłam – i to zanim jeszcze obudziłam się na dobre. Tylko nie byłam pewna co.

Przez kilka chwil leżałam, nasłuchując, co takiego mnie wybudziło, a serce mi waliło, nim w ogóle otworzyłam oczy.

To nie Cole wstał do toalety. Nie zawinił też grzmot – było pogodnie, a przez szparę między zasłonami widziałam tylko spokojną biel. Prawdopodobnie znad morza znów uniosła się w nocy mgła.

I wtedy to usłyszałam – dźwięk, który wyrwał mnie ze snu, chociaż nie zdążyłam go jeszcze rozpoznać.

Szum policyjnej krótkofalówki i przytłumiony sygnał połączenia.

Z szybko bijącym sercem zerwałam się na nogi i na palcach przeszłam po gołym parkiecie, żeby kucnąć przy oknie. Delikatnie rozsunałam zasłony i zobaczyłam jakąś osobę – pomyślałam, że to może być Malik, choć nie

byłam pewna – stojącą na dworze i rozmawiającą bardzo cicho przez krótkofalówkę. W oddali stał nieoznakowany czarny samochód, zaparkowany w poprzek drogi tak, by specjalnie blokować mazdę Cole'a, a jeszcze dalej dostrzegłam przez mgłę blask przednich reflektorów, skręcających i obracających się na wąskiej drodze – zbliżało się kolejne auto.

Ktokolwiek stał na zewnątrz, czekał na posiłki. *Musiałam* się wydostać, nim otoczą dom.

Zalała mnie ogromna, obezwładniająca fala adrenaliny, ale ujarzmiłam ją i skupiłam się na zbieraniu do plecaka swoich rzeczy drżącymi rękoma. Było potwornie zimno – mój oddech zostawiał białe obłoczki w powietrzu – ale byłam zbyt spięta, żeby to poczuć, trzęsłam się raczej ze zdenerwowania niż z chłodu.

– Cole – szepnęłam. Spał jeszcze i spokojnie chrapał. – Cole, wstawaj, potrzebuję tego śpiwora.

– Co? – wybełkotał, obrócił się na drugi bok, a ja zniecierpliwiłam się na dobre.

– *Wstawaj*. Potrzebuję... nieważne. – Jęknęłam, próbując ściągnąć z niego śpiwór.

Przez chwilę przesuwaliśmy się razem z nim, ślizgając się na dywaniku, ale potem udało mi się uwolnić śpiwór i zwinęłam go, podczas gdy Cole usiadł prosto, mrugając, mocno zagubiony.

– Co tu się, ku... – powiedział normalnym tonem, a ja syknęłam na niego śmiertelnie przerażona.

– *Zamknij się*, na dworze jest policja. Muszę uciekać.

– Ale... – zaczął Cole, jednak ja złapałam już plecak i wyrzłam przez okna z widokiem za chatkę.

Były tam tylko jedne drzwi, ale z tyłu znajdowały się dwa wielkie okna – jedno otwierało się prosto na piasek, a drugie na coś, co było, jak podejrzewałam, krzewem kolcolistu. Pytanie, czy powinnam ryzykować z kolcami, żeby się ukryć i złagodzić upadek. Przez chwilę wahałam się niezdecydowana. A potem wybrałam drugie okno – prosty skok. Perspektywa schronienia przed policją była kusząca, ale lądując, narobiłabym pewnie hałasu, a gdybym zaplątała się w krzewy, mogłabym się nigdy nie wydostać. Perspektywa bolesnej samotności wśród

łamiących się, kolczastych gałęzi i duszenia w sobie jęków bólu... nie zachęciła mnie.

Okno zaskrzypiało, kiedy je popchnęłam, i skrzywiłam się, wstrzymując oddech. Jednak nic z przodu budynku nie wskazywało na to, żeby ktoś to usłyszał, więc delikatnie wyrzuciłam plecak przez okno, a potem wspierałam się za nim i opuściłam na drugą stronę chatki, opierając stopy na drewnianym goncie, aż w końcu całkiem zwiślam. Od tego rozciągania poczułam rozdzierający ból pod żebrami. Czułam, jak opatrunek szarpie mnie za skórę, a rana pod nim się otwiera.

Puściłam się, opadłam bezgłośnie na piasek, jak zawsze na cztery kończyny, ale tym razem mimo miękkiego lądowania musiałam zamknąć oczy i przygryźć policzek z bólu, a następnie odczekać, aż gorące pulsowanie ustąpi.

Właśnie wstawałam, z jedną ręką przyciśniętą do żeber, kiedy usłyszałam dźwięk silnika i chrzęst opon na żwirze przed chatką. Przybyły posiłki.

Wzięłam głęboki wdech, zarzuciłam plecak na ramię i zaczęłam biec we mgłę.

Nie miałam pojęcia, dokąd zmierzam, wiedziałam tylko, że przedzieram się przez wydmy w kierunku przeciwnym od tego, w którym wysadził mnie taksówkarz. Było to wręcz absurdalnie trudne, biec po osypującym się piasku – wzniesienia i doliny wydym były niemal niewidoczne we mgle i ciemnościach, a ja do tego jeszcze ciągle zerkałam przez ramię, wypatrując pościgu – i wtedy niemal w pełnym pędzie wpadłam na coś, co gwałtownie zatrzymało mnie w miejscu.

Kurwa. Kurwa.

Drut kolczasty. Moje przekleństwo.

Wyglądało to na pozostałości jakiegoś dawno zapomnianego płotu, być może wysunął się z sypkiego piasku niczym trawa i zaplątał w moje buty oraz dzinsy, zahaczając o luźny materiał oraz skórę pod spodem. Nie mogłam się z niego wyrwać tak, żeby nie stracić kawałka ciała. Ostrożnie, przeklinając moją nieostrożność oraz rolnika, który nie pozbierał swoich pieprzonych śmieci, zaczęłam się powoli wyplątywać z drutów.

Za sobą słyszałam hałas, ktoś walił do drzwi wejściowych, rozległy się podniesione głosy, a kiedy zerknęłam za siebie, zobaczyłam przednie reflektory auta przeszywające mgłę i coś jeszcze – coś mniejszego – być może snop latarki. Odhaczyłam kolejny zwój. Byłam już prawie uwolniona.

A potem usłyszałam jakiś głos, możliwe, że przez megafon, chociaż nie byłam pewna.

– Jack! – To była kobieta. – Jack, tu detektyw Malik. Wiemy, że tam jesteś, nie masz dokąd uciec. Musisz się oddać w nasze ręce.

Na sekundę zacisnęłam oczy. Jak? Jak, u licha, mnie znaleźli? Wyśledzili auto Cole'a?

Oderwałam ostatni drut od mojego buta i zaczęłam znów biec, moje kroki na wilgotnym piasku były bezgłośnie, ale serce i oddech wydawały się boleśnie hałaśliwe w tej ciszy przed świtem. Wydawało mi się, że nawet fale umilkły.

– Poddaj się, Jack! – zawołała Malik. Wyobrażałam to sobie czy jej głos znalazł się bliżej? – Jesteś niewinna, wiemy o tym, to było straszne nieporozumienie. Chcemy tylko, żebyś wróciła do domu i wszystko wyjaśniła, oczyściła się z zarzutów i pomogła nam złapać zabójcę Gabe'a.

W gardle ugrzązł mi szloch. Chciałam – Boże, niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak uwierzyć, że to prawda, że faktycznie uważają mnie za niewinną. Ale nie wysłała się w środku nocy dwóch radiowozów za niewinną osobą.

– Nie możesz ciągle uciekać, Jack – rozległ się znów głos Malik i tym razem dostrzegłam snopy świateł latarek przecinające mgłę niczym białe miecze świetlne. – Namierzamy twoją komórkę. Znamy twoją lokalizację. Daję ci szansę, żebyś sama się do nas zgłosiła. Sprawa będzie wyglądać dużo gorzej, jeśli będziesz dalej uciekać.

A podobno jestem niewinna?

Miałam ochotę jej tak odkrzyknąć, tak ewidentne było to przejście od marchewki do kija. Ale się powstrzymałam – nie byłam aż taka głupia, poza tym i tak nie mogłam marnować powietrza na krzyki. Potrzebowałam każdej cząsteczki tlenu w płucach, żeby zmusić się do parcia naprzód przez te wydmy.

Pędziłam dalej. I dalej. Wydawało mi się, że kilka kilometrów, choć w rzeczywistości nie był to pewnie nawet jeden. Ale bieganie w ciemności po miękkim, osypującym się piasku to nie żarty, zwłaszcza kiedy w ogóle nie widać wzniesień i dołków w ziemi, a każdy krok jest całkowicie nieprzewidywalny.

Po kolejnych kilkuset metrach zaczęły mnie boleć mięśnie nóg, początkowy wyrzut adrenaliny się wyczerpał, a ból w boku narastał

z każdym krokiem. Ale musiałam biec dalej – nie miałam innego wyjścia. *Dasz radę, myślałam. Szybkość, wytrzymałość, siła; po to trenowałaś.* Tylko że ich, przeczesujących tę mgłę, było przynajmniej sześcioro, a ja jedna. I moje siły się wyczerpywały. W pewnym momencie będę musiała przestać biec. Pytanie tylko, czy zdołają mnie najpierw złapać.

I wtedy zobaczyłam, jak z ciemności wychynęła niska, betonowa buda z metalowym okienkiem wydawczym od frontu. Latem sprzedawali tam pewnie lody i koktajle, ale teraz przypominało to raczej bunkier z czasów II wojny światowej. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam snop światła latarki przecinający mgłę dużo bliżej, niżbym chciała. Zawahałam się. Biec dalej czy się ukryć?

Czułam w nosie rozedrgane powietrze i na sekundę podniosłam dłoń, odruchowo szukając gumowej słuchawki, żeby poprosić o poradę Gabe'a – ale znałam prawdę, nim jeszcze dotknęłam dłonią nagiego policzka. Byłam sama. Nie miałam Gabe'a, który powiedziałby mi, co zrobić.

Roleta zasłaniająca okienko była zamknięta od środka na kłódkę i wyglądała na porządnie zabezpieczoną. Może byłabym w stanie wyważyć ją łomem; miałam w plecaku mały, cienki łom, który prawdopodobnie by się do tego nadał, ale trudno byłoby podważyć roletę, nie robiąc przy tym hałasu, a już na pewno nie udałoby się bez śladu, że jakoś przy tym grzebałam – takie uszkodzenia doprowadziłyby każdego ścigającego prosto do mnie. Lepszym wyjściem byłoby otwarcie wytrychem zamka w drzwiach dla personelu na tyłach budynku, o ile zrobiłabym to dość szybko. Snop latarki zbliżał się niepokojąco coraz bardziej – dostrzegłam już kolejny, sunący z innej strony, wysoko na wydmach przede mną. Okrążali mnie. Kryjówka nagle okazała się nie tylko lepszym wyborem, ale też jedynym.

Kiedy jednak obeszłam budę, zobaczyłam, że były w niej drzwi, ale bez zamka, za to ze starą numeryczną klawiaturą z emaliowanego metalu i rdzewiejącą stalową klamką obok. Mechaniczny szyfrowany zamek. Kurwa. To miało sens. Takie miejsce obsługiwało pewnie wielu dorywczych pracowników, więc przekazywanie wszystkim klucza byłoby kłopotliwe. Ale oznaczało to także, że jeżeli ten kod miał cztery cyfry, to istniało dokładnie dziesięć tysięcy możliwych kombinacji.

– Jack! – usłyszałam za sobą, jakby w odpowiedzi na moje złe przeczucia, aż wywróciło mi się w żołądku.

Cokolwiek miałam zrobić, musiałam działać sprawnie. Lepiej zrobić cokolwiek niż nic. Szybko wpisałam 1234, podobnie jak wtedy w Arden Alliance, i przekręciłam metalową gałkę. Wtedy warto było spróbować, teraz też, ale podobnie jak poprzednio, nic się nie wydarzyło.

Jednak w przeciwieństwie do testu w Arden Alliance ta próba nie była całkowicie bezużyteczna. Dotykając klawiszy, ustaliłam coś – dwa były w dotyku inne od pozostałych. Gładsze. Zimniejsze. Popękana farba się wytarła, odsłaniając metal pod spodem. Wolałabym sięgnąć po latarkę, ale nie mogłam ryzykować, więc przesunęłam palcami po całej klawiaturze i zamknęłam oczy, żeby lepiej poczuć różnicę w fakturze. Pięć przycisków było wyraźnie bardziej wytartych od reszty: 1, 4, 5, 9 i znaczek *.

Zrobiłam nerwowy wydech. Cztery liczby i gwiazdka na koniec układu. To nadal dwadzieścia cztery możliwe kombinacje – całkowicie do zrobienia, zwłaszcza że mechaniczne zamki rzadko miały jakiś system wyłączenia przy nieudanych próbach, ale nadal za dużo, nawet z założeniem, że byłabym w stanie spamiętać wszystkie wersje. Malik i jej ludzie przeczesywali już ciemność za mną latarkami.

Złamałam jednak w życiu dość kodów, by wiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, sporo ludzi proszonych o ustawienie czterocyfrowych kombinacji wybiera lata. A po drugie, ponieważ większość osób wybiera daty o osobistym znaczeniu, to prawdopodobieństwo się zwiększa, kiedy wśród cyfr znajdują się 1 i 9. Była bardzo duża szansa, że kod zaczynał się od 19 – czyli powinno to być 1945 albo 1954. Nie miałam pojęcia, która wersja jest bardziej prawdopodobna, ale to nie miało znaczenia. Nie zastanawiając się wiele, wpisałam 1954* i przekręciłam gałkę tak mocno, że metal cicho zaskrzypiał. Tym razem się przekręciła.

Drzwi się otworzyły, a ja wślizgnęłam się do środka, cicho zamknęłam je za sobą, po czym oparłam się plecami o zimną, metalową powierzchnię, a serce waliło mi tak mocno, że aż zrobiło mi się niedobrze.

W środku budki było bardzo cicho, morze i wiatr były przytłumione przez gruby beton. Pachniało tam wafelkami do lodów i skwaśniałym nabiałem, a do tego lekką stęchlizną rozmrożonych zamrażarek. Nastawiałam uszu, nasłuchując głosów, ale trudno było wyłowić cokolwiek ponad szumem mojej własnej krwi w uszach oraz łomotaniem pulsu.

I wtedy ją usłyszałam. Bliżej niż wcześniej. Bardzo, *bardzo* blisko.

– *Jack!* – To była Malik. Brzmiała teraz na wkurzoną, nawet bardziej, na wściekłą. – Jacintho Cross, to jest nakaz policyjny. Psy są już w drodze i wierz mi, *nie chcesz* zostać przez nie złapana.

Przycisnęłam twarz do plecaka. W szwach tkwił piasek po tym, jak upuściłam go na wydmy. Powstrzymałam odruch kaszlu.

I wtedy usłyszałam drugi głos, męski. Nie Milesa, tylko kogoś innego, przez kogo mój puls przyspieszył tak bardzo, że zrobiło mi się niedobrze.

– Przechytrzyła cię?

To był Jeff.

– Co za mała, wredna suka. – Malik klęła zdenerwowana. – Mówię ci, *widziałam ją*.

– Skoro tak twierdzisz. – Jeff wydawał się raczej zdumiony niż rozdrażniony.

Potem znów rozległ się głos Malik, tym razem ostrzejszy.

– Chwila, co to za miejsce?

Usłyszałam chrzęst butów na żwirze, kiedy podeszli bliżej budki i weszli na betonowy chodnik przed okienkiem. Zacisnęłam oczy tak mocno, jakby miało to sprawić, że będę mniej widoczna. Niczego nie pragnęłam tak bardzo jak tego, żeby mieć w uchu głos Gabe'a, który zapewniłby mnie, że dam radę. Bo w tym momencie czułam się, jakbym miała zaraz przegrać.

– Myślisz że może być w środku?

Zapadła krótka cisza, a potem rozległo się szokująco głośne, grzechoczące uderzenie, kiedy ktoś – może Malik – szarpnął za roletę nad okienkiem, zdecydowanie mniej delikatnie niż ja.

– Jest zamknięta na kłódkę – powiedział Jeff. – Są jakieś ślady włamania?

– Nie wydaje mi się. – Znów zagrzechotało, bo ktoś, może Malik, sprawdzał brzegi rolety, ale wiedziałam, że są solidne. – Spróbujmy od tyłu.

Znów chrzęst. Poczułam żółć podchodzącą mi do gardła i przełknęłam ją mocno. Nagle przypomniało mi się, jak ukrywałam się pod kanapą w Arden Alliance, podczas gdy ochroniarze szukali mnie na zewnątrz, jednak nigdy w pracy nie czułam takiego strachu.

– Zamek szyfrowy – usłyszałam tym razem bardziej stłumiony głos.

Drzwi najwyraźniej były grubsze od rolety. Potem klikanie, jakby ktoś robił to samo, co ja wcześniej, wstukiwiał różne przypadkowe przyciski.

Przycisnęłam twarz jeszcze mocniej do plecaka, próbując stłumić nawet oddech. *Proszę, proszę, niech nie zauważą tych wytartych przycisków...*

– Kurwa – usłyszałam głos Malik, mówiła z obrzydzeniem. – No ja nie wiem, jak mogłaby się dostać do środka.

– Myślę, że się wycofała, wyszła na drogę i spróbowała złapać stopa. Dobrze sobie radzi z ludźmi. Jest przekonująca. To bardziej w jej stylu – oznajmił Jeff nieco protekcjonalnym tonem.

Tak jakby chciał dopowiedzieć: „wiem coś o tym”. Malik westchnęła wyczerpana.

– Mówię ci, że się nie wycofała. *Widziałam* coś.

– To mógł być królik – stwierdził obojętnie Jeff.

Malik wydała taki dźwięk, jakby starała się mu nie powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić tego swojego królika.

– Cóż, w każdym razie niewiele możemy zdziałać, póki mgła się nie podniesie – oznajmiła cierpko. – Rozejdźmy się, sprawdźmy drogę, a jak się trochę przejaśni, spróbujemy jeszcze raz.

Za metalowymi drzwiami wypuściłam powietrze przez drżące usta.

Odczekałam, aż odgłosy ich kroków ucichną. Potem wstałam, otworzyłam drzwi i wyjrzałam przez maleńką szparę. Nie zdziwiłabym się, gdyby Malik czekała tam na mnie, żeby sprawdzić, czy nie wyskoczę nagle, jak ten królik Jeffa z nory.

Ale nie było jej. Jeffa również. Nie było nikogo, tylko wirująca mgła.

Uniosłam kołnierz płaszcza, chroniąc się przed kłującym piaskiem, delikatnie zamknęłam za sobą drzwi budki, a potem ruszyłam w ciemności.

Jakieś dwie, może trzy godziny później zabrnęłam zmęczona na przedmieścia Hastings. Słońce dopiero wschodziło i nawet nie śmiałam liczyć na jakąś otwartą kawiarnię, ale ku mojemu zdumieniu znalazłam jedną w porcie – nic wyszukanego, po prostu knajpka podająca kanapki z bekonem i herbatę rybakom oraz pracownikom doków. Przy ladzie stała grupka robotników, którzy czekali na dłuższe zamówienia składające się z gorących napojów i zapiekanych kanapek.

Stałam ostatnia w kolejce i poczułam, że nogi mi się trzęsą, co mogło być spowodowane wszystkim – głodem, zmęczeniem lub po prostu zwykłym szokiem.

Moje zachowanie zdecydowanie nie było rozsądne – nie wiedziałam, jaki może być kolejny krok Malik, a byłam widziana w miasteczku zaledwie parę kilometrów w głąb wybrzeża i poszukiwano mnie za morderstwo. To na pewno tylko kwestia czasu, nim moje zdjęcie pojawi się w gazetach. Podstawowe pytanie brzmiało – czy policja wiedziała o moich włosach? Czy namierzyli mnie na zdjęciach z kamer na dworcu? Czy nadal działali z założeniem, że poszukują czerwonowłosej dziewczyny w ciemnej kurtce?

Tak czy inaczej, nie pozostało mi wiele czasu. Ale to bez znaczenia. Po raz pierwszy od dwóch dni miałam pomysł, co zrobić dalej. Pomysł ten kształtował się, kiedy biegłam przez wydmy, rozmyślając o mojej refleksji z poprzedniego wieczoru – zastanawiałam się, jak mogłabym wniknąć do Sunsmile i nie dać się przyłapać. Zwykle do takiej pracy, dużego zlecenia, które polegało na włamaniu do firmy pełnej danych szczególnie wrażliwych, przygotowyalibyśmy się z Gabe'em przez długie tygodnie phishingu, crackowania i białego wywiadu – zbierając zarówno ukryte, jak i ogólnodostępne informacje ze wszelkich możliwych miejsc, aż w końcu uzyskalibyśmy wyraźny obraz tego, kogo wziąć na celownik i jak się tam dostać.

Nie miałam kilku tygodni. Nie miałam nawet kilku dni. Brakowało mi też dostępu do biblioteki Gabe'a pełnej narzędzi hakerskich, programów do łamania haseł i koni trojańskich. A jeżeli zostanę przyłapana, to nie będę mogła użyć karty wyjścia z więzienia, żaden szef ochrony mnie nie wyciągnie. Ale *miałam* plan.

Przebiegł mnie dreszcz ekscytacji – a potem zdałam sobie sprawę, że dotarłam na początek kolejki i sprzedawca stoi przede mną z rękoma skrzyżowanymi na piersi, czekając na zamówienie. Kupiłam herbatę i słodką bułkę, poprosiłam też o hasło do Wi-Fi. Potem znalazłam wolny stolik i odpaliłam komputer.

Najpierw zrobiłam to, co zawsze, kiedy wybierałam sobie cel. Weszłam na Instagram i wyszukałam posty z oznaczeniem lokalizacji Sunsmile Insurance Ltd. Główne biuro znajdowało się w Milton Keynes i na szczęście jego pracownicy byli bardzo instagramową ekipą, lubiącą robić zdjęcia. Co ważniejsze, Sunsmile było dużą firmą. Małe biura, takie, w których ochroniarze znają wszystkich zatrudnionych, to koszmar. Ale wyglądało na to, że w Sunsmile pracuje kilkaset osób – a to tylko te obecne w mediach społecznościowych.

Przewinęłam posty strona po stronie, zapisując sobie odpowiednie nazwiska, przeglądając różne profile. Szukałam dwóch rzeczy: kobiet mniej więcej w moim wieku, najlepiej nieco podobnych fizycznie, oraz zdjęć z wakacji. Miałam oko na jeszcze jedną sprawę – zdjęcie z kartą dostępu – ale do tego trzeba by mieć chyba zbyt wiele szczęścia, więc nie liczyłam na to. Firmy wiedziały już, że nie należy pozwalać pracownikom upubliczniać swoich kart, częściowo dlatego, że ludzie tacy jak ja opowiadali im o możliwych zagrożeniach.

Jednak ku mojemu zdumieniu to właśnie takie ujęcie pokazało mi się jako pierwsze: jakiś facet ze swoją nowiutką kartą dostępu i z szerokim uśmiechem. „Stresik pierwszego dnia LOL!” – brzmiał podpis.

Kliknęłam i powiększyłam obraz. Och, Brianie z działu finansowego. Ty niezwykle uroczy głuptasie.

Miał przynajmniej dość rozumu, żeby zamazać część swojego prawdziwego nazwiska, ale dla moich celów nie była to przeszkoda. Zrobiłam zrzut ekranu i zapisałam go w pobranych, po czym przeszłam do poszukiwania prawdopodobnych celów.

Jedna po drugiej znajdowałam osoby, które wydawały się idealne – w odpowiednim wieku, z tego, co widziałam, zbliżonego wzrostu; niektóre nawet były do mnie podobne fizycznie – jednak kiedy klikałam w ich profile, wyglądało na to, że siedzą bezpiecznie w UK. Aż w końcu ją znalazłam. Keeleybab2001, operatorka w call center Sunsmile. Nie było to zdjęcie z wakacji, ale coś jeszcze lepszego: fotka dziecka pokrytego małymi, czerwonymi plamkami. W podpisie widniała przerażona niebieska, krzycząca buźka i komentarz: „Biedny bobas ma ospę!!!”.

Przeklikałam dalej. Keeley Winston. Na szczęście miała też konto na Facebooku z bardzo kiepskimi ustawieniami prywatności i kiedy przejrzałam je pobieżnie, wyczytałam stamtąd jej datę urodzenia, obecne miejsce zamieszkania (Milton Keynes) oraz dawną szkołę (też w Milton Keynes).

Teraz potrzebowałam tylko jej numeru telefonu. Na szczęście wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Wzięłam duży łyk herbaty, przewijając listę znajomych Keeley na Facebooku, a potem wybrałam przypadkową osobę o imieniu Katie, która komentowała wiele postów tej kobiety. Wystarczyło mi pięć minut, żeby założyć konto na Twitterze z wykorzystaniem imienia i zdjęcia profilowego Katie. Znalezienie kolejnego obiektu było nieco trudniejsze. Potrzebowałam wspólnego znajomego Katie i Keeley na Facebooku, osoby, do której można było pisać wiadomości prywatne na Twitterze. Facebookowi znajomi Keeley nie używali za bardzo Twittera, więc co chwilę pudłowałam – aż w końcu znalazłam Gemmę, PR menedżerkę z Wilkinstone’s Travel. Miała odblokowane wiadomości prywatne z dopiskiem: „Wysyłajcie mi polecajki podróżnicze”.

Kliknęłam w małą kopertę i zaczęłam tworzyć wiadomość prywatną.

„Hej, Gemma, organizuję małe pocieszenie dla Keeley – wiedziałas, że jej biedny bobas zachorował na ospę?! – ale zgubiłam jej numer telefonu dla kuriera. Mogłabyś mi podesłać? Nie chcę psuć jej niespodzianki. K”.

Odpowiedź przyszła parę sekund później.

„Cześć, to bardzo miłe! 0744 956 7652. Prześłać ci coś Paypalem?”

„Nie trzeba” – odpisałam. „Wielkie dzięki!”

Potem zamknęłam Twittera i otworzyłam Photoshop.



Jakieś dwie godziny później wyszłam z drukarni w Hastings z nowiutką kartą pracowniczego dostępu Keeley Winston do Sunsmile w kieszeni. Nie było to może moje najbardziej udane fałszerstwo – wydrukowanie podróbki prosto na jednej z pustych kart, które miałam w plecaku, byłoby bardziej przekonujące, ale w tej drukarni nie mieli takiego sprzętu. Musiałam więc poprzestać na wydruku na błyszczącym papierze, a następnie przykleić papier do karty. Ostatecznie wyglądało to w porządku – nie na tyle dobrze, żeby przejść jakąś uważną kontrolę, ale w porządku. Choć szczerze mówiąc, gdyby ktoś rzeczywiście nabrał podejrzeń, to i tak po mnie. Miałam nadzieję, że ujdzie na pierwszy rzut oka, a pobieżnie wyglądała tak samo jak ta Briana, tylko że widniało na niej nazwisko Keeley oraz moje zdjęcie zamiast jego.

Zerknęłam na komórkę i zobaczyłam, że jest dziesiąta dziesięć. Miałam dwie możliwości – i z każdą wiązało się pewne ryzyko. Mogłam spróbować wyłudzić jej hasło do komputera teraz albo poczekać, aż naprawdę znajdę się w środku siedziby Sunsmile Insurance.

Gdybym spróbowała teraz, pojechałabym do Milton Keynes z poczuciem, że mam wszystkie informacje potrzebne do wykonania zadania.

Ale brakowało mi sprzętu potrzebnego do podszywania się pod numery telefonów, a połączenie z przypadkowej, nieznannej komórki było dużo mniej przekonujące niż takie przychodzące z własnej firmy. Gdyby Keeley nie dała się nabrać, musiałabym zaczynać od początku – znaleźć kogoś innego będącego dziś poza biurem, zdobyć numer, podrobić dokument. A mnie kończył się czas.

Problem w tym, że alternatywa była pod pewnymi względami jeszcze bardziej ryzykowna – czekać, aż wejdę do Sunsmile, i dopiero wtedy szukać ostatniego elementu układanki. Gdyby wtedy mi się nie udało, a Keeley by mnie przejrzała, tobym wtopiła. A właściwie jeszcze gorzej – gdyby Keeley się zorientowała, co próbuję zrobić, zapewne podczas próby opuszczenia budynku przy recepcji Sunsmile czekałby na mnie ktoś z ekipą ochroniarzy.

Tak, ta druga ewentualność była bardziej ryzykowna – dużo bardziej ryzykowna. Ale jednocześnie miała też większą szansę powodzenia. Więc

zamierzałam podjąć to ryzyko.



Gdy wysiadłam z pociągu w Milton Keynes, było tuż po trzynastej. Zostawiłam wielbłądzi płaszcz Noemie zwinięty w toalecie w pociągu i byłam teraz ubrana w coś, co wydawało mi się stosowne dla pracownicy call center – granatowe dzinsy, białą koszulkę i ciemną marynarkę. Byłam przejęta, zbierało mi się na mdłości z nerwów, a opatrunek pod żebrami pulsował w jednym rytmie z moim walącym sercem, ale poza tym czułam się... cóż, szczerze mówiąc, dawno nie czułam się tak dobrze. Zupełnie jakbym wróciła do swojej strefy komfortu, do pracy – oczywiście w tej pracy nie mogłam sobie pozwolić na porażkę, ale nie po raz pierwszy czułam się w ten sposób. To był pen-test – taki jak każdy inny. A ja byłam bardzo, bardzo dobra w swoim fachu.

Znajdowałam się może pięć minut od budynku Sunsmile, kiedy zapikała moja komórka. Była to wiadomość na Signalu od Hel.

„Hej, wszystko w porządku? Nie odzywałaś się wczoraj” – napisała. Poczulałam przyływ serotoniny, a jednocześnie miałam silne przekonanie, że to nie jest dobry czas i miejsce na poufałą rozmowę z Hel.

„Wszystko w porządku” – odpisałam. „Wczoraj prawie wpadłam, nie spałam całą noc, ale jestem na tropie czegoś dużego. Możliwe, że to będzie pierwsza dobra wiadomość od wielu dni”.

„CO?!”. – Natychmiast przysłała jej rozemocjonowana odpowiedź.

„Mam trop” – odpisałam. „W kwestii polisy. Nie mogę teraz rozmawiać. Napiszę ci, jak tylko wyjdę”.

„Czekaj, ty tam teraz jesteś?!!?!?” – odpisała Hel z nietypową dla siebie liczbą wykrzykników.

„Tak” – odpisałam.

Hel odpowiedziała tylko zszokowaną emotką. A potem jeszcze: „Uważaj na siebie! Dawaj znać. Bez odbioru”.

Zamknęłam aplikację. Potem skręciłam za róg – i kompleks Sunsmile rozciągał się przede mną.



Budynek okazał się jeszcze większy niż na zdjęciach z Instagrama, a ja poczułam się trochę onieśmielona, kiedy przeszłam przez szklane drzwi, chociaż popchnęłam je z miną, która – jak miałam nadzieję – wyrażała pewność siebie i obeznanie. Ludzie wracali z lunchu, więc trzymałam kciuki, żeby w środku były takie szklane barierki bezpieczeństwa, które lekko się rozchyłały albo rozsuwały jak drzwi windy – łatwo było się wtedy do kogoś przykleić i przejść za nim. Niestety w Sunsmile mieli starodawne, obrotowe metalowe kołowrotki, takie jak na miejskim basenie, kiedy byłam mała.

Były one również irytująco skutecznie; bez szans, żebym wcisnęła się za innym pracownikiem, nie zostając oskarżona o molestowanie seksualne. Musiałam kombinować.

Podeszłam do barierki z całą pewnością, na jaką udało mi się zdobyć, i nie zwolniłam kroku, kiedy przesunęłam swoją plastikową kartą nad czytnikiem. Gdy barierka się nie przekręciła, tylko uderzyła mnie w żebro, szarpnęło mną tak mocno, że musiałam powstrzymać krzyk, a metaliczne stuknięcie było słychać aż przy recepcji. Miałam ochotę się skrzywić i przycisnąć rękę do pulsującego boku, ale zamiast tego zerknęłam na trzymaną w rękę kartę z łagodnie zaskoczonym wyrazem twarzy.

Potem spróbowałam jeszcze raz, tym razem ostrożniej popychając barierkę ręką. Za mną robiła się mała kolejka, osoby wracające z lunchu zauważyły, co się dzieje, i z westchnieniem mijały mnie, przechodząc do innych barierek.

– Moja się wyczyściła wczoraj – powiedziała jedna z dziewczyn. – Musisz poprosić Dereka, żeby cię wpuścił.

Derek. Gdybym tylko miała czas na dziękczynną modlitwę do Boga, w którego nie wierzyłam, zrobiłabym to.

– Derek! – zawołałam teraz do ochroniarza stojącego za biurkiem recepcji. Podniósł wzrok, minę miał pytającą i pomocną. – Derek, bardzo przepraszam... nie wiem, co się stało. Moja karta nie działa. Możesz mnie wpuścić?

Uniosłam ją, celowo nie ruszając się spod bramki. Nie chciałam się do niego za bardzo zbliżyć.

– To ja... Keeley? – podpowiedziałam tonem odrobinę rozgoryczonym, że mnie nie rozpoznał. – Keeley Winston, z call center?

Derek przyjrzał mi się uważniej, zmrużył oczy na moją kartę ze swojego stanowiska za biurkiem, a potem zerknął na moją twarz. Poczułam, że serce mi przyspiesza. To była ta chwila. Jeżeli znał Keeley, to miałam naprawdę, naprawdę przerąbane.

A potem się uśmiechnął.

– Przykro mi, Keeley – powiedział, po czym przycisnął coś pod biurkiem.

– Nie trzymaj karty za blisko kart kredytowych, dobra?

– O, rany. Nie wiedziałam. – Zrobiłam minę, jakby było mi przykro z powodu własnej głupoty. – Dzięki, Derek.

A wtedy kołowrót się odblokował i przeszłam do środka.



Przez kilka minut szłam pewnie, podążając za grupką ludzi, a potem zaczęłam się wycofywać z tego grona, które wchodziło ze mną przez recepcję. Poczekiałam na nową grupę wracających z lunchu i dołączyłam do nich. Kiedy już uznałam, że nikt wokół mnie nie należy do tej samej ekipy, z którą przechodziłam przez bramkę, dotknęłam ramienia miło wyglądającej dziewczyny.

– Bardzo przepraszam, jestem z firmy informatycznej i miałam naprawić czyjś sprzęt w call center, ale zupełnie się zgubiłam. Czy mogłaby mnie pani pokierować? Szukam Keeley Winston.

Dziewczyna się zaśmiała, ale miło.

– O Boże, jasne, mamy tu niezły labirynt, co? Call center mieści się na trzecim piętrze, w skrzydle C. Proszę pojechać tą windą. Obawiam się, że nie jestem w stanie wskazać odpowiedniego biurka, ale tam już na pewno ktoś panią pokieruje.

Pokiwałam głową w podziękowaniu i pospieszyłam korytarzem do windy. Kiedy jednak weszłam do środka i wcisnęłam przycisk trzeciego piętra, nic się nie wydarzyło, a ja ku swojemu rozczarowaniu zorientowałam się, że panel jest zabezpieczony czytnikiem kart.

Wysiadłam z windy i na chwilę przystanąłam, rozważając możliwe wyjścia z sytuacji. Miałam ze sobą plecak, bardziej z braku miejsca, w którym

mogłabym go zostawić, niż chęci, by go nosić – był trochę za duży, żeby uchodzić za codzienny bagaż, ale nie miałam wyboru. Teraz bardzo się z tego ucieszyłam.

Przykucnęłam za dobrze ustawioną rośliną w doniczce, sięgnęłam do plecaka i wyciągnęłam temblak, który miałam zakopany na samym dnie na wypadek takich właśnie awaryjnych sytuacji. Przełożyłam go sobie przez głowę i wsunęłam do niego jedną rękę, prawą. W lewej trzymałam plecak, bo nie mogłam go już włożyć na oba ramiona. Potem się wyprostowałam i jeszcze raz wcisnęłam przycisk windy, modląc się, żeby tym razem nie przyjechała pusta. Miałam szczęście. W środku był uprzejmy mężczyzna po czterdziestce.

– Na górę? – spytał, kiedy weszłam do środka, a ja się uśmiechnęłam i skinęłam głową, po czym zaczęłam się klepać po kieszeniach lewą dłonią, udając, że szukam karty.

Prawie upuściłam przy tym plecak i skrzywiłam się, jakby szarpnięcie zabolowało mój skręcony nadgarstek.

– Pomogę – odezwał się szybko mężczyzna, wyciągnął swoją kartę i przyłożył ją do czytnika kart. – Które piętro?

– Trzecie. Bardzo dziękuję. *Strasznie* mi przeszkadza ten nadgarstek. Nigdy w życiu nie pójdę już na łyżwy.

– Ja w tamtym roku zwichnąłem sobie bark, grając w squasha – podjął mężczyzna, kiedy winda ruszyła w górę. – To był okropny wrzód na... no, może nie na tyłku, to nie z tej strony, cha, cha!

Zaśmiałam się, a winda zatrzymała się na drugim piętrze.

– Ja tu wysiadam – dodał. – Życzę szybkiego powrotu do sprawności. – I wysiadł.

– Miłego dnia – odparłam z wdzięcznym uśmiechem, dużo bardziej prawdziwym niż mój skręcony nadgarstek.

A kiedy drzwi windy się za nim zamknęły, pospiesznie ściągnęłam temblak, wyprostowałam ramiona i przygotowałam się do ostatecznego starcia.

Gdy wysiadłam z windy na trzecim piętrze, od razu odniosłam wrażenie, że call center Sunsmile wygląda dokładnie tak, jak każde inne biuro, które do tej pory testowałam, tylko że było głośniejsze i większe. Przypominało mały labirynt biur i boksów rozciągających się według skomplikowanej hierarchii, do której należały osoby zmieniające się przy wspólnych stanowiskach, pracownicy w małych, przeszklonych kabinach oraz kilkoro uprzywilejowanych ludzi z elit, którzy mieli dostęp do zamkniętych drzwi i okien z prawdziwym światłem dziennym.

Panował tam nieznośny jazgot i zwalczyłam w sobie odruch, żeby zakryć uszy rękoma, gdy kręciłam się pomiędzy boksami, szukając jakiejś miłej osoby, którą mogłabym zagadnąć. W końcu wybrałam dziewczynę, która odłożyła telefon i była właśnie w połowie wybierania kolejnego numeru. Zajęte osoby zawsze okazywały się najlepsze – zbyt rozproszone, żeby zadać właściwe pytania.

– Bardzo przepraszam. Widzę, że ma pani pełne ręce roboty, ale czy mogłaby mnie pani pokierować do Keeley Winston?

– Keeley? – odparła nieuważnie dziewczyna. – Wydaje mi się, że jest na opiece, ale jej biurko stoi tam. – Wskazała na róg piętra. – Nie sposób go przegapić, jest całe w skrzatach.

Przez chwilę wydawało mi się, że się przesłyszałam.

– Przepraszam, powiedziała pani... w skrzatach?

Ale dziewczyna już rozmawiała przez zestaw słuchawkowy, więc pokręciłam głową i odeszłam w kierunku wskazanego kąta. Keeley musiała być starsza stażem, bo miała ścianki oraz okno. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, co tamta dziewczyna miała na myśli. Mały boks pełen był czegoś, co musiało być wspomnianymi „skrzatami” – małych laleczek trolli z puszystymi, poczochronymi włosami i uśmiechniętymi twarzami. Były tam skrzacie dziewczynki, skrzacie chłopcy, skrzacie dzidziusie i skrzacie babcie. Robiło to bardzo niepokojące wrażenie, a jednocześnie miałam ochotę się roześmiać – ale nie mogłam tego teraz zrobić.

Usiadłam więc w fotelu Keeley, odpaliłam jej komputer i się rozejrzałam. Miałam nadzieję na coś, co bywało wygraną na loterii w przypadku pentestów – hasło zapisane na żółtej karteczce przyklejonej do monitora – ale nawet jeżeli Keeley zapisała sobie gdzieś hasło, nie była aż taka głupia, żeby zostawiać je na widoku. W związku z tym sięgnęłam po telefon,

wzięłam głęboki wdech i wybrałam numer podany mi przez Gemmę. Zaczął dzwonić. Dzwonił. I dzwonił...

Już miałam się poddać, przepełniona rozczarowaniem, kiedy rozległo się kliknięcie i ktoś odebrał. Natychmiast usłyszałam płacz dziecka i ucieszyłam się. Od osoby zajętej lepsza jest tylko osoba zajęta i rozproszona.

– Halo? – Ton Keeley był szorstki i nieco zmartwiony. – Kto mówi?

Wzięłam głęboki wdech. *Nie spieprz tego.*

– Cześć, Keeley – odezwałam się, starając się, by mój głos zabrzmiał jak najbardziej serdecznie i profesjonalnie. – Przepraszam, pewnie się zastanawiasz, dlaczego dzwoni do ciebie twój własny numer. Mówi Kate z działu IT. Chyba mamy problem z częścią komputerów, wygląda to na jakieś szkodliwe oprogramowanie w systemie, więc musimy ręcznie przeskanować zarażone sprzęty. Próbowałam cię złapać przez cały tydzień i robi się... cóż, szczerze mówiąc, to dość pilne. Jestem teraz przy twoim biurku, czy są jakieś szanse, żebyś tu wpadła i zalogowała się do komputera?

– Nie ma mowy, żeby to była moja wina. – Przybrała lekko obronny ton. – Ja jestem cały tydzień na zwolnieniu z Harrym. Ma wieczną ospę.

Wietrzną, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego. Podstawowa zasada phishingu: nie wkurzaj swojego obiektu.

– Och, co za koszmar! – rzuciłam za to, starając się, by brzmiało to współczująco. – Sama mam bliźniaki i parę miesięcy temu zachorowali mi obaj. Przysięgam, że nie spałam wtedy przez dwa tygodnie.

– O mój Boże, mam to samo – odparła żałośnie Kelly i po zmianie jej tonu wyczułam, że udało mi się nawiązać kontakt. – To jest jakiś koszmar. – Płacz w tle się nasilił. – Słuchaj, Kate, przepraszam, ale to nie jest najlepszy...

– Och, jasne, oczywiście. Kurde... nie chcę cię ściągać do biura, skoro to nie jest twoja wina, ale *muszę* przeskanować ten komputer. To kwestia bezpieczeństwa.

– Nie mogę przyjść! – Keeley wydawała się zaniepokojona. – Nikt inny nie może się nim zająć. Moja mama jest w trakcie chemioterapii; jej lekarz powiedział, że nie może się z nim widzieć, dopóki nie zejda mu krosty.

– Słuchaj – powiedziałam poufale, jakbym podejmowała jakąś decyzję. Ściszyłam głos. – To nie jest do końca... No cóż, nie powinniśmy działać

w ten sposób, ale widzę, że jesteś w kłopotliwej sytuacji. Czy mogłabyś podać mi swoje hasło, a ja przeprowadzę to skanowanie bez ciebie? Tylko... nie mów mojemu szefowi. *Naprawdę* nie powinniśmy tak robić.

– O Boże, jasne. – Ulga w jej głosie była wyczuwalna. – Mam wszystkie zapisane w wizytowniku pod nazwiskiem Harry Winston, ale główne brzmi Harry24Sept. Boże, *bardzo* dziękuję, Kate. Jestem naprawdę bardzo wdzięczna. Przepraszam, gdybym tylko mogła, tobym przyjechała, ale... wiesz, jak jest.

– No jasne, faceci po prostu tego nie rozumieją. Mój szef myśli, że w każdej chwili mogę po prostu wszystko rzucić. A to nie jest takie proste!

Keeley zaśmiała się nerwowo, a płacz w tle się nasilił.

– Słuchaj, nie będę cię już dłużej trzymać – powiedziałam serdecznie. – Trzymaj się, Keeley. Pamiętaj, żeby też się trochę przespać!

– Dzięki, tak, będę kończyć, Harry rozpętuje tu właśnie trzecią wojnę światową. Trzymaj się, Kate. Cześć.

– Cześć! – odparłam radośnie, usłyszałam kliknięcie i telefon umilkł.

Powstrzymałam się, by nie zamachać triumfująco w powietrzu pięścią, zalogowałam się do komputera, a gdy się uruchamiał, odwróciłam w wizytowniku kartę oznaczoną „Harry Winston”.

To był prawdziwy skarb. Hasła do wszystkich systemów, co do jednego, starannie spisane, bez choćby najmniejszej próby ich ukrycia.

Zamknęłam oczy, odmówiłam cichą modlitwę w podziękowaniu za przesadnie skomplikowane systemy informatyczne oraz zbyt wiele niemożliwych do spamiętania haseł, a także rozkojarzonych rodziców na całym świecie, po czym zaczęłam rozgryzać bazę danych call center.

Najtrudniej było określić, która ikona na bardzo zawałonym pulpicie Keeley jest najistotniejsza, i kilka razy źle trafiłam, najpierw do bazy danych ubezpieczeń samochodów, a potem do czegoś, co wyglądało na wewnętrzną sieć pracowników, ale w końcu odpaliłam odpowiednią, która wyświetliła mi ekran powitalny z logotypem Sunsmile oraz hasłem „Ubezpieczenie na życie Sunsmile – przyjaciel na całe życie”. Wcisnęłam ikonę wyszukiwania, a ona przeniosła mnie do ekranu z instrukcją: „Wyszukaj za pomocą numeru dowodu klienta, numeru polisy, nazwiska, kodu pocztowego”.

Serce waliło mi jak oszałałe, kiedy wpisywałam nasz kod pocztowy.

Wyświetliły się trzy polisy. Dwie należały do osób, o których nigdy nie słyszałam – prawdopodobnie sąsiadów, którzy przypadkiem też się ubezpieczyli w Sunsmile. Ale trzecia – trzecia była najnowsza i należała do Gabe'a.

Palce mi drżały, kiedy przeklikałam dalej i przewinęłam dane klienta. Były tam kopie wszystkiego. Dostarczonych dokumentów, opłaconych faktur. Kliknęłam w dane karty kredytowej, które przechowywali w pliku, i w myślach zaciskałam kciuki, żeby to był strzał w dziesiątkę. Nie miałam pewności, czego się spodziewałam – karta na nazwisko Jeffa Leadbettera to byłoby chyba zbyt wielkie szczęście – ale kiedy ujrzałam szczegóły, straciłam nadzieję. Widniało tam nazwisko Gabe'a, to była karta Gabe'a; poznałam ją po numerze. Bez sensu. Gabe był ostrożny, jeśli chodzi o podawanie danych swojej karty kredytowej. Niemożliwe, żeby dał się złapać na phishing, ale też to po prostu nie wyglądało na sprawkę Jeffa. Przeszłam potem do dokumentu tożsamości i moim oczom ukazał się skan prawa jazdy Gabe'a. I to dopiero zbiło mnie z tropu. Nie byłam w stanie uwierzyć, żeby Gabe wysłał gdzieś zdjęcie swojego prawka, chyba że na jakąś prawdziwą, wiarygodną, bezpieczną stronę, która naprawdę wymagała dowodu tożsamości ze zdjęciem. Czyżbym popełniła błąd? Może jednak Gabe *naprawdę* wykupił tę polisę?

Przewinęłam w dół strony, szukając czegoś, *czegokolwiek*, co dałoby mi jakąś wskazówkę, ale tylko jedna rzecz mi nie pasowała – przypisany do tego wpisu numer telefonu. Nie należał on do Gabe'a. Ale nie był to też numer Jeffa – a przynajmniej nie ten, którego używał, gdy byliśmy razem. W ogóle go nie kojarzyłam. Spisałam go sobie na samoprzylepnej karteczce, którą Keeley przezornie zostawiła koło monitora, i schowałam ją do kieszeni. Numer telefonu to nie był jakiś poważny trop, ale zawsze to coś. Może mogłabym pod niego zadzwonić, kiedy stąd wyjdę.

Już miałam zamknąć bazę danych, kiedy zobaczyłam coś na samym dole ekranu – małą ikonę w kształcie głośnika. „Nagrania rozmów” – brzmiał podpis. I był tam tylko jeden wpis oznaczony datą, zaledwie sprzed tygodnia, dokładnie na trzy dni przed śmiercią Gabe'a.

Serce znów zaczęło mi mocno walić.

Połączenie telefoniczne. Z osobą, która wykupiła tę polisę. A ja je prawie przegapiłam.

Na biurku leżał zestaw słuchawkowy, sięgnęłam po niego i włożyłam go na uszy, po czym przeszłam do nagrania. Gotowało się we mnie z nerwów. Tak mocno przygryzałam wewnątrz wargi, że niemal rozciąłam zębami miękką skórę. Przez sekundę nic się nie działo – kręciła się tylko ikonka „ładowanie”. A potem w słuchawkach rozbrzmiał kobiecy głos.

„Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z panem Gabrielem Medwayem?”

„Kto mówi?” – spytał niski, męski głos.

Ogarnął mnie szok – a zaraz po nim poczucie miażdżącej porażki. Bo to nie był Jeff. W ogóle nie był do niego podobny. Był to dużo niższy głos – bardziej przypominał... i wtedy żołądek ścisnął mi strach. W istocie brzmiał dużo bardziej jak Gabe.

O Boże. Czy aż tak się pomyliłam?

Zatrzymałam nagranie, mój palec odruchowo uderzył w klawisz myszki na dźwięk niespodziewanego głosu, ale teraz przewinęłam do początku i włączyłam rozmowę od nowa, już przygotowana na głos tego mężczyzny.

„Kto mówi?”

Tym razem, mimo że się ich spodziewałam, te słowa trafiły mnie prosto w serce. Bo brzmiały tak, jakby to *mógł* być on. Chociaż nie byłam *całkowicie* pewna. Kobieta brzmiała krystalicznie czysto, ale nagranie ze strony mężczyzny nie było za dobre. Połączenie trzeszczało i jego głos był zniekształcony. Odrobinę pogłośniłam i zamknęłam oczy, próbując się odciąć od całego gwaru w call center i skupić się wyłącznie na brzmieniu tego głosu w moich uszach.

„Mówi Jo z Sunsmile, panie Medway, kontaktował się pan z nami w sprawie polisy? Musimy wyjaśnić jeden punkt, który dotyczy...”

„Przepraszam, czy może pani napisać mi mejl w tej sprawie?” – przerwał jej rozmówca.

Chciał ją spławić i wydawał się poirytowany tym telefonem.

„To nie jest dobry moment”.

I nagle byłam pewna, całkowicie pewna. Zalało mnie takie poczucie ulgi, że aż załaskotały mnie czubki palców: to *nie był* Gabe. Brzmiał podobnie do Gabe’a, rzeczywiście bardzo go przypominał – ten sam niski ton, ten sam londyński akcent. Prawie każdy dałby się oszukać. Ale ja *znałam* Gabe’a. Jego głos towarzyszył mi każdego wieczoru każdego roku, szeptał mi do ucha zachęty, instrukcje, żarty, ostrzeżenia. I choć nie było tu nic, co potrafiłabym określić, nic, co z całą pewnością mogłabym przekazać

policji, jednej rzeczy byłam pewna: osoba po drugiej stronie tego połączenia *nie była* Gabe'em. Na sto procent.

„Oczywiście, jeśli tak pan sobie życzy” – odparła uprzejmie kobieta. „Ale to naprawdę zajmie tylko chwileczkę. Chodzi o...”

Rozległo się kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

Usłyszałam westchnięcie kobiety.

„Panu również życzę miłego dnia” – rzuciła nieco sarkastycznie w próżnię. A potem nagranie się urwało.

Serce mi waliło w piersi jak bęben, słyszałam je w uszach.

Poprawiłam słuchawki, osłoniłam jedno ucho ręką, żeby odciąć jak najwięcej dźwięków z zewnątrz, i zacisnęłam oczy.

Potem podkręciłam głośność na maksa i znów włączyłam nagranie.

„Przepraszam, czy może pani napisać mi mejl w tej sprawie? To nie jest dobry moment”.

Jeszcze raz.

„Przepraszam, czy może pani napisać mi mejl w tej sprawie?”

„Przepraszam, czy może pani”.

„Przepraszam”.

„Przepraszam”.

„Przepraszam”.

I wtedy – nie wiem jak, ale zrozumiałam.

Usłyszałam łoskot, bo myszka ześlizgnęła się z biurka i spadła na podłogę.

Poczułam przesunięcie kółek krzesła po dywanie, kiedy odsunęłam je od biurka, i wstałam na niepewnych nogach.

Poczułam drżenie dłoni i zamknęłam komputer Keeley, a potem przerzuciłam kartki w jej wizytowniku z powrotem do litery A.

Jednak w środku – w środku byłam dziwnie odrętwiała. Niczego nie czułam.

– Wszystko w porządku? – spytała dziewczyna z biurka obok, kiedy odchodziłam. – Szukała pani Keeley? Jest na zwolnieniu z chorym dzieckiem.

– Tak, wiem – odpowiedziałam.

Moja twarz była dziwnie gorąca i zimna jednocześnie. Chwyciłam paski plecaka, żeby powstrzymać drżenie dłoni.

- Jestem z IT, aktualizowałam tylko sterowniki na komputerze pod jej nieobecność. Już gotowe.

Z wysiłkiem wymawiałam słowa, ale dziewczyna chyba tego nie zauważyła. Skinęła jedynie głową i wróciła do kolejnego połączenia.

Chciało mi się krzyczeć, ale nie mogłam. Musiałam się stąd wydostać, wymyślić, co zrobić. Musiałam rozgryźć *dlaczego*.

Bo ten głos na nagraniu, głos, którego słuchałam raz za razem i w kółko... ten głos należał do Cole'a.

A ja nie wiedziałam nawet, od czego zacząć, żeby to zrozumieć.

Nogi miałam jak z galarety, kiedy wracałam tą samą trasą przez labirynt biur i sal konferencyjnych Sunsmile w kierunku głównego wejścia. Serce mi waliło i byłam w stanie myśleć tylko o jednym. Musiałam się stąd wydostać i zadzwonić do Hel, powiedzieć jej o moim odkryciu. Bo to nie miało w ogóle sensu. Cole? Cole?

Byłam już prawie w recepcji, sięgałam właśnie po komórkę do kieszeni, kiedy wyszłam zza ostatniego rogu i zobaczyłam jakąś grupkę: ochroniarzy stłoczonych wokół ekranu przy ladzie. Było ich trzech, a do tego facet w garniturze, który wyglądał bardziej na jakiegoś menedżera, i wszyscy wydawali się zmartwieni. Jeden z nich wskazywał na coś i byłam przerażająco pewna, że był to ekran monitoringu. Inny rozmawiał z Derkiem, tym ochroniarzem, który wcześniej mnie wpuścił. Derek uniósł dłonie w obronnym geście, jakby starał się czemuś zaprzeczyć.

Ogarnęło mnie odrętwienie. Coś było nie tak. Bardzo, bardzo nie w porządku. Ale jakim cudem? Przecież nie popełniłam żadnego błędu. Nikt mnie nie wypytywał. Nie zauważyłam żadnych podejrzliwych spojrzeń w call center i mogłabym *przysiąc*, że Keeley niczego nie przeczuwała podczas naszej rozmowy telefonicznej.

Miałam teraz dwie możliwości: przetoczyć się szybko przez recepcję z nadzieją, że nikt mnie nie zauważy, albo się wycofać. Wahałam się – w końcu całe to poruszenie mogło nie mieć żadnego związku ze mną – ale dosłyszałam z zewnątrz jakiś dźwięk, od którego mój puls jeszcze przyspieszył. Było to krótkie „hii-hii” policyjnej syreny, bo właśnie jakiś radiowóz zaparkował na kopcercie z zakazem przed biurem i włączył niebieskiego koguta.

Może nie przyjechali tu po mnie. Ale zaczynało wyglądać na to, że jednak tak, a ja nie zamierzałam czekać, by się o tym przekonać.

Odwróciłam się i szybko odeszłam z powrotem w głąb budynku. Szukałam znaków wskazujących wyjścia ewakuacyjne, ale wszystkie w tej okolicy kierowały z powrotem do recepcji, więc zignorowałam je i zaczęłam na wpół iść, na wpół biec dalej w głąb kompleksu Sunsmile. Miałam dziwne uczucie w klatce piersiowej – tak, to była panika, ale w połączeniu z jakąś euforią, wyrzutem adrenaliny, który zawsze towarzyszył mi przy zleceniach, kiedy robiło się trudniej. Na sekundę przyłożyłam dłoń do ucha, jakby spodziewając się, że poczuję tam gumową powierzchnię słuchawki Bluetooth – lecz oczywiście byłam sama.

Starłam się pospiesznie oddalić od recepcji, jednocześnie starając się utrzymać takie tempo, żeby w miarę przekonująco wyglądać po prostu na pracowniczkę biura, która zapomniała odebrać ze żłobka małego Freddiego. Żadnego biegania. Żadnego biegania po biurze. Bardziej zestresowany truchcik. Z zestresowaniem się nie miałam problemu. Trudniej było się powstrzymać przed pędem. Niemal słyszałam w uchu głos Gabe'a: „Nie rzucaj się w oczy, kochanie. Spróbuj się wmieszać w tłum”.

Kurwa, staram się, pomyślałam. Ale wymówiłabym to z większym przekonaniem, gdyby Gabe naprawdę tu był. Kiedy dotarłam do opustoszałego korytarza, zrzuciłam z siebie ciemną marynarkę i sięgnęłam do torby po okulary zerówki, które spakowałam wcześniej – trudno było przegapić takie grube, ciemne oprawki. Jeśli chodzi o przebranie, to nie było to wiele, ale już te dwie zmiany mogły zmylić kogoś wpatrującego się w rozmazany obraz z monitoringu.

W końcu znalazłam się na tyle w głębi Sunsmile, że wskazówki wyjścia ewakuacyjnego zaczęły prowadzić w innym kierunku – naprzeciw mnie, dalej do środka. Poszłam za nimi, zerkając przy tym przez ramię, by się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi. Dalej za sobą słyszałam jakieś poruszenie – ale nie byłam pewna, czy to ochroniarze, czy też może coś niezwiązanego ze mną. To drugie zdawało się trochę życzeniowe, ale niezależnie od tego, co tam się działo, najwyraźniej nie siedzieli mi na ogonie.

Już zaczynałam czuć napływ optymizmu, kiedy wyszłam zza rogu i zobaczyłam przed sobą ochroniarza gapiącego się w komórkę.

Cholera.

Nie zobaczył mnie, był zbyt zajęty czytaniem czegoś na ekranie, ale wyobraźnia podpowiadała mi już różne rzeczy. Wiadomość z moim opisem. Albo co gorsza – zdjęcie z kamery monitoringu.

Cholera. *Cholera.*

W końcu podjęłam decyzję i umknęłam do jakiegoś gabinetu. Był pusty, więc usiadłam przy biurku stojącym pod oknem i pospiesznie wkopałam plecak na podnózek, po czym próbowałam uspokoić bicie serca. Komputer nie był włączony, ale nie miałam już czasu, żeby go odpalić. Wyciągnęłam za to jakieś dokumenty i sięgnęłam po telefon.

Ponad brzęczeniem sygnału telefonu słyszałam kroki zbliżające się korytarzem. *Idź dalej*, błagałam w myślach. *Idź dalej.*

Ale tak się nie stało. Kroki zatrzymały się przed drzwiami i usłyszałam nieco niezręczne kasznięcie.

– No cóż, to po prostu nie wystarczy – warknęłam do telefonu. – Potrzebowaliśmy tych danych wczoraj.

Pomiędzy łopatkami spływała mi kropelka potu i przycisnęłam plecy do oparcia krzesła, żeby wsiąkła.

– Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, Diane, ale jutro nie jest wtorek.

Chyba że był. Całkiem straciłam poczucie czasu. Zaciśnęłam oczy, starając się, żeby dłoń trzymająca słuchawkę nie drżała zbyt mocno. Rozbrzmiało kolejne kasznięcie, w połączeniu z bardzo spiętym stukaniem do drzwi. Westchnęłam, przyłożyłam sobie słuchawkę do ramienia i obróciłam się na krześle.

– Dzień dobry, słucham. W czym mogę pomóc?

Ochroniarz stał przed drzwiami i przestępował z nogi na nogę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy nie widziała tu pani może jakichś niepowołanych osób?

– Niepowołanych osób? – Staralam się, by mój głos zdradzał skrajną irytację. – Przepraszam, a czy to czasem nie należy do *pańskich* obowiązków? Nie wiedziałam, że delegujemy teraz zadania firmy ochroniarskiej na pracowników księgowych.

– Sprawdzam pewne niepo... – zaczął obronnym tonem ochroniarz, ale ostro mu przerwałam.

– Odpowiadając na pańskie pytanie: nie, zdecydowanie nie. Jedyłą osobą, która mnie tu niepokoiła, jest *pan*. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, to jestem w połowie bardzo ważnej rozmowy telefonicznej. –

Zwróciłam z powrotem do telefonu, który pikał teraz głośno na znak, że nie jest połączony. – Przepraszam – rzuciłam do słuchawki z żarliwą nadzieją, że ochroniarz nie usłyszy tego dźwięku ponad moją jednostronną rozmowę. – Na czym to skończyłyśmy? No tak... – *Cholera, wymyśl jakieś wiarygodne hasło z branży ubezpieczeniowej. Myśl, Jack!* – Prosiłam o dane zwrotów z inwestycji. Moje pytanie brzmi teraz, czy przestaniesz się opieprzać i dostarczysz mi je na czas? Spotkanie jest *jutro*, jeśli nie wyraziłam się do tej pory jasno. Czy chcesz może, żebym tam poszła i wyjaśniła, że nie mogę przedstawić aktualnych szacunków, bo nie byłeś w stanie wykonać prostego polecenia?

Zacisnęłam powieki, udając, że ignoruję wymówki rozmówcy, ale w rzeczywistości starałam się usłyszeć wycofującego się ochroniarza. Nic nie słyszałam przez ten pikający telefon przy moim uchu. Nadal tam stał? Czy miałam odwagę się obejrzeć?

W końcu, jakby zniesmaczona, cisnęłam słuchawką i obróciłam się na krzesło, gotowa tak opieprzyć ochroniarza, żeby uciekł w popłochu – ale już go nie było.

Oparłam się na krzesło, czując, jak uchodzi ze mnie cała brawura. Niewiarygodne, jak blisko już było. Bardziej zdecydowany ochroniarz by mnie przejrzał – albo wyczuł coś podejrzanego. A gdyby kolejną osobą składającą mi wizytę był Derek lub któraś z osób przeglądających nagrania w recepcji, byłoby naprawdę po mnie.

Musiałam się stamtąd wydostać. *Natychmiast.*

Chwyciłam plecak i zarzuciłam go sobie na ramię, ignorując przeszywający ból w boku. Potem pobiegłam, tym razem szybko – w kierunku przeciwnym do tego, w którym, jak miałam nadzieję, udał się ochroniarz. Nie starałam się już wpasować. Iluzja, że to zlecenie jak każde inne, wyparowała. To nie była prawda. Stawka była dużo, dużo wyższa – a ja jeszcze nigdy, podczas żadnego testu, nie czułam takiego zmęczenia ani strachu.

Nogi mi się trzęsły, ale zmusiłam się, żeby biec dalej, i skręciłam w lewo, tak jak pokazywał znak wyjścia ewakuacyjnego. Prawie wpadłam na jakąś kobietę niosącą kubek herbaty, ale udało mi się uchylić i wymamrotać „Przepraszam”, po czym skręciłam bez zastanowienia w prawo – bardziej, żeby zejść tej zdziwionej kobiecie z oczu niż z poczuciem jakiegoś konkretnego celu.

A potem, kiedy już zaczynałam myśleć, że musiałam źle skręcić i trzeba będzie zawrócić, minęłam róg i trafiłam wprost w ślepa w uliczkę. Tylko że to *nie była* ślepa uliczka. Były to wielkie drzwi ewakuacyjne – niestety nie takie, na jakie liczyłam. Bez żadnej łatwej do pokonania metalowej barierki czy nieformalnego tylnego wyjścia. Otwierało się je zielonym przyciskiem chowanym za szybką, a nad nimi widniał ogromny napis: „Te drzwi uruchamiają alarm. Używać tylko w sytuacji awaryjnej”.

Zrobiło mi się niedobrze. Dosłownie niedobrze. Dokładnie to ujęłabym w raporcie dla Arden Alliance, gdybym go rzeczywiście napisała – nie powinno być możliwości wymknięcia się przez wyjście ewakuacyjne bez uruchomienia jakiegoś alarmu. Tymczasem akurat, kiedy tego nie chciałam, bo gra toczyła się o najwyższą stawkę, znalazłam firmę, która zrobiła to dobrze. Istniała niewielka szansa, że ten znak jest fałszywy i ma po prostu powstrzymać ludzi przed wymykaniem się tyłem na fajkę – ale jakoś w to wątpiłam. Wyglądał poważnie.

Tak czy inaczej, nie miałam innego wyboru. Za sobą, w głębi korytarza, słyszałam narastające dźwięki głosów, odgłosy krótkofalówek i ciężkich kroków. Może tamten niepewny ochroniarz wyczuł jednak coś podejrzanego, a może tamta kobieta z herbatą wszczęła alarm – w każdym razie ochrona najwyraźniej odkryła moją trasę i się zbliżała.

Musiałam się stamtąd wydostać, nawet gdyby oznaczało to wywołanie chaosu. A właściwie... może odrobina chaosu nie byłaby taka straszna?

Ta myśl dodała mi odwagi, więc uniosłam stopę i kopnęłam obcasem w szybkę nad przyciskiem. Za pierwszym razem się nie udało, ale za drugim szkło pękło. Wzięłam głęboki wdech, wcisnęłam guzik – i nic się nie wydarzyło.

Cała moja adrenalina się rozplynęła. Stałam tam po prostu, gapiąc się ze zdumieniem i niedowierzaniem, nasłuchując głosów z głębi korytarza. Nie rozbrzmiał żaden alarm – ale drzwi dalej pozostawały zamknięte.

To *musiała* być jakaś pomyłka. Prawda? Wyjście ewakuacyjne bez alarmu było niezalecane. Ale niedziałające wyjście ewakuacyjne to już po prostu łamanie przepisów.

Odgłosy kroków słyszałam naprawdę bardzo blisko.

Uniosłam dłoń, przygotowana do ponownego wciśnięcia przycisku. Ale nim zdążyłam to zrobić, drzwi rozchyliły się na zewnątrz, powoli i ociężale, a ja zostałam oślepiona jasnym popołudniowym słońcem oraz ogłuszona

jakby tysiącem alarmów przeciwpożarowych, które zaczęły wyc w całym kompleksie.

Przez moment nie miałam pojęcia, co zrobić. Z biur po prawej i lewej stronie zaczęli się wylewać ludzie. Wciągali na siebie płaszcze i zarzucali na ramię torby, mimo surowego nakazu pozostawienia wszystkiego, i narzekali współpracownikom na zakłócenia w rytmie dnia. A potem zdałam sobie sprawę, że ci ludzie mogą być moim kamuflażem, moją przepustką do wolności.

Poprawiłam sobie plecak na ramieniu, zadarłam brodę i starając się wyglądać na jak najbardziej wkurzoną, wyszłam razem z nimi na słońce. Gdy tylko minęłam róg, zaczęłam biec.

Dwadzieścia minut później wbiegłam, dysząc, na dworzec Milton Keynes, przyciskając rękę do bolącego boku i nawet nie próbując ukryć purpurowej twarzy i zadyszki. Trochę dlatego, że nie byłam w stanie tego zrobić – zbyt się zmęczyłam, żeby choć starać się wyglądać przyzwoicie, ale też stacja kolejowa jest jednym z niewielu miejsc, w których *można* wyglądać, jakby się uciekało przed policją, nie budząc przy tym podejrzeń.

Ze świszczącym oddechem stanęłam przy bramce biletowej, jedną ręką przytrzymałam się automatu, a drugą zaczęłam szukać po kieszeniach biletu powrotnego. Dzięki Bogu, nadal go miałam. Tak mocno się trzęsłam, że musiałam trzy razy próbować go wsunąć do wąskiej szpary, aż w końcu bramka się otworzyła, przeszłam i opadłam na ławkę przy peronie pierwszym, starając się wyglądać na kogoś, kto właśnie spóźnił się na pociąg. Tak naprawdę nie miałam pojęcia, co robić dalej.

Każda część mojego ciała drżała od adrenaliny, a bok pulsował gorącym, obezwładniającym bólem, tak intensywnym, że powstrzymywałam się, by nie przechylić się z boku ławki i nie wymiotować – gdybym miała w żołądku coś więcej niż tamtą poranną słodką bułkę, pewnie bym to zrobiła. Ale nie tylko ten ból przyprawiał mnie o mdłości – miałam jeszcze bardziej przesrane, niż sądziłam, a do tego policja zdołała mnie wytropić. Wyśledzili mnie najpierw u Cole'a, teraz w Sunsmile i nie miałam pojęcia, jakim cudem.

Mój powrót na dworzec był raczej instynktowny – czułam przemożną potrzebę wydostania się z Milton Keynes. Ale nie miałam pojęcia, dokąd jechać ani co zrobić. Nie mogłam wrócić do Cole'a. Na pewno nie mogłam też wrócić do Heleny. Tak naprawdę pragnęłam znaleźć się w domu. Wziąć gorący prysznic, położyć się na miękkim łóżku i *zasnąć*. Nie byłam pewna, ile spałam poprzedniej nocy, ale musiało to być zaledwie parę godzin, a od tamtej pory udało mi się wydrzeć zaledwie kilka chwil na odpoczynek.

Teraz, kiedy ból w boku zelżał i stał się bardziej znośnym, choć nadal niepokojącym pulsowaniem, poczułam się słaba, przechodziły mnie dreszcze z wyczerpania. Moje łóżko wydawało się najbardziej kuszącą rzeczą na świecie. Jednak nie było sensu za nim tęsknić. Powrót do domu był niemożliwy – nawet bardziej niż powrót do Hel. Równie dobrze mogłam siedzieć i tęsknić za Gabe'em – zarówno on, jak i moje zwyczajne, codziennie życie znalazły się daleko poza zasięgiem.

Siedziałam tam nadal, starając się opanować oddech, kiedy usłyszałam jakieś poruszenie za sobą przy kasach. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam dwóch umundurowanych funkcjonariuszy przy barierkach, pokazujących legitymacje dyżurującemu ochroniarzowi.

Moje serce tak przyspieszyło, że prawie zwymiotowałam. Rozejrzałam się po peronie, próbując się zastanowić. W oddali widziałam nadjeżdżający pociąg – ale na który peron miał się wtoczyć?

Podniosłam się spokojnie, starając się nie zwracać na siebie uwagi, i przeszłam szybko w kierunku kładki dla pieszych, ze spuszczoną głową, jakbym sprawdzała coś w komórce. Tak naprawdę cała moja uwaga była skupiona na głównym wejściu na dworzec za mną. Policjanci już przeszli przez bramki i rozdzielili się, jeden szedł peronem w moją stronę, a drugi rozmawiał z jakimiś studentami przy wejściu.

Serce mi waliło, wślizgnęłam się pod cień kładki i zaczęłam wchodzić po schodach. Kiedy tylko usunęłam się z widoku, schowałam się pod daszkiem wiaduktu nad peronami, ściągnęłam okulary, wyjęłam z plecaka polar z kapturem i włożyłam go przez głowę. W kapturze wyglądałam, taką przynajmniej miałam nadzieję, zupełnie inaczej od pracownicy biurowej, która wkręciła się do biur Sunsmile – bardziej jak nastoletni chłopiec niż dorosła kobieta.

Pociąg podjeżdżał coraz bliżej – na tyle blisko, że dostrzegłam jego numer, a zerkając w górę na tablicę, zobaczyłam, iż zmierza do Birmingham, ma osiem minut opóźnienia i wjedzie na peron szósty. Mój bilet nie obejmował tej linii – ale to było najmniejsze z moich zmartwień, ponieważ niestety pociąg nie był jedyną rzeczą, która się zbliżała. Zerkając przez ramię w dół schodów, spostrzegłam, że idący za mną policjant przystanął, by porozmawiać z kobietą w białej bluzce i ciemnej marynarce, a teraz zmierzał w stronę kładki.

Przełknęłam, otuliłam twarz mocniej kapturem i pobiegłam przez kładkę w stronę znaku wskazującego zejście na peron szósty.

– Halo! – usłyszałam za sobą, ale nie zatrzymałam się.

Nie wiedziałam, czy policjant mówił do mnie, czy do kogoś innego, ale nie zamierzałam czekać, żeby to sprawdzić.

– Halo, chłopcze!

Jego kroki przyspieszyły. Pode mną pociąg wjechał na stację.

O Boże, o Boże. Nie teraz – proszę, nie teraz.

Mój bok pulsował, a ja się czułam, jakbym miała zaraz zwymiotować, ale zmusiłam nogi, żeby poruszały się jeszcze odrobinę szybciej, i zbiegłam po schodach na peron.

– Policja! – usłyszałam za sobą.

Peron szósty był na szczęście zatłoczony i kiedy skręciłam na rogu u dołu schodów, rzuciłam się w grupkę nastolatków. Wszyscy byli podobnego wzrostu co ja, dwóch miało nawet czarne polary z naciągniętymi na głowę kapturami. Wysłałam dziękczynną modlitwę do boga nastoletnich chłopców, a drzwi pociągu się otworzyły i przecisnęłam się do środka, nie dbając o dobre maniery.

Zamknij drzwi, zamknij drzwi.

W pociągu przepchnęłam się przez zatłoczoną alejkę i przeszłam do następnego wagonu.

Wtedy przez głośnik rozbrzmiał komunikat:

– Opóźniony pociąg numer piętnaście trzydzieści jeden w kierunku Birmingham Street. Pociąg jest gotowy do odjazdu, proszę odsunąć się od drzwi.

Wstrzymałam oddech, pochyliłam głowę, żeby wyrzeć przez okno na peron. Stał tam policjant i z poirytowaną miną rozmawiał przez krótkofalówkę.

Wtedy szarpnęło, zatoczyłam się i przycisnęłam rękę do boku – jechaliśmy. Oddalaliśmy się. Ale mało brakowało. Zbyt mało, żebym teraz poczuła ulgę.

Gdy pociąg wyjechał z Milton Keynes, napięcie zeszło z mojego ciała falą. Zrobiłam się słaba, wstrząsały mną dreszcze. Bardzo chciałam usiąść. Kiedy zabierałam podręczny plecak z Salisbury Lane, cieszyłam się z tego, jaki jest lekki. Teraz, mimo że zjadłam już większość swoich zapasów, miałam wrażenie, jakbym nosiła na plecach ołowiane ciężarki. Zsunęłam go na podłogę i rozejrzałam się za miejscem do siedzenia. Próbowałam właśnie zdecydować, czy lepiej przejść do kolejnego wagonu, czy też poprosić kobietę naprzeciwko o zdjęcie toreb z zakupami z miejsca obok niej, gdy poczułam coś gorącego z boku brzucha. Wsunęłam rękę pod polar, moje palce zrobiły się czerwone. Opatrunek musiał mi się poluzować od tego całego biegania. Znowu krwawiłam.

Cholera. Polar był czarny, więc plamy z krwi nie byłyby widoczne, ale nie mogłam pozwolić sobie na zakrwawienie siedzeń w pociągu lub czegoś, co ludzie by zauważyli. Nic tak nie przyciąga uwagi jak krew.

Nad przejściem do kolejnego wagonu widniał znaczek toalety, więc z wysiłkiem zarzuciłam plecak na ramię i zaczęłam przeciskać się korytarzem, z rozpaczliwą nadzieją, że nie zostawiłam smug krwi na wózku kobiety z dzieckiem.

Była to toaleta starego typu, z zatrzasowanymi drzwiami i zakamienionym klozetem – nie zdziwiłabym się, gdyby opróżniał się na tory. Jednak kiedy zamknęłam za sobą drzwi i przesunęłam zasuwę, nie obchodziło mnie, że wyglądało tam jak w *Trainspotting*. Byłam po prostu wdzięczna, że toaleta ma działający zamek i kran.

Powiesiłam plecak na drzwiach. Najpierw zdjęłam bluzę, a potem zniszczoną białą koszulkę, którą przyozdobiła teraz ciemnoczerwona plama krwi rozciągająca się na jednym boku.

Po obejrzeniu opatrunku pomyślałam najpierw, że nie wygląda to tak źle – po prostu od biegania rana znów się otworzyła, a przez gazę przesączała

się krew. Pewnie wystarczyło nakleić nową.

Gdy jednak oderwałam brzeg nasiąkniętego prostokąta, wzdrygnęłam się na widok tego, co zobaczyłam pod spodem.

Spodnia część opatrunku wyglądała jeszcze gorzej od tego, który pomógł mi poprzedniego dnia zdjąć Cole – była cała we krwi i czymś, co niestety wyglądało na ropę. Sama rana była podrażniona i spuchnięta w taki sposób, że nawet ja, osoba z zerową wiedzą medyczną, byłam w stanie powiedzieć, że to poważna sprawa.

Infekcja wyjaśniałaby, dlaczego czułam się tak dziwnie – nogi miałam słabe i galaretowate, skóra była na przemian gorąca i zimna. Choć z niechęcią przyznawałam Cole'owi rację, zaczynałam myśleć, że może się nie mylił; potrzebowałam antybiotyków. Jednak nie mogłam podjąć aż takiego ryzyka.

Ostatecznie ochlapałam skórę ciepłą wodą, zmywając z niej tyle mazi, ile się dało, i usiłując zignorować ten niepokojący zapach dobywający się ze zlewu wraz z parą. Woda szczypała, ale nie tak mocno, jak sądziłam, a to ostre uczucie niemal przynosiło ulgę po nieustannym słabym pulsowaniu, które przez cały dzień męczyło mnie z boku.

Gdy rana była już czysta, osuszyłam ją papierem toaletowym, a potem wyjęłam kolejny opatrunek z tych ukradzionych w galerii handlowej. Przyłożyłam go do żeber, zamknęłam oczy z bólu i przycisnęłam go, ale nawet przez warstwy gazy i papieru czułam ciepło bijące z rany. Mogłam tylko trzymać kciuki i wierzyć w mój układ odpornościowy. Trzęsąc się, włożyłam z powrotem przez głowę poplamioną koszulkę, na to polar i próbowałam wymyślić, co dalej.

Mój bilet nie był ważny na tej linii – a to oznaczało, że musiałam się jakoś wykręcić przy wyjściu. Na małej, wiejskiej stacji mogłoby to być łatwiejsze, może nawet na bardzo małej nie byłoby bramek biletowych. Pytanie tylko, gdzie takie się znajdowały.

Sięgnęłam do kieszeni po komórkę, żeby sprawdzić stacje po drodze, ale nim zdążyłam go odblokować, zobaczyłam powiadomienie z Signala. Dostałam wiadomość. Od Hel.

„Jack? Jesteś tam? Jak poszło?!”

Ogarnęła mnie fala ulgi. *Hel*. Boże, niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak rozmowy z nią – chciałam z siebie wyrzucić cały ten pokręcony bałagan

i poprosić o jej chłodną, analityczną ocenę tego, co tu się, do cholery, wyprawia i co to wszystko znaczy.

Czy to możliwe, że *Cole* był odpowiedzialny za śmierć Gabe'a? To nie on go zabił – tego byłam pewna, przynajmniej na tyle, na ile mogłam być, nie będąc świadkiem samego morderstwa. Szok w jego głosie, kiedy mu powiedziałam, to, z jakim bólem wymamrotał: „Czyli... czyli poderżnęli mu gardło?”. To nie było udawane, nie miałam co do tego wątpliwości. Ale to ubezpieczenie... Z jakiego innego powodu miałby wykupić taką polisę? To nie była spontaniczna decyzja. Musiał poświęcić kilka dni na to, żeby zdobyć dokumenty Gabe'a, numer jego karty kredytowej, wypełnić formularze. Wszystko zostało zaplanowane na zimno w taki sposób, że aż kręciło mi się w głowie i nie byłam w stanie rozgryźć, co to może znaczyć.

Hel była jedyną osobą, której opinii ufałam bardziej niż czyjejkolwiek innej – właściwie nawet bardziej niż Gabe'a. On był optymistą i jego perspektywa była zawsze podkoloryzowana, bo chciał dla wszystkich jak najlepiej i wierzył w ludzi. Hel była... cóż, nie była tak do końca pesymistką. Ale większą realistką. Przeszliśmy w życiu przez to samo, przeżyliśmy utratę rodziców tuż po wejściu w dorosłość. Tamtej nocy obie przestałyśmy mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze, a Gabe nigdy czegoś takiego nie doświadczył. A poza tym Gabe'a już nie było.

Z tego powodu to ona była jedyną osobą, która mogła, tylko *mogła*, umieć pomóc mi to rozgryźć. Jednak to nie moje zagubienie powstrzymało mnie przed odpowiedzią. Coś innego, z czego zdałam sobie sprawę w tamtym momencie, patrząc w zablokowany ekran, a co umykało mi od jakiegoś czasu, odkąd wymieniłam wiadomości z Hel przed samym wejściem do Sunsmile. Nie miałam czasu wtedy o tym myśleć, ale coś było *nie tak*. Coś...

I wtedy do mnie dotarło.

Wręcz gapiło się na mnie twarzą z małymi, okrągłymi oczkami.

Zszokowana emotka, którą wysłała mi dwie wiadomości wcześniej. A przed tym teraz już skasowana wiadomość: „Ty pierwsza” z nietypowym dla niej uśmiechem. Dwie emotki, których nigdy dotąd nie używała w esemesach.

I zrozumiałam coś jeszcze – coś, co sprawiło, że najpierw zrobiło mi się gorąco, a potem zimno. Przytrzymując się rękoma, usiadłam na zamkniętej klapie toalety, nim moje galaretowate nogi ugięły się w bujającym pociągu.

To *Cole* miał powiedzieć Hel o Sygnale.

To *Cole* podał Hel mój tymczasowy kontakt, powiedział jej, żeby pisała do mnie z innego numeru. Chyba że... co, jeśli tego nie zrobił? Co, jeśli to wszystko było ustawione? Co, jeśli osobą, z którą cały czas wymieniałam wiadomości, był... *Cole*?

Ta myśl sprawiła, że poczułam się potwornie oszukana. A jednak... to wyjaśniało coś, co dręczyło mnie od momentu, gdy zobaczyłam policję w *Sunsmile*, i czego nie byłam w stanie od tamtej pory zrozumieć: skąd oni wiedzieli, że będę tam *akurat wtedy*. Tę informację podałam wyłącznie Hel.

Ktoś mnie zdradził. A ja byłam pewna, że to nie mogła być Hel.

Myślałam, że zaraz mnie pochłonie fala mdlącego przerażenia. Ale musiałam się upewnić.

„Hel” – odpisałam. „To zabrzmiało naprawdę głupio, ale muszę cię o coś spytać. Jak się nazywał twój miś z dzieciństwa? Ten duży, niebieski?”

Nastąpiła bardzo długa przerwa.

A potem: „Jack, wszystko w porządku?”.

„W porządku, ale chcę, żebyś mi to powiedziała, Hel. Jak on się nazywał?”

Kolejna przerwa.

„Cholera” – przyszła szybka odpowiedź. „To było sto lat temu. Nie pamiętam. *Bluey*?”

Poczułam się, jakbym dotknęła ogrodzenia pod napięciem – przeszła mnie tak gwałtowna panika, że przygryzłam sobie policzek. Gdybym mogła, wyrzuciłabym telefon przez okno pociągu. Ale ono się nie otwierało, a zresztą nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby go stracić.

Rozległo się pukanie do drzwi, ale je zignorowałam. Wpatrywałam się w ekran telefonu i wzbierało we mnie obrzydzenie połączone ze strachem.

„Dlaczego pytasz?” – przyszła odpowiedź. Ale było już za późno. *Wiedziałam*.

Tamten miś był oczkiem w głowie Hel. Przez szesnaście lat każdego wieczoru kładła się z nim spać – a nawet później nie został wyrzucony, tylko przeszedł uroczyście na emeryturę i został przeniesiony na półkę nad szafą. Była to jedna z niewielu rzeczy, które zabrała ze sobą, kiedy wyprowadzałyśmy się z domu rodziców, a teraz siedział na górze szafy *Kitty* i *Millie* w ich pokoju. Nie było takiej możliwości, by Hel zapomniała imienia *Dzwoneczka*, chyba że byłaby w śpiączce. Wyryło się ono w *mojej* pamięci,

a co dopiero jej – codzienne, niekończące się jęki: „Spadł mi Dzwoneczek!”, każdej nocy, kiedy upadał z góry piętrowego łóżka na podłogę; kłótnie przed każdymi wakacjami o to, czy może go zabrać, a jeśli tak, to czy miś musi leżeć w walizce, czy może go mieć przy sobie; te przerażające dwadzieścia cztery godziny, kiedy zagubił się w metrze. Myśl, że Hel mogłaby zapomnieć jego imienia – cóż, to byłoby śmieszne. Równie dobrze mogłaby zapomnieć imienia Rolanda.

Chciało mi się płakać. Ale nie mogłam.

„Już wiem” – odpisałam. „Możesz przestać udawać”.

Kolejna przerwa.

„Co takiego?”

„Już wiem” – napisałam znowu i wcisnęłam „wyślij”. A potem: „Wiem, Cole. Wiem już wszystko”.

Nastąpiła bardzo długa przerwa, a potem moja komórka zaczęła dzwonić.

Wtedy rozległo się kolejne pukanie do drzwi, tym razem bardziej zniecierpliwione.

– Mam tu zdesperowanego przedszkolaka! – usłyszałam.

Wstałam, zdjęłam plecak z drzwi toalety, potem otworzyłam je i uśmiechnęłam się przepraszająco do zagniewanej kobiety stojącej w korytarzu z małym chłopcem.

Komórka nadal dzwoniła, kiedy przeszłam na drugi koniec małego przedsionka. Pociąg miał staroświecki korytarz z otwieranym oknem i mimo wpadającego przez nie zimnego wiatru nie zamierzałam go zamykać. Miałam nadzieję, że ten dźwięk zagłuszy naszą rozmowę.

Odczekałam, aż usłyszę zamknięcie zasuw drzwi toalety, a kiedy kliknęła, telefon w mojej dłoni przestał dzwonić.

Już miałam oddzwonić, kiedy coś mi przyszło do głowy i sięgnęłam do kieszeni. Nadal miałam tam karteczkę z numerem, który spisałam sobie z bazy danych Sunsmile.

Nabrałam powietrza i wpisałam go do Signala. A potem kliknęłam ikonę połączenia.

– Nic nie rozumiesz.

Był to głos Cole’a. Drżał i po raz pierwszy od śmierci Gabe’a nie poczułam ukłucia bólu, że brzmiali tak podobnie, tylko obrzydzenie i niedowierzanie we własną głupotę. Jak mogłam pomyśleć, że Cole brzmiał jak Gabe? *W ogóle* nie byli do siebie podobni. *W ogóle*.

– Ależ rozumem – odpowiedziałam. Miałam opanowany głos, niemal nienaturalnie, starałam się mówić cicho. – Wszystko rozumiem. Dlaczego to zrobiłeś, Cole?

– Nic nie *rozumiesz*, ja tego nie chciałem... Nie chciałem tego wszystkiego. Próbowałem cię ochronić!

Przez sekundę nie wiedziałam, jak odpowiedzieć. A potem odnalazłam w sobie słowa i rzuciłam je do słuchawki z taką mocą, że zaskoczyłam samą siebie.

– Pierdol. Się.

– Nie wiesz, z kim masz do czynienia.

– Z pierdolonym łżącym, mordującym... – Urwałam, szukając przekleństwa, jakim chciałam go nazwać. – ...piździelcem – dokończyłam i mój głos nie był już opanowany, drżał niemal tak mocno jak głos Cole'a. – Oto, z kim mam do czynienia. Jak mogłeś? Jak mogłeś mu to zrobić? On był twoim *najlepszym przyjacielem*.

– Kurwa, byłem głupi – powiedział Cole, a w jego głosie pobrzmiwało prawdziwe cierpienie. – Próbowałem go ostrzec, ale on nie chciał odpuścić. A ty myślisz, że to wszystko moja sprawka? To nie ja. Ja tego nie chciałem. Robiłem to, co mogłem, czyli starałem się ochronić *ciebie*. Nie byłem w stanie zrobić nic, żeby ocalić Gabe'a. Mogłem tylko dopilnować, żebyś ty się z tego wydostała.

– Nie ochroniłeś mnie, tylko mnie, kurwa, *wrobiłeś*, debilu – prawie wykrzyczałam do telefonu, ale potem zmusiłam się, żeby ściszyć głos do jadowitego szeptu. – Naprawdę zamierzasz mnie przekonywać, że wykupienie tamtego ubezpieczenia to był przejaw troski? Jakby jakakolwiek suma pieniędzy była w stanie wynagrodzić śmierć Gabe'a! Nie ochroniłeś mnie, tylko dałeś policji żelazne dowody *przeciwko* mnie. Czy chcesz mi powiedzieć, że o tym nie pomyślałeś?

– Oczywiście, że o tym pomyślałem – odwarknął Cole. – Ale gdybyś była w więzieniu, to nie mogliby zamordować też ciebie, głupia suko.

– Kto? – zapytałam. – Kto? O kim ty mówisz? Kto mógł chcieć zabić Gabe'a i kto mógł chcieć zabić *mnie*?

– Nie mogę ci powiedzieć – odparł Cole, a złość i cierpienie znikły z jego głosu, wydawał się przestraszony, naprawdę przestraszony.

– Cole, przysięgam ci, że nagrywam tę rozmowę i jeżeli nie chcesz, żebym wrzuciła ją zaraz na Twittera, to musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

– Nie! – krzyknął tak przerażony, jakbym wywijała mu przed twarzą przewodem pod napięciem. – Chryste, Jack, czy ty chcesz, żeby zabili nas oboje?

– To mi powiedz!

– Oni. Nas. Zabiją – oświadczył Cole, wymawiając każde słowo bardzo powoli i wyraźnie, jakby rozmawiał z małym dzieckiem.

Miałam jednak wrażenie, że nie robił tego, by potraktować mnie protekcyjnie – choć po części mogło tak być – ale żeby głos mu się tak bardzo nie trząsał.

– Rozumiesz to, Jack? Zabiją mnie za to, że ci powiedziałem, a ciebie za to, że wiesz.

– Wali. Mnie. To – odwarknęłam, ze wściekłą złośliwością naśladowując jego ton. – Nie rozumiesz *tego*, Cole? Czeka mnie życie w więzieniu. Straciłam jedynego mężczyznę, którego kiedykolwiek kochałam. Nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak bardzo mam w dupie to, czy ktoś nie poderżnie gardła także mnie. Właściwie to... wiesz co? W tym momencie to byłaby dla mnie ulga. Jedyne, *jedyne*, co mnie obchodzi, to dowiedzenie się, kto zabił Gabe'a. Jeżeli przez to też mam zostać zabita, to naprawdę mnie to nie rusza.

Zapadła długa cisza. Bardzo długa cisza. Słyszałam urywany oddech Cole'a. Było dla mnie jasne, że być może po raz pierwszy naprawdę zrozumiał, jak daleko jestem w stanie się posunąć.

– Nie mogę ci powiedzieć kto – powiedział w końcu, bardzo cicho. – Nie wiem kto, ale mogę ci powiedzieć dlaczego.

– Okej.

Zaczęło padać, krople wpadały bokami przez na wpół otwarte okno i pryskały mi na twarz. Zamknęłam oczy, czując, jak zimna woda spływa mi po nosie. Tak jakbym płakała, ale nie przynosiło to ulgi mojemu sercu.

– Okej. Dlaczego?

– Kurwa – szepnął Cole. – Kurwa. *Kurwa*. Słuchaj, czy nie moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

– Jaja sobie ze mnie robisz. – Wyśmiałam go, a gwałtowne szarpnięcie pod żebrami sprawiło, że się skrzywiłam. Przycisnęłam dłoń do opatrunku. – Żebyś znowu mógł mnie oddać w ręce policji? To ty im powiedziałaś, że byłam w Sunsmile, prawda? Musiałeś się cieszyć jak głupi do sera, kiedy

wyjawiłam to Hel. A kiedy policja przyjechała do twojego domku... Nie śledzili cię, prawda? To byłeś ty, to ty ich wezwałeś.

– *Próbowałam* cię ochronić – powiedział rozpaczliwie Cole i o dziwo prawie, *prawie* byłam w stanie w to uwierzyć. – Proszę, Jack. *Proszę*.

Ale ja już miałam dość.

Cole zdradził Gabe'a, a potem zdradził też mnie – i to wiele razy.

– Cole – odezwałam się zdecydowanie. – Przysięgam, że jeśli nie powiesz mi w tej chwili, to puszcę tę rozmowę na żywo u Gabe'a na Twitterze. Wyślę ją na każdy kanał na Discordzie, na jakim kiedykolwiek był, wrzucę ją na Reddit i na Twitch. A do tego na każdej z tych platform podam twoje imię i nazwisko. Nie wiem, ile to może być ludzi, ale na Twitterze Gabe'a jest prawie sto tysięcy obserwujących. Jestem niemal pewna, że część z nich to także *twoi* obserwatorzy. Chcesz, żeby usłyszeli twój głos przyznający się do współudziału w morderstwie przyjaciela?

– Kurwa! – krzyknął Cole tak głośno, że musiałam odsunąć telefon od ucha.

Usłyszałam jakieś dźwięki, których nie byłam w stanie do końca odczytać. Brzmiało to, jakby szlochał. Później znów się odezwał rozedrganym i wściekłym tonem.

– Słuchaj, Jack. Jeśli tak zrobisz, jeśli *komukolwiek* powiesz o tym, co ja ci zaraz zdradzę...

– Nie będziesz mnie już szantażował – przerwałam mu chłodno. – A ja chcę usłyszeć od ciebie tylko to, dlaczego mój mąż musiał umrzeć. Więc wykrztuś to z siebie, chyba że jesteś gotów zostać prawdziwym wiralem.

– Wiesz, co to jest zero-day exploit? – spytał Cole.

Zmarszczyłam brwi.

– Czy to jest jakiś test?

– Nie, odpowiadam na twoje pytanie. Wiesz?

– Oczywiście, że wiem. Jest to sposób na włamanie się do urządzenia, które nie zostało jeszcze naprawione. Taki, o którym nie wie twórca oprogramowania, stąd nazwa. Deweloper ma zero dni na jego naprawienie.

– Zgadza się. I zdajesz sobie sprawę, że takie poważne błędy, które mogłyby na przykład dotknąć każdego użytkownika iPhone'a, są bardzo wartościowe, prawda? Na czarnym rynku warte są setki tysięcy dolarów, nie?

– Tak.

Teraz byłam już naprawdę zaskoczona. Do czego to zmierzało?

– No to Gabe znalazł taki zero-day exploit. I to duży. Przyszedł do mnie, żebym mu doradził, co z tym zrobić. Powiedziałem mu, że najlepiej zgłosić się do twórcy oprogramowania i zażądać stosownej nagrody. Ale zamiast tego on... – Cole urwał i głośno przełknął po swojej stronie słuchawki. – Postanowił to sprzedać w darknecie. Nie wiem, do kogo się zgłosił, ale musiał się wmieszać pomiędzy nieodpowiednich ludzi, ponieważ oni stwierdzili... no, stwierdzili, że nie zamierzają mu zapłacić tyle, ile prosił. Postanowili to po prostu sobie zabrać. I tak zrobili.

Kiedy się rozłączyłam, przez długą minutę tylko stałam, próbując przyswoić to, co mi powiedział Cole, ledwo zauważając krople deszczu wlewane przez otwarte okno do wagonu i rozpryskujące mi się na ekranie komórki.

Potem się pozbierałam, odwróciłam i niemal upuściłam telefon. Kobieta z toalety stała za mną, trzymając za rękę dziecko.

Na krótką sekundę nasze spojrzenia się spotkały, bezpośrednio i bez mrugania, jakbyśmy rzucały sobie wyzwanie. Później się odwróciła i poszła w głąb wagonu, w kierunku przeciwnym do mojego miejsca.

Poczułam, jak uszło ze mnie powietrze. Jak długo tam stała? Na pewno niezbyt. Jej maluch był jeszcze za mały, żeby czekać cierpliwie i po cichu, podczas gdy jego matka podsłuchiwałaby rozmowę telefoniczną jakiejś obcej osoby. A to znaczyło, że prawdopodobnie wychwyciła tylko ostatnią część naszej konwersacji.

Głowiłam się, próbując odtworzyć, co takiego powiedziałam, i zdecydować, czy to mogło zabrzmieć podejrzanie. Pamiętałam, że mówił głównie Cole. Mój wkład ograniczał się głównie do takich rzeczy jak programowanie, hakowanie i exploity – a przynajmniej w kilku ostatnich chwilach. Jednak wcześniej... wspomniałam imię Gabe'a. Byłam tego prawie pewna. I mówiłam o jego morderstwie. A przynajmniej odniosłam się do tego, iż Gabe został zabity, nie mogłam sobie przypomnieć dokładnie swoich słów. Jednak niezależnie od tego, jak to ujęłam, byłam prawie pewna, że powiedziałam dość, by ktoś ciekawski zdołał wyszukać tę sprawę w telefonie. *Kurwa.*

Odblokowałam znów komórkę, otworzyłam Google i wpisałam „Gabe programowanie morderstwo”, po czym odczekałam, aż ekran wypełni wyniki wyszukiwania.

Już po pierwszym zrobiło mi się najpierw gorąco, a potem bardzo, bardzo zimno – tak szybko, że źle się od tego poczułam.

Był to artykuł na BBC, którego nagłówek brzmiał: „Żona zamordowanego programisty poszukiwana w celu przesłuchania”. Na podglądzie widniało moje zdjęcie.

Ręce mi się trzęsły, kiedy przeszłam do tekstu. Miał datę z tego dnia i wcześniejszą godzinę, a na górze, tuż pod nagłówkiem, umieszczono moje wielkie zdjęcie pobrane ze strony Crossways Security, opatrzone podpisem: „Jacintha Cross jest poszukiwana w celu przesłuchania na okoliczność morderstwa jej męża. W przypadku zauważenia podejrzaną policja prosi o zgłoszenie pod numer 999”.

Pod zdjęciem była dalsza część artykułu.

Policja prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa specjalisty bezpieczeństwa cyfrowego i „haktywisty” Gabe’a Medwaya, który działał w społeczności hakerskiej pod nickiem Gakked. Dziś wydano oświadczenie potwierdzające, że służby pilnie poszukują jego żony, Jacinthy Cross, w celu przesłuchania jej w związku ze śmiercią męża.

Pani Cross, która początkowo złożyła dobrowolne zeznania na policji, zniknęła we wtorek 7 lutego. Policja pilnie poszukuje jej w związku ze śledztwem i prosi o pomoc obywateli.

Jacintha Cross, 27 lat, konsultantka bezpieczeństwa, znana także jako Jack, po raz ostatni była widziana w mieście Rye w hrabstwie East Sussex, ale podejrzewa się, że opuściła tamtą okolicę, prawdopodobnie autobusem lub pociągiem. Jest białą kobietą, około metra sześćdziesiąt wzrostu i szczupłej budowy, ma orzechowe oczy oraz średniej długości, charakterystycznie zafarbowane na czerwono włosy, choć rzecznik policji ostrzegł, że mogła zmienić wygląd.

„Pilnie prosimy wszystkich obywateli o pomoc w namierzeniu pani Cross, która może podróżować pod fałszywym nazwiskiem lub z podróbkami dokumentów” – mówi detektyw Branagh z londyńskiej policji. Prosimy, by nie zwracać się do pani Cross bezpośrednio, tylko zgłaszać wszelkie podejrzenia na policję, dzwoniąc pod 999.

W połowie artykułu widniało moje zdjęcie, ziarniste i powiększone, jak idę przez dworzec Charing Cross z głową opuszczoną nad komórką. Było czarno-białe, ale dało się zauważyć, że moje włosy prawdopodobnie nie są już czerwone. Pod spodem widniały linki do trzech artykułów na temat śmierci Gabe’a, a pod każdym jego zdjęcie pobrane z naszej firmowej strony. Wiedziałam, że powinnam kliknąć dalej i sprawdzić, jakie

informacje policja już ujawniła, ale jego ciepła, przyjazna twarz uśmiechająca się z ekranu zadziałała na mnie jak cios w sam brzuch, nie byłam w stanie tego zrobić. Zablokowałam więc komórkę, ale wygaszenie ekranu wcale nie pomogło w opanowaniu tego obrzydliwego poczucia strachu, które narastało mi w żołądku podczas lektury. Z jednej strony nie było to dla mnie zaskoczenie – w końcu potwierdziło się tylko coś, co już wiedziałam: że policja mnie poszukuje i uważa za podejrzaną. Jednak z drugiej strony przeczytanie tych faktów ujętych w tak brutalny sposób było szokujące, a to, jak policja dobrała słowa... „znana także jako Jack”. Jakim cudem zwykle zdrobnienie zabrzmiało tak podejrzanie? A do tego „Prosimy, by nie zwracać się do pani Cross bezpośrednio” – jakbym była uzbrojona i niebezpieczna, rany! Zdjęcie też było dobre. Nie litościwie rozmazana czarno-biała fotka z policyjnej kartoteki. Wzięli moje profesjonalne zdjęcie ze strony firmowej Crossways, tak samo jak Gabe’a. Było w wysokiej rozdzielczości, zrobione w dobrym oświetleniu, i nawet jeśli teraz miałam włosy rozjaśnione na słomkowy blond oraz worki pod oczami z wyczerpania, można mnie było dzięki niemu rozpoznać. Czy tamta kobieta z dzieckiem dzwoniła już na 999?

Wyjrzałam przez okno, a potem otworzyłam w telefonie trasę pociągu. Znajdowaliśmy się jakiś kwadrans od Northampton, ale to był duży dworzec, na pewno mieli barierki biletowe i pewnie jeszcze funkcjonariusza brytyjskich kolei na posterunku. Nie mogłam sobie pozwolić na żadne scysje w takim miejscu. Aresztowaliby mnie w ciągu kilku sekund.

Kolejny przystanek znajdował się dziesięć minut dalej, w miejscowości, o której nigdy nie słyszałam – Long Buckby. Według Google była to mała wioska ze stacją, która nie miała chyba nawet kasy biletowej, a co dopiero barierki. Było to dokładnie takie miejsce, na jakie miałam nadzieję. Problem tylko w tym, że do celu było jeszcze dwadzieścia pięć minut i dwie stacje. Jeżeli – jeżeli – tamta kobieta z dzieckiem dzwoniła już na policję, to prawie na pewno wsiądą do pociągu w Northampton. W ciągu dziesięciu minut byli w stanie przeczesać cały pociąg.

Stałam przy oknie, gryząc paznokiec i rozważając swoje możliwości. Jedna była taka, żeby wysiąść w Northampton i spróbować przecisnąć się przez bramki za innym pasażerem – ale nie miałam wielkich szans na powodzenie. W godzinach największego ruchu, kiedy pasażerowie wciskają się i przepychają, może by mi się udało, ale minęła dopiero szesnasta,

a coś takiego przy niewielkim ruchu było dużo trudniejsze. Drugie rozwiązanie to zostać w pociągu i próbować się ukrywać aż do Long Buckby. Gdybym do niego doczekała, pewnie udałoby mi się uwolnić. Problem tylko w tym, że jeżeli tamta kobieta z dzieckiem *rzeczywiście* zadzwoniła na policję, to jazda pociągiem dalej niż do Northampton była właściwie wycieczką prosto do więzienia.

Trzecia możliwość... ale tu zderzałam się ze ścianą. To była ta ostatnia deska ratunku, którą miałam od samego początku – zrezygnować z ucieczki i oddać się w ręce policji. Oczywiście nie zamierzałam tego zrobić. To by wszystko przekreśliło. Chyba... że nie?

Odjęłam dłoń od ust. Dotąd nie rozważałam poważnie tego wyjścia. Jednak wycieczka do Sunsmile zmieniła... no, może nie *wszystko*. Ale wiele zmieniła. Miałam teraz dowód potwierdzający moją wersję.

Okłamałam Cole'a – nie nagrałam naszej rozmowy; nie miałam takiego ustawienia w telefonie, choć byłam prawie pewna, że mogłabym znaleźć odpowiednią apkę, gdyby przyszło mi to do głowy wcześniej. Ale nie pomyślałam o tym – więc kiedy powiedziałam mu, że opublikuję tę konwersację, to była ściema. Tylko że *miałam* nagranie, które mogłabym przekazać Malik – głos Cole'a zapisany w bazie danych Sunsmile. Musiałam jedynie wierzyć, że kiedy Malik i Miles go wysłuchają, będą równie pewni co ja, że rozmówca to nie Gabe. Problem w tym, że Gabe i Cole naprawdę brzmiali podobnie. Tak samo niski głos, ten sam akcent z południa Londynu. Podobieństwo było tak duże, że w ostatnich dniach serce mi się ścisnęło za każdym razem, kiedy Cole do mnie mówił.

Jednak nawet gdyby Malik i Miles przyznali, że na nagraniu jest Cole, to mogłoby to nie wystarczyć, żeby mnie wypuścili. Co, gdyby pomyśleli, że ze sobą współpracowaliśmy? Cole wykupił ubezpieczenie na nazwisko Gabe'a, a ja pobrałam polisę. Nie bylibyśmy pierwszą parą, która popełniła morderstwo, żeby zapewnić sobie finansową stabilność i nową przyszłość. Prawdą było, że moje ukrywanie się w chatce Cole'a prawdopodobnie potwierdziłoby ich podejrzenia.

Nie. Nie powinnam ufać Malik i Milesowi – nie znowu. Dowiedli już, że prędzej przystaną na łatwe rozwiązanie, niż będą szukać głębiej skomplikowanej prawdy. Nie mogłam sobie pozwolić na danie im drugiej szansy – nie dopóki nie dojdę do tego, co się tak naprawdę wydarzyło. Bo

choć chciałam mieć haka na Cole'a, to jeszcze bardziej pragnęłam odnaleźć zabójcę Gabe'a – a byłam prawie pewna, że nie był nim Cole.

To pozostawiało mi dwie możliwości: Northampton albo Long Buckby. Pytanie tylko, którą stację wybrać.

Wciąż jeszcze starałam się podjąć decyzję, kiedy pociąg zaczął zwalniać, aż w końcu zatrzymał się ze zgrzytem hamulców. Cisza, która zapadła po tym, jak wiatr przestał furkotać w na wpół otwartym oknie, przypominała dziwną próżnię. Słyszałam kapanie deszczu na zewnątrz oraz syczenie i stukanie pneumatycznych siłowników pociągu. Z tyłu wagonu rozległo się długie, zmęczone jęknięcie dziecka; wiedziałam, jak musiało się czuć.

Potem w głośnikach zatrzeszczało.

– Drodzy państwo, przepraszamy za opóźnienie, zostaliśmy zatrzymani przed semaforem. Na peronie w Northampton stoi inny pociąg, czekamy na jego odjazd. Powinniśmy ruszyć w ciągu kilku minut.

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Naprawdę był przed nami jakiś pociąg? Czy to jakiś podstęp, żeby policja zdążyła dotrzeć na miejsce i czekać przygotowana na peronie, by wsiąść do tego?

Kurde. Kurde.

Ale co mogłam zrobić?

Moje spojrzenie zatrzymało się na drzwiach z na wpół otwartym oknem. Szkoda, że to nie był taki starodawny pociąg, z którego można było się wychylić i otworzyć drzwi od zewnątrz. Byłam prawie pewna, że takie już nie jeżdżą. Ten również wyglądał na dość stary, ale najwyraźniej miał jakąś centralną blokadę – podświetlany znak zdecydowanie potwierdzał: „Drzwi zamknięte”, a pod nim znajdowała się czerwona tabliczka z napisem: „Aby otworzyć drzwi, zaczekaj na zatrzymanie pociągu. Sprawdź, czy drzwi znajdują się koło peronu. Zaczekaj, aż zapali się światło sygnalizujące odblokowanie. Otwórz okno i odblokuj drzwi”.

Co oznaczało, że nie było szans na otwarcie tych drzwi, dopóki nie dotrzemy do peronu. Chociaż... „Otwórz okno”.

Serce mi jeszcze przyspieszyło. Dałabym radę?

Okno było już częściowo opuszczone, ale wyglądało, jakby się zablokowało, i musiałam włożyć dużo wysiłku w to, żeby ściągnąć je jeszcze parę centymetrów w dół. Potem stanęłam na palcach i wystawiłam głowę przez wąską szparę. W dole nie było widać niczego prócz podkładów kolejowych i żwiru.

Przyłożyłam sobie rękę do boku, myśląc o krwi i ropie sączących się z rany pod opatrunkiem. To okno było takiej wielkości, że ledwo bym się przez nie przecisnęła, a ziemia znajdowała się dobre pięć metrów od otworu. Skakałam już kiedyś z takiej wysokości. *Nie* jest to prosta sprawa, nawet w idealnych warunkach. Czuje się to wszędzie – w każdej możliwej kości i każdym stawie. Aż mnie zemdlilo. Ale nie miałam innego wyjścia.

Najpierw wypchnęłam plecak. Boczne kieszenie zahaczyły o okno, ale przecisnęłam je, a potem skrzywiłam się i słuchałam, jak mój bagaż odbił się od zewnętrznego stopnia, po czym łupnął o ziemię. Następnie chwyciłam się górnej ramy okna i spróbowałam oprzeć się stopą o dolną ramę.

Było to bardzo wysoko i przez chwilę nie byłam nawet pewna, czy zdołam unieść tak stopę, a co dopiero resztę ciała. *Powinno* być to możliwe. Przeskoczyłam co prawda dużo wyższy mur, kiedy włamywałam się na własne podwórko przy Salisbury Lane, ale teraz ręce mi się trzęsły ze zmęczenia, ból w boku był rozdzierający, a mięśnie jakby nie chciały mnie słuchać.

Przez sekundę myślałam, że się poddam. Ale mój plecak był już na ziemi po drugiej stronie. Gdybym została w tym pociągu, nawet jeżeli tamta kobieta z dzieckiem mnie nie zauważyła, nawet gdybym dotarła bezpiecznie do Buckby, to miałabym przesrane po całości. Zostałabym bez pieniędzy, bez telefonu, bez czystych ubrań, bez niczego.

Musiłam się wydostać przez to okno.

Gdy zdałam sobie z tego sprawę, poczułam wyrzut adrenaliny i podciągnęłam najpierw jedną nogę, a potem drugą na ramę okna. Następnie się obróciłam, ignorując rozdzierający ból w boku, i przecisnęłam się brzuchem przez wąską szparę, a następnie opuściłam na rękach, aż poczułam pod stopami zewnętrzny schodek.

Stałam, mięśnie drżały mi ze zmęczenia, trzymałam się brzegu okna nad sobą i zaryzykowałam spojrzenie w dół, pod nogi. Było przerażająco wysoko. Wyglądało to gorzej niż ze środka pociągu.

Ostrożnie uklękłam i obróciłam się, cała roztrzęsiona, aż w końcu usiadłam na najniższym stopniu. Pode mną znajdował się niezachęcający uskoczek na coś, co wyglądało jak bardzo ostry żwir.

Przełknęłam. I wtedy usłyszałam, jak odpalają silniki pociągu.

– Szanowni państwo, mam dobrą wiadomość – usłyszałam z wnętrza wagonu. – Otrzymaliśmy pozwolenie na wjazd do Northampton.

Szarpnęło i pociąg ruszył.

Serce waliło mi w piersi tak, że chciało mi się wymiotować. Planowałam powoli i ostrożnie opuścić się na ziemię – ale nie było na to czasu. Przyspieszaliśmy. Gdybym nie działała bardzo szybko, mogłabym dostać w twarz gałęzią z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Ale okazuje się, że bardzo, bardzo trudno jest zmusić się do skoku z jadącego pociągu.

Pochyliłam się, próbując się na to przygotować – kiedy usłyszałam przed sobą jakiś hałas i spojrzałam w prawo, skąd zbliżało się pochylone nad torami drzewo; jego gałęzie uderzały o dach pociągu. Było za późno, żeby skoczyć. Gdybym to zrobiła, wpadłabym pewnie prosto na pień. Zamiast tego odruchowo przywarłam płasko do drzwi, zamknęłam oczy i schowałam głowę między ramionami, podczas gdy gałęzie uderzyły mnie w twarz, a policzek i ucho zaczęły szczypać.

Gdy znów się rozejrzałam, drzewo było już daleko, ale pociąg jechał jeszcze szybciej. Prawdopodobnie śmiertelnie szybko.

Z poczuciem, że robię coś niewiarygodnie głupiego, skoczyłam.

Wylądowałam z takim uderzeniem, że aż mnie zatkało. Na początku byłam zbyt oszołomiona, by zrobić coś poza leżeniem w pozycji embrionalnej. Dyszałam i trzymałam się za żebra. Rana bolała tak strasznie, jakby ktoś wsunął w nią rozgrzany do czerwoności pogrzebacz i z każdym uderzeniem serca wciskał go jeszcze głębiej. Trochę się spodziewałam, że ktoś mnie zauważył i pociągnął za hamulec bezpieczeństwa, i na tyle, na ile byłam w stanie myśleć przy tym rozdzierającym bólu w moim boku, nasłuchiwałam zgrzytu hamulców oraz dźwięków zatrzymującego się pojazdu. Kiedy jednak ból ustąpił na tyle, że byłam w stanie podnieść głowę, zobaczyłam pociąg znikający już w oddali za zakrętem. Albo nikt mnie nie zobaczył, albo nikogo nie obchodziłam.

Opuściłam z powrotem głowę i zaczęłam myśleć, co dalej.

W ogólnym rozrachunku nie poszło mi aż tak źle, jak mogło. Wylądowałam w paprociach – a równie dobrze mogłam trafić na pokrzywy, jeżyny lub nawet kamienie – i nie wydawało mi się, żebym coś złamała. Kolana i kostki bolały mnie po gwałtownym upadku, ale nie miałam wstrząśnienia mózgu, a kiedy wstałam, nic mnie za bardzo nie bolało, oczywiście z wyjątkiem rany w boku, która cały czas pulsowała. Gdy włożyłam dłoń pod koszulkę, żeby ją sprawdzić, jęknęłam. Opatrunek był na miejscu, ale czułam, że całkiem przesiąkł już krwią.

Plecak leżał zaskakująco daleko i gdy wracałam po niego wzdłuż torów, starając się nie potknąć o kolejowe podkłady – ostatnie, czego potrzebowałam, to przewrócić się i porazić prądem po dotknięciu torów pod napięciem – próbowałam ustalić, co dalej. Bardzo chciałam porozmawiać z Hel, ale nie byłam pewna, czy zdołałabym to zrobić, nie wybuchając płaczem. Co więcej, czy mogłam ryzykować telefon do niej? Jej komórka była pewnie na podsłuchu, ale gdybym użyła Signała, policja nie zdołałaby przynajmniej namierzyć mojej lokalizacji...

W końcu dotarłam do plecaka, podniosłam go i zaczęłam się wspinać po stromym nasypie. Musiałam się odsunąć od głównej linii kolejowej przed przyjazdem kolejnego pociągu. Może i nikt z pasażerów by mnie nie zauważył, ale maszynista na pewno dojrzałby postać idącą wzdłuż torów, a nie potrzebowałam w tej chwili kolejnego pociągu zatrzymującego się ze zgrzytem hamulców oraz uruchomienia alarmu „człowiek na torach” w całym systemie kolejowym.

Nie było łatwo wdrapać się po tej stromiźnie, a kiedy dostałam się na górę, niemal załamiał mnie widok płotu z drutem kolczastym. Przerzuciłam jednak nad nim plecak i z wielkim wysiłkiem zaczęłam się gramolić za nim, ignorując kolce, które wbijały mi się w uda i oderwały kawałek dżinsów, kiedy w końcu udało mi się zeskoczyć.

To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Byłam wykończona. To najważniejsze. Byłam wykończona i... gdzie się znalazłam? Wyglądało na to, że na jakimś polu zaoranym głębokimi bruzdami, na którym wysiano coś, co wyglądało na rzepy albo buraki. Nagle poczułam brak sił i drzenie, wiedziałam, że jeśli nie usiądę lub – jeszcze lepiej – nie położę się, to przewrócę się tam, gdzie stoję.

W rogu pola rósł wielki buk i powoli zmusiłam nogi, żeby zaniósł mnie zaledwie parę metrów dalej, pod jego niewielką koronę, po czym opadłam pod pniem, przyciskając plecak do piersi. Wiedziałam, że powinnam coś zjeść, coś wypić, ale nagle byłam zbyt zmęczona, do tego czułam mdłości i nawet otwarcie plecaka wydawało mi się wysiłkiem ponad możliwości.

No dalej, skarbie. To był łagodny głos Gabe'a w moim uchu. *Musisz coś zjeść.* Mówił mi tak często, kiedy wracałam do domu po nocy spędzonej na uganianiu się po korytarzach jakiegoś dalekiego biura i byłam zbyt wykończona, żeby zrobić cokolwiek poza przewróceniem się na łóżko. Pomyślałam o naszej ostatniej rozmowie, o tym, jaka byłam niemiła, jak upierałam się przy frytkach i docinałam mu z powodu jego cholernego bekonu. Boże, oddałabym wszystko za jeszcze jeden pocałunek, jeszcze jeden docinek, jeszcze jeden statusiały żart o tym, jak to stuprocentowo wegańskie nuggetsy robi się z prawdziwych wegan...

Gabe jako ojciec. Ta myśl była zbyt słodko-gorzka, nieznośna. Przełknęłam. Potem otworzyłam plecak i zajrzałam do środka.

Nie sprawdziłam najpierw, ile jedzenia mi zostało, tylko sięgnęłam po komórkę. Była, na szczęście się nie potłukła, mimo że została wyrzucona

z okna pociągu i upadła na kamienie z wysokości pięciu metrów. Potem odkręciłam korek plastikowej butelki z wodą w bocznej kieszeni i wypłam chyba ze trzy litry. Zdałam sobie sprawę, że potwornie chciało mi się pić – po prostu wcześniej tego nie zauważyłam.

Taka ilość wody na pusty żołądek przyprawiła mnie o jeszcze większe mdłości, ale wiedziałam, że muszę coś zjeść. Nie jadłam niczego od tamtej słodkiej bułki w piekarni w Hastings, a miałam wrażenie, że to było całe wieki temu. Na dnie plecaka miałam jeszcze kilka batoników energetycznych i jakąś chińską zupkę, którą kupiłam w hostelu. Nie mogłam jej podgrzać, ale otworzyłam ją i schrupałam suchy makaron, a potem zjadłam batonika.

Następnie, poddając się temu pragnieniu, które narastało we mnie od chwili rozmowy z Cole'em, wyciągnęłam komórkę, otworzyłam Signal i zadzwoniłam do Hel na jej komórkę.

Dzwoniłam. I dzwoniłam.

A potem Hel odebrała.

– Halo?

– To ja – powiedziałam bez wstępów.

Hel głośno wypuściła powietrze; słyszałam, jak jej mózg szybko pracuje, próbując wymyślić, co może powiedzieć.

– Oddzwonić do ciebie? – spytała w końcu.

– Pewnie. Użyj Signala i tego numeru.

– Signala?

– To taka apka. Szyfrowana.

– Okej.

To były tylko dwie sylaby, ale słyszałam w jej głosie, jak się niecierpliwiła. Tak samo desperacko pragnęła porozmawiać ze mną, co ja z nią. Rozłączyła się, a ja zaczekałam. I czekałam długo. Robiło się zimno i chłodno, wyciągnęłam z plecaka śpiwór, rozłożyłam go pod osłoną krzaków i weszłam do niego. Walczyłam właśnie z zamkiem, kiedy moja komórka zawibrowała. Prawie ją upuściłam. Było to połączenie przychodzące w Signalu od nieznanego numeru – jakiejś komórki. Przez sekundę ścisnęło mnie w żołądku, bo przypomniałam sobie Cole'a i to, jak mnie wykiwał – ale to było połączenie. Musiało być od Hel?

Odebrałam.

– Czy to bezpieczne? – To były pierwsze słowa siostry. – Użyłam Signala i rozmawiam przez komórkę, którą kupiłam wczoraj w tamtym sklepie z telefonami przy głównej ulicy, to wystarczy? Jestem prawie pewna, że policja kontroluje mój drugi telefon, ale nie wydaje mi się, żeby założyli podsłuchy w domu. Mogliby to zrobić?

– Nie wiem. Może.

Próbowałam pomyśleć, czy to miało jakieś znaczenie. O ile nie powiem, gdzie jestem, to może nie.

– Cholera, Hel, jak dobrze cię słyszeć.

– O Jezusie, Jack. Gdzie ty jesteś? Jak się masz? Naprawdę nic ci nie jest? – Brzmiała, jakby była na skraju łez. – Tak się martwiłam, kiedy nie miałam od ciebie żadnych wieści. Wiem, że policja nie mogła cię znaleźć, bo nadal przeszukują twój dom, a pod naszym dwadzieścia cztery godziny na dobę stoi nieoznakowany radiowóz, ale nie miałam pojęcia, czy nie leżysz gdzieś martwa w rowie. A twoje zdjęcie jest we wszystkich gazetach, wiedziałaś o tym? Piszą o tobie tak, jakbyś była jakimś...

– Wiem, bardzo przepraszam – przerwałam jej łagodnie. – Nic mi nie jest... ale Hel, słuchaj, czy kontaktował się z tobą Cole?

– Cole? W sensie: przyjaciel Gabe'a? Nie, nie miałam z nim żadnego kontaktu. Dlaczego pytasz?

– Gdyby się odezwał, to mu *nie* ufaj, dobrze? – Poczułam gulę w gardle, bo nie byłam w stanie wymówić na głos, jak strasznie zdradził Gabe'a i co wyprawiał w ostatnich kilku dniach czy tygodniach. – On za tym stoi, Hel. Może nie za wszystkim, sama właściwie nie wiem, ale okłamywał mnie przez cały czas i to on wykupił tę polisę.

– Polisę ubezpieczeniową? – spytała osłupiała Hel, a ja zdałam sobie sprawę, że nawet jej o tym nie powiedziałam, kiedy spotkałyśmy się w centrum handlowym.

Wtedy dosłownie tylko chwyciłam torbę i uciekłam. Całą sytuację opisałam w wiadomościach – tych, które w rzeczywistości wysyłałam do Cole'a. Hel nie miała ode mnie żadnych wieści, odkąd zniknęłam w tamtym centrum handlowym w poniedziałek po południu. Nic dziwnego, że wychodziła z siebie. Pokrótkę opisałam jej kolejność zdarzeń: przesłuchanie na policji, mejl z polisą, odkrycie, że jestem wrabiana, i moją decyzję o ucieczce – a potem spotkanie z Cole'em, fałszywe wiadomości, wycieczkę do Sunsmile oraz moją niedawną wściekłą rozmowę

z Cole'em – wszystko. Dosłownie słyszałam obracanie się trybików w mózgu Hel, kiedy to wszystko relacjonowałam.

– I przyznał się w końcu do tego – podsumowałam. – Nie do morderstwa Gabe'a, ale do polisy. Śmiał nawet twierdzić, że próbował mnie ochronić. *Żałuję* tylko, że nie zdołałam nagrać tego połączenia. Bo jak dotąd mam tylko jego słowo przeciwko mojemu i jeśli on powie, że to inna osoba mówi w tym nagraniu z Sunsmile, to nie wiem, jak tego dowieść. Albo co, jeśli uwierzą, że to on, ale uznają, że razem spiskowaliśmy?

– Rzeczywiście – przyznała Hel. Brzmiała na bardzo zatroskaną, jakby próbowała wyciągnąć wnioski po wysłuchaniu całego tego mojego słowotoku... i doszła do takich, które jej się nie spodobały. – Bo w jego wersji są przecież takie luki, że można by przez nie przejechać ciężarówką.

– Jak to?

Czułam się niewiarygodnie zmęczona, mój mózg nie działał dobrze. Nie wiedziałam, która godzina, ale słońce zachodziło i leżąc w ciepłym śpiworze... Nie zdołałam wykrzesać z siebie więcej niż opór przed zaśnięciem przy krzepiącym głosie Hel w moim uchu, który dawał mi złudzenie, że nie jestem sama w tym koszmarze.

– Ta pierwsza część, to o Gabie, który natyka się na jakąś usterkę i idzie do niego po poradę... Wydaje mi się, że to może być prawda – zaczęłam powoli. – Gabe rzeczywiście mógł pytać Cole'a o zdanie, zwłaszcza jeśli miało to coś wspólnego z telefonami. Nie zajmował się nimi za bardzo, to była specjalność jego kumpla; Cole zawodowo zajmuje się bezpieczeństwem komórek i aplikacjami antywirusowymi. A jeżeli ten problem był poważny, wiesz, jeżeli to coś mogło mieć wpływ na wielu użytkowników i zagrażało bezpieczeństwu korzystania z telefonu, wtedy mogłabym uwierzyć w strach Cole'a i pomyśleć, że ktoś byłby w stanie zabić, by pozyskać taką informację. Osoby zajmujące się tego typu hakerstwem to nie jest temat do żartów, mówimy tu o organizacjach przestępczych, bandyckich państwach i tym podobnych. To znaczy, powiedzmy, że to jakiś hack, który pozwala ci przez dwadzieścia cztery godziny na dobę śledzić lokalizację telefonu; jeśli używasz go, żeby wysledzić i zaatakować swoich wrogów, to nie wyklucasz zamordowania jakiegoś programisty, który go odkrył, żeby zatrzeć swoje ślady.

– Ale myślisz, że Gabe mógł się w ogóle umoczyć na tym rynku? – spytała trochę sceptycznie Hel, a ja pokręciłam głową.

– Nie. Nie ma mowy. I to nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo... Po prostu nie wyobrażam sobie, żeby Gabe opchnął jakiegoś hacka komuś, kto zaproponuje mu najwyższą stawkę... Wiesz, to zupełnie nie w jego stylu.

Teraz, kiedy wypowiedziałam te słowa na głos, zdałam sobie sprawę, że to mi nie pasowało od samego początku. Gabe zawsze potępiał hakerów sprzedających exploity. Sam pomyślał, że miałby wystawić na aukcję usterkę i sprzedać ją jakiemuś cyberprzestępcy albo opresyjnemu rządowi za odpowiednią sumę... to było śmieszne. Problem w tym, że nie miałam pojęcia, jak kogokolwiek do tego przekonać. Z rozmów z Gabe'em wiedziałam, że naprawdę duże hacki mogą pójść na czarnym rynku za setki tysięcy dolarów – może nawet miliony. Przy pewnych kwotach, przekonywałaby Malik, zasady tracą wartość.

– Zgadzasz się z tobą w tej kwestii, ale tak naprawdę myślałam o innym problemie – odparła Hel.

Brzmiała tak, jakby marszczyła czoło. Słyszałam dźwięki kreskówki w tle i gdybym zacisnęła powieki oraz mocno się wysiliła, byłabym niemal w stanie sobie wyobrazić, że leżę na kanapie w kuchni siostry, dziewczynki oglądają telewizję w pokoju obok, a w powietrzu unosi się krzepiący zapach domowego jedzenia.

– Nawet gdyby uwierzyć Cole'owi, że starał się ocalić cię przed tym samym losem, który spotkał Gabe'a, to... skąd on w ogóle *wiedział*, co się stanie z Gabe'em?

Przetarłam oczy, próbując zrozumieć jej słowa, a potem pokręciłam głową.

– Przepraszam, Hel, jestem wykończona. Musisz mi to wyjaśnić jak krowie na rowie.

– Chodzi mi o to... – ciągnęła siostra; jej ton był łagodny, choć była w nim nuta niecierpliwości, która przyprawiała mnie o niepokój. – Nawet jeśli przyjąć, że cała reszta jest prawdą: Gabe poszedł do Cole'a, potem wystawił exploit na licytację, a następnie wpadł w pułapkę ludzi, z którymi zadarł, to skąd Cole wiedział, że życie Gabe'a znajdzie się w niebezpieczeństwie? Z tego, co twierdzi Cole, Gabe sam nie miał o tym pojęcia. Więc jakim cudem jego kumpel mógł się tego spodziewać?

– Ha. – Uniosłam się na łokciu, ignorując ukłucie bólu w boku. Zmarszczyłam brwi. – Masz rację. To jest... dziwne.

– Cofnijmy się na chwilę do samego początku – zaproponowała Hel.

Widziałam, że ma już jakiś pomysł i opowiada mi go w taki sam sposób, jak przedstawiałaby wyjątkowo zawikłaną historię swojemu naczelnemu.

– Zaufajmy na moment Cole’owi i powiedzmy, że ktoś: czy to NSA, NSO, MI6, czy też po prostu zwyczajna organizacja przestępcza bez żadnych eleganckich skrótów w nazwie... powiedzmy, że nawiązali z nim kontakt i Gabe ich posłuchał. Założmy, że ostatecznie trafił na kogoś tak pozbawionego skrupułów i zdesperowanego, kto był gotów *zabić*, by zabezpieczyć ten exploit, i powiedzmy, że był na tyle głupi, by zrobić to wszystko, nie chroniąc swojej tożsamości ani nie zacierając śladów. A w to również trudno mi uwierzyć. Jakim cudem w takim scenariuszu to *Cole* zostaje ostrzeżony przed tym, co się stanie? I to tak, że kradnie kartę kredytową Gabe’a oraz jego dowód tożsamości, a potem zakłada polisę ubezpieczeniową na twoje nazwisko? Nie. To są kompletne bzdury i policja za nic by tego nie kupiła. Pytanie tylko, jaki inny scenariusz wymyślą.

– Kurwa. Masz rację.

Usiadłam i objęłam się ramionami, żeby utrzymać ciepło śpiwora, rozdrażniona moją własną głupotą i tym, że nie zauważyłam tego, póki Hel mi nie pokazała.

– Nie mogę uwierzyć, że tego nie dostrzegłam. Jeżeli Gabe się nie spodziewał... a jestem pewna, że nie... to jak to się udało Cole’owi? I dlaczego był taki przerażony, kiedy z nim rozmawiałam? Bo on *był* przerażony, Hel. Nie mam co do tego wątpliwości. Naprawdę się bał, jakby myślał, że po niego też przyjdą.

– Właśnie – powiedziała Hel. – Cole jest w to zamieszany, Jack. Niezależnie od tego, czy zabił Gabe’a, czy nie, to siedzi po uszy w tym gównie i wie więcej, niż sypnął.

– Ale chwila...

Przyłożyłam sobie wolną rękę do głowy, próbując ugasić narastający w niej ból, jednak potem pożałowałam, że przestałam przyciskać sobie bok. To było jedyne, co sprawiało, że rana bolała mnie mniej. Przełożyłam komórkę do drugiej ręki i znów przycisnęłam opatrunek, czując pod nim ciepło.

– Chwila. Jeśli coś go ostrzegło, co się może stać z Gabe’em...

– To znaczy, że ktoś mu powiedział – dokończyła za mnie ponurym tonem Hel.

– Ale dlaczego?

Mój głos brzmiał jak u rozżalonego dziecka, byłam na skraju płaczu. Ta myśl, że Cole, Cole, mógł zostać ostrzeżony o tym, co miało się przydarzyć Gabe'owi, ale nie kiwnął palcem, by go ocalić...

– Dlaczego jakiś mafiozo czy kto to, do cholery, był, miałby zawracać sobie głowę opowiadaniem Cole'owi o swoich planach? Jedyne powód, jaki przychodzi mi do głowy...

Urwałam. Hel nie odpowiedziała, ale nie musiała, bo miałam już gotową nieuniknioną odpowiedź. Jedyne powodem, dla którego ktoś miałby ostrzec Cole'a o swoich planach, mogło być to, że go opłacali.

A jedynym powodem, dla którego mogli go opłacać...

– Gdyby chodziło o mnie – odezwała się Hel – gdybym to ja dowodziła jakimś gangiem albo podejrzaną rządową firmą hackerską, to nie naciskałabym Apple czy Google, żeby przekazali mi klucze do swojego królestwa. To znaczy, pewnie, spróbowałabym, był przecież taki przypadek, kiedy NSA kazała Apple utworzyć jakąś furtkę, żeby mogli się włamać do iPhone'a terrorysty? Ale Apple kazało im spierdalać, jeśli dobrze pamiętam. Bo mogli. Są silniejsi niż jakikolwiek rząd i mają więcej do stracenia, jeśli zawiodą zaufanie klientów, niż kiedy wkurzą amerykańskie agencje bezpieczeństwa. Nie, gdyby chodziło o mnie, to poszłabym prosto do inżynierów. I to nie tych w Apple, tylko do ludzi z firm średnich rozmiarów, tych zarządzających małymi, lecz popularnymi aplikacjami. Namawiałabym, żeby tworzyli aplikacje, które proszą o wszelkie możliwe zgody dostępu: do aparatu, mikrofonu, plików. Listy połączeń. Dokładnej lokalizacji. A potem wywarłabym na nich presję i zmusiła do tego, żeby dodali jakieś boczne wejście, którym wysyłałoby te dane prosto do mnie. Bo właśnie *takich* ludzi, osoby sprawujące opiekę nad rodziną i płacące rachunki, ich można kupić. Albo do czegoś zmusić.

– Takich ludzi jak Cole – powiedziałam z jękiem. – Kurwa. Kurwa.

– Myślisz, że mam rację?

– Właściwie... *kurwa*. Hel, naprawdę nie mam pojęcia, ale to brzmi dużo sensowniej niż tamten stek bzdur, które próbował mi wcisnąć. – Głowa pulsowała mi razem z żebrami. – I miałoby to sens, jeśli chodzi o zachowanie Gabe'a. Wiesz, Gabe *mógł* się zgłosić do Cole'a po poradę w sprawie exploitu na komórkach, ale *na pewno* poszedłby do niego, gdyby odkrył jakiś problem w jednej z aplikacji, za które to Cole był

odpowiedzialny. Był jego najlepszym przyjacielem, czuł się zobowiązany, żeby ostrzec go przed aferą.

Głowa mnie bolała tak, jakby miała zaraz pęknąć na pół. A może to moje serce. Nie byłam pewna.

– Właśnie. Co stawiałoby Cole'a w odrobinę kłopotliwej sytuacji, gdyby to przeoczył, albo w bardzo karkołomnej, jeżeli to był jakiś wytrych i to on wprowadził go tam w zamian za kasę od kogoś – zauważyła cierpkim tonem Hel.

– O mój Boże.

Chciało mi się wymiotować. Wolałabym, żeby Hel nie miała racji, ale to było zbyt przerażająco wiarygodne. I wszystko wyjaśniało – zachowanie Gabe'a oraz Cole'a. Tłumaczyło nawet, jakim cudem Cole był w stanie sobie pozwolić na tak ekstrawaganckie mieszkanie. Jeżeli rzeczywiście brał od kogoś – kogokolwiek – pieniądze za pozostawienie furtki do którejś ze swoich aplikacji, a Gabe to zauważył podczas jednego ze swoich pentestów, to oczywiście, że ostrzegłby Cole'a, i oczywiście, że Cole poszedłby z tym do swoich szemranych zwierzchników. Musiałby. Nie dlatego, że chciał zdradzić Gabe'a, tylko dlatego, że musiałby ich ostrzec, iż to boczne wejście zostanie zamknięte. Tylko że ta grupa nie chciała go zamykać. Pragnęła, żeby pozostało otwarte. Za wszelką cenę.

– Jack? – spytała nieco zatroskanym głosem Hel. – Dobrze się czujesz?

– Tak. Nie. Nie wiem. *Kurwa*.

Moje myśli galopowały. Co to był za exploit? Czy to coś, do czego Cole miał dostęp przez cały ten czas? Jakie możliwości mu to dawało? Czy zainstalował kiedyś którąś ze swoich aplikacji na moim telefonie? Na tę myśl zrobiło mi się niedobrze – że mógł szpiegować mnie i Gabe'a przez całe tygodnie, może nawet miesiące.

– Myślę, że masz rację. Musisz mieć rację. Ale jak ja mogę tego dowieść, Hel? Z komputera Gabe'a zabrano dysk twardy.

– Nie robił nigdzie kopii zapasowej?

– Nie wiem. Nie regularnie. O Chryste.

Myślałam, że zwymiotuję. Gdy tak siedziałam tam, próbując wymyślić, co zrobić dalej, jak się wydostać z tego straszego bałaganu, mój telefon cicho zapikał, a kiedy zerknęłam na ekran, pokazało mi się ostrzeżenie o piętnastu procentach naładowania baterii.

– Kurde, muszę kończyć, Hel. Prawie rozładował mi się telefon, a ja nie mam go gdzie podłączyć.

– Nie masz gniazdka? – Głos Hel po drugiej stronie zrobił się bardziej zatroskany. – Jack, *gdzie* ty jesteś? Wszystko w porządku?

– W porządku – odparłam, choć w ogóle się tak nie czułam.

Było mi dziwnie, jednocześnie gorąco i zimno, podobne uczucie pamiętałam z dzieciństwa, kiedy chorowałam na gripę, a do tego mnie mdliło, choć byłam prawie pewna, że to miało związek przede wszystkim z Cole'em.

– Muszę kończyć. Zadzwoń do ciebie jutro na ten numer, dobra?

– Dobra. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Gardło mnie bolało, kiedy się rozłączyłam, i przez długi czas tylko gapiłam się w pusty ekran, próbując wymyślić, co, do licha, mam dalej zrobić. Powinnam wyłączyć komórkę, zaoszczędzić baterię, ale była jeszcze jedna osoba, z którą chciałam porozmawiać. Bardzo. Tylko nie byłam pewna, czy już mogę.

W końcu wyłączyłam komórkę i po prostu tam leżałam, gapiąc się na gwiazdy przez trzepoczące resztki bukowych liści. Nie mam pojęcia, kiedy zasnęłam.

Piątek, 10 lutego

MINUS DWA DNI

Gdy się obudziłam, pomyślałam, że może umieram. Było mi nieznośnie, niewiarygodnie zimno – na tyle, że tamten chłód, który czułam w chatce Cole'a, wydawał się niczym w porównaniu z tym wrażeniem. Było to zimno tak surowe, że aż mnie bolało – na zaoranym polu i na śpiworze zobaczyłam szron, a mój oddech wokół brzegów śpiwora zamarzył w cienką taflę, która kruszyła się i łuszczyła, kiedy próbowałam się poruszyć.

Moją drugą myślą było to, że zaraz zwymiotuję. Przez całą noc dręczył mnie niepokój. Ale teraz czułam się chora, naprawdę chora, do tego stopnia, że musiałam wstać, żeby nie zapaskudzić śpiwora.

Trzęsąc się i poruszając na tyle szybko, na ile pozwalały mi zmarznięte kończyny, podniosłam się na dłonie oraz kolana i zaczęłam się wyczołgiwać, ale było już za późno. W połowie drogi moje wnętrzności zacisnęły się i szarpnęły, a ja zwymiotowałam – i to zaskakująco obficie, jeśli wziąć pod uwagę, jak mało zjadłam poprzedniego dnia.

Przez kilka chwil tylko tam kucałam, w śpiworze opuszczonym do pasa i ciągnącym się po zorany polu, niczym gąsienica w połowie zrzucania kokonu. Trzęsłam się od zimna i mdłości, czekałam, by sprawdzić, czy wymioty ustały. Wydawało mi się, że tak – a wtedy uderzyła mnie kolejna fala, tylko że nie miałam już czego zwrócić, więc wstrząsały mną suche torsje ponad zmarzniętą ziemią, aż w końcu mój żołądek opornie zaakceptował fakt, że to koniec i nie ma sensu ciągnąć tego dalej, a ja, cała rozdygotana, usiadłam na piętach.

Cóż, z plusów – *nie* zwymiotowałam na ubrania. Z minusów – czułam się bardzo, bardzo chora, a kiedy włożyłam rękę pod koszulkę, by zbadać opatrunek na boku, zrozumiałam dlaczego. Palce miałam klejące i pokryte zaschniętą krwią, czułam pulsowanie w ranie. Pociłam się i trzęsłam jednocześnie, wiedziałam też, że jeżeli nie trafię do szpitala, to bardzo prawdopodobne, że nie będę już problemem ani dla Cole'a, ani dla Malik.

Głowę przebiegały mi takie słowa jak *posocznica* i *sepsa*. Takie rzeczy, które wymagają nie tyle antybiotyków, ile przeszczepu narządów. A może nawet trumny.

Po raz pierwszy zrozumiałam, co takiego narobiłam. Powiedziałam wcześniej Cole'owi, że pod pewnymi względami byłaby to dla mnie ulga, gdybym umarła, gdyby ktoś poderżnął mi gardło. Ale mówiłam to, wyobrażając sobie jakąś kosmiczną wymianę – moje życie w zamian za prawdę o tym, co się stało z Gabe'em. A to... to było zupełnie inne. Czy naprawdę chciałam bezsensownie umrzeć na sepsę na jakimś opuszczonym polu, nie odkrywszy prawdy o śmierci Gabe'a i pozwalając, by moje ciało znalazł jakiś rolnik podczas kolejnej orki?

Nie. Chciałam podążać tym tropem do samego końca i nie pozwolić, by kogokolwiek spotkał taki sam los jak Gabe'a. A co potem – cóż, to już rzeczywiście nie bardzo mnie obchodziło. Ale w takim razie miałam niewiele czasu. Za dzień czy dwa mogę nie być w stanie chodzić, a co dopiero uciekać przed glinami, Cole'em i wszystkimi innymi, którzy chcieli mnie widzieć albo martwą, albo na zawsze zamkniętą w więziennej celi.

Bo to jedno zrozumiałam w nocy. To nie tylko Gabe'a obawiali się Cole i jego wysoko postawieni przyjaciele. Chodziło także o mnie. Ani na sekundę nie uwierzyłam w wersję Cole'a – że chciał wysłać mnie do więzienia, żebym była poza zasięgiem jakiegoś podejrzanego gangu. Bzdura. Ktokolwiek za tym stał, to byli profesjonaliści. Albo jakaś poważna zorganizowana grupa przestępcza, albo coś jeszcze gorszego – może nawet agencja rządowa. Gdyby tacy ludzie chcieli się mnie po prostu pozbyć, dawno bym już nie żyła – wybraliby na atak taki moment, kiedy oboje byliśmy w domu. Jeśli chodzi o więzienie jako rodzaj ochrony przed zasięgiem tych przestępców – cóż, to było śmiesznie. W więzieniach zawsze umierają ludzie: w bójkach, w wyniku samobójstw, z powodu niewłaściwego przetrzymywania. Gdyby jakaś zewnętrzna agencja chciała, by więzień zmarł w tajemniczych okolicznościach, doprowadzenie do tego byłoby dziecinnie proste.

Nie, opowieść Cole'a nie miała żadnego sensu – a to oznaczało, że musiał mnie zrobić z jakiegoś innego powodu, albo na własną rękę, albo na sugestię swoich szefów. Pytanie tylko: dlaczego. Pierwsza możliwość była taka, że chcieli odciągnąć uwagę od zabójstwa. W końcu gdyby policja skupiła się na sprawdzaniu mnie i moich motywacji, byłoby dużo mniej

prawdopodobne, że szukaliby w historii Gabe'a innych wrogów z na tyle poważnymi urazami, by za nie zabić.

Mogli jednak wywołać zamieszanie, nie wskazując na mnie – sprawić, by śmierć Gabe'a wyglądała na nieudane włamanie do domu lub zawał serca. Mogli go przejechać przed naszym domem i uciec z miejsca wypadku. Były setki sposobów na zabicie człowieka tak, by nie wyglądało to wprost na zleczone zabójstwo. Więc dlaczego wybrali metodę, która w tak oczywisty sposób wskazywała na morderstwo?

Odpowiedzią na to pytanie musiał być ten drugi powód – zrobili to w taki sposób, by wskazać, że brałam w tym udział. Musieli się mnie pozbyć, zamknąć mnie z dala od mojego domu i rzeczy Gabe'a. Nie zginęłam, bo gdybym nie żyła, wróciliby do punktu wyjścia, policja szukałaby sprawcy dwóch morderstw. Nie, miałam być żywa, ale uwięziona i bezpiecznie usunięta z drogi.

A to wszystko prowadziło mnie do wniosku, że nawet jeśli zabrali jego dysk twardy, to mieli poważne podejrzenia, iż Gabe zapisał jakoś ten exploit – i to w taki sposób, że jego żona mogła się na niego natknąć.

Jeżeli to była prawda, musiałam odnaleźć ten zapis.

Problem tylko w tym, że ich plan zadziałał. Okej, może i nie siedziałam w areszcie. Policja zabrała jednak wszystkie urządzenia Gabe'a i większość moich, chowając jego kopie zapasowe daleko poza moim zasięgiem.

Ponieważ szanse na udane włamanie do magazynu dowodów rzeczowych policji wyglądały na bliskie zeru – byłam dobra, ale nie aż tak – moją jedyną realną nadzieją pozostawała chmura. Gabe od czasu do czasu zamieszczał kopie danych online – nie pełne kopie zapasowe, do tego wykorzystywał fizyczne dyski zewnętrzne – ale ważne dokumenty lub rzeczy, do których chciał mieć dostęp z różnych miejsc; te rzeczywiście zapisywał online. Ale nie mogłam się zalogować do jego kopii zapasowych w chmurze bez choćby jednego z jego urządzeń. Byłam prawie pewna, że znam jego hasło, ale niemal wszystkie konta były objęte weryfikacją dwuetapową. Zalogowanie z nieznanego urządzenia spowodowałoby wysłanie esemesem kodu na jego komórkę, a bez niego niczego bym nie zdziałała. Natomiast komórka Gabe'a znajdowała się aktualnie w posiadaniu policji.

Cholera. *Cholera.*

Musiałam zdobyć tę komórkę. Pytanie tylko jak.

Była ósma rano. Wmusiłam w siebie przyprawiające mnie o mdłości śniadanie złożone z batonika energetycznego i wody, a dopiero potem wyciągnęłam w końcu komórkę z kieszeni i włączyłam ją. Zostało mi zaledwie parę procent baterii. Musiałam liczyć, że wystarczy mi do tego, czego potrzebowałam.

Doszłam do wniosku, że *muszę* zdobyć telefon Gabe'a – a przynajmniej kod z niego. A przychodziła mi do głowy tylko jedna osoba, która mogła mi w tym pomóc. Problem w tym, że na samą myśl o niej robiło mi się jeszcze gorzej niż po przebudzeniu.

Już całe lata temu usunęłam z listy kontaktów numer, który zamierzałam teraz wybrać, ale znałam go na pamięć, choć bardzo starałam się o nim zapomnieć. Otworzyłam Signal i zapatrzyłam się w ekran. Każda cząstka mojego ciała krzyczała, żebym tego nie robiła, przypominając mi o tym, co mogłam stracić. Na pewno dumę. Szacunek do siebie. Może nawet wolność, jeżeli Cole zwiódł mnie co do bezpieczeństwa tej aplikacji – a jak dotąd tylko mnie okłamywał.

Jednak ostatecznie pobrzmiwały mi w uszach te słowa, które poprzedniego dnia powiedziałam do Cole'a: nic nie miało znaczenia, nic prócz odkrycia, kto zrobił to Gabe'owi. Ani moja przeszłość. Ani moje zranione uczucia. Ani nawet moje życie. Jeżeli to połączenie miało mnie zbliżyć do odkrycia prawdy, to musiałam je wykonać. Musiałam przełknąć swoją dumę. Dla Gabe'a.

Cholera, po prostu zadzwoń – powiedziałam sobie brutalnie. *Gabe by to dla ciebie zrobił, dobrze o tym wiesz.*

Pasek baterii spadł o jeszcze jeden procent.

Przekręciłam pierścionek na palcu, myśląc o Gabie. Nie chciałby, żebym to robiła. Gdyby tu był, zabrałby mi komórkę i prędzej by ją rozdeptał, niż mi na to pozwolił. Ale jego tu nie było. A ja nie miałam innego wyboru.

Wzięłam głęboki wdech, zwalczyłam falę żółci podchodzącą mi do gardła i zadzwoniłam.

Odebrał po pierwszym dzwonku. Jego głos był zdecydowanie zbyt pewny siebie i dźwięczny jak na tak wczesną godzinę.

– Halo?

Nawet kiedy miałam wymówić na głos jego imię, chciało mi się wymiotować, ale przełknęłam ślinę zbierającą się za zębami i odezwałam się.

– Jeff. To ja.

Zapadła długa cisza, a potem zaczął się śmiać, długo i powoli.

– Jack Cross. No ładnie, ładnie. Ty to masz, kurde, jaja, dziewczyno, tyle muszę ci przyznać. Wiesz, że widzę twój numer?

– To nie jest mój numer – odpowiedziałam lakonicznie. – Słuchaj, Jeff, nie mam dużo czasu... ale muszę... – O Boże, to było trudne. *Dla Gabe'a. Zrób to dla Gabe'a.* Przemogłam się. – Muszę cię poprosić o przysługę.

– Dawaj – odpowiedział takim tonem, jakby szeroko się uśmiechał. – Pamiętaj, że nie mogę ci niczego zagwarantować, ale proszenie nic nie kosztuje.

– Potrzebuję kodu z komórki Gabe'a. Tylko kodu, to wszystko.

– Z komórki, która jest w tej chwili zamknięta razem z innymi dowodami na komisariacie?

– Tak, tej.

– Nie prosisz czasem o zbyt wiele? Jak, do licha, miałbym się tam dostać?

– Możesz to zrobić?

– Niewykluczone. – Wydawał się wielce zdumiony. – Znasz mnie, mam swoje sposoby. Ale co będę z tego miał?

– Jeff.

Wiedziałam, czego pragnął, i w ogóle nie starałam się ukryć desperacji w głosie. Chciał, żebym prosiła. Chciał, żebym błagała. To go kręciło, od zawsze. Nawet na początku, zanim jeszcze się spieprzyło, lubił słuchać, jak go błagam. Wtedy ogrywał to oczywiście w żartach, łaskotał mnie, aż dławiałam się ze śmiechu i błagałam, żeby przestał, albo wyskakiwał na mnie zza rogu, gdy wracałam do domu po ciemku, i śmiał się z mojego chwilowego przerażenia oraz następującej po nim ulgi, gdy docierało do mnie, że to tylko on. Teraz już wiedziałam, czym były te „żarty” –

manipulacją osoby, która lubiła patrzeć na wijące się kobiety. Cóż, jeśli chciałam zdobyć ten kod, nie miałam innego wyjścia, jak tylko więc się przed nim.

– Jeff, słuchaj, *znasz* mnie. *Wiesz*, że nie zabiłam Gabe'a. Myślę, że mogę to udowodnić. Potrzebuję tylko tego kodu z jego komórki.

– Do czego ci potrzebny? Żeby wyczyścić jedno z jego kont? *Wiesz* przecież, że to bezcelowe. Chłopaki z wydziału informatycznego wszystkim już się zajęli, zabezpieczyli je na amen.

– Jeff... – Zmusiłam się do brnięcia w to. – Jeff, *proszę*. Błagam cię. *Proszę*.

Zapadła bardzo długa cisza. Potem Jeff wydał z siebie cierpiętnicze westchnienie.

– Ja pierdołę, Cross. Ty to zawsze wiesz, jak mnie ograć.

– Zrobisz to?

– Zrobię.

– O Boże. – Nawet nie próbowałam skrywać ulgi. – Jeff, ja... – Wiedziałam, że muszę to powiedzieć, choć chciało mi się od tego rzygać. – Dziękuję. Słuchaj, jeśli do ciebie zadzwonię...

– Nie – przerwał mi stanowczo. – Nie podam ci tego przez telefon. Jeśli chcesz tego kodu, przekażę ci go osobiście.

Tym razem ja zamilkłam.

– Chcesz go czy nie? – spytał Jeff.

Byłam pewna, że wiedział, jak strasznie jestem rozdarta, i cieszył się tą chwilą przewagi.

– Nie mogę się z tobą spotkać – powiedziałam w końcu. – Nie mogę, Jeff. *Wiesz* o tym.

– To w takim razie będziesz musiała sobie poradzić bez tego kodu – oznajmił tonem zdradzającym pełnię samozadowolenia.

Cholera.

– Jak mam ci zaufać? – spytałam w końcu.

Niemal słyszałam, jak wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem. A jak ja mam zaufać tobie i uwierzyć, że nie zrobisz z tym kodem nic podejrzanego? Chyba po prostu będziemy musieli ufać sobie nawzajem.

Miał rację. Problem w tym, że ja nie miałam do niego zaufania. Za grosz. W ogóle mu nie wierzyłam.

– Okej, spotkam się z tobą – powiedziałam w końcu. Myśli krążyły mi po głowie, gdy próbowałam wybadać swoje możliwości. – Ale ja wybiorę miejsce.

– W porządku – zgodził się Jeff, co mnie zaskoczyło. – Tylko to musi być w Londynie. Nie będę się rozbijał po jakichś zadupiach w Walii, żeby ci przekazać kawałek papieru.

– Okej – powtórzyłam.

Intensywnie myślałam. Gdzie? Jakie miejsce wybrać? Jakoś w centrum, z wieloma wyjściami i bez wizualnych przeszkód, żebym mogła sprawdzić, czy Jeff przyszedł sam? Nie tam, gdzie można wpaść w pułapkę. Moje myśli krążyły wokół mało zatłoczonych miejscówek – London Fields w Hackney, Finsbury Park po zmroku... Ale wtedy przyszło mi do głowy, że... może w tłumie byłoby bezpieczniej? Gdyby Jeff *próbował* coś ugrać, to chyba trudniej byłoby to zrobić w przestrzeni pełnej ludzi?

Trafalgar Square? Ale nie. Tam zwykle było kilkoro patrolujących policjantów, a czasami dużo więcej, jeśli odbywały się jakieś protesty. Gdyby Jeff zabrał partnera, to nie byłabym w stanie go namierzyć.

Leicester Square? Nie, zbyt wiele wyjść i za dużo alejek, które zmieniały się w wąskie, piesze przejścia, łatwe do zablokowania.

Jakiś park? Ale potrzebowałam miejsca z dobrym widokiem, z jakimś budynkiem, z którego mogłabym zobaczyć Jeffa, sama pozostając poza zasięgiem wzroku.

– Nie mam całego dnia, Cross – powiedział Jeff, a wtedy mój telefon zawibrował ostrzeżeniem o pięciu procentach baterii.

– Piccadilly Circus – powiedziałam w końcu. – Obok pomnika Erosa.

Nie byłam pewna, czy to idealny wybór – ale więcej nie zdołałam wymyślić pod presją czasu. Punkt miał tę zaletę, że znajdował się na skrzyżowaniu sześciu różnych dróg, większość z nich z ruchem samochodowym, których nie sposób było zablokować bez poważnych zakłóceń komunikacyjnych. Do tego było tam z pięć czy sześć wejść do metra. Wokoło znajdowało się mnóstwo kawiarni i barów szybkiej obsługi, więc miałam wiele możliwości, żeby przyjrzeć się okolicy, nim zrobię coś głupiego.

– Ja pierdzielę – powiedział ze śmiechem Jeff. – Kiedy się zrobiłaś taka podejrzliwa? Dawniej taka nie byłaś, Cross. Ale to przynajmniej jest na

mojej trasie metra. Dobra. Niech będzie Piccadilly. Dasz radę dzisiaj o dziewiętnastej? O osiemnastej kończę służbę.

O dziewiętnastej? Poczułam, że puls mi przyspiesza po wyrzucie adrenaliny. Od dziewiętnastej dzieliło mnie mniej niż dwanaście godzin – to niewiele czasu, żeby dostać się do Londynu i stawić na miejsce. Czy dam radę wszystko wcześniej przygotować?

Nie miałam wyboru. *Potrzebowałam* tego kodu.

– Dziś o dziewiętnastej – zgodziłam się. – Nie zawieź mnie, Jeff.

A potem się rozłączyłam, komórka wyświetliła czerwone ostrzeżenie baterii, a ja wymiotowałam do rowu.

Reszta dnia mijała mi jak w jakimś chorym śnie pełnym nerwów i wyczekiwania, przerywanym niepokojącymi wspomnieniami wywołanymi tym, że miałam się spotkać z Jeffem.

„Dawniej taka nie byłaś, Cross”. Te słowa Jeffa wciąż słyszałam w swojej głowie, brzmiały jak oskarżenie. Mogłabym odpowiedzieć w oczywisty sposób – że jak dotąd nie uciekałam przed policją podejrzana o morderstwo własnego męża. I to byłaby prawda – ale nie cała i wiedziałam, że nie o to chodziło Jeffowi. Rzeczywiście nie zawsze tacy byliśmy. Mieliśmy też dobre momenty, chociaż kiedy o nich myślałam, znów zbierało mi się na mdłości.

Poznałam Jeffa, gdy miałam ledwie dwadzieścia lat – dopiero zaczynałam karierę pen-testerki, pracowałam dla firmy specjalizującej się w sprawdzaniu zabezpieczeń dla organizacji z sektora publicznego. Jeff aresztował mnie jednego wieczoru, kiedy wyszłam tylnymi drzwiami z siedziby samorządu miejskiego w północnej części Londynu, a gdy już ustalił, że rzeczywiście jestem tym, za kogo się podaję, zainteresował się moją pracą. Ostatecznie odwiózł mnie do domu, bo nie zdążyłam na ostatnie metro, a całą drogę rozmawialiśmy w aucie o legalności mojej roboty, jej wyzwaniach oraz o spotykanych w niej ludziach i przypadkach, kiedy o mały włos uniknęłam porażki. Był zabawny, czarujący, rzucał miłe i prowokacyjne żarty, do których wtedy miałam słabość, nim jeszcze zdałam sobie sprawę, że jego prowokacje miały swoją mroczną stronę.

Zaprosił mnie na drinka – żeby zasięgnąć porady na temat zabezpieczeń na komisariacie, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało – i dopiero w połowie spotkania zorientowałam się, że jego zdaniem to randka. Pocałował mnie tamtego wieczoru, a ja uznałam to za zabawne. Ja, nawrócona złodziejka sklepowa, obcałowująca się z gliniarzem. Była w tym jakaś dziwna symetria. Sygnały ostrzegawcze pojawiły się później.

Pierwsze z nich ukrywały się pod płaszczykiem opiekuńczości – potrzeba kontroli nad tym, gdzie byłam, z kim się spotykałam, kiedy wrócę do domu. Broniałam się przed tym, a on przekonywał, że ta troska wynika z mrocznej strony jego pracy: „gdybyś widziała w życiu to, co ja, też byś się martwiła”, takie klimaty.

Później jego zachowanie stało się w bardziej jednoznaczny sposób kontrolujące, ja zabrnęłam w to za daleko i nikt mi nie powiedział, jak się stamtąd wydostać. Moi rodzice nie żyli. Większość przyjaciół wyjechała na studia, a ci, którzy zostali, jakoś poluzowali kontakt przy ciągle obecnym Jeffie, który coraz bardziej dawał im do zrozumienia, że nie są mile widziani, choć i tak spotykaliśmy się rzadko. Została tylko Hel – ale ona była pochłonięta egzaminami, cały czas spędzała na nauce. Nim zdałam sobie sprawę, co się dzieje, byłam już w pułapce.

Uratowały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, mimo nacisków Jeffa nigdy oficjalnie razem nie zamieszkaliśmy. Tak, prawie każdej nocy spałam u niego, zmęczona nieustannym dręczeniem, kiedy byłam gdzieś indziej. Tak, moje ubrania – zaakceptowane przez niego – wisiały w jego szafie, a moje wyciągi bankowe – sprawdzane przez niego – przychodziły na jego adres. Jednak oficjalnie nadal mieszkaliśmy razem z Hel. Kiedy w końcu udało mi się wyrwać spod jego kontroli, miałam dokąd wracać.

Drugą rzeczą była moja praca. Bo kiedy Jeff zaczął sugerować, że to ona przeszkadza nam spędzać razem czas, że może powinnam zrezygnować, poszukać czegoś bezpieczniejszego, rozsądniejszego, ze składkami emerytalnymi i perspektywami awansu, zrozumiałam, że jeśli zostanę zmuszona do wyboru pomiędzy Jeffem a pracą, zawsze wybiorę bycie pen-testerką.

Odeszłam od niego jako dwudziestodwulatka, przed prawie sześcioma laty. Miałam wrażenie, że minęła cała wieczność – a jednak gdy rozmawiałam z nim przez telefon, czułam się, jakby to było zaledwie wczoraj.

Na dworzec w Northampton musiałam przejść pieszo sześć i pół kilometra wzdłuż dwupasmowej trasy szybkiego ruchu, brnęłam tam powoli, a rozpędzone auta śmigały zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od mojego łokcia. Mniej więcej w połowie drogi minęłam wyasfaltowany postój dla ciężarówek z zaparkowanym tam food truckiem z burgerami. Zapach smażonej cebuli i gorących frytek był niemal nieznośnie przyjemny, a ja

długo się wahałam, obliczając w myślach pozostałe mi pieniądze i rozważając wyższość ciepłego posiłku nad batonikami energetycznymi, które zostały mi w plecaku, aż w końcu się poddałam, posłuchałam apetytu i burczącego brzucha.

Właścicielką była radosna starsza kobieta w fartuchu opryskanym tłuszczem. Kiedy próbowałam zapłacić za mojego wegetariańskiego burgera, machnęła ręką i wymamrotała coś o pomocy bezdomnym. Poczulałam, że krew napłynęła mi do policzków: przepełniły mnie jednocześnie wdzięczność i coś wyraźniejszego, jakby wstyd. Przez chwilę chciałam zaprotestować: *Och, nie, to nie tak!* Ale... właściwie dlaczego? Ostatnią noc przespałam w krzakach. Nie miałam domu, do którego mogłabym wrócić. Byłam bezdomna, i to dosłownie. Została mi też naprawdę resztką gotówki – chyba że wliczać te bitcoiny na koncie Gabe'a, jednak stawało się coraz bardziej oczywiste, że są dla mnie całkowicie bezużyteczne. Musiałam jeszcze kupić bilet do Londynu, a ponieważ strona kolei nie przyjmowała płatności w kryptowalutach, nie mogłam im zapłacić bezpośrednio bitcoinami. Nie dało się też wymienić ich na gotówkę bez pójścia do kantoru i pokazania dowodu tożsamości – a byłam prawie pewna, że gdybym to zrobiła, baza danych wyświetliłaby komunikat, rozbrzmiałby jakiś alarm o poszukiwanym przestępcy, a ja zostałabym zakuta w kajdanki.

Nie, bitcoiny były dla mnie w tamtej chwili równie bezużyteczne, co moje zamrożone konto bankowe. Nie byłam pewna, ile kosztuje bilet na pociąg, ale podejrzewałam, że cena mnie zaskoczy.

Ostatecznie tylko pokiwałam głową, wzięłam burgera i podziękowałam.

Bilet, kiedy w końcu dotarłam na stację, rzeczywiście pochłonął niemal całą moją pozostałą gotówkę, ale przynajmniej – jak zauważyłam, gdy usiadłam na wolnym miejscu, uśmiechając się przeproszająco do starszej kobiety naprzeciwko – dał mi dostęp do ciepłej wody i kontaktu, a tych dwóch rzeczy bardzo potrzebowałam. Umyłam w toalecie twarz i wycesałam trochę liści oraz gałązek z włosów, starając się mniej wyglądać na osobę, która nocowała na jakimś polu. Potem z wdzięcznością podłączyłam komórkę do gniazdka pod siedzeniem i patrzyłam, jak pasek baterii mruga boleśnie wolno. Bujanie pociągu sprawiało, że czułam się bardzo senna, ale nie mogłam sobie pozwolić na drzemkę. Mimo wszystko głowa mi opadała, a oczy się zamykały, kiedy jechaliśmy na południe.

– Dobrze się czujesz, kochana? – spytała kobieta naprzeciw mnie, kiedy wjeżdżaliśmy na dworzec King's Cross.

Przyglądała mi się z troską, a ja zdałam sobie sprawę, że z kącika ust spływa mi strużka śliny. Musiałam na chwilę przysnąć. Otarłam ją możliwie ukradkowo, a wtedy ta kobieta dodała:

– Mam nadzieję, że się za to nie obrazisz, ale wyglądasz bardzo źle.

– Nic mi nie jest – odmruknęłam.

Jednak nagle opuściła mnie senność i powróciły wcześniejsze nerwowe dreszcze. W jej twarzy było coś charakterystycznego, w tym, z jaką zatroskaną ciekawością mi się przyglądała. Nie sądziłam, żeby mnie rozpoznała – nie wyglądała jak ktoś, kto zauważył właśnie osobę poszukiwaną – ale możliwe, że gdy później będzie oglądać wiadomości, przypomni sobie tę kobietę, która siedziała naprzeciw niej z czapką naciągniętą na oczy.

– Na pewno? Jesteś potwornie blada. I trzęsiesz się.

– Nic mi *nie jest* – odparłam bardziej zdecydowanie, choć naprawdę było mi dużo zimniej, niż powinno w tym ogrzewanym wagonie. Zmusiłam się do uśmiechu i miałam nadzieję, że wypadłam przekonująco. – Dziękuję.

Wstałam i zaczęłam pakować komórkę, a potem przygotowałam się, żeby zarzucić plecak na ramiona, i skrzywiłam się z wyprzedzeniem, spodziewając się szarpnięcia bólu, jakie spowoduje ten gwałtowny ruch. Kiedy nastąpiło, było jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażałam. Przez minutę nie byłam w stanie zrobić niczego, stałam tylko bez tchu, trzymając się za bok i za pasek plecaka, i usiłowałam nie zwymiotować. Dzwoniło mi w uszach. Usłyszałam, jak kobieta z naprzeciwka mówi coś z troską, ale nie docierały do mnie jej słowa.

„Usiądź” – usłyszałam. Oraz: „...zadzwoń po kogoś?”.

– Nic mi *nie jest*, proszę zostawić mnie w spokoju – wycedziłam, ignorując jej zaskoczona, urażona reakcję.

Kiedy pociąg zaczął zwalniać, poszłam dalej wagonem, czując, jak twarz mi się rozpała po tym przeszywającym impulsie bólu oraz ze wstydu, że stałam się osobą, która nie okazuje szacunku zatroskanym obcym ludziom, nie potrafi uwierzyć w najdrobniejszy choćby gest uprzejmości. W kogo się zmieniałam? Nie byłam już pewna.

Pięć minut przed dziewiętnastą byłam gotowa – na piętrze jednego ze sklepów z oknami wychodzącymi na Piccadilly Circus. Stamtąd widziałam dobrze fontannę na środku, na której szczycie stał znajomy cherubin z łukiem i strzałą.

„Wiesz, to tak naprawdę nie jest Eros” – usłyszałam w głowie Gabe’a, tak wyraźnie i uderzająco niespodziewanie, jakby naprawdę szeptał mi do ucha. „To jego bliźniak”.

Na to wspomnienie gardło ścisnęły mi łyzy. Kiedy wybierałam tę miejscówkę, zapomniałam, że właśnie tutaj umówiłam się z Gabe’em na jedną z naszych pierwszych randek. „Eros” – powiedziałam wtedy, kiwając głową na figurę, którą Gabe wybrał jako miejsce naszego spotkania. „No nieźle, bóg miłości. Chcesz mi coś przez to powiedzieć?” A wtedy mi wyjaśnił. To nie był Eros, tylko Anteros – bóg odwzajemnionej miłości.

Gdyby to powiedział ktoś inny, mogłoby zabrzmieć jak chamska zagrywka – takie typowe męskie „jeszcze się przekonasz” najgorszego gatunku. Ale u Gabe’a... Może to za sprawą jego uśmiechu albo po prostu tego, że od początku cholernie mi się podobał. A może po prostu przez to, że wyraźnie *nie miało* to wybrzmieć w taki sposób, on był po prostu gościem, który lubił sypać ciekawostkami.

Z jakiegoś powodu sprawiło to, że już od naszego pierwszego spotkania na konferencji dotyczącej bezpieczeństwa dobrze się przy nim czułam, bo byłam w stanie żartować z czegoś, co do czego przez jakiś czas nie miałam w ogóle zaufania i myślałam już, że nigdy nie będę miała. Z miłości. To, co czułam do Jeffa... Cóż, kiedyś nazywałam to miłością. I wciąż jeszcze nie mogłam się otrząsnąć z tego, jak bardzo się wtedy myliłam. Potrzebowałam wiele, wiele czasu, by znów zaufać, a jeszcze więcej, aby użyć tego słowa na „K” wobec kogoś innego niż Hel. Ale z Gabe’em... Jakoś w ciągu kilku tygodni od poznania go zaczęłam myśleć sobie w sekrecie, kiedy byłam

sama, że go kocham, a w moich myślach wciąż krążył on, jego ciało i dotyk jego dłoni. Odkryłam, że ośmieliłam się mieć nadzieję. Miłość. To się mogło wydarzyć. I tym razem mogło być prawdziwe.

Według mitów Eros był samotny, tak przynajmniej powiedział mi Gabe. Dlatego bogowie stworzyli mu bliźniaka – Anterosa, przeciwieństwo miłości. Bo czego potrzebuje miłość prócz kogoś, kto będzie ją odwzajemniał?

Wtedy wydawało się to aż nazbyt idealne. Spotkanie pod bogiem odwzajemnionej miłości. Czy można wymyślić jakiś bardziej uroczy znak? A teraz byłam tam sama. I czekałam na Jeffa.

Wtedy go dostrzegłam – niemal dokładnie w tym momencie, kiedy zegar wybił dziewiętnastą, przeszedł nonszalancko przez ulicę tuż przed pędzącą taksówką, taki napuszony, że aż mimowolnie zacisnęłam zęby. Taksówkarz zatrąbił wściekły; Jeff uśmiechnął się do niego szeroko, pokazał środkowy palec, a potem podszedł prosto do fontanny i rozsiadł się, jakby naprawdę czekał na randkę, podobnie jak kiedyś Gabe czekał na mnie. Rozejrzałam się po okolicy. Nie było żadnych policjantów – a przynajmniej żadnych, których mogłabym zauważyć. Kręcili się tam oczywiście ludzie, dziesiątki ludzi opierających się o barierki metra, czekających na znajomych, stojących przy przejściach dla pieszych. Nie mogłam być pewna, czy ktoś z nich nie jest nieumundurowanym funkcjonariuszem. Ale wyglądało na to, że Jeff przyszedł sam.

– No to do dzieła – powiedziałam bardzo cicho i ruszyłam, zbiegając po schodach sklepu, z sercem walącym w piersi.

Po drodze próbowałam sobie wyobrazić tę scenę z jego perspektywy – małą postać przechodzącą przez ulicę, z kapturem na głowie i zasłoniętą twarzą. Widziałam, jak podniósł głowę, a na jego twarzy pojawił się ten chytry uśmieszek, którego tak bardzo nienawidziłam.

– No dobra, Jack – usłyszałam. – No, no, kogo my tu mamy – dodał powoli, niemal zdumiony.

Jeff był zawodowcem, został dobrze przeszkolony, chociaż zachowywał się przy tym niepotrzebnie brutalnie. Robił to już setki razy; przytrzymanie i zakucie w kajdanki kobiety dwa razy mniejszej od niego było dla niego dziecinnie proste. Już prawie skończył, nim zdałam sobie sprawę z tego, co się dzieje – zdecydowanie za późno też przyszło mi do głowy, by krzyknąć lub spróbować temu zapobiec. Tak czy inaczej, byłoby to bezcelowe –

a nawet szkodliwe – i wiedziałam o tym, ale mimo wszystko wyłam w duchu, widząc, jak to się skończyło. Nie powinnam mu była zaufać. A jednak miałam nadzieję.

– Aresztuję cię pod zarzutem pomocy i współpracy... – usłyszałam pomimo dzwonienia w uszach, które wróciło, i to głośniejsze niż zwykle.

Ludzie się odwracali i gapili na kobietę leżącą twarzą do dołu na brudnym chodniku Piccadilly, podczas gdy jakiś mężczyzna dociskał jej kręgosłup do podłoża. Londyńczycy jednak nie mieli zwyczaju się wtrącać, odsuwali się tylko od tego, co się przed nimi wydarzyło.

– ...masz prawo zachować milczenie – mówił Jeff. – Jednak może to zaszkodzić twojej obronie, jeśli podczas przesłuchania nie wspomnisz...

Słowa przyływały i odpływały, topiły się wśród odgłosów wściekłego dyszenia.

– Pierdol się, Jeff! – usłyszałam jakby z bardzo daleka, stłumione przez chodnik.

Trudno jest mówić, kiedy czyjeś kolano wbija ci się w plecy, a twarz przyciśnięta jest do ziemi. Usłyszałam śmiech Jeffa, irytujący i pełen samozadowolenia.

– Chcesz, żebym dopisał do listy zarzutów obrazę funkcjonariusza w miejscu publicznym, Cross? Bo tak zrobię.

– Och, naprawdę, spierdalaj – usłyszałam i trochę miałam ochotę się uśmiechnąć. – A przy okazji rozwal mi, proszę, dolną wargę tak samo porządnie jak górną, bo dopiszę to do skargi. Masz zadzwonić po mojego prawnika.

Jeff znów się zaśmiał.

– Zadzwonisz sobie, do kogo chcesz. To będzie dla ciebie długa noc, Hel.

A ja stałam i patrzyłam, jak Jeff brutalnie stawia moją siostrę na nogi i prowadzi ją skutą kajdankami, z gumową słuchawką wciąż jeszcze zwisającą jej z ucha.

Wiedziałam, że nie mogę zaufać Jeffowi. Ale wiedziałam też, że nie mam wyboru. Jeżeli była choćby niewielka szansa, żeby dał mi to, czego tak rozpaczliwie potrzebowałam, musiałam spróbować. Jednak nawet ja nie byłam taka głupia, żeby pojawić się tam osobiście.

Zadzwoiłam do niej i poprosiłam o coś, o co nie mogłam prosić nikogo innego.

– Wiesz, że on pewnie mnie aresztuje? – powiedziała zrezygnowana, kiedy spotkałyśmy się tuż przed osiemnastą, a ja pokiwałam głową.

– Wiem. Ale nie mam pojęcia, co innego mogę zrobić. *Muszę* zdobyć ten numer. Zgadzasz się na to?

– Tak, w porządku. Zapisałam dziewczynki do świetlicy na popołudnie, na wypadek gdybym miała spędzić wieczór w areszcie, ale Rols uważa, że nie mogą mi postawić żadnych poważnych zarzutów. No co, wysłałaś mi wiadomość, żebym poszła na Piccadilly Circus spotkać się z twoim byłym pracującym w policji. To nie jest przecież żadne przestępstwo. Ja wiem tylko tyle, że zamierzałaś się oddać w ręce policji. I to będzie moja wersja.

Zgodziłyśmy się, że ja sprawdzę okolicę, a jeżeli będzie wyglądało na to, że Jeff przyszedł sam, to dam Hel zielone światło przez słuchawkę Bluetooth, którą kupiła po drodze w sklepie z komórkami. Hel miała wtedy wyjść z metra w czarnej bluzie z kapturem podobnej do mojej, żeby Jeff się zbyt prędko nie zorientował. Ja miałam być w sklepie i z bezpiecznej odległości ich obserwować, czekając, aż Hel odczyta na głos kod, jeżeli Jeff go jej przekaze. Nie mogłyśmy sobie pozwolić na to, żeby spotkać się później. Jeśli Jeff podałby Hel kod, a potem ją śledził, żeby zaprowadziła go prosto do mnie...

Zaraz po otrzymaniu kodu miałam zostawić słuchawkę na wystawie i wyjść drugim wyjściem ze sklepu, w kierunku przeciwnym do Hel.

Żadnego kontaktu i – oby – żadnego ryzyka dla mnie, gdyby Jeff kazał komuś śledzić moją siostrę.

Oczywiście gdyby nie zwracał sobie głowy niczym tak skomplikowanym, aresztowałby po prostu Hel, zanim zdążyłaby się przywitać. Z porządnym prawnikiem, a Roland na pewno takich znał, nie powinni jej przetrzymywać dłużej niż parę godzin, a już na pewno nie powinni stawiać żadnych zarzutów. Jednak było to marne pocieszenie. Jeśli chodzi o dostęp do kopii zapasowych Gabe'a, wróciłam do punktu wyjścia – a na tę myśl chciało mi się płakać.

Pozostało mi już tylko jedno wyjście, które krążyło mi po głowie, odkąd z żalem pomyślałam o bitcoinach leżących poza moim zasięgiem w wirtualnym portfelu Gabe'a. Otóż to nie była do końca prawda. Nie były *całkiem* niedostępne. Nie mogłam ich wydostać. Ale *mogłam* je gdzieś przelać. A dwadzieścia tysięcy funtów... cóż, to było dość pieniędzy, żeby wykorzystać moją ostatnią możliwość i kogoś przekupić. Problem tylko w tym, że było to jeszcze bardziej ryzykowne niż zaufanie Jeffowi. A ja nie miałam pojęcia, jak to rozegrać.

Znałam podstawy. Tor. Czarny rynek. Znałam nawet niektóre nazwy – Versus, Alpha Bay. Problem tylko w tym, że za nic nie mogłam sobie przypomnieć połowy rzeczy, o których opowiadał mi Gabe. Sporo się kręcił po tych ciemnych zakątkach internetu, nie żeby kupować, a przynajmniej nie po swoim wyroku za hakerstwo, ale żeby mieć oko na to, co się sprzedawało – hasła administratorów, zrzuty baz danych, hacki do oprogramowania. Wszystko, co mogło mieć wpływ na naszych klientów. I czasami o tym opowiadał – na którym rynku co się sprzedaje, który wydaje się godny zaufania, który został zinfiltrowany przez policję albo przejęty przez scammerów, mogących zdefraudować cudze bitcoiny, a potem uciec z gotówką. Szczerze mówiąc, nigdy mnie to za bardzo nie interesowało – miałam wrażenie, że to gorsza, jeszcze bardziej ćpuńska wersja Craigslist, pełna najgorszych cwaniaków i dupków. Teraz najbardziej na świecie żałowałam, że nie słuchałam uważniej. Bo nie było żadnego żółtego poradnika *Tor dla początkujących*, który mogłabym kupić na Amazonie. Żadnego przewodnika po darknecie.

Zamierzałam wybrać się w miejsce, o którym nic nie wiedziałam, i zaproponować dużą sumę pieniędzy całkowicie obcej osobie. I nie miałam

pojęcia, czy to się uda, czy też skończę martwa w jakimś przydrożnym rowie.

Sobota, 11 lutego

MINUS JEDEN DZIEŃ

– To chyba tutaj – odezwałam się do kierowcy ciężarówki, kiedy zbliżaliśmy się do stacji paliw przy autostradzie M1, gdzie umówiłam się z M4dR0XXX600, czy też Madroxem, jak nazywałam go w głowie, bo dużo łatwiej było to wymówić. – Naprawdę nie wiem, jak mam dziękować.

– Nie ma za co – odparł gość.

Zmienił bieg i zjechał na lewy pas, zerkając przy tym na mnie oceniająco. Minę miał... cóż, trudno było ją określić, nazwałabym ją *zatroskaną*. Spróbowałam się wyprostować i ukryć jakoś moje lekkie drzenie. Trzęsłam się niemal cały czas od pobudki rano i na początku myślałam, że to z zimna – spałam w mieście przy wylocie klimatyzacji, ale w przeciwieństwie do innych bezdomnych w tej samej miejscówce nie miałam warstwy kartonu, która chroniłaby mnie przed chłodnym, betonowym chodnikiem, a wszelkie ciepło lecące z otworu zdawało się natychmiast ze mnie uciekać i odpływać w twardą ziemię. Ale potem chodziłam po sklepach i bibliotekach, tych wszystkich miejscach, które zwykle są przegrzane, i jakoś nadal nie byłam w stanie odtajać. Potem już jednocześnie pociłam się i trzęsłam, i zmuszona byłam przyznać, że może naprawdę zaczynam poważnie chorować.

Co najbardziej złowieszcze, nie czułam już za bardzo rany w boku – ale nie dlatego, że się goiła. Dlatego, że bolał mnie teraz cały tułów, i to takim beznadziejnym, rozdzierającym bólem, który sprawiał, że nie sposób było cokolwiek zjeść i nie wymiotować po tym, a do tego musiałam siedzieć zgięta w pół w kabinie kierowcy tej ciężarówki, która zatrzymała się na widok mojego uniesionego kciuka oraz prowizorycznej tablicy z napisem: „M1, północ”.

– Słuchaj, kochana – odezwał się kierowca. – Nie chcę... no, nie chcę się wtrącać, ale jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

Zamknęłam oczy. Wiedziałam, co powinnam powiedzieć – że nic mi nie jest, że to nie jego sprawa. Ale ta jego zakłopotana uprzejmość, może w połączeniu z wiekiem – był pewnie po sześćdziesiątce, tyle miałby mój tata, gdyby żył – sprawiła, że nie mogłam skłamać.

– Nie czuję się za dobrze – przyznałam w końcu. – Ale będzie lepiej, jak już się spotkam... – Urwałam, próbując sobie przypomnieć, co mi powiedziałam na początku podróży. Byłam rozkojarzona i bolała mnie głowa. – Spotkam się ze znajomym.

– Hm, znajomym?

Sunęliśmy jeszcze przez jakiś kilometr czy dwa na północ, po czym wrzucił kierunkowskaz i odezwał się, jakby zdecydował się na coś.

– Słuchaj, kochana, nie wiedziałem, czy powinienem coś mówić, ale... wiem, kim jesteś.

Przewróciło mi się w żołądku, umysł nagle mi się wyostrzył w wyniku wyrzutu adrenaliny. Wydawało mi się, że wszystko zwolniło, kiedy się odwróciłam, żeby na niego spojrzeć.

– Co takiego?

– Powiedziałem... wiem, kim jesteś. Jacky czy jakoś tak, prawda? Nie chciałem wcześniej nic mówić, żeby cię nie wystraszyć, ale twoja twarz jest we wszystkich wiadomościach. Pokazałbym ci. – Machnął ręką na telefon zamocowany na desce rozdzielczej. – Ale tu wszędzie są kamery, pewnie dostałbym mandat za pisanie esemesów w czasie jazdy.

Serce mocno waliło mi w piersi, aż myślałam, że zemdleję. A twarz nie była już zimna ani lepka jak przed chwilą, tylko rozpalila się czerwienią z nagłego gorąca. Po plecach spłynęła mi kropla potu. Kurwa. Kurwa. Jak mogłam być taka głupia?

Kierowca mówił dalej.

– Nie zamierzam na ciebie donosić ani nic takiego.

– Nie... nie?

Zauważyłam, że znowu się trzęsę – trudno określić, czy to były dreszcze wywołane chorobą, strachem czy szokiem. Ale ledwo dowierzałam własnym uszom.

– Dlaczego nie?

– Aaaa. – Machnął w powietrzu ręką, był to gest jakby obrzydzenia. – Widzę, że tego nie zrobiłaś, cokolwiek to tam miało być. Nie wyglądasz na taką. A poza tym nie ufam policji. Nie zadaję się z nimi, odkąd zostałem

wrobiony w coś, czego nie zrobiłem, jak miałem dwadzieścia jeden lat. Siedziałem sześć miesięcy i tak właśnie skończyłem jako kierowca Czarnej Piękności. – Poklepał kierownicę. – Mało gdzie chcieli zatrudnić gościa z kartoteką. Ale jednego się wtedy nauczyłem: oni bardziej się interesują tym, żeby wsadzić kogoś za kratki, niż sprawdzeniem, czy to właściwy człowiek. Więc nie przejmuj się, nic nie powiem. Ale wyglądasz... wybacz, kochana, ale wyglądasz kurewsko źle. Wiem, że pójście do szpitala byłoby ryzykowne, ale...

Urwał, wiedziałam jednak, co miał na myśli. *Niepójście* może się okazać jeszcze większym ryzykiem.

– Pójdę – powiedziałam w końcu. – Obiecuję. Właściwie to... Pewnie za dzień czy dwa sama się zgłoszę na policję. Ale muszę czegoś spróbować... i dlatego tu jestem.

Ciężarówka już się zatrzymała na parkingu stacji Heavy Goods, a kierowca zaciągnął ręczny i spojrzał na mnie, jego twarz oświetlona deską rozdzielczą wyglądała poważnie.

– Nie zrobisz niczego głupiego, prawda?

– Nie – odpowiedziałam z nadzieją, że to prawda.

– A jak wrócisz do domu?

– Nie... – Urwałam. Naprawdę nie przemyślałam swojego kolejnego kroku. Gdzie w ogóle miałam dom? – Nie wiem.

– Hmm.

Założył ręce na piersi, przyglądając mi się, jakby próbował sobie wyrobić zdanie na mój temat. Próbowałam się uśmiechnąć, ale moja twarz była lepka i odrętwiała, jakby zrobiona z play-doh.

– Słuchaj, jakbyś potrzebowała podwózki, idź do strefy dla kierowców tirów i popytaj ich, czy znają Billa Wattsa. Gdyby ktoś się ciebie czepiał, to powiedz im, że jesteś moją bratanicą Ellą. Od razu cię pokierują.

– Okej.

Poczułam tak intensywną falę wdzięczności, że oczy zaczęły mnie szczypać i rozboleło mnie gardło. Pomyślałam o Luciusie w hostelu, o właścicielce food trucka z burgerami, o tamtej kobiecie w pociągu, o tych wszystkich ludziach, którzy pomagali nieznanym osobom, nie mogąc się spodziewać w zamian niczego poza podziękowaniami. Śmierć Gabe'a zbliżyła mnie do najgorszych ludzi – ale na świecie byli też dobrzy, tacy jak Bill, dzięki którym nie dało się całkiem stracić nadziei.

– Bill... nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Nie trzeba dziękować – odparł, znów machając ręką, jakby odganiał muchę. – Po prostu nie daj się skrzywdzić. To co, masz swój plecak?

Pokiwałam głową, sięgnęłam po plecak spod nóg.

– Jeszcze raz ci dziękuję, Bill, naprawdę. I... do widzenia.

– Cześć, Jacky – odparł trochę smutno.

Patrzył, jak ostrożnie schodzę po schodkach, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, które mogłyby obudzić rozdzierający ból w moim boku. A potem poszłam przez parking, prosto w ciemność.



Gdy szłam w umówione z Madroxem miejsce, z dala od głównego wejścia, zaczęło padać. „Przy wyjściu ewakuacyjnym, koło budki KFC” – brzmiała wiadomość. Przeszłam przez parking, poczułam znajomy, przyprawiający mnie o mdłości ostry zapach smażonego kurczaka i zobaczyłam kogoś garbiącego się pod daszkiem stacji benzynowej, patrzącego w komórkę. Z takiej odległości nie widziałam, czy to mężczyzna, czy kobieta – w każdym razie ta osoba wyglądała podejrzanie.

Przełknęłam ciężko ślinę.

To, co zamierałam zrobić, było szalenie ryzykowne – to jakby podejść do całkiem obcej osoby z dwudziestoma tysiącami funtów w niewidzialnych banknotach. Madrox mógł być gliną. Mógł być kimś, kto po prostu chciał przygarnąć dwadzieścia patyków i nie zarobić na nie. Gdyby wymierzył do mnie z pistoletu – albo, powiedzmy szczerze, po prostu uderzył mnie gdzieś w okolicy rany pod ubraniem – byłoby po mnie. Musiałabym oddać mu swój klucz, a wraz z nim wszelkie szanse na dostanie się do zapasowego dysku Gabe'a.

Serce waliło mi jak młotem, kiedy szłam po asfalcie i tak mocno skupiałam się na postaci przed sobą, że nie zauważyłam rozpędzonego sportowego auta, nim nie znalazło się tuż przede mną. Zeskoczyłam mu z drogi w ostatniej chwili, rozległ się ogłuszający ryk klaksonu wraz z pluskiem kałuży wody, która przemoczyła mnie do suchej nitki. Powstrzymałam chęć wystawienia w stronę tego kierowcy środkowego palca. Potem nabrałam powietrza, próbując wziąć głęboki wdech i starając

się uspokoić mój nagle przyspieszony puls, po czym zesłam z drogi na trawnik otaczający KFC.

Tamta postać podniosła wtedy wzrok, a ja zobaczyłam, że to mężczyzna – właściwie dzieciak, pewnie nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Był szczupły i wyglądał na równie zdenerwowanego co ja, a to już o czymś świadczyło. Miał na sobie szarą bluzę z kapturem, nic nieprzemakalnego, a z grzywki kapał mu deszcz.

– ReddyBrek? – spytał. Jego głos początkowo był niski, ale załamał się na ostatniej sylabie.

Pokiwałam głową.

– Tak.

Ucieszyłam się, że wreszcie brzmię spokojnie, a drzenie można było rzucić na chłodny deszcz. Nie chciałam budzić strachu – nerwowi ludzie podejmują złe decyzje – ale nie mogłam też pozwolić na to, by wyglądać na słabą.

– A ty jesteś Madrox?

– Tak.

Rozluźnił się odrobinę, kiedy podeszłam. Prawdopodobnie z ulgą przyjął fakt, że nie jestem dwumetrowym gościem z wielkimi pięściami, ale nagle chyba przypomniał sobie, w jakiej jesteśmy sytuacji, i dodał lekko nerwowym tonem:

– Zdejmij ten plecak.

– To znaczy... dobrze.

Ostrożnie odłożyłam plecak na mokry chodnik.

– Ale będziesz mnie przeszukiwał? Mamy się oboje rozebrać do majtek? Trochę za zimno na takie zabawy.

Nawiaż porozumienie. Rozbaw ich.

Zachichotał, gdacząc, jakby pochodził z południowego Londynu, a jego twarz rozpromienił uśmiech, z którym wyglądał na czternaście lat.

– Słuchaj, skarbie, zgrabna z ciebie laska, ale ja tu przyszedłem po kasę, a nie na szybki numer.

Nie miałam ochoty się zaśmiać, ale zmusiłam się do słabego „cha, cha”.

– Cieszę się. Masz ten telefon?

Pokiwał głową, tym razem poważnie, i wyciągnął rękę z tanią komórką na kartę; jej ekran był ciemny i pokryty kropelkami deszczu.

– Tak. Mój kontakt robi wymianę, jak mu powiem, że mam pieniądze.

– Najpierw telefon – powiedziałam stanowczo, zaciskając pięści, żeby spróbować ukryć drżenie, ale on pokręcił głową.

– Przykro mi, kochana. Nie ma pieniędzy, nie ma komórki. Wyskakujesz z kasy albo ja spadam.

Zrobiło mi się niedobrze. Nie miałam pojęcia, jak to rozegrać. Rozumiałam, dlaczego nie chciał mi przekazać telefonu bez gwarancji, że naprawdę mam tę kasę. To nie była taka sytuacja, w której mogłam mu pokazać walizkę pełną banknotów – prywatny klucz nic nie znaczył, dopóki nie wiedziało się, co tak naprawdę jest w portfelu. Ale z drugiej strony ja nie miałam pojęcia, czy on nie jest jakimś naciągaczem z komórką z Tesco. Przede wszystkim jednak nie mogłam pozwolić na to, żeby odszedł. To była moja ostatnia szansa.

– Okej, najpierw przeleję kasę – powiedziałam w końcu. – Ale muszę wcześniej zobaczyć, że ten telefon działa. Chcę mieć pewność, że go zamieniłeś.

– Stara, ja to już robiłem tysiące razy – odparł nieco poirytowany, a potem chyba zdał sobie sprawę, że trochę przesadził, i doprecyzował: – No dobra, setki. Jestem w tym dobry.

– Słuchaj, ja ci wierzę. Ale nie mam pojęcia, czy...

Urwałam. Zamierzałam powiedzieć, że nie mam pojęcia, czy policja nie zabezpieczyła czasem jakoś karty SIM. Jednak nie chciałam mu mówić, że służby są w to zamieszane. Miałam poważne podejrzenia, że cena poszłaby wtedy w górę – albo że on by po prostu zwał, zostawiając mnie na lodowatym parkingu z bezużytecznymi cyframi zapisanymi w starej książce.

– Martwię się, czy ta karta SIM nie jest zablokowana. Chcę, żebyś sprawdził, czy zamiana się udała, zanim przekażę ci kasę. Nie musisz dawać mi tego telefonu do ręki, chcę tylko być pewna, że działa, zanim wcisnę „wyślij” na przelewie.

Zapadła długa cisza.

– No *dalej* – dodałam, możliwie najbardziej przekonująco.

Staralam się, żeby mój głos zabrzmiał jak najbardziej przyjaźnie. To wszystko, czego się nauczyłam przez ponad dziesięć lat społecznej manipulacji, nagabywania zupełnie obcych osób, urabiania ich tak, żeby pomogli mi bez powodu, po prostu z własnej woli. Zmusiłam się do uśmiechu, chociaż twarz miałam zimną i odrętwiałą.

– To jest dwadzieścia patyków. Za dwadzieścia patyków mogę chyba prosić o jakiś podgląd?

Gość popatrzył na mnie, jakby oceniał moją siłę i rozmiary, a ja poczułam dreszcze z gorączki albo po prostu przeszył mnie strach. Staralam się trzymać. *Nie pokazuj mu, że się boisz.*

I wtedy on przewrócił oczami.

– Jeeezu, ale ze mnie frajer, no dobra. – Sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął z niej inną komórkę, dużo porządniejszą. – Jaki numer chcesz wymienić?

Wyrecytowałam go; on go zapisał, a potem wcisnął jakiś przycisk w swoim telefonie, po czym zaczął do niego cicho mówić.

– Jay? Tak, tu Mo... – zaczął, a potem chyba pomyślał, że lepiej nie podawać swojego prawdziwego imienia, zająknął się i poprawił. – To ja. Jestem tu z klientką. Chcę, żebyś zrobił tę zamianę teraz.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której mówiła ta druga osoba. Nie słyszałam gościa, ale pewnie pytał Madroxa o to, czy dostał już tę kasę.

– Nie dam jej go do ręki – odparł Madrox, lekko oburzony.

Odwrócił się plecami i odszedł kilka kroków dalej, jakby się starał utrzymać prywatność rozmowy, ale ja nadal słyszałam jego słowa.

– Ona chce tylko... – Rozmówca mu przerwał, a Madrox wyjaśnił, rozdrażniony: – Ona ma jakiś metr sześćdziesiąt. Nic mi nie robi, stary.

Więcej gadania, więcej kiwania głową, kolejne oburzone zapewnienia Madroxa, którego przygarbione plecy zaczynały wyglądać na mocno zawstydzone. Zachowywał się jak nastolatek, który próbował się zgrywać przed znajomymi, ale właśnie pojawiła się jego mama. Zaczynałam mieć złe przeczucia, w piersi gromadził mi się jakiś lęk – chociaż już nie przed Madroxem, tylko tym kimś, z kim rozmawiał. Co, jeśli się nie zgodzi? Co, jeśli powie Madroxowi, że ma zabrać kasę i uciec? Moja praca nauczyła mnie, że takie sygnały wkurzenia i upokorzenia są niebezpieczne. Człowiek chce, żeby ludzie go lubili. Żeby ludzie mu ufali. Niedobrze, kiedy człowiek czuje, że musi coś udowodnić. Mogłam dać sobie radę z przyjaznym, współpracującym Madroxem. Ale jeśli chodzi o takiego, który stara się wyjść na twardziela przed swoim szefem, to już nie byłam taka pewna.

Ostatecznie Madrox się rozłączył i odwrócił, a ja podniosłam głowę, starając się nie wyglądać tak, jakbym wszystko słyszała.

– Mój kontakt robi właśnie zamianę – powiedział dość wielkodusznie, a ja niemal zamknęłam oczy z ulgi. – Możesz to sprawdzić, dzwoniąc na ten

numer. Ale potem przelewasz bitcoiny, jasne?

Pokiwałam głową. Długo czekaliśmy, a potem komórka Madroxa piknęła i spojrzał na wiadomość.

– Powinno być gotowe. Sprawdzisz teraz?

Znowu pokiwałam głową i wyciągnęłam swoją komórkę. To była ta chwila. Teraz już nie było sposobu, żeby uniknąć wzięcia na siebie wielkiego celownika. To nie miało znaczenia, czy użyję choćby najbardziej skomplikowanego oprogramowania szyfrującego na świecie; kiedy tylko zadzwonię na numer Gabe'a, wyraźnie oznaczę lokalizację jego nowego telefonu – i swoją – na policyjnym radarze. A co jeszcze ważniejsze, być może będę miała tylko kilka minut, nim policja zauważy, że komórka Gabe'a została zamieniona, i odwróci ten proces.

Wstrzymałam oddech. Wybrałam numer Gabe'a. Odczekałam, niepewna, czy bardziej się boję porażki, czy tego, że wszystko zadziała.

Nastąpiła krótka przerwa – nie trwało to dłużej niż trzy sekundy. A potem komórka w dłoni Madroxa zadzwoniła.

Odetchnęłam z ulgą, prawie się zaśmiałam, ale to było zbyt gwałtowne, za szybkie – nagłe poruszenie moich żeber sprawiło, że ból w moim boku zapłonął, jasno i żywo, tak mocno, że na chwilę zobaczyłam gwiazdki i pomyślałam, że zemdleję.

– ...w porządku? – usłyszałam niewyraźnie, jakby pod wodą.

Szumiało mi w uszach.

– Tak... – wykrztusiłam, walcząc z tą ogromną falą dreszczy i mdłości, która chciała mnie pochłonąć. – Boli mnie... brzuch.

To była w sumie prawda – przynajmniej miałabym jakieś alibi, gdybym się porzygała. Madrox przyglądał mi się trochę z troską, a trochę z niepokojem i podejrzliwie, a ja w ogóle mu się nie dziwiłam. Na jego miejscu też bym się pewnie spodziewała jakiegoś podstępu. Musiałam się pozbierać i wrócić do tematu.

– Nic mi nie jest – powiedziałam, chociaż to w ogóle nie była prawda.

Ciężko przełknęłam ślinę zbierającą mi się w ustach oraz żółć, która chciała się wydostać przez moje gardło. Żadna z tych rzeczy nie miała teraz znaczenia, musiałam odebrać tę komórkę od Madroxa i zdobyć kod, nim ktokolwiek zauważy, co się wydarzyło.

– Naprawdę nic mi nie jest. Zrobmy ten transfer. Podaj mi adres swojego portfela bitcoinów.

Podyktował mi go, a ja wyciągnęłam z plecaka książkę z zapisanym w niej numerem osobistego klucza. Palce mi drżały, kiedy wpisywałam cyfry, i musiałam się skupić, upewniając się, że nie pomyliłam tego długiego, skomplikowanego numeru – i proszę, był, wirtualny portfel Gabe'a, zawierający ostatnie pieniądze, jakie mi zostały.

Przez chwilę nie byłam pewna, czy zdołam wcisnąć ikonę, żeby potwierdzić przelew, tak bardzo trzęsły mi się ręce – i to nie tylko w wyniku tej szokującej fali bólu, która przyprawiała mnie o drżenie. Chodziło o świadomość tego, co właściwie robiłam. To był mój ostatni rzut kością – wszystkie moje pieniądze, naprawdę ostatnia karta przetargowa. Ale wiedziałam, że tak naprawdę mój ostatni ruch rozegrał się w tamtej chwili, kiedy numer Gabe'a został przeniesiony do komórki w ręku Madroxa. Ta komórka była teraz samosterującym sygnałem nawigacyjnym prowadzącym policję prosto do osoby, która go miała. Nic już nie miało znaczenia – ani bitcoiny, ani Madrox. Nic poza tym telefonem.

Zacisnęłam zęby. Zmusiłam wszystkie mięśnie ręki, żeby *przestały drżeć*. Wcisnęłam „wyślij”.

Madrox zerkał w swoją komórkę, tupiąc nogą. Potem rozbrzmiało powiadomienie, a on odblokował komórkę na kartę i zmarszczył się, patrząc w ekran. Spodziewałam się, że od razu mi ją poda, ale nie zrobił tego. Chyba otworzył nową zakładkę i wpisywał coś do okienka.

Gdy podniósł wzrok, miał rozdrażnioną minę.

– Za mało przelałaś.

Ścisnęło mnie w żołądku, a po nim nastąpił wściekły wyrzut adrenaliny. Nabierał mnie?

– Co to, kurwa, ma znaczyć? – Słowa te zabrzmiały bardziej wściekle, niż zamierzałam, a kiedy tylko je wypowiedziałam, miałam ochotę je cofnąć.

Usłyszałam, tak wyraźnie, jakby szeptał mi je do ucha przez słuchawkę Bluetooth, słowa Gabe'a: *Nie wkurwiał go, skarbie*.

Za późno. Chłopak wyglądał na wkurwionego. Bardzo wkurwionego.

– Dwadzieścia patyków – powiedział i mimo mojej własnej paniki dzięki doświadczeniu zawodowemu w inżynierii społecznej wyczułam, że jest równie spięty i zmartwiony co ja.

Gotów był uwierzyć, że został wykiwany.

– Tak się umówiliśmy. Przelałaś mi tylko osiemnaście.

– Jak to? – Byłam zdumiona. – Zgodziłam się na dwadzieścia, bo *miałam* dwadzieścia. Sprawdziłam kurs wymiany, kiedy rozmawialiśmy.

– Rozmawialiśmy wczoraj – odparł, teraz już rozdrażniony, jakby gadał z kimś głupim.

„Ty durna babo” – zawisło niewypowiedziane w powietrzu.

– Tak, może *wtedy* to było tyle warte, ale od tej pory kurs spadł.

– Spadł? – Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. – O... ile... dziesięć procent? Jak to możliwe?

– W końcu to bitcoin – odparł jeszcze bardziej zgryźliwie. – Zmienia się codziennie. Jeśli chciałaś ustalić cenę w bitcoinach, mogłaś powiedzieć, ale umówiliśmy się na funty.

– Ale... dlaczego to moja wina, że zmienił się kurs?

– No, kurwa, chyba nie moja – odpowiedział, a ja nawet mimo wściekłości czułam trochę, że ma rację. – Gdyby poszedł w drugą stronę... dziesięć procent w górę... to byś zyskała. Nie moja wina, że się spieprzyło. Musisz mi przelać pozostałe dwa tysiące.

– Ale nie mogę – powiedziałam beznamiętnie. – Mówiłam ci, zgodziłam się zapłacić dwadzieścia patyków, bo *miałam* dwadzieścia patyków. Ale to wszystko. Mam... – Spojrzałam na ekran, obliczając tę maleńką resztkę bitcoinów, które zostały mi na koncie. – Nie wiem, mam w portfelu jakieś pięćdziesiąt funtów? Nie więcej.

– Cholera – rzucił Madrox, wyraźnie wkurzony. – To co zrobisz? Masz kartę kredytową? Na stacji jest bankomat.

Przeczesałam palcami włosy, czułam się zdesperowana. „Tak” – brzmiała odpowiedź na jego pytanie, a w tym momencie miałam mało do stracenia, gdybym jej użyła, chociaż byłam całkowicie pewna, że moje konta zostały już zamrożone, tak jak mówił Jeff. Jedyne, co bym osiągnęła, to danie policji ładnego, wyraźnego zdjęcia mojego aktualnego stanu, prosto spod bankomatu.

– Nie – odmówiłam w końcu. – Nie, nie mam żadnych innych pieniędzy. Mogę ci dać... – Przeszukałam plecak i wyjęłam ostatnie kilka monet, odliczając je. – Cztery... Pięć funtów. To dosłownie mój ostatni grosz. I mogę ci przelać resztę tych bitcoinów, ale nie ma sposobu, żebym zdobyła dla ciebie dwa patyki. Proszę.

Włożyłam w te słowa wszystko, co umiałam, głos mi się trząsł z rozpacz, której nie próbowałam już nawet ukryć. Nie miałam żadnej innej

możliwości, jak tylko odnieść się do jego empatii.

– Madrox, *proszę, proszę*, wydawało mi się, że dotrzymałam naszej umowy. Postarałam się. Przysięgam. Gdybym miała cokolwiek innego... jakiś zegarek... cokolwiek, dałabym ci. – Uniosłam ręce, pokazując mu nagie nadgarstki, a wtedy oboje na coś spojrzeliśmy, a dziura w mojej piersi zdawała się tak rozrastać, że niemal pochłonęła całe moje ciało.

Mój pierścionek. Pierścionek, który Gabe mi wręczył podczas oświadczyn.

– A to ile jest warte? – spytał rzeczowo Madrox.

– *Nie* – odezwałam się w tej samej chwili.

– Co to jest, brylant?

– Tak. Ale nie mogę. *Proszę. Nie mogę.*

– Twój wybór – odparł Madrox, wzruszając ramionami. – Jak chcesz zrezygnować, to oddam ci bitcoiny i wywalimy tę komórkę.

Cholera. Łzy zbiły mi się w gardle w twardą kulę tak bolesną, że ledwo mogłam oddychać, a co dopiero mówić. *Cholera.*

– Ile jest wart? – spytał znowu Madrox.

– *Proszę* – szepnęłam.

Mój głos tak ochryplł, że nie byłam pewna, czy chłopak mnie zrozumiał. Przełknęłam mocno.

– *Proszę*, wyślę ci te pieniądze. *Przysięgam.*

– Pierdolę to – odpowiedział już poirytowany Madrox. – Mój kontakt i tak będzie wkurwiony, że wróciłem z jakimś gównianym pierścionkiem zaręczynowym. Nie będę tu sterczał, czekając, aż się zdecydujesz. Chcesz tej wymiany czy nie?

Zamknęłam oczy. Przez moją głowę przelatowały obrazy. Gabe klęczący w piasku na plaży w Norfolk z wyciągniętym pierścionkiem. „To antyk” – powiedział mi. „Z siedemnastego wieku. Brylant nie jest zbyt wielki. I widać, jak trudno było im wydobyć kształt, nie mieli odpowiednich narzędzi do cięcia. Ale pomyślałem... Pomyślałem, że taki ci się bardziej spodoba. Jest odrobinę krzywy, trochę wyjątkowy”.

A ja go wzięłam, położyłam na dłoni, a potem wsunęłam sobie na palec, na który pasował tak, jakbym nosiła go od zawsze.

– *Nie* – szepnęłam, kręcąc głową, ale jednocześnie obracałam pierścionek, sprawdzając, czy dam radę go zdjąć.

Obracałam go i przesuwałam po palcu, wgniatał się twardo w kość.

– Proszę, *nie*.

Zabrzmiało to jak szloch, ale pierścionek drapał mnie już po knykcium.

Włożyłam palec do ust, razem z pierścionkiem, czując go na języku, wspominając usta Gabe'a na moich, jego ciało, jego dotyk, jego smak.

Zamknęłam oczy. Poczułam krew. To *bolało*. O Boże, jak taka mała rzecz mogła tak strasznie boleć?

A potem ściągnęłam pierścionek, knykieć miałam obity i zakrwawiony, kolejna strata, kolejna rana do listy tego wszystkiego, co już zniosłam.

– Jest wart trzy tysiące – oznajmiłam chrapliwie. Nie mogłam się teraz rozpłakać. *Nie mogłam*. – Zatrzymaj sobie, kurwa, resztę.

Madrox uśmiechnął się szeroko, kiedy pierścionek wylądował w jego dłoni. Mógł to być uśmiech triumfu, ale podejrzewałam, że to raczej ulga.

– Przyjąłem. Dziękuję za transakcję, ReddyBrek. Oto twój telefon.

Wyciągnął go do mnie.

Zacisnęłam wokół niego palce i przez sekundę myślałam, że ugną się pode mną kolana. Zrobiłam to. *Zrobiłam to*. Ale jakim kosztem? Krew szumiała mi w uszach, moje nogi były miękkie jak z plasteliny i bolało mnie wszystko.

– Odezwij się, jak będziesz potrzebowała jeszcze jakiejś wymiany – rzucił Madrox, chociaż jego głos brzmiał, jakby dochodził gdzieś z oddali. – Mój kontakt daje radę z prawie wszystkimi sieciami.

– Dzięki – odpowiedziałam, ale prawda była taka, że nigdy nie miałam tu wrócić i oboje o tym wiedzieliśmy.

Patrzyłam na Madroxa, który zniknął na deszczowym parkingu, a potem w końcu się poddałam, opadłam na kolana w błocie i trawie, deszcz ściekał mi po twarzy niczym łzy.

W głębi ducha wiedziałam, że głupotą było wejście do budynku stacji benzynowej. Było tam pełno kamer monitoringu, a jeżeli kierowca ciężarówki Bill mnie rozpoznał, to istniało spore ryzyko, że inni też są w stanie to zrobić.

Jednak byłam przemoczona do suchej nitki, przemarznięta do kości i robiło mi się coraz bardziej wszystko jedno. Potrzebowałam łazienki, talerza ciepłego jedzenia, a przede wszystkim trzymałam w ręku telefon połączony z numerem telefonu Gabe'a, co oznaczało, że monitoring to najmniejsze z moich zmartwień. Za każdym razem, kiedy to urządzenie wysyłało sygnał do stacji przekaźnikowej, prowadziło policję prosto do mnie.

W środku poszłam najpierw do łazienki. Była pusta, zamknęłam się w kabinie, wysikałam, a potem siedziałam w niej, przyciskając dłoń do boku i zastanawiając się, czy powinnam sprawdzić, co się dzieje pod opatrunkiem. Mimo że całe ciało miałam zimne i drżące, sama rana była gorąca – czułam to nawet przez ubranie oraz spęczniały i miękki opatrunek, podciekający krwią albo czymś jeszcze gorszym.

W końcu ściągnęłam kurtkę, podwinęłam koszulkę i oderwałam opatrunek.

Wyglądało to bardzo, bardzo źle. Ale najbardziej nie martwiła mnie sama rana, tylko ciemnoczerwone pręgi pełzające po mojej skórze niczym pnącza. Siedziałam tam przez, jak mi się zdawało, długi czas, po prostu oglądając sobie bok i usiłując opanować narastającą panikę. Wiedziałam, że nie pomoże mi już apteczka pierwszej pomocy – groziły mi posocznica, uszkodzenie narządów wewnętrznych... nawet śmierć. Ale co mogłam zrobić? Oddać się w ręce policji? Nie teraz. Nie, kiedy byłam już tak blisko rozwiązania.

Ostatecznie zrobiłam jedyne, co mogłam – wyrzuciłam brudny opatrunek i sięgnęłam do plecaka po świeży.

Gdy wyciągnęłam paczkę, zauważyłam, że jest już prawie pusta. Został mi ostatni opatrunek i nie miałam pieniędzy, żeby kupić więcej. Ale nie było sensu o tym myśleć. Tak naprawdę nie miałam pieniędzy na nic – jedzenie, wodę ani miejsce do spania. Mój bok był tylko jednym z wielu problemów, które miały wkrótce zacząć mi bardzo doskwierać, a których nie rozwiązałyby kradzież ze sklepów, nawet gdybym była w stanie przejść niezauważona obok jakiegoś ochroniarza, a wątpiłam w to. Odsunęłam od siebie te myśli, oderwałam folię i przycisnęłam czysty, biały kwadrat do rany, wstrzymując przy tym oddech, bo ból się nasilił, a potem znów ustąpił.

Potem zarzuciłam plecak na ramię i dygocząc, podeszłam do umywalki.

Wyglądałam... cóż, wyglądałam naprawdę koszmarnie, taka była pierwsza myśl, gdy popatrzyłam w lustro nad kranem. Zaraz potem zdziwiłam się, iż kierowca Bill zdołał mnie rozpoznać, bo sama ledwo się poznawałam.

Zawsze byłam dość szczupła, ale teraz moja skóra ciasno opinała czaszkę, policzki miałam zaróżowione od gorączki, a całą resztę bladozieloną. Pod oczami widniały ciemnoniebieskie worki, a moje rozjaśnione włosy przypominały brudną końcówkę mopa. Nie brałam prysznicza od wizyty w hostelu, a nie jadłam... czy to było dzisiaj? Czy to był ten wegetariański hamburger wczoraj pod Northampton? Nie byłam stanie sobie już tego przypomnieć. Jedyne, czego nie zabrał Madrox, to pięć funtów w gotówce, więc przynajmniej mogłam sobie kupić frytki.

Najpierw jednak musiałam zmyć krew z dłoni. Woda była za ciepła, ale na swój sposób było to dziwnie przyjemne, szczypała wszystkie moje rany i zadrapania w niemal katarktyczny sposób. Ochlapałam trochę twarz, krzywiąc się z gorąca, a potem podeszłam do suszarki.

Kiedy delikatnie pocierałam dłonie pod strumieniem powietrza, popatrzyłam na posiniaczony, pusty palec serdeczny i w gardle znów mi urosła ta zdradziecka gula, której nie byłam w stanie przełknąć.

Przepraszam, pomyślałam. Bardzo przepraszam, Gabe.

Wiedziałam, co by odpowiedział, gdyby tam był. *W ogóle się tym nie zajmuj. Kogo obchodzi durny pierścionek, kochanie?* Ale mnie obchodził. To była jedyna namacalna cząstka męża, jaką miałam przy sobie.

I wyrwano mi ją, został po niej tylko siniak. Chociaż może tak miałam skończyć. Nie za zatrzaśniętą kratą więzienia, tylko w cierpieniu, tracąc wszystko po kolei, aż w końcu nic mi nie pozostanie.

Dasz radę, usłyszałam w uchu i wtedy wstrząsnął mną szloch, utknął mi w gardle. *Kurwa, ja nie dam rady, Gabe*, chciałam wykrzyczeć, wyszlochać, zawyc. *Nie dam już rady, nie rozumiesz tego?*

Ale musiałam. Musiałam dać radę. Bo nikogo innego nie było.

Suszarka się wyłączyła, a ja przełknęłam obolałym gardłem, włożyłam plecak i naciągnęłam kaptur. Potem wyszłam z łazienki do jasno oświetlonej części gastronomicznej.

Przy samoobsługowym ekranie McDonald's zamówiłam najtańszy i najcieplejszy zestaw, jaki przyszedł mi do głowy: dużą herbatę, frytki i keczup. Potem zabrałam moją tacę do odległego kąta, gdzie usiadłam i skubałam frytki, starając się nie nakapać deszczówką na macbook.

Zdażyłam się już ogrzać, a przynajmniej powinno mi być ciepło dzięki ogrzewaniu we wnętrzu budynku, gorącej wodzie i suszarce, ale nadal się trzęsłam. Moje palce były zeszywniałe i nie działały sprawnie, gdy próbowałam wpisać hasło. Po dwóch nieudanych próbach zmusiłam się, żeby zwolnić. Oddychałam miarowo i sprawdzałam po kolei każdą literę. Trzecia porażka oznaczałaby, że komputer zablokowałby się aż do zresetowania licznika, a na to nie mogłam sobie pozwolić.

Ale za ostatnim razem mi się udało i laptop się włączył.

O dziwo, Wi-Fi na stacji było całkiem niezłe. Tym razem, kiedy wyszukiwałam chmurę z danymi zapasowymi Gabe'a, nie zawracałam sobie głowy VPN-em. I tak już łatwo mnie było namierzyć. Teraz, gdyby coś się stało, chciałam, by mój trop był jasny – ze śladami dość wyraźnymi, żeby Malik była w stanie nimi pójść i zrozumieć, co robiłam.

Wpisałam adres mejlowy i hasło Gabe'a, starannie sprawdzając każdą literę, a potem ekran na chwilę się zawiesił, podczas gdy strona podejmowała decyzję – a ja boleśnie wstrzymywałam oddech.

Wreszcie na ekranie logowania pojawiło się pytanie: „Wysłać kod weryfikacyjny?”.

Odetchnęłam drżąc, tym razem ostrożniej, nie chcąc powtórki tamtego rozdzierającego bólu, który przeszył mnie wcześniej na parkingu.

Kliknęłam „Okej”.

A potem czekałam.

I czekałam.

I... czekałam.

Reszta moich frytek stygła, ale nagle zrobiło mi się zbyt niedobrze, żeby je zjeść. Dlaczego kod nie przychodził? Czy policja zauważyła już brak zasięgu na komórce leżącej w ich magazynie dowodowym i udało im się zablokować zamianę? A może Madrox i jego „kontakt” oszukali mnie po tym, jak chłopak wyszedł z parkingu, i zmienili ten numer z powrotem? Było to możliwe, chociaż nie wiem, co mogliby w ten sposób osiągnąć.

Zerknęłam w prawy górny róg ekranu telefonu. Wciąż miał zasięg – trzy kreski, a do tego 4G. Karta SIM działała.

I wtedy zaświtało mi w głowie coś przerażającego. Może i ta komórka w dłoni Madroxa zadzwoniła wtedy, kiedy wybrałam numer Gabe'a. Ale nie zobaczyłam jej ekranu. Nie miałam pojęcia, czy wibruje moje połączenie, czy też może Madrox wysłał wcześniej tajną wiadomość do swojego kontaktu, żeby do niego zadzwonił, abym pomyślała, że telefon ma teraz numer Gabe'a. Może jego kontakt wcale nie pracował w sklepie z telefonami. Może był po prostu jakimś pospolitym oszustem. Kurwa. Kurwa. Myślałam sobie, że jestem taka sprytna, że zadzwoniłam na numer sprawdzić, czy zamiana się udała. Dlaczego nie odczekałam, aż Madrox odbierze, żeby sprawdzić, czy to naprawdę był numer Gabe'a?

Nadal jeszcze patrzyłam na komórkę w mojej dłoni z bladym strachem, próbując wymyślić, jak sprawdzić, czy zostałam oszukana, kiedy usłyszałam za sobą kroki, podniosłam wzrok i zobaczyłam kobietę z obsługi idącą w stronę cichego rogu sali, w którym siedziałam.

Znów spojrzałam w komórkę, bardziej żeby schować twarz niż dlatego, że naprawdę spodziewałam się kodu, ale nadal słyszałam stukot zdecydowanych kroków, coraz bliżej i bliżej, a kiedy ukradkowo zerknęłam po raz drugi, ku mojemu zaskoczeniu odkryłam, że kobieta nie mijała mnie ani nie zmierzała w jakieś inne miejsce. Szła prosto do mojego stolika. Do *mnie*.

O Boże. O Boże.

Zostałam zauważona. Czy był sens uciekać?

Spojrzałam na stół, na otwarty laptop, mój plecak, a potem na ochroniarza stojącego przy dużych, szklanych drzwiach, który całym sobą wyrażał znudzenie. Wyglądał na zmęczonego i niezbyt wysportowanego. W lepszy dzień mogłabym zaryzykować. Ale w tym stanie, z plecakiem,

który coraz bardziej zdawał się zrobiony z ołowiu, spocona i trzęsąca się, z raną w boku, nie dałabym rady. Nawet gdybym zostawiła wszystkie swoje rzeczy – a tego nie mogłam zrobić, nie w tej chwili. W każdym razie nie mogłam zostawić laptopa. Byłam zbyt blisko.

Miałam wrażenie, że serce zatrzymało mi się w piersi. Kobieta znalazła się już prawie przy moim stoliku.

Przełknęłam i przykleiłam do twarzy mój najprzyjaźniejszy, jak mi się zdawało, uśmiech, chociaż wydawał mi się raczej groteskową, niezgrabną podróbką. Potem podniosłam wzrok.

– Wszystko w porządku?

– Zapomniała pani o herbacie! – odezwała się kobieta.

Uśmiechała się. W wyciągniętej dłoni trzymała papierowy kubek z plastikowym wieczkiem.

Zdumiona spojrzałam na swoją tacę. Nie było herbaty.

– Cukier? – spytała kobieta.

– Ojej. O Boże, bardzo przepraszam. Ale ze mnie idiotka. – *To by się zgadzało.* – Nie musiała pani przynosić.

Serce zaczęło mi znów pracować, przepełnione ulgą. Poczułam, że na mojej twarzy pojawia się głupi uśmiech, tym razem prawdziwy.

– Naprawdę nie trzeba było. – Potem zdałam sobie sprawę, że ona nadal czeka na odpowiedź. – N-nie, bez cukru. Dziękuję. Dziękuję, nie trzeba.

– Nie ma problemu! – zaświergotała kobieta.

Postawiła mi herbatę na stoliku, a potem odwróciła się na pięcie i poszła. Starłam się nie osunąć na krzesło.

A kiedy zerknęłam na komórkę – czekał na mnie kod.

Wpisałam go. Nastąpiła krótka przerwa, ekran na chwilę się zawiesił, myśląc nad odpowiedzią, a potem otworzył się przede mną zapasowy dysk Gabe'a.

Najpierw poczułam triumf. A potem – zaraz po nim – rozpacz.

Nie dlatego, że dysk został wyczyszczony, jak się po części obawiałam, ale wręcz przeciwnie. Był strasznie zapchany. Mnóstwo folderów, mnóstwo plików. Jak miałam znaleźć igłę w tym programistycznym stogu siana?

Kilka folderów wyglądało na osobiste – zdjęcia, skany, przydatne dokumenty związane z naszym domem. Kolejne były firmowe. Całe pliki ze zwrotami podatku, fakturami, wyciągami z banku i arkuszami kalkulacyjnymi. Rany, czy Gabe w ogóle zapisywał cokolwiek, nie robiąc kopii zapasowej?

Jednak największa pula plików wyglądała na związaną z projektami w toku. Zerknęłam pod A i zobaczyłam „Arden Alliance”, ale było tam wiele innych nazw, poczynając od „Aardvark Inc” – firmy, dla której nigdy nie pracowaliśmy, o ile wiedziałam. Kliknęłam tam, zobaczyłam notatki na temat luk w zabezpieczeniach do raportu, który przygotował Gabe, wskazując zagrożenia w ich portalu internetowym. Pod Aardvarkiem znajdowały się foldery oznaczone „Abel Inc”, „Ace Electric”, „Adelaide Systems”, „Adelphi-Core”, „Ajax & Cline”, „Anoraxis”, „Apex Finance”, „Arcturus Publishing”... a to była tylko litera A. Lista ciągnęła się przez cały alfabet, a ja nie miałam pojęcia, od czego zacząć.

Przewinęłam do C. Nie miałam nadziei na folder oznaczony „Cole” – ale jego firma nazywała się Cerberus Security i niewykluczone, że Gabe nazwałby plik w ten sposób. Ale nic tam nie było. Chciało mi się płakać.

Bolały mnie bok, głowa i stawy, tak jakbym miała grypę. Poprawiłam się na krześle, plecy mi się lepiły i koszulka przykleiła się do kręgosłupa, a potem oderwała, gdy się poruszyłam. Pod ubraniami nowy opatrunek wydawał się sztywny, klej ciągnął mi skórę w taki sposób, że zdawało się to drażnić ranę. Pewnie byłam pochylona, kiedy go nakładałam, a teraz był za

ciasny, ale wiedziałam, że nie mogę go poprawiać. Gdybym go oderwała, istniało spore ryzyko, że nie przykleiłby się z powrotem, a to był ostatni.

Połączyłam więc kilka tabletek ibuprofenu i przewinęłam listę dalej, starając się ignorować ból. Minęłam C, D, E, F, a potem przeszłam przez L, M, N, i tak dalej. Nic tam nie było, a przynajmniej nic, co mogłoby dla mnie coś znaczyć. Były to nazwy firm, nazwy programów, niektóre nieznane, inne kojarzyłam z projektów, nad którymi pracowaliśmy razem – ale nic nie wyglądało na związane w jakikolwiek sposób z Cole'em. Czyżbym się pomyliła?

I wtedy coś zauważyłam. Na samym dole, pomiędzy „Unrivalled Software” a „Upside Down Design” zobaczyłam folder „update”.

To było to. Nie Update Inc. ani Update Software. Mogła to być nazwa firmy, ale było w tym coś, również w rozmiarze folderu, że zatrzymałam się i kliknęłam.

W środku znajdowało się kilka kolejnych folderów, dużo gorzej uporządkowanych, opisanych głównie nazwami związanymi z adresami URL stron, aplikacjami lub programami. A na samym dole listy widniała nazwa, którą dobrze znałam. *Bardzo* dobrze. Watchdog. Była to nazwa flagowej aplikacji zabezpieczającej stworzonej przez Cerberusa.

Kliknęłam w folder.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Tykającej bomby, wyświetlenia masy ostrzeżeń. Tymczasem zobaczyłam wiele plików, których rozszerzeń w ogóle nie kojarzyłam – niektóre tekstowe, niektóre zapisane chyba kodami. Nie miałam pojęcia, czym była choćby połowa z nich.

Trzymając w myślach kciuki za to, żeby nic nie wybuchło, otworzyłam jeden z plików. Był to długi łańcuch kodu i nie miałam pojęcia, do czego służył. Ale na górze widniało coś, co było chyba osobistymi notatkami Gabe'a. Dość często widywałam podobne, takie listy zadań do konkretnego projektu, pełne przypomnień o niewyjaśnionych wątkach i niedokończonych zadaniach. Tu było podobnie – na górze znajdowało się kilka rzeczy związanych prawdopodobnie z programowaniem, z których niewiele rozumiałam. Ale kilka ostatnich... na ich widok moje serce zatrzepotało.

TO JESZCZE NIE ZOSTAŁO NAPRAWIONE

ZADANIE: powiadomić Ceberusa w przyszłym tygodniu

ZADANIE: omówić wątpliwości związane z Puppydog z Cole'em

No i proszę. Imię Cole'a w dokumencie, nad którym Gabe pracował tuż przed śmiercią, wraz z wyraźną sugestią, że zamierzał skontaktować się bezpośrednio z Cerberusem, z kimś zajmującym wyższe stanowisko niż Cole. Data ostatniej modyfikacji pliku to piątek – dzień przed tym, jak robiliśmy pen-test w Arden Alliance. Tego dnia, według relacji Cole'a, rozmawiali przez telefon.

Przedstawił to jako zwyczajną pogawędkę, ale w rzeczywistości musiała być czymś innym – Gabe po ostrzeżeniu, które dał wcześniej Cole'owi, uprzejmie dawał znać, że w poniedziałek wyśle do Cerberusa oficjalny raport. To było standardowe zachowanie, robił tak wcześniej wiele razy jako etyczny haker pracujący zgodnie ze sprawdzonymi procedurami. Jednak to przyjacielskie ostrzeżenie: „Sorry, stary, ale znalazłem problemy w waszym kodzie” kosztowało Gabe'a życie – a tu miałam na to dowód.

Nie był to może ślad po kuli, ale wyglądał dużo bardziej wiarygodnie niż ta teoria związana z Sunsmile, nad którą pracowali teraz Malik i Miles.

Ale dreszcz przeszedł mnie na widok notki o Puppydog. Bo Watchdog to już i tak była gruba sprawa. To domowa aplikacja zabezpieczająca będąca podstawą obrotów Cerberusa – trzystusześdzieciostopniowy system monitoringu, który skupiał wszystko, począwszy od asystenta domowego, kończąc na dzwonku do drzwi, w jednej aplikacji. A Puppydog to aplikacja nadzoru rodzicielskiego, którą zainteresowanie rosło bardzo szybko i mogła stać się jeszcze bardziej popularna. Puppydog dawał rodzicom pełny dostęp do wszystkiego w komórce dziecka – listy kontaktów, historii przeglądarki, a co najważniejsze – śledził lokalizację zarówno dziecka, jak i rodzica, żeby zawsze mogli się znaleźć.

Gdyby ktoś włamał się do Puppydog, mógłby śledzić nie tylko dorosłych, ale także ich dzieci. Ile pieniędzy ktoś byłby w stanie za to zapłacić? Za dostęp do dziecka jakiegoś celebryty? Albo rodziny dysydenta politycznego? Po plecach przeszedł mi dreszcz, zupełnie niezwiązany z palącą mnie gorączką. Zapatrzyłam się w ekran, próbując zrozumieć, w co dokładnie wpakował się Cole, a wtedy zadzwonił telefon Gabe'a.

Przez dłuższy czas tylko patrzyłam na komórkę, głupio zastanawiając się, co się dzieje. Był to numer stacjonarny, londyński, i nie miałam pojęcia, co to oznacza. Mimo że karta SIM została podmieniona na ten aparat, nie

przeniesiono niczego innego, czyli lista kontaktów była pusta. Mógł być to każdy, poczynając od siłowni Gabe'a, przez jego rodziców... po... no, kogokolwiek. Pytanie, czy powinnam odebrać.

Komórka nadal dzwoniła, wibrując na stole, a ja wciąż jeszcze usiłowałam podjąć decyzję, kiedy przeszła koło mnie jakaś kobieta wioząca w wózku śpiące dziecko.

– Sam się chyba nie odbierze – rzuciła zmęczonym, wkurzonym tonem, na którego dźwięk się wyprostowałam.

Nie masz pojęcia, z czym się zmagam – chciałam jej odwarknąć. Ale prawda była taka, że to działa w dwie strony. Może ona też kogoś straciła. Może się bała. Może cierpiała na depresję poporodową.

Okej, prawie na pewno nie uciekała przed policją i nie była podejrzaną w sprawie morderstwa swojego męża. Ale tak czy inaczej, miała rację. Telefon sam się nie odbierze, ja też nie osiągałam niczego, zwlekając. I tak połączył się już z nadajnikiem i wysyłał swoją lokalizację każdemu, kto znał ten numer. Odebranie go niewiele zmieniało. Prawdę mówiąc, to dzwonicie zaczynało mnie doprowadzać do szału, wwiercało mi się w głowę niczym wiertło.

Wzięłam głęboki wdech. Sięgnęłam po telefon. I odebrałam.

– Kto to? – zapytał natychmiast dzwoniący.

Zamrugłam. Głos po drugiej stronie od razu zabrzmiał znajomo, ale nie umiałam go nazwać. To była kobieta, wydawało się, że znajdowała się w jakimś ruchliwym miejscu; słyszałam w tle stukanie klawiszy klawiatury, rozmawiających ludzi. Przez jedną szaloną minutę zastanawiałam się, czy to czasem nie Keeley z call center Sunsmile – czy nie wysłedziła mnie, żeby zapytać, w co ja sobie, do licha, pogrywam. Ale nie – to był szalony pomysł, oczywiście. Ona nie miała mojego numeru, a co dopiero Gabe'a. Poza tym zerknęłam na zegarek i zobaczyłam, że to już za późno, by Sunsmile było otwarte. Ale *znałam* ten głos. Czy to jakaś znajoma Gabe'a?

– Kto to? – odezwała się znowu, powtarzając pytanie, tym razem ostrzej.

I już wiedziałam.

– To ja – odpowiedziałam bardzo cicho.

Zapadła długa cisza. Gdy kobieta znowu się odezwała, nie brzmiała już szorstko. Właściwie jej głos pobrzmiwał ciepło, uśmiechem, jakby nagle spełniły się jej wszystkie marzenia.

– Dzień dobry, Jack – powiedziała. – Naprawdę, *naprawdę* dobrze cię słyszeć.

Zamknęłam oczy.

Malik.

Detektyw Habiba Malik. Ta kobieta, którą ostatni raz słyszałam, jak wołała mnie przez nadmorską mgłę, grożąc, że wyśle za mną psy. A teraz odezwała się tuż przy moim uchu, ta intymność przyprawiła mnie o dreszcz. Bo to był ten głos, *jej* głos, który wypytywał mnie godzina po godzinie w nocy po śmierci Gabe'a, a potem jeszcze raz kolejnego dnia, rozkładając moją historię na kawałki, a potem z powrotem, w najgorszy możliwy sposób. To Malik kazała mi opowiadać w kółko, wyciągała szczegóły, których prawie nie pamiętałam, czepiając się nieścisłości, których sama nawet nie zauważyłam – i to jej głos skłonił mnie do ucieczki, gdy usłyszałam, jak na korytarzu naciskała na aresztowanie mnie.

A chociaż myliła się co do mojej winy, to miała rację niemal we wszystkich innych kwestiach – było ich więcej, niż chciałabym przyznać. Ta sprawa *rzeczywiście* śmierdziała, od początku do końca. *Wszystko* było nie tak, zupełnie jak powiedziała tamtej nocy Milesowi. I mnie też dobrze wyczuła. Podczas gdy Miles patrzył na mnie jak na nieszkodliwą wdowę w żałobie, Malik mnie przejrzała – zobaczyła we mnie osobę o stalowym charakterze, upartą, potencjalnie skora do ucieczki. I miała rację.

Cholera. Z jednej strony odebranie tego telefonu niewiele zmieniło – Malik musiała wiedzieć, że to ja stałam za utratą zasięgu przez komórkę

Gabe'a. Ale dałam jej pewność, jeśli miała dotąd jakieś wątpliwości. Policja wiedziała już dokładnie, gdzie szukać.

– Słuchaj, Jack, rozumiem cię – mówiła mi do ucha Malik.

Jej głos był miły, współczujący, taki jak tamtej pierwszej nocy, kiedy pomogła mi pozbierać ubrania na komisariat i zmyć z dłoni krew męża. Ale ja wiedziałam, że była miła nie bez powodu. Sama wielokrotnie wykonywałam takie telefony, mające na celu przytrzymanie kogoś na linii tak długo, by wydobyć z niego potrzebną informację. Ja stanowiłam cel Malik. Ona była dobra w te klocki.

– Twoja siostra opowiedziała nam, co się dzieje – mówiła teraz ciepło. – Powiedziała nam, że tego nie zrobiłaś. Ale ucieczka w żaden sposób ci nie pomoże. *Chcemy* ci wierzyć. *Chcemy* znaleźć osobę, która to zrobiła, ale nie uda się nam bez twojej pomocy. Pomożesz nam, Jack?

– Wiem, kto to zrobił. – Głos mi drżał. – A przynajmniej wiem, kto doprowadził zabójcę do Gabe'a. Nazywa się Cole Garrick. Pracuje dla Cerberus Security. I jest... – Głos mi się załamał. – *Był* przyjacielem Gabe'a. Musicie tylko *natychmiast* go aresztować.

– Sprawdzamy wszystkie... – zaczęła Malik, ale jej przerwałam.

– Proszę mnie posłuchać. To było zabójstwo zlecone przez ludzi, którzy opłacają Cole'a. On najprawdopodobniej ma alibi, bo nie poderznął Gabe'owi gardła osobiście, ale to *on* był tą osobą, od której wszystko się zaczęło, i to *on* wystawił im Gabe'a na celownik, a jeżeli będziecie zwlekać z działaniem, to zabiją też jego. Jeżeli chcecie dostać go żywego i postawić przed sądem, to musicie go *natychmiast* aresztować.

– Porozmawiajmy o tym wszystkim na komisariacie – odparła przekonująco Malik. – Musisz być wykończona, Jack. Pozwól, że wyślę po ciebie samochód.

Przyłożyłam sobie dłoń do głowy, czując, że wzbiera we mnie coś bardzo podobnego do histerycznego śmiechu. Wykończona? To mało powiedziane. Czulałam się... czulałam, że już nic nie mogę zdziałać, że nie mam dokąd pójść. Bolał mnie bok. Bolały mnie stawy. Wszystko mnie bolało i nieustannie wzbierały we mnie mdłości. Czy to była pora, by przestać uciekać? Może.

Ale wtedy coś usłyszałam. Podniosłam głowę, nasłuchując. To była policyjna syrena. A kiedy opuściłam głowę i wyjrzałam przez okno części

gastronomicznej, zobaczyłam niebieskie światła przecinające ciemność parkingu.

Gdybym się teraz poddała, musiałabym zaufać, że Malik uwierzy w moją historię, przeczyta pokrętnie notatki Gabe'a, zrozumie, że odkryłam coś istotnego, a co więcej, zadziała, nim dorwą się do tego szefowie Cole'a.

Jednak cokolwiek Cole zrobił, niezależnie od tego, na co sobie zasłużył, nie chciałam jego śmierci. Pragnęłam, żeby wylądował w więzieniu za to, co zrobił Gabe'owi, ale nie chciałam, żeby go zabili.

A co najważniejsze, chciałam, żeby ten exploit, który kosztował Gabe'a życie, został tak naprawiony, by nikt już nigdy nie mógł na nim skorzystać. Cokolwiek robili ci ludzie i jakiegokolwiek informacje zbierali, warto było za to zabić. A Gabe nauczył mnie, że jest tylko jeden sposób, by się upewnić, że to zostanie naprawione.

Rozgłos.

– Do widzenia, detektyw Malik – powiedziałam i wstałam, pakując laptop.

– Jack – rzuciła, tym razem ostrym tonem. – Jack. Nie...

Rozłączyłam się. Wyłączyłam komórkę z kartą SIM Gabe'a, a także swoją, po czym obie wrzuciłam do plecaka.

I wtedy zaczęłam iść. Niezbyt szybko. Po prostu żwawym krokiem kobiety, która musi dokądś pójść i ma coś do zrobienia. I nie w stronę drzwi, bo widziałam tam kolejny radiowóz z niebieskimi światłami zajeżdżający przed wejście. Z opuszczoną głową i naciągniętym kapturem szłam w przeciwną stronę. Głębiej na stację. W kierunku schodów oraz przejścia prowadzącego górą do południowej stacji po drugiej stronie drogi.

Wchodzenie po stopniach kosztowało mnie więcej wysiłku, niż chciałabym przyznać, a kiedy byłam już w połowie, musiałam na chwilę przytrzymać się poręczy, nim wspierałam się na kolejne piętro. Na górze po plecach spływał mi zimny pot i ledwo zdołałam zapanować nad kolanami, żeby nogi się pode mną nie ugięły. Ciężar plecaka był już dla mnie zbyt wielki, więc sięgnęłam do niego i wyjęłam wszystko, czego nie potrzebowałam – kosmetyczkę, temblak, butelkę z wodą – każdy ciężar prócz tego, co jeszcze było mi potrzebne do dokończenia tej sprawy. Rzuciłam to wszystko na podłogę, a potem zarzuciłam na wpeł pusty plecak na ramiona, wyprostowałam się i znów zaczęłam iść. Na szczęście korytarz był spokojny, nikogo tam nie było i mogłam trzymać się ściany,

gdy tak na wpół szłam, na wpół biegłam tunelem wznoszącym się ponad sześcioma pasami ruchu.

Po drodze widziałam auta w dole, zobaczyłam kolejny radiowóz pędzący na północ z Londynu, w kierunku stacji, i trochę chciało mi się z tego śmiać. Trzy policyjne suki. Rany, za kogo oni mnie mieli, za Osamę bin Ladeną?

Byłam już w połowie drogi, ale oglądając się przez ramię, dostrzegłam niebieskie światła skupione wokół wejścia do części gastronomicznej. Wyobrażałam sobie, jak policjanci rozdzielają się w środku, przeszukują stoliki, toalety, tylne wyjścia.

Ile im zajmie, zanim zauważą przejście? Kolejny radiowóz pędził na sygnale na północ, ale ten przejechał pode mną i wiedziałam, że pewnie zmierza do kolejnego zjazdu, żeby zawrócić i przeszukać południową część stacji. Musiałam się tam przedostać przed nimi.

Przyspieszyłam kroku, czując kropelki potu zbierające się na karku i nad górną wargą. Pulsował mi cały prawy bok, od piersi aż po miednicę, w rytm uderzeń serca, ale parłam naprzód. Raz się potknęłam i w ostatniej chwili przytrzymałam się barierki w tunelu. Jęknęłam, nie próbując nawet stłumić tego dźwięku, bo nikogo tu nie było, przystanąłam na chwilę, czekając, aż tunel przestanie się bujać i dygotać, potem ruszyłam dalej, starając się oddychać krótko i płytko, bo nabieranie powietrza do płuc sprawiało mi ból.

Byłam już na schodach i zbiegałam po nich, starając się nie wyglądać na kogoś, kto ucieka przed tym dość oczywistym zbiorowiskiem niebieskich świateł po drugiej stronie autostrady. Kolejne auto sunęło pod pieszą kładką, zmierzając do zjazdu przy kolejnym skrzyżowaniu. To ile ich już było? Pięć? Sześć?

Zeszłam po schodach do niesamowicie podobnego przedsionka i prawie się spodziewałam, że powita mnie taka sama grupa umundurowanych funkcjonariuszy, ale nie było tu nikogo prócz drugiego, równie znudzonego ochroniarza, który nawet nie podniósł wzroku, gdy przeszłam szybko po beżowych płytkach i wyszłam w noc.

Na zewnątrz rozejrzałam się na lewo i prawo, starając się rozgryźć, gdzie, do diabła, może być strefa dla kierowców tirów. Czy oni mieli osobny postój? Nie widziałam czegoś takiego – ale po przeciwnej stronie parkingu

dostrzegłam parę ciężarówek i mrużąc oczy na deszczu, wypatrzyłam przynajmniej dwie z oświetlonymi kabinami.

Kiedy tak stałam, usiłując zdecydować, co zrobić, niebieskie światła pojawiły się na drodze prowadzącej z południowej części autostrady i serce ścisnęło mi się mimowolnie. Wtedy podjęłam decyzję. Wzięłam głęboki wdech i zaczęłam iść najszybciej, jak w tej deszczowej ciemności mogłam, w stronę oświetlonych kabin.



– Zna pan może Billa Wattsa? – spytałam po raz czwarty lub piąty, a kierowca pokręcił głową.

– Przykro mi, kochana. To jakiś kierowca? Sprawdzałaś w środku?

Kiwnął głową w stronę stacji, a ja zerknęłam przez ramię i zobaczyłam drugi radiowóz parkujący przed schodkami. Odwróciłam się z nadzieją, że moja twarz nie jest w zbyt oczywisty sposób blada ze strachu.

– Już byłam...

– Bill Watts? – spytał jakiś głos za mną, a ja znów się odwróciłam i zobaczyłam niedaleko ciężarówkę z uchylonym oknem i lecącym przez nie dymem e-papierosa.

Kierowca otworzył je bardziej i wyjrzał.

– Ja go znam. Gadałem z nim wcześniej przez radio. Ale on chyba jedzie na północ. Darlington czy jakoś tak? Wątpię, żeby był tutaj.

Zalała mnie ulga.

– Właściwie to nie szukam jego. Jestem jego... – Przełknęłam.

Byłam osobą, która kłamała zawodowo, ale na Boga, dlaczego było mi tak trudno teraz, kiedy to miało największe znaczenie?

– Jestem jego bratanicą, mam na imię Ella. Utknęłam, a wujek powiedział, że może jeśli popytam, to ktoś by mnie podwiózł na południe.

– A dokąd chcesz się dostać? – Facet otworzył drzwi i zeskoczył lekko na ziemię.

Był dużo młodszy od Billa, bardziej w moim wieku, i dobrze zbudowany. Wyglądał tak, jakby, kiedy nie jeździł, spędzał każdą wolną godzinę na siłowni.

– Najlepiej do Londynu.

– Nie ma sprawy. Mam transport do Greenwich. Nie mogę cię podrzucić bliżej przez strefę niskiej emisji, ale może by wystarczyło, gdybym cię gdzieś tam wysadził?

– Żartuje pan? – Greenwich było zaledwie parę kilometrów od mieszkania Cole'a. Gdybym musiała, resztę przeszłabym pieszo. – Byłoby cudownie. A czy jest szansa... – Zerknęłam przez ramię, starając się nie patrzeć wprost na policyjne radiowozy tłoczące się przed głównym wejściem oraz krótkofalówki trzeszczące w cichym, nocnym powietrzu. – To znaczy, tak czy inaczej byłabym ogromnie wdzięczna, ale pewnie nie odjeżdża pan jakoś niedługo?

Zerknął na zegarek, po czym pokiwał głową.

– No właśnie kończę przerwę. – Wstuknął coś do swojej karty drogowej w komórce. – Wskakuj, Ella.

Przez sekundę nie miałam pojęcia, do kogo mówi, ale potem zrozumiałam i na mojej twarzy pojawił się uśmiech. Ella Watts. Przez kilka kolejnych godzin to miałam być ja.

– Dzięki. A pan nazywa się...?

– Mike. W metryczce Michael Rake. A dla kumpli Micky Zgrywus.

Otworzył mi drzwi i wspierałam się do kabiny.



Kiedy pędziliśmy autostradą na północ, błyski niebieskich świateł za nami przygasły. Mike cały czas ze mną rozmawiał. Zadawał pytania o mnie, moją pracę oraz rzekomego wujka Billa... Dawałam mu przypadkowe odpowiedzi, starając się udawać, że jestem spokrewniona z Billem, wtykając w to „fakty”, które byłam w stanie wiarygodnie spreparować bez dodatkowego sprawdzania. Powiedziałam mu, że mieszkam w Londynie, pracuję w call center, nie mam męża. Te ostatnie słowa dotkliwie mnie zabolowały i nie miało to związku z raną w boku. Nie mogłam przestać zerkać na mój posiniaczony, pusty palec. Pamiętałam twarz Gabe'a, kiedy wyciągnął do mnie pierścionek, pamiętałam ten blask jego wyrazistych brązowych oczu. Musiał wiedzieć, że się zgodzę – ale mimo wszystko wyglądał na zdenerwowanego, jąkał się. „Jack, wyjdiesz z-za mnie?”

Znów zobaczyłam te ukośne promienie słońca, poczułam zapach oceanu oraz piasek pomiędzy palcami stóp, kiedy kucnęłam na wydmach, powtarzając: „Tak, tak, tak...”.

O Boże, pomyślałam, *kocham go*. I po raz pierwszy nie musiałam boleśnie się poprawiać, bo nie miało znaczenia, że Gabe nie żył. Nadal go kochałam. Zawsze miałam go kochać. Co miało się ze mną stać, kiedy to wszystko się skończy, kiedy nie będę już miała powodu, żeby jakoś się trzymać?

– Ella? – usłyszałam niewyraźnie ponad szumem moich myśli, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Mike przygląda mi się z ciekawością.

– Przepraszam... przepraszam, po prostu...

Przełknęłam. Doskonale widział, że coś jest nie tak. Patrzył na mnie trochę z troską, a trochę z niepokojem, który odczuwają mężczyźni, kiedy im się wydaje, że kobieta zaraz się rozplacze.

– Właściwie, jeśli mam być zupełnie szczerą, to twoje pytanie... trafiło w czuły punkt. Straciłam kogoś. M-mojego partnera. Zmarł... Nie tak dawno temu. Kiedy mówię to na głos, czuję się...

Urwałam. Słowa ugrzęzły mi w gardle. Nabrałam powietrza, to był długi wdech, po którym po raz pierwszy odczułam wdzięczność za ten ból w boku, odwracający moją uwagę od tego, czego tak bardzo starałam się nie czuć.

– Ach. Jasne – powiedział Mike.

Jego twarz wyrażała jednak coś jeszcze, nie tylko współczucie, ale też pewną ulgę.

– Szczerze mówiąc, to trochę... Nieee, przepraszam. Nie słuchaj mnie. Gadam bez sensu.

– Nie, powiedz – odparłam, teraz już trochę ciekawa.

Zdawał się czuć ulgę, ale jednocześnie było mu bardzo niezręcznie, a wszystko było lepsze niż próby nadażania za moimi własnymi kłamstwami i opowiastkami o Billu.

– Możesz mi powiedzieć.

– No, szczerze mówiąc, widziałem, że zadałem niewłaściwe pytanie, i trochę się martwiłem... Pomyślałem, że może cię bił. Widzę przecież...

Jednym machnięciem ręki opisał wszystko: moją przygarbioną postawę, posiniaczone knykcie, zdrową rękę przyciśniętą do boku, bez powodzenia ukrywającą to, że wyraźnie coś mnie boli.

– Wyglądasz, jakbyś dużo przeszła. Pomyślałem, że może to on ci to zrobił.

Te słowa były dla mnie niczym policzek. Mogłam przyznać, że wyglądam na chorą. Nie łudziłam się. Coraz bardziej przyzwyczajałam się nawet do tego, że ludzie brali mnie za bezdomną, chociaż trudno było mi przyjąć ich źle ukierunkowane współczucie. Jednak pomysł, że wyglądam na bitą żonę... To sprawiło, że poczułam gulę w gardle, jakbym w jakiś sposób zdradziła Gabe'a, mimo że wiedziałam, iż to nieprawda.

– Nie – odpowiedziałam pospiesznie. – Nie, on był... on był wspaniały. To wszystko nie jego wina. Miałam... – Przełknęłam mocno, starając się wymyślić jakąś historię, która wyjaśniałaby mój stan, ale nie sprawiła, że Mike zawiezie mnie prosto do szpitala. – Mieliśmy wypadek. On zginął. Ja jeszcze nadal... Nadal dochodzę do siebie.

– Bardzo mi przykro – powiedział Mike, trochę zachrypłym głosem.

Odchrząknął, patrząc cały czas przed siebie na drogę, jakby nie chciał spoglądać na mnie i się rozkleić.

– Naprawdę mi przykro. To... to straszne. Naprawdę niesprawiedliwe.

– Tak. – Gardło tak bardzo mnie bolało, że ledwo byłam w stanie mówić.

– Tak. To prawda. To rzeczywiście niesprawiedliwe.

Potem jechaliśmy w milczeniu, światła mijane na autostradzie mnie usypiały, aż w końcu ciężarówka zabujała się na małym rondzie, głowa opadła mi na szybę i poczułam, że Mike dotyka mojego ramienia.

– Ella. Ella, obudź się.

Zamrugałam, mój zmęczony mózg potrzebował więcej czasu niż zwykle, żeby zrozumieć, do kogo on mówił. Ella. Ella to byłam ja. Cholera. Spałam?

– Już jesteśmy?

Głos miałam ochrypły, zaschło mi w ustach i czułam w nich dziwny posmak. Głowa mi pękała. Otarłam strużkę śliny ściekającą mi z kącika ust i znów zamrugałam. Światła uliczne wyostrzały się i rozmywały.

– Dojeżdżamy dopiero do Canary Wharf – wyjaśnił Mike. – Ale nie byłam pewien, z której strony rzeki chcesz wysiąść.

Przetarłam oczy, starając się poskładać jakoś te informacje. Ciężarówka stała na jałowym biegu na poboczu przy północnej obwodnicy i widziałam za nami halę O2 Arena, niedaleko przed nami zaś znaki na Blackwall

Tunnel. Musieliśmy być dość blisko Tamizy. Z Greenwich mogłam pojechać kolejką DLR... Ale o której ją zamykali?

– Która... – wychrypiałam bezgłośnie, a potem odchrząknęłam i spróbowałam jeszcze raz. – Przepraszam, która jest godzina?

– Zbliża się północ. Dasz sobie radę?

– Tak. Tak, dam sobie radę. Mój... mój przyjaciel mieszka w Wapping.

Kolejne kłamstwo. Cole nie był moim przyjacielem. A jeżeli mi się uda, to nie będzie mieszkał w Wapping zbyt długo. Mam nadzieję, że przeniesie się do więzienia Wormwood Scrubs.

– To chyba w takim razie tu ci bardziej pasuje. Wysadzę cię w Canary Wharf – stwierdził Mike i mimo moich protestów skręcił kierownicę i odbił z North Circular w stronę wysokich budynków.

Dziesięć minut później wysiadłam z kabiny na zimne, nocne powietrze, wylewnie dziękując Mike'owi i starając się ignorować troskę malującą się na jego twarzy, gdy patrzył, jak ostrożnie schodzę po stopniach ciężarówki, dużo ostrożniej, niż powinna to robić osoba w moim wieku.

– Jesteś *pewna*, że nic ci nie jest? – spytał ponownie, a ja pokiwałam głową, starając się przybrać pełną przekonania minę.

– Jestem naprawdę pewna. Poważnie, bardzo ci dziękuję, Mike... – Nie wiedziałam, jak ująć w słowa, co dla mnie zrobił, przed czym mnie ochronił. – Uratowałeś mi życie.

Może dosłownie, jeśli ten exploit był używany do takich rzeczy, jak podejrzewałam.

Patrzył, jak odchodzę, wciąż z powątpiewającą miną, a ja starałam się iść jak najbardziej wyprostowana i nie poddawać się temu pulsującemu bólowi, który obudziły wstrząsy podczas wysiadania z kabiny. Czułam na sobie jego wzrok, gdy szłam przez opustoszałe ulice, po czym schowałam się pomiędzy dwoma budynkami i w końcu usłyszałam, jak ciężarówka zwiększa obroty, odjeżdżając w noc.

Gdy miałam już pewność, że odjechał, powoli opadłam pod jakimiś drzwiami, dysząc z wysiłku. Znajdowałam się zaledwie parę kilometrów od mieszkania Cole'a, ale nie byłam już pewna, czy zdołam tam dotrzeć.

Kiedy tak klęczałam i trzęsłam się na zimnym chodniku, usłyszałam dzwon kościelny wybijający godzinę. Raz, dwa, trzy... aż do północy.

Ostatnie uderzenie ucichło, a ja się wyprostowałam i zmusiłam do podniesienia. Ostatnia przeszkoda do pokonania. A potem będę mogła

odpocząć.

Niedziela, 12 lutego

ZERO DNI

Gdy dotarłam do mieszkania Cole'a, byłam słaba i trzęsłam się z bólu. Szczękałam zębami, na pewno miałam gorączkę. W pewnym momencie potknęłam się o krawężnik, plecak uderzył mnie w żebra w taki sposób, że ból rozszedł się po całym tułowi, a ja nie zdołałam się powstrzymać i mimowolnie wyrwał mi się krzyk. Jego dźwięk poniósł się złowrogo echem po opuszczonym nabrzeżu i wąskich przejściach. Znieruchomiałam jak małe zwierzę dojrzane przez sokoła. Czekałam, aż okna się otworzą, rozlegną się jakieś kroki, ludzie nadbiegną, by sprawdzić, co to za dźwięk.

Niepotrzebnie się przejmowałam. To był Londyn. Gdyby ktokolwiek w mieszkaniach i biurach wokół usłyszał kobietę szlochającą w nocy, nie wyszedłby spytać, co się stało. Poza tym były to drogie budynki z potrójnymi szybami i wygłuszone, by nie docierało do nich londyńskie nocne życie oraz syreny mgłowe przepływających łodzi. Może po prostu w ogóle nikt mnie nie usłyszał.

Nie mogłam wiele zrobić, poza tym, że łyknęłam dwie kolejne tabletki przeciwbólowe z szybko opróżniającego się opakowania w moim plecaku, a zresztą nie byłam pewna, czy cokolwiek bez recepty pomogłoby na to rwanie, które zaczynało ogarniać całą moją klatkę piersiową. Mimo wszystko było to lepsze niż nic. Rozgryzłam pastylki, poczułam w ustach kwaśny smak ibuprofenu, zebrałam się w sobie, żeby się wyprostować i przejść ostatnie metry dzielące mnie od mieszkania Cole'a.

Kiedy podeszłam bliżej do starego magazynu, znów zdumiała mnie różnica pomiędzy tym miejscem a moim skromnym, maleńkim piętrowym domkiem w południowej części Londynu. Próbowałam zrozumieć, dlaczego nigdy z Gabe'em się nad tym nie zastanawialiśmy. Z jednej strony był to symbol tego, jak drogi Cole'a i Gabe'a rozeszły się od czasów dzieciństwa, kiedy to wspólnie spędzali popołudnia na programowaniu i graniu w sypialni Gabe'a. Cole wybrał dobrze sprawdzoną ścieżkę studiów

w Oxbridge, a następnie wspinanie się po korporacyjnej drabinie wraz z całym jej inwentarzem, włączywszy w to kupowanie akcji pracowniczych, pracę w biurach i premie. Z kolei Gabe stworzył własną ścieżkę, zgodną z jego priorytetami oraz anarchistyczną ciekawością, która zawsze była jego cechą charakterystyczną.

W większości kwestii zdawało się to nie mieć znaczenia. Gabe żartował sobie, że Cole się sprzedał; Cole odpowiadał przytykami, że moralnością nie da się opłacić rachunków. Ale to wszystko było dobrodusze, tych dwóch przyjaciół łączyła pasja do programowania, która zabrała ich dwiema różnymi drogami do tego samego celu – uczynienia świata lepszym poprzez technologię.

Mimo wszystko wiedziałam, jakie oferty odrzucał Gabe od producentów oprogramowania większych od Cerberusa – i te kwoty jakoś się nie zgadzały. Teraz oczywiście miało to sens. Jak długo Cole musiał brać pieniądze za to, że stworzył tylne wejście do produktów Cerberusa? Pięć lat? Dłużej?

Gdy dotarłam do drzwi wejściowych do budynku Cole'a, zdałam sobie sprawę, że właściwie nie zaplanowałam tego etapu, nie przemyślałam, co zrobię, jeśli nie będzie chciał mnie wpuścić. Co by się stało, gdybym nacisnęła dzwonek domofonu, a on by mi powiedział, że bym spieszała, albo zadzwonił na policję? Czy podjąłby takie ryzyko? A może zrobiłby coś jeszcze bardziej drastycznego? Pozwolił już na zabicie najlepszego przyjaciela po to, żeby chronić ten exploit. Nie wmawiałam sobie, że może cenić moje życie wyżej od Gabe'a.

Potrzebowałam jakiegoś zabezpieczenia na wypadek, gdyby wszystko się spieszyło.

Przystanąłam w cieniu ganku, wyjęłam z plecaka laptop, włączyłam hotspot na komórkę, a potem zaczęłam się logować na konta Gabe'a na Twitterze, Discordzie i Instagramie. Wszystkie wymagały dwustopniowej weryfikacji i drżałam, gdy sięgnęłam do plecaka po komórkę z jego numerem. Mój palec zawisł nad przyciskiem włączania. To będzie koniec. Gdy uruchomię ten telefon, Malik będzie wiedziała. Ile czasu im zajęło, żeby mnie znaleźć na tamtej stacji benzynowej? Trzydzieści minut? Może maksymalnie czterdzieści. A tym razem – w centrum Londynu i sąsiedztwie komisariatów – powinni przyjechać szybciej. Byłam tego pewna.

Ale potrzebowałam konta Gabe'a, nie mojego. Jego było powiązane z ludźmi, którzy zrozumieliby, co to wszystko znaczy – dla których ten kod nie byłby bełkotliwym elaboratem, ale mapą tego, co zrobił Cole i dlaczego.

Nie miałam wyboru.

Wcisnęłam guzik i czekałam.

Potem zalogowałam się na konta Gabe'a i zaczęłam wrzucać pliki z jego dysku, jeden po drugim.

„Uwaga, wszyscy hakerzy, OPSEC, InfoSec, specjaliści od cyberbezpieczeństwa” – napisałam. „Jestem Jack, żona Gabe'a. Chcę, żebyście zobaczyli coś, nad czym pracował przed śmiercią – jest to rzecz związana z jego morderstwem. Podejrzewam, że to poważna luka bezpieczeństwa wpływająca na jedną – lub kilka – z najpopularniejszych aplikacji zabezpieczających na rynku. Proszę, sprawdźcie te pliki i dla własnego bezpieczeństwa przekażcie je wszystkim, których znacie. Żądajcie naprawy tego exploitu przez Cerberusa. Nie jesteście bezpieczni. Wasze komórki nie są bezpieczne. Podejrzewam, że mojego męża zabito, by go uciszyć, więc proszę – zróbcie jak najwięcej hałasu”.

Wcisnęłam „publikuj”. Ręce mi drżały.

Potem wzięłam telefon, zarzuciłam plecak i podeszłam do drzwi. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Zostało mi może jakieś piętnaście minut wolności. Musiałam jeszcze tylko zmierzyć się z Cole'em.

– Halo? – Głos kobiety był ochryply i poważnie zaniepokojony. – Kto tam?

– Tak, dobry wieczór. – Przysunęłam twarz blisko do kamery, żeby osoba patrząca na ekran nie widziała, co trzymam, a do tego starałam się mówić zmęczonym, znudzonym tonem, jak człowiek pod koniec długiej zmiany. – Mam dla pani pizzę.

– Żartuje sobie pani? – Niepokój ustąpił wybuchowi irytacji. – Jest północ! Nie *zamawiałam* pizzy.

– Mam tutaj paragon, pizza dla... Cole'a Garricka, mieszkanie numer cztery.

– On mieszka pod *czternastką*, rany boskie. Ja już *spałam*. Czy wy nie potraficie nawet dobrze przyjąć zamówienia? Ech, proszę... – Rozległo się bzyczenie, a moje serce zatrzepotało w piersi, pełne nadziei. – Po prostu... proszę wchodzić. I proszę mu powiedzieć, żeby mówił *wy-raż-nie*.

Rzuciła domofonem, a ja weszłam do środka, pchając ciężkie, metalowe drzwi wejściowe z takim zapałem, że ranę w moim boku przeszył ból i mruknełam.

Po raz pierwszy od wielu godzin było mi już wszystko jedno. Zmęczenie minęło, ból ucichł pod wpływem szumu dopaminy w głowie. Moje nerwy miały się świetnie i po raz pierwszy od dawna wiedziałam, że jestem z powrotem sobą – *drapieżnikiem, nie ofiarą*.

Foyer pełne było akcentów, które wyglądały na industrialne pozostałości z przeszłości tego budynku, ale równie dobrze mogły być drogimi rekwizytami umieszczonymi tam po to, by potencjalni nabywcy czuli, że mają kontakt z historią. Tak czy inaczej, winda była wielkim, metalowym pudłem z przesuwaną kratownicą. Weszłam do środka i zasunęłam za sobą drzwi, a serce waliło mi jak młotem ze strachu i ekscytacji.

Winda dzwoniła i jęczała, wjeżdżając na górę, aż w końcu zatrzymała się na samej górze, a ja odsunęłam kratownicę i wysiadłam.

Musiałam się dostać do mieszkania Cole'a – to była ta trudna część zadania. Chociaż chora i ranna, nadal byłam pen-testerką. Dostawanie się w różne miejsca, w których nie powinnam się znajdować, było moją pracą.

Zastanowiłam się.

Mogłam nacisnąć dzwonek i mieć nadzieję – ale nawet gdyby Cole był taki głupi, żeby otworzyć drzwi, nie wyjrzałby przez wizjer, raczej nie udałoby mi się wepchnąć do środka. Może mogłabym to zrobić kiedyś. Cole przewyższał mnie wzrostem i siłą, ale ja byłam giętka, szybka i wyszkolona w samoobronie, a on na pewno nie. Jednak teraz, trzęsąc się ze zdenerwowania i gorączki, z sączącą się raną w boku – nie miałam szans. Gdyby nie ogromna ilość adrenaliny, która pchała mnie naprzód, prawdopodobnie nie byłabym w stanie ustać na nogach. A to się w którymś momencie skończy.

Drugą opcją było włamanie – i tu mogłam mieć większe szanse. Nosiałam w plecaku wytrychy. Problem w tym, że drzwi przede mną były całe metalowe i porządnie dopasowane, nie miały żadnych szpar. A zamek był firmy Bramah, zawsze trudno się do nich włamać. Gdybym miała dość czasu, może by mi się udało – ale brakowało mi ochoty, by siedzieć tu i czekać, aż ktoś usłyszy zdradzieckie klikanie wytrychów.

Rozejrzałam się po korytarzu, szukając pomysłu, a mój wzrok wylądował na innych drzwiach – drugich i ostatnich na tym piętrze. Oznaczono je jako „Wyjście ewakuacyjne” i ze zwykłej ciekawości pchnęłam je do przodu, po czym wyjrzałam.

Minęła chwila, nim światła wychwyciły moją obecność i zamigotały, ale wtedy zobaczyłam klatkę schodową – jedne schody prowadziły na górę do nieoznaczonych drzwi, a drugie w dół, w ciemność. Mieszkanie Cole'a było na samej górze, więc te drzwi niemal na pewno wiodły na dach.

Trzymając się poręczy jedną ręką, a drugą przyciskając do żeber, zaczęłam się wspinać. To było tylko jedno piętro – dwadzieścia, może trzydzieści stopni, ale miałam wrażenie, że trzy razy więcej, było mi jeszcze trudniej niż na tych schodach, którymi wchodziłam na stacji benzynowej, i dyszałam oraz trzęsłam się, gdy już dotarłam na górę. Każdy oddech sprawiał mi ból i zdałam sobie sprawę, że powietrze wciągam płytko, starając się nie zbudzić uspionego potwora bólu pod żebrami. To odkrycie, że mam się jeszcze gorzej niż przed kilkoma godzinami, wywołało u mnie błysk paniki. Byłam chora – naprawdę porządnie chora, nie dało się już

tego dłużej ignorować. Ale nie czułam, żeby mnie to obchodziło. Nic poza ujawnieniem działań Cole'a nie miało dla mnie znaczenia.

Na górze dostrzegłam, że na tych nieoznakowanych drzwiach była jednak mała tabliczka z napisem: „Wyjście na dach – tylko dla uprawnionej obsługi”. Nie było widać żadnego alarmu, więc modląc się w duchu, przekręciłam gałkę i popchnęłam drzwi. Otworzyły się na zewnątrz, a ja wyszłam na piaskowy murek.

Przestrzeń, w której się znalazłam, okazała się dużo mniejsza, niż sobie wyobrażałam, była to po prostu schludna wspólna przestrzeń wycięta w skośnym dachu magazynu. Kiedy jednak podeszłam do brzegu i spojrzałam w dół, zobaczyłam to, na co liczyłam – tuż pod spodem znajdował się balkon Cole'a. Niestety dużo, dużo niżej. Apartamenty na ostatnim piętrze miały wysokie sufity, a różnica wysokości musiała wynosić przynajmniej trzy metry, może nawet trzy i pół. Przed tygodniem wzdrygnęłabym się na taką perspektywę. Teraz, w tym stanie, pewnie bym zemdląła, gdybym próbowała się opuścić w dół.

Balkon okalała co prawda balustrada, ale taka modna, wąska, niewiele było na niej miejsca, żeby stanąć. Mogłam liczyć, że zdołam się opuścić jak najostrożniej, potem utrzymać równowagę na jej krawędzi. Ale gdybym spadła na złą stronę, zginęłabym – nie dało się tego uniknąć. Dach znajdował się na wysokości pięciu czy sześciu pięter, a ziemię pokrywał beton. Ściągnęłam plecak i wyciągnęłam z niego komórkę Gabe'a, po czym wsunęłam ją do kieszeni dzinsów. Zdjęłam kurtkę przeciwdeszczową i złożyłam ją w gruby, szeroki pas. Przytrzymałam jeden rękaw pod pachą po zdrowej stronie, a potem owinęłam się tym pasem najciaśniej, jak umiałam, pojękując przy napinaniu materiału, po czym przewiązałam oba ramiona, robiąc sobie prowizoryczne szelki. Bolało to koszmarnie, ale przynajmniej gdybym upadła, szarpnięcie nie byłoby aż tak szokująco bolesne.

Potem wyciągnęłam swoje wytrychy, łomy i inne narzędzia włamywacza, zawinęłam je w koszulkę i najciszej, jak potrafiłam, opuściłam je na balkon. Odczekałam chwilę, by sprawdzić, czy drzwi balkonowe się nie rozsuną i nie wyjrzy zza nich głowa wściekłego Cole'a, ale nic się nie wydarzyło.

Na końcu wyjęłam wszystkie ubrania, jakie miałam w plecaku. Zapasowe koszulki. Polar. Nawet śpiwór, który rozwinęłam i rozłożyłam na dachu,

dziękując moim szczęśliwym gwiazdom, że nie porzuciłam go na stacji razem z cięższymi rzeczami. Przywiązałam polar na górze śpiwora, przekładając go przez sznurki do ściągania, żeby jak najlepiej zahaczyć go o ten śliski materiał; a potem dwie koszulki do polaru, splątując je rękawami. Następnie przywiązałam rękawy koszulki do metalowej balustrady biegnącej wokół dachu, po czym przewiesiłam to wszystko na drugą stronę.

Wyrzałam. Wyglądało to... cóż, lepiej niż zwykły skok w dół, ale niewiele. Prowizoryczna lina wisiała trochę za wysoko, ale nie byłam w stanie ocenić, *jak* wysoko. Kolejną kwestią było to, czy całość utrzyma mój ciężar – ale nie miałam czasu się nad tym zastanawiać.

Pomyślałam o tym, co powiedziałby Gabe, gdyby mówił teraz do mnie przez słuchawkę. „Odsuń się od tego skraju, ty głupia kobieto”, najprawdopodobniej. „Żaden test nie jest wart ryzykowania życia”.

Ale nie mogłam już dłużej udawać, że to tylko rutynowe zlecenie. I *warto* było ryzykować dla tego życia. Jeżeli moje działania doprowadzą Cole'a przed sąd, jeśli uda mi się odplącić mu za to, co zrobił Gabe'owi, co zrobił mnie... to tak. To wszystko było tego warte. I jeszcze więcej.

Kocham cię, pomyślałam i przypomniałam sobie, jak spojrzałam w kamerę w Arden Alliance i posłałam mu tego zalotnego buziaka, wiedząc, że mnie obserwuje, i czując się, jakbym z nim mogła zrobić wszystko.

Zamknęłam oczy i słyszałam w uchu jego głos, wyraźny, jakby mówił przez słuchawkę. *Ja też cię kocham, skarbie. Dasz radę. A teraz... zegar tyka.*

Zegar rzeczywiście tykał. Wzięłam głęboki wdech. Potem przełożyłam jedną nogę przez balustradę, za nią drugą i zaczęłam się powoli zsuwać po mojej prowizorycznej linie.

Pierwsza część była... cóż, niezbyt łatwa. Byłam absurdalnie słaba, a mięśnie ramion drżały mi tak mocno, jakbym skończyła właśnie ciężki trening. Słyszałam też, jak tkanina trzeszczy w szwach i pęka w naprawdę niepokojący sposób. Ale to i tak było dużo łatwiejsze niż to, co się stało, gdy dotarłam do śpiwora. Ten materiał był zbyt śliski, żeby się go jakoś chwycić, i okazało się, że zaczęłam się ześlizgiwać, najpierw szybciej, niżbym chciała, a potem w zupełnie niekontrolowany sposób. Materiał

ranił mi palce, zamki rozdzierały wewnątrz dłoni i rozpryskiwały krew – aż w końcu śpiwór się skończył, a ja zaczęłam spadać.

Uderzyłam ciężko o balkon Cole'a jednym biodrem – to uderzenie odczułam w każdej kości mojego ciała – a potem odbiłam się i wylądowałam na jakiejś zmiętej stercie na drewnianym tarasie. Powinnam być wdzięczna, że spadłam z dobrej strony, a nie na betonowy chodnik pięć pięter niżej – jednak nie byłam już w stanie nikomu dziękować, nie byłam nawet w stanie myśleć. Po prostu leżałam zwinięta na boku, obejmując się ramionami, bo czułam przeszywający ból, i usiłowałam nie krzyczeć. Bolało mnie niemiłosiernie – była to jakby dzika furia, która chwilowo się wyciszała, a potem natychmiast wracała, gdy tylko próbowałam złapać oddech. Jedyne, co mnie ratowało, to to, że byłam zbyt zdyszana, by porządnie krzyknąć, choćby mimowolnie. Słyszałam ciche pojękiwania z bólu i wiedziałam, że dobywały się one z mojego gardła, ale nie byłam w stanie nad nimi zapanować. Gdzieś z tyłu głowy wiedziałam, że Cole mógł usłyszeć to uderzenie i wkrótce znaleźć mnie na swoim balkonie, niekontaktującą z bólu – ale byłam zbyt pochłonięta cierpieniem, żeby mnie to obchodziło.

Nic się jednak nie stało. Nikt nie przyszedł. W końcu podniosłam się z powrotem na dłonie oraz kolana, z oczu leciały mi łzy wywołane szokiem i bólem. Biodro, którym uderzyłam o skraj balkonu, też mnie bolało. Musiałam się również ugryźć w język. Kostki i kolana paliły tak, jakby ktoś mnie pobił. Ale przede wszystkim w moim boku pulsował ból gorszy niż cokolwiek, czego dotąd doświadczyłam – tak intensywny, że nieomal mdlałam. Prowizoryczne szelki z kurtki mi się rozwiązały, więc usiadłam na piętach i pozwoliłam, by opadły. Poczułam znajome, gorące łaskotanie z boku pod poluzowanym opatrunkiem, ale nic już nie mogłam z tym zrobić – zużyłam ostatni. Co więcej, na tym etapie po prostu już mnie to nie obchodziło. Nie miałam nic więcej do stracenia.

No dalej – wyszeptał mi do ucha głos Gabe'a, tak wyraźny, jakbym halucynowała. *Jack, skarbie, dasz radę.*

Jeszcze nigdy tak bardzo nie żałowałam, że nie mam go przy sobie, że nie może mnie naprawdę motywować.

Jednak ten głos w mojej głowie był tylko wspomnieniem. Wspomnieniem tysiąca wieczorów spędzonych wspólnie właśnie na takich rzeczach. Teraz byłam sama. I to był koniec gry.

Powoli, zostawiając pokiereszowanymi dłońmi krwawe smugi na kafelkach, wymacałam pęk wytrychów, które wcześniej zrzuciłam. Potem podciągnęłam się na drzwiach balkonowych, żeby stanąć na nogi. Wzięłam głęboki wdech, próbując się uspokoić – nie ma nic trudniejszego od włamywania się do zamka drżącymi dłońmi.

Ale gdy wypuściłam powietrze z ust, zobaczyłam coś, czego się nie spodziewałam.

Na zewnątrz przesuwanych drzwi nie było żadnego zamka – tylko klamka i gładka metalowa framuga.

Podupadałam na duchu. Miało to jakiś sens. Można chcieć zamknąć drzwi od środka, ale nie wyobrażałam sobie takiego scenariusza, w którym ktoś pragnąłby zamknąć się na klucz na własnym balkonie. To jednak stawiało mnie w bardzo kiepskim położeniu, zostałam tu uwięziona, nie mogłam dostać się do pokoju ani z powrotem na ulicę. Na wszelki wypadek pociągnęłam za klamkę, ale było zamknięte. Rozważałam pukanie – tylko że pierwszą rzeczą, jaką zrobiłby Cole, byłoby rozsunięcie zasłon – a wtedy by mnie zobaczył i albo wezwał policję, by zabrała mnie z tego samodzielnie narzuconego sobie więzienia, albo też... nie chciałam o tym nawet myśleć. Ale nadal wyobrażałam sobie ten beton pięć pięter niżej, a Cole miałby gotowe wyjaśnienie mojego „wypadku”.

Zostało mi tylko jedno rozwiązanie. Wyważenie drzwi.

W pęku narzędzi, które zrzuciłam przed wspinaczką, był mały stalowy łom. Ostrożnie, wstrzymując oddech, wsunęłam go pomiędzy drzwi a futrynę. Były dobrze zrobione i musiałam wcisnąć końcówkę w wąską szparę, wyginając i rysując malowane proszkowo aluminium w sposób, który dawał mi mściwą satysfakcję. Podczas zwykłego zlecenia nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego. Moim mottem było „Żadnych śladów”, a jeśli pominąć różne wypadki i tamtą jedną pękniętą płytę sufitową, zwykle udawało mi się postępować zgodnie z nim. Jednak wyposażenie mieszkania Cole’a było moim najmniejszym problemem – gdyby ta szyba nie była hartowana, rozbiłabym ją kopniakiem.

Kiedy ciągnęłam za łom, pocąc się z wysiłku, drzwi jęknęły, jakby empatyzowały z moim bolącym bokiem. Szpara rosła milimetr po milimetrze, widziałam już lśniąca w księżycowym blasku metalową zasuwę zamka. Kiedy szpara miała koło centymetra szerokości, wsunęłam w nią

końcówkę łomu i szarpnęłam zasuwę mocno w górę. Kliknęło – a drzwi się rozsunęły.

Wypuściłam powietrze drżącymi ustami – i weszłam do ciemnego mieszkania Cole'a.

W środku było zupełnie cicho, słycać było tylko męskie chrapanie. Ostrożnie sięgnęłam do kieszeni džinsów i włączyłam telefon z numerem Gabe'a, a potem przyciemniłam ekran i wsunęłam go do kieszeni z przodu, tak że lekko wystawał.

Byłam już w tym mieszkaniu wiele razy i mniej więcej znałam jego rozkład, ale w tych ciemnościach wszystko było dziwne. Szłam z wyciągniętymi rękoma w kierunku tego chrapania, omijając puffy i stoliki, a w pewnym momencie prawie się potknęłam o książkę, którą ktoś zostawił rozłożoną na podłodze. Cały bok mnie bolał, był rozpalony, czułam oszołomienie, kręciło mi się w głowie – ale nie w całkowicie negatywny sposób. Serce waliło mi jak młotem, jednak nie czułam tego niezdrowego, słabego trzepotania co na stacji benzynowej. To była prawie... ekscytacja.

Stałam już tuż przed drzwiami Cole'a i popchnęłam je delikatnie, licząc, że będzie sam, że Noemie nadal przebywa za granicą. Był sam. Leżał nagi, twarzą w dół na pościeli, wyglądał, jakby się upił. Na nocnym stoliku stała butelka po winie, a obok łóżka przewrócony kieliszek.

Podeszłam do stolika, na którym ładowała się jego komórka, lekko świecąca, i włączyłam lampkę przy łóżku.

– Obudź się, Cole.

– Chwileczkę – wymamrotał i obrócił się na bok, chowając twarz przed światłem.

– *Obudź się*, Cole – powiedziałam bardziej stanowczo. – Mam coś, co chcesz zobaczyć.

Nie wiem, czy mój głos zabrzmiał teraz jakoś inaczej, ale coś do niego dotarło i szeroko otworzył oczy. Przez sekundę tylko się we mnie wpatrywał, zupełnie skonsternowany, a potem przewrócił się na plecy i cofnął na łóżku, przyciskając sobie kołdrę do krocza.

– *Kurwa*, co to ma znaczyć? – wydyszał. – Jak się tu dostałaś?

– Zajrzyj do komórki, Cole.

Skinęłam głową na telefon leżący na wypolerowanym drewnie.

– Nie będę niczego sprawdzał. Co ty, *kurwa*, robisz w moim mieszkaniu?

Wpatrywał się we mnie, ale widziałam, że przesuwając się powoli po łóżku, a jedną ręką sięga po coś w szufladzie drugiego stolika. Nim zdążyłam zareagować, jego palce znalazły to, czego szukały, i zdecydowanie usiadł. Patrzyłam teraz w lufę małego pistoletu. Rozległo się kliknięcie, odbezpieczył go.

– Wypierdalaj – powiedział z warknięciem satysfakcji. Tak jakby chciał powiedzieć: „zadarłaś z niewłaściwą osobą”. – Nie wiem, po co tu przysłaś, Jack, ale wypierdalaj.

– Sprawdź komórkę.

– Czy ja nie wyrażam się jasno? Wypad albo cię *zastrzelę*.

Te ostatnie słowa wypowiedział bardzo powoli, tak jakbym była za głupia, żeby je zrozumieć. Nie byłam pewna, czy mówi poważnie. Pistolet wciąż był we mnie wycelowany, lekko drżał, ale Cole był na tyle blisko, że mógł mnie zabić niezależnie od tego, jak kiepsko celował.

Tak czy inaczej, nie miało to znaczenia.

– Zastrzel mnie. Gówno mnie to obchodzi, Cole. Nie rozumiesz tego? Zabrałeś mi wszystko i naprawdę mam w dupie, czy przeżyję, czy umrę. Zastrzel mnie, będziesz musiał się wytłumaczyć policji.

– Nie będę się musiał z niczego tłumaczyć – odpalił. – Ktoś włamał się do mojego mieszkania w środku nocy. Nie wydaje mi się, żeby uznali za nierozsądne sięgnięcie po...

– Po pierwsze – przerwałam mu, wyliczając przeszkody na palcach. – Poważnie wątpię, czy masz pozwolenie na tę broń; moim zdaniem nie wygląda zbyt legalnie. Po drugie, zajrzyj do telefonu. To ustawi twoją historię w zupełnie innym świetle.

– Nie będę, *kurwa*, zaglądał do telefonu – wycedził Cole, ale mimowolnie zerknął na komórkę leżącą na nocnym stoliku, a ja zobaczyłam, jak jego oczy powiększają się na widok powiadomień mrugających na ekranie blokady.

Oznaczenie na Twitterze. Powiadomienie na Twitterze. Połączenie z Discorda. Oznaczenie na Instagramie. Powiadomienie na Twitterze. Osiągnęły już limit licznika i wskazywały „99+”. Dla każdego obeznanego

z mediami społecznościowymi było oczywiste, że wydarzyło się jedno z dwóch: albo coś bardzo dobrego... albo coś bardzo złego.

Cole nie musiał odblokowywać ekranu, żeby sprawdzić, z którą z tych możliwości ma do czynienia. Zaczął już kręcić głową, twarz miał popielatą.

– Nie. Nie, nie, nie, nie, kurwa... Jack, coś ty *narobiła*.

– Sprawdź komórkę – powtórzyłam cicho, po raz czwarty.

I tym razem Cole odłożył pistolet, sięgnął po telefon.

Jego jęk brzmiał jak u człowieka uderzonego w twarz. Potem podniósł na mnie wzrok, jego twarz miała kolor chudego mleka – oświetlona ekranem wydawała się upiornie biało-niebieska.

– Coś ty, kurwa, *narobiła*, głupia suko? – Głos mu się załamał. – Nie wiesz, że teraz zginiemy oboje?

– A ty nie wiesz, że... – Oparłam obie dłonie na łóżku i pochyliłam się, jakbym miała powierzyć mu jakąś tajemnicę, choć prawda była taka, że nogi mi się trzęsły, potrzebowałam oparcia. – Nie. Obchodzi. Mnie. To.

– Czego ty ode mnie chcesz?

Przepchnął się koło mnie jak oszalały, zaczął szukać ubrań, nie przejmując się już tym, że jest nagi. Stałam tam i patrzyłam, jak sięgnął do szuflady po dżinsy, po czym je włożył.

– Czego ty *chcesz*? Mojej śmierci?

– Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Wszystko, czego chcę, jest w przeszłości. Nie możesz cofnąć tego, co zrobiłeś. Nie możesz oddać mi Gabe'a. Chcę tylko, żebyś się przede mną przyznał, co takiego się wydarzyło. Chcę, żebyś mnie przeprosił.

– Okej, *przepraszam* – rzucił, ale jego słowa brzmiały na wymuszone, wymawiał je tak, jakby miał w ustach coś obrzydliwego.

Sięgnął po pistolet leżący tam, gdzie go zostawił, na poduszce, i wsunął go sobie za pasek dżinsów.

– Okej? Przepraszam, że Gabe umarł. – Wcisnął przez głowę koszulkę, tak gwałtownie, że materiał przy szyi się rozerwał. – Przepraszam, że grzebał w plikach, o których sprawdzenie nikt go nie prosił, i że znalazł exploity, o których miał nie wiedzieć. Przepraszam, że mnie nie posłuchał, kiedy mu powiedziałem, że się tym zajmę. Przepraszam, że był, kurwa, purytańskim debilem, który nigdy nie zrobił niczego sensownego i nie przyjął zapłaty za trzymanie języka za zębami. Nie miałem wyboru, cokolwiek bym zrobił, czy naprawiłbym tę aplikację, czy nie, gdyby on żył,

powiedziałyby o wszystkim Cerberusowi, a wtedy obaj bylibyśmy martwi. Nie mogłem ocalić nas obu, więc tak, wybrałem *siebie*. I wiem, w jakim to stawia mnie świetle jako przyjaciela. Ale to nie *ja go* zabiłem, okej? To nie ja, Jack. Więc przestań się zachowywać tak, jakby to była moja wina.

– Więc powiedz mi – zażądałam, starając się, by mój głos brzmiał możliwie najbardziej przekonująco. – Powiedz mi, Cole. Jeżeli ty go nie zabiłeś, to kto to zrobił? Dla kogo pracujesz?

– Nie wiem! – krzyknął i zaczął przeszukiwać szuflady. Wyciągnął laptop oraz plik banknotów. – Oni przyszli do mnie... wtedy ledwie zaczynałem w Cerberusie, pracowałem nad jakąś gównianą aplikacją, która w ogóle nie weszła na rynek, powiedzieli, że są agentami rządowymi, i nawkręcali mi, jak to będę robił coś dobrego dla mojego kraju, a przy tym dostanę za to wynagrodzenie. Początkowo to były drobne rzeczy. Niewiele więcej niż mówimy reklamodawcom. Ale później...

– Później przyszli do ciebie w sprawie Watchdoga i Puppydoga, a ty byłeś już za mocno umoczony – dopowiedziałam, udając współczucie, którego wcale nie czułam. Chciałam po prostu, żeby mówił dalej. – Czy oni naprawdę byli z rządu, Cole?

– Nie wiem – powtórzył. W jego głosie czuć było prawdziwą desperację. – Może z jakiegoś rządu, ale nie naszego. Dość szybko zdałem sobie z tego sprawę. Ci ludzie mają ogromne zaplecze finansowe, są doskonale zorganizowani i są zabójcami, Jack. Oboje mamy przejebane.

Wpychał rzeczy do torby podręcznej – ubrania, pieniądze, trzy paszporty spięte gumką. Prawie nie zwracał na mnie uwagi. Mogłabym się pochylić i wyjąć ten pistolet zza jego paska, a potem przyłożyć mu do głowy, ale nie musiałam.

– Poddaj się, Cole – powiedziałam łagodnie. – Proszę cię. To już koniec, dobrze o tym wiesz. Nie dojedziesz nawet na lotnisko.

– Zostaw. Mnie – wycedził i jedną ręką wycelował we mnie z pistoletu, a drugą sięgnął po torbę.

Po twarzy ciekły mu łzy, ale raczej nie z powodu Gabe'a. Płakał nad sobą.

– *Zostaw* mnie.

– Dokąd pojedziesz? – Poszłam za nim do drzwi. – Do Kambodży? Białorusi? Wiesz przecież, że nie musisz się martwić policją. Może i ci ludzie są z jakiegoś rządu, ale nie sądzę, żeby przestrzegali przepisów o ekstradycji. Dopadną cię, dokądkolwiek uciekniesz.

– Zamknij się. – Był już na korytarzu, gwałtownie przywoływał windę, a kiedy nie przyjechała, otworzył drzwi na schody. – Odsuń się albo cię zastrzelę, Jack.

– Poddaj się – powtórzyłam.

Jednak ból w moim boku powrócił, jeszcze intensywniejszy niż dotąd, bo fala adrenaliny, która utrzymywała mnie na nogach podczas naszej rozmowy w sypialni, zaczęła się wycofywać. Zaczęłam czuć kropelki potu na skórze.

Jednak Cole nic nie powiedział, pokręcił tylko głową, jedną ręką otarł łzy i ruszył na schody. Poszłam za nim, przyciskając sobie dłoń do żeber i próbując uspokoić to pulsowanie.

– Cole, nie rób tego – powtórzyłam znów, ale on był już w połowie pierwszego piętra, więc mogłam tylko bardzo powoli schodzić za nim, trzymając się poręczy.

– Zostaw mnie w spokoju! – odkrzyknął przez ramię. – Zostaw mnie w *spokoju*.

– Co zamierzasz powiedzieć Noemie? – zawołałam, ale teraz już dyszałam, mój oddech był krótki i płytki, więc nie wiedziałam, czy mnie dosłyszał.

Był już dwa piętra niżej. Powstrzymałam jęk i zmusiłam nogi, by ruszały się szybciej.

– Tak po prostu ją porzucisz?

– Pierdol się – wyszłochał.

Był już trzy kondygnacje niżej, a ja ledwo zdołałam pokonać czwarte piętro. Czy on naprawdę miał uciec? Ten plik banknotów nie wystarczy mu na długo, jednak trzy paszporty świadczyły o gotowym planie – planie obejmującym pewnie gruby portfel kryptowalut oraz kryjówkę w jakimś kraju bez ekstradycji do Wielkiej Brytanii – a chociaż tyle gadałam o tym, że dopadną go jego szefowie, to tak naprawdę, gdyby nie rzucał się w oczy i siedział cicho, trudno powiedzieć, czy traciliby na to energię.

Malik, myślałam. Malik, dobry Boże, bądź taką gliną, za jaką cię mam...

A potem, kiedy zesłam na kolejne piętro, moich uszu dobiegły syreny.

Cole był już na parterze, usłyszałam zgrzyt drzwi ewakuacyjnych na korytarz, a potem brzęk, gdy się zatrzasnęły.

Każdy oddech był dla mnie niczym wbijany w bok nóż. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że zostawiam na schodach ślady krwi, małe kropelki wielkości jednopensówek na każdym stopniu, kumulujące się

w miejscach, gdzie się zatrzymywałam, żeby spróbować zebrać siły na kolejne piętro.

Co, gdybym nie dotrwała?

– Cole – wychrypiałam, ale nie byłam już taka pewna, czy mnie słyszał. – Cole, poddaj się.

Żadnej odpowiedzi, tylko wycie syren. Zmusiłam stopy, żeby przyspieszyły, ale były zdrętwiałe i głupie, potknęłam się i przewróciłam w połowie ostatniego piętra, a nie spadłam całkiem na dół tylko dlatego, że zdążyłam złapać się poręczy z takim szarpnięciem, że aż krzyknęłam.

– Cole! – zawołałam znowu, najgłośniej, jak umiałam, ale mój głos utonął w narastającym wyciu syren i nie usłyszałam żadnej odpowiedzi.

Byłam już przy drzwiach na korytarz, ale były ciężkie, niewiarygodnie ciężkie. Przyłożyłam do nich ramię i napałam na nie całą swoją mocą, szlochając z wysiłku. Uchyliły się. Pchałam i pchałam, a wszystkie mięśnie boku mnie bolały. Jakim cudem Cole przedostał się przez nie z taką łatwością?

Aż w końcu otworzyły się na tyle, że mogłam się prześlizgnąć, i wypadłam na korytarz, mrugając w oślepiających niebieskich światłach, które nagle zalały to małe pomieszczenie.

Na zewnątrz widziałam policję wylewającą się z radiowozów, szli po mnie, wiedziałam o tym. Musiałam tylko mieć nadzieję, że Malik słuchała, obserwowała, zauważała. Bo to właśnie ona zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Nie miała tylko pojęcia, jak bardzo.

Policja otwierała już drzwi do budynku, wchodzili zwartym szykiem, niczym myśliwi idący po zranione zwierzę. W rękach trzymali broń – pistolety, paralizatory, nie byłam pewna. Podniosłam ręce. Nogi tak mocno mi drżały, że nie byłam pewna, czy zdołam jeszcze długo ustać.

– Aresztowaliście go? – próbowałam powiedzieć, ale słowa jakby skleiły mi się w ustach, trudno je było wydostać.

– Na ziemię! – krzyknął jeden z policjantów. – Gleba! Jesteś aresztowana!

Posłuchałam go, uklękłam niepewnie, chociaż komórka wystająca mi z kieszeni z przodu wbiła mi się w brzuch i sprawiła, że wyszło to niezgrabnie.

– Aresztowaliście go? Cole'a Garricka? Aresztowaliście go?

– Na ziemię! – krzyknął wściekłe policjant.

Pochyliłam głowę i sięgnęłam ręką do telefonu, żeby go wyjąć. Ale gdy ujrzałam policjanta sięgającego po pałkę, wiedziałam już, że popełniłam ogromny błąd.

– Ręce na podłogę! – ryknął.

– Jake, to tylko... – usłyszałam z oddali stłumiony głos Malik.

Jednak nim zdążyła dokończyć, jego pałka wylądowała na mojej ręce, tej sięgającej po komórkę. Mój nadgarstek, a za nim pałka, uderzyły w chory bok i walnęły w ranę z taką siłą, że padłam bezwładna – nie obchodził mnie już telefon w kieszeni, nie obchodziło mnie nic poza płomiennym wybuchem bólu promieniującego z mojego boku.

– Telefon! – próbowałam powiedzieć, ale nie wiedziałam, czy mi się udało.

Może krzyknęłam. Nie mam pojęcia. Nie pamiętam. Wiem tylko, że przed oczami eksplodowały mi ciemne gwiazdy, a ból tak dotkliwy, że nawet nie umiem go opisać, przeszył każdą część mojego ciała. A potem zemdlałam.

Poniedziałek, 13 lutego

DZIEŃ PIERWSZY

– Skarbie.

Obudził mnie niski, łagodny głos Gabe'a w uchu. Zamrugałam, a potem obróciłam głowę i zobaczyłam go leżącego obok mnie w pomiętej pościeli. Słońce wydobywało z jego czarnych włosów refleksy w odcieniu torfu. Uśmiechał się leniwie kącikiem ust, jakby nie mógł się powstrzymać, a mnie serce się ścisnęło z miłości i tęsknoty.

– Cześć, kochanie.

Obróciłam się na bok, żeby na niego spojrzeć, chłonełam jego obecność, przesunęłam dłonią po gładkich ramionach, po zagłębieniach żeber, aż do biodra, czując ciepło jego skóry oraz twarde mięśnie i kości pod moimi palcami.

– Kocham cię – powiedział.

Nie wiedziałam dlaczego, ale poczułam się, jakby coś we mnie pękało, rozpadało się. Coś było nie tak. Dlaczego te znajome słowa bolały mnie w boku niczym cios nożem, były fizycznym bólem pod moimi żebrami?

– Gabe? – spytałam. – Co się stało?

Ale on tylko pokręcił głową.

– Musisz się obudzić, Jack.

– *Obudziłam się.*

Jednak gdy tylko wypowiedziałam te słowa, zorientowałam się, że to nieprawda. Gabe wciąż kręcił głową, odsuwając się ode mnie. Wyciągnęłam do niego rękę, ale on już mi się wymykał.

– Gabe – powiedziałam i zabrzmiało to jak szloch. – Gabe, nie, poczekaj, proszę, *poczekaj na mnie.*

– Obudź się, Jack – szepnął.

Nie, nie, nie, nie chcę wracać – próbowałam wykrzyknąć.

Ale było już za późno. *Obudziłam się*, tym razem naprawdę, i czułam słońce – już prawdziwe – na moich zamkniętych powiekach. Wróciłam do

prawdziwego świata. Świata, w którym nie było Gabe'a, a ból w boku był tak obrzydliwie dosłowny. Serce mnie bolało. Ten sen wydawał się taki prawdziwy, tak nieznośnie prawdziwy – a ja nie chciałam się z niego wybudzić.

Coś jednak się zmieniło. Po raz pierwszy od... nie pamiętałam, od ilu dni, pod ramionami czułam nie twardą i zimną ziemię, tylko gąbczastą miękkość łóżka. Ból wydawał się dziwnie odległy, podczas gdy poprzedniego dnia był taki ostry i dotkliwy, że zapierał mi dech w piersiach. I było mi ciepło – niemal za ciepło.

Otworzyłam oczy. Pokój był jasny – oślepiająco – i przez chwilę tylko mrugałam, próbując zrozumieć, gdzie jestem. Wyglądało to jak jakiś... namiot? Ściany zrobiono z jakichś zasłon. Tylko że nie, to nie był namiot – bo dostrzegłam sufit i dwuszybowe okno za łóżkiem.

Nim moja boląca głowa coś wywnioskowała, zdałam sobie sprawę z czegoś jeszcze – nie byłam sama. W fotelu przy łóżku siedziała Hel, przeglądając coś w telefonie.

Próbowałam się odezwać, ale tylko zaskrzeczałam. To wystarczyło. Hel gwałtownie podniosła głowę, a jej twarz zalała fala wyraźnej ulgi.

– Jack! O, dzięki Bogu. Nic nie mów, kochana. Jesteś w szpitalu. Byłaś... cóż, szczerze mówiąc, napędziłaś nam niezłego stracha.

Przełknęłam. Gardło miałam wyschnięte na wiór i było mi bardzo niedobrze. Próbowałam się podnieść na łóżku, ale trzymało mnie coś przyczepionego do dłoni, a ten ruch sprawił, że bok zaczął mnie boleć i szczypać w zdecydowanie dziwny sposób. Po chwili prób poddałam się i ostrożnie opadłam z powrotem na poduszkę.

– Jestem aresztowana? – wykrztusiłam, a przynajmniej próbowałam.

Zabrzmiało to bardziej jak niewyraźne, ochryple „em aszana?”.

Hel jednak mnie zrozumiała i pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się. Nie jestem pewna, ale nikt czegoś takiego nie powiedział i nie ma tu żadnej policji. Zaglądała tu ta Malik, kiedy spałaś. Chciała z tobą rozmawiać, ale lekarze ją odesłali.

Zakaszlałam, a ona podskoczyła i nalała mi wody do cienkiego, plastikowego kubeczka, po czym przyłożyła mi go do ust. Przyjęłam i przełknęłam tę mdłą, ciepłą wodę niczym luksusowego szampana, a potem znów zakaszlałam, próbując odblokować gardło.

– Gdzie jest Cole?

Głos miałam dziwnie ochryply, a mój nos i gardło były podrażnione w niewyjaśniony sposób. Złapało mnie jakieś przeziębienie?

– Nie wiem – odparła z żalem Hel. – Malik właściwie niczego mi nie powiedziała.

Zastanowiłam się nad tym, próbowałam zrozumieć. Czy Cole siedział w areszcie? Czy uciekł? A jeśli tak, to jak długo był już zbiegiem?

– Która godzina?

– Jest... – Hel zerknęła na komórkę. – Wpół do jedenastej. Tuż po.

Przyłożyłam sobie dłonie do skroni, próbując policzyć to w głowie, choć takie proste dodawanie przyprawiło mnie o ból głowy. Ten ruch wywołał bolesne szczypanie grzbietu dłoni i gdy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że to, co wcześniej wzięłam za sznurek, było wenflonem przypiętym tuż poniżej nadgarstka; jego długa rurka wiła się przymocowana do kroplówki.

Moim ostatnim wspomnieniem było ściganie Cole'a po schodach, a potem powalenie przez tamtego policjanta. Wtedy było tuż po północy.

– Czyli spałam przez... dziesięć godzin?

Twarc Hel się zmieniła. Siostra pokręciła głową.

– Jest wpół do jedenastej w *poniedziałek*. Kochanie, byłaś nieprzytomna przez ponad dwadzieścia cztery godziny. Bardzo się martwiłam. Wszyscy się martwiliśmy. Oprzytomniałaś na chwilę w sali pooperacyjnej, ale nie jestem pewna, czy mnie wtedy poznałaś.

– Sali pooperacyjnej? – Próbowałam zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. – O czym ty mówisz?

– Miałaś zabieg, musieli cię operować.

– Co?

– Na boku. Masz mnóstwo szwów. Lekarz powiedział... Chryste, co to było? Posocznica i podtorebkowe pęknięcie śledziony czy jakoś tak? Rany, co ty sobie zrobiłaś? Ktoś cię postrzelił?

Powstrzymałam jęknięcie. Nagle kroplówka i dziwne ciągnięcie z boku nabrały sensu. Szwy. Oczywiście. I pewnie byłam jeszcze nafaszerowana lekami, co wyjaśniałoby ten dziwnie przyćmiony ból oraz otumanienie.

– Nie, zrobiłam to sobie własnoręcznie. Nadziałam się na coś ostrego. Wspinając się na mur.

– Oczywiście, że tak. – Hel się uśmiechała, ale miała łzy w oczach. – Oczywiście. Cóż innego. Rany, Jack, tak się martwiłam. Tak strasznie,

strasznie się martwiłam. Nie mogę... nie mogłam stracić też ciebie. Nie po mamie i tacie. Mam tylko ciebie.

To samo powiedziała mi... kiedy to było? Miałam wrażenie, że minęła cała wieczność od tamtej chwili w kuchni jej domu, zanim to wszystko się zaczęło. Teraz się nachyliła, przytuliła mnie delikatnie, a ja zamknęłam oczy, poczułam jej uścisk i też ją przytuliłam, i miałam ochotę się rozplakać – ale nie z tego samego powodu. Bo to nie była prawda – nie w przypadku Hel. Ona miała Rolanda, Kitty i Millie, całą własną rodzinę.

Ale dla *mnie* to była prawda.

Zrobiłam to, co sobie postanowiłam. Nic jednak nie mogło przywrócić Gabe'owi życia. Odszedł. A teraz musiałam samotnie stawić czoła przyszłości.

Przełknęłam ciężko, Hel wydała z siebie delikatne westchnienie i otarła oczy, śmiejąc się z siebie. Kiedy się wyprostowała, szukając chusteczki, zza zasłon dobiegł jakiś dźwięk.

– Puk, puk. Czy mogę wejść?

– Oczywiście – odparłam drżącym głosem.

Zasłona się rozsunęła i przez szparę zajrzała detektyw Malik.

Nim mój mózg się zorientował, najpierw zareagowało ciało – wystrzeliła adrenalina, zaczęła krążyć mi we krwi i serce przyspieszyło do prędkości odpowiedniej raczej do uciekania przed drapieżnikami niż siedzenia w szpitalnym łóżku. Miałam wrażenie, że od zawsze uciekałam przed tą kobietą – trudno było mi zapamiętać, że przestałam już to robić.

– Jak się czujesz? – spytała z lekkim wahaniem.

Skrzywiłam się, starając się nie okazać, jak bardzo poruszyła mnie jej obecność.

– Dość kijowo. Ale czy... aresztowaliście go? Cole'a?

Jej twarz się rozjaśniła.

– Tak. Był już daleko, nim go dogoniliśmy, ale dzięki twojemu nagraniu...

– Nagraniu? – przerwała Hel. – O czym mowa?

– O, chyba nie była pani ostatnio na Twitterze? – odparła nieco cierpko Malik.

Hel zdumiona pokręciła głową, a Malik zaśmiała się krótko – na wpół rozbawiona, na wpół zirytowana.

– Pani siostra w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin została prawdziwym wiralem. Tak jakby nie wystarczyło opublikowanie dokładnego

poradnika, jak włamać się do jednej z najpopularniejszych aplikacji zabezpieczających na rynku, postanowiła jeszcze puścić na żywo włamanie do domu winowajcy. Cała ta sprawa sądowa będzie naprawdę ciekawa. Bóg raczy wiedzieć, jak znajdą do ławy przysięgłych kogoś, kto nie widział tego streamu. Ale nie wydaje mi się, żeby bez tego nagrania mieli przeciw niemu dowody, więc... – Wzruszyła ramionami.

– Co? – spytała Hel.

Spoglądała to na mnie, to na Malik w całkowitym szoku.

Zamknęłam oczy, zbyt zmęczona, żeby to wyjaśnić, ale przypomniałam sobie tę spontaniczną decyzję, kiedy to wyjęłam z plecaka komórkę Gabe'a, włączyłam ją, uruchomiłam nagrywanie, a potem wsunęłam ją sobie do przedniej kieszeni, z kamerą wycelowaną w ciemność. Nie miałam pojęcia, czy uchwyci twarz Cole'a i jego głos, ani czy to wszystko nie skończy się jakimś pokrętnym, niewyraźnym i rozmazanym filmikiem. Ale w tym telefonie pokładałam całą moją nadzieję – w tej komórce oraz sygnale naprowadzającym, który wysyłałam Malik, dając jej dokładnie znać, gdzie mnie znajdzie... i Cole'a też.

A Malik zareagowała.

Sięgałam po tę komórkę, kiedy uderzył mnie aresztujący policjant, ten gnojek. Nie miałam mu tak do końca za złe. Sama powinnam wiedzieć – praca nauczyła mnie, że przy nerwowych policjantach nie należy sięgać do kieszeni bez ostrzeżenia. A wtedy, jako zbieg i poszukiwana za morderstwo, jak się zachowałam? Bez pytania sięgnęłam po komórkę. On nie mógł wiedzieć o moim boku. Ale też nie musiał mnie bić tak cholernie *mocno*. Możliwe, że to po tym uderzeniu pałki pękła mi uszkodzona wcześniej śledziona.

– Czyli... moja siostra została oczyszczona z zarzutów? – spytała Hel, marszcząc brwi.

Malik pokiwała głową.

– Tak, upoważniono mnie do poinformowania cię, że nie jesteś już podejrzana w sprawie morderstwa męża – oznajmiła.

Odpowiadała na pytanie Hel, ale zwracała się do mnie, a w jej ciemnych oczach lśniło współczucie.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej straty, Jacintho.

– W porządku – próbowałam powiedzieć, ale ledwo byłam w stanie mówić.

Moje gardło ścisnęły nagle łyzy i obie wiedziałyśmy, że to nie była prawda. Nie było w porządku; nic w związku ze śmiercią Gabe'a nie było w porządku, a ja już nigdy nie miałam być tą samą osobą.

– I oskarżycie Cole'a o współudział w morderstwie Gabe'a? – spytała Hel.

Malik wzruszyła ramionami, bardziej jakby chciała powiedzieć „może” niż „nie wiem”.

– To nie moja decyzja. Ale intuicja podpowiada mi, że nawet z tym nagraniem trudno będzie tego dowieść. Jednak mamy dużo zarzutów podpadających pod naruszenie cyberbezpieczeństwa. Wskutek jego działań aplikacje Watchdog i Puppydog stanowiły skuteczny system całodobowego monitoringu wszystkich ich użytkowników, dawały dostęp do aparatu, mikrofonu, lokalizacji, wszystkiego. Może też dostać zarzuty prowadzenia wywiadu i współpracy z terrorystami, kiedy już się dowiemy, dokąd trafiały te informacje.

– Czyli depreczecie już po piętach tym, którzy za tym stali? – dopytała Hel.

Malik pokiwała głową.

– To nie moja działka, ale tak między nami, MI6 dość dobrze zdaje sobie sprawę z tego, z kim ma do czynienia, to tylko kwestia sprawdzenia cyfrowych śladów. Oczywiście wydobędą, co się da, z Cole'a i pewnie zaproponują mu jakieś złagodzenie wyroku w zamian za zeznania, ale bez wątpienia będzie długo siedział, niezależnie od tego, ile sypnie.

Przełknęłam, czując łyzy wzbierające mi w kącikach oczu. Próbowałam je powstrzymać.

– Dzięki – szepnęłam. – Dziękuję.

Malik skinęła głową, tylko raz, dość szorstko, tak jakby też zabrakło jej słów na taką okoliczność.

– No, to będziemy mieli jeszcze kilka pytań, ale one mogą poczekać, aż lepiej się poczujesz. Na razie zadbaj o siebie, Jack. A gdybyś czegoś potrzebowała... – Położyła mi na szpitalnej szafce wizytówkę i zastukała w nią palcem. – Po prostu dzwoń.

– Dzięki – powiedziała Hel.

Zerknęła na mnie, a potem wstała.

– Odprowadzę panią. Jack chyba potrzebuje odpoczynku. Nie masz nic przeciwko, Jack?

Pokręciłam głową, bo nie miałam siły mówić, i patrzyłam, jak dwie kobiety wymykają się przez szparę pomiędzy zasłonami. Usłyszałam ich

oddalające się kroki, kiedy szły przez oddział. Potem drzwi się otworzyły, zamknęły i zapadła cisza.

Zamknęłam oczy i poczułam gorące łzy, które wstrzymywałam tak długo, jeszcze od śmierci Gabe'a, spływające mi po policzkach. Wzbierał we mnie głośny szloch, dławiąca mnie gula smutku, która zdawała się rozdzierać mnie od środka.

To był koniec. To naprawdę był koniec. A ja nie miałam pojęcia, co zrobić dalej, co mi pozostało. Nie mogłam już nic więcej zrobić dla Gabe'a. Nie miałam powodu, by dalej działać, by iść naprzód, tak jak zmuszałam się wcześniej dzień po dniu, z nadzieją, że znajdę jego zabójcę.

Znalazłam go – może nie osobę, która trzymała w ręku nóż, ale przynajmniej namierzyłam odpowiedzialnego za doprowadzenie mordercy do Gabe'a.

I co teraz? Co mi pozostało?

Tyle razy od śmierci męża żałowałam, że nie mogę się rozplakać, aż w końcu łzy się znalazły. Płynęły obficie i szybko, a ja najwyraźniej nie potrafiłam ich zatrzymać. Leciały mi po policzkach, wsiąkały w czystą, białą pościel, aż pierś mnie od nich bolała – nie było to eleganckie szlochanie, jakie sobie dotąd wyobrażałam, ale potężne, szarpiące szlochy, które zdawały się niekontrolowanie wrywać gdzieś z głębi mnie, rozdzierając mi przy tym gardło. Prawdziwy fizyczny ból, taki, który ciągnął mnie za szwy na boku, rozrywał mi serce.

– Hej – dobiegł zza zasłon jakiś głos, a potem tkanina się rozsunęła. – Hej.

Stanął tam mężczyzna w stroju pielęgniarzkim z rękoma wspartymi na biodrach, wyglądał na zatroskanego. Za nim dostrzegłam wózek pełen przykrytych talerzy.

– Co to ma być?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Pokręciłam tylko głową, usiłując odzyskać kontrolę nad sobą na tyle, by powiedzieć: „Przepraszam, nie jestem głodna, proszę mnie zostawić”. Ale nie mogłam z siebie nic wydusić, a pielęgniarz wszedł do mnie, żeby pocieszająco ująć moją dłoń.

– No już, już, nie ma co, nie ma co.

Na plakietce miał napisane „Harrison Carter”. Mówił z jamajskim akcentem, który przypominał mi o moim starszym sąsiedzie z Salisbury

Lane, tym, którego płot przeskoczyłam, a na to wspomnienie zaczęłam płakać jeszcze bardziej.

– Nie może tak być. Boli coś panią?

Bolało mnie i szloch jeszcze to pogarszał, ale pokręciłam głową. Nie dlatego płakałam i żadna ilość morfiny nie mogła zatrzymać tego tsunami żałoby po Gabie.

– Proszę – powiedział Harrison.

Odwrócił się, zaczął czegoś szukać na wózku, a potem wyprostował się, trzymając plastikową tacę z przykrytym talerzem.

– Niech pani coś zje. Trochę jedzenia pomaga na wszystko. Mam tu pyszną wegetariańską zapiekankę pasterską.

Wyciągnął w moją stronę tacę i przestrzeń wypełnił stołówkowy zapach gorącego, mielonego zamiennika mięsa. Wezbrały we mnie tak silne mdłości, jakbym naprawdę miała zaraz zwymiotować, i odwróciłam twarz, żeby dobrać się do siebie.

– No, proszę spróbować – odezwał się przymilnie do moich pleców. – Nie da się pani namówić choćby ze względu na dziecko?

Przez chwilę myślałam, że się przesłyszałam.

– Jak... co?

Łzy przestały mi lecieć tak gwałtownie, jakbym dostała w twarz, obróciłam teraz głowę z powrotem do pielęgniarki, ale on nie zauważył mojej zaskoczonych miny. Mówił, jakbym w ogóle się nie odezwała, uśmiechał się wspierająco.

– Jeśli pani się martwi, mogę zawołać lekarza, ale w wynikach wszystko wygląda w porządku.

Musiałam wbić sobie paznokcie w dłoń, skupiając się na tym małym bólu, żeby nie wykrzyknąć mu w twarz, że jego słowa wbijają mi nóż jeszcze głębiej w bok. To było tak cholernie okrutne, brutalne przypomnienie o wszystkich możliwościach, które mnie opuściły razem z Gabe'em. Gdy się odezwałam, gardło miałam ściśnięte i obolałe. Jego pomyłka była tak niesprawiedliwa.

– Nie jestem w ciąży – wycedziłam przez zęby, a każde słowo sprawiało mi ból. – Pomylił mnie pan z kimś innym.

Harrison spojrział na mnie zaskoczony. Sięgnął po kartę wiszącą w nogach łóżka, spojrział na nią, a potem na mnie.

– *Nazywa się pani Jacintha Cross?*

Pokiwałam głową. Jego wyraz twarzy się zmienił, zaczął wyrażać głęboką, pełną współczucia troskę.

– To nie pomyłka. Rany, pani nie wiedziała? – dodał bardzo łagodnie.

Zmroziło mnie. Zdawało mi się, że serce mi stanęło, a potem zaczęło bić nierówno. Poczułam dziwne łaskotanie w końcówkach palców, fizyczne objawy szoku.

Pielęgniarka znów mówiła, ale jego głos wydawał się obcy i odległy.

– ...zauważyli podczas rutynowej kontroli przed operacją. Przepraszam, myśleli, że pani wie. Czy to dobre wieści?

Nie odpowiedziałam. Byłam zbyt zajęta próbą cofnięcia się pamięcią, przypomnienia sobie, jaki był dzień, jaki *miesiąc*. Ile minęło od mojej ostatniej miesiączki? Cztery tygodnie? Nie, więcej... To było... Boże, to musiało być jakoś między świętami a Nowym Rokiem. Przypomniałam sobie niewyraźnie, że spakowałam kubeczek menstruacyjny do plecaka tamtego wieczoru, kiedy jechałam do Arden Alliance, na wypadek okresu. Tylko że wszystko, co stało się później, sprawiło, że całkiem o tym zapomniałam. Od tamtej pory w ogóle o tym nie myślałam – moje cykle nie były aż takie regularne, więc kilka dni w tę czy we w tę to nic takiego.

Ale musiała być już połowa lutego. A to oznaczało... Przełknęłam ciężko, licząc. To oznaczało szósty, może siódmy tydzień ciąży.

A to dziecko Gabe'a.

I nagle tyle rzeczy nabrało znaczenia. Tyle rzeczy, których nie zauważyłam, choć powinnam. To, że od ponad sześciu tygodni nie miałam okresu. Nieustanne podenerwowanie i wyczerpanie. Nawet te nudności – za które winiłam ropiejącą ranę w boku, a które nagle zaczęły wyglądać na poranne mdłości. Jedyne, co *nie miało* sensu, to to, jak dziecko przetrwało wszystko, przez co przeszłam: wyczerpanie, infekcję i jeszcze to na koniec – pękniętą śledzionę. Czy to w ogóle było możliwe?

– Jak się pani czuje? – spytał Harrison, tym razem zmartwiony. – Chce pani, żebym wezwał lekarza?

W gardle miałam gulę, ale udało mi się coś z siebie wydusić.

– Powiedział pan, że jest... dziecko... jest zdrowe?

Wiedziałam, że nie odpowiedziałam na jego pytanie, ale on pokiwał głową.

– Tak, wszystko jest w porządku. Zrobili pani USG. A przyjmowane przez panią antybiotyki są bezpieczne w ciąży. Nie musi się pani o nic martwić.

Czy to dobra wiadomość? – spytał znowu, tym razem minę miał mocno zaniepokojoną.

I po raz pierwszy od... sama nie wiedziałam nawet, od jak dawna. Po raz pierwszy od śmierci Gabe'a poczułam, że naprawdę wydarzyło się coś dobrego.

– Tak – wydusiłam. – Tak, to dobra wiadomość.

Jego twarz rozpromienił uśmiech.

– Uff! Muszę przyznać, że mnie pani zmartwiła, pani kochana. Ale cieszę się, że pani się cieszy. No, to może teraz wrócimy do tej zapiekanki pasterskiej?

I nagle rzeczywiście poczułam się bardzo głodna.

Epilog

**12 LUTEGO, PONIEDZIAŁEK, DZIEŃ TRZYSTA
SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY**

Komisariat był gorący i duszny, plecy mi się pociły, kiedy szłam szybko korytarzem, rozglądając się na prawo i lewo, a jednocześnie starając się, żeby nie było to dość oczywiste, iż nie powinno mnie tam być. Pierwszym punktem do zrealizowania było zdobycie jakiegoś przebrania. Byłam już znana na tym komisariacie, a więc mocno rzucałam się tam w oczy.

Sprawdziłam przypadkowe drzwi w korytarzu; dwie pary były zamknięte, jedne prowadziły do pustego pokoju przesłuchań, aż w końcu trafiłam w dziesiątkę – do szatni pełnej szafek; każda z kłódką.

Mniej więcej połowa kłódek była zamykana na klucz. Byłam prawie pewna, że zdołałabym każdą z nich otworzyć w ciągu paru minut, a gdyby mi się nie udało, to mały łom, który miałam w plecaku, z pewnością poradziłby sobie z tymi luźnymi zasuwkami, jednak z czystej ciekawości sprawdziłam najpierw kłódki na kody cyfrowe. Wybrałam najbliższy i ustawiłam na nim swoje ulubione 1234. Nic się nie wydarzyło, ustawiłam cyfry z powrotem w przypadkowy sposób i przeszłam do następnego. Drugi zamek kliknął w satysfakcjonujący sposób i kłódka się rozchyliła. Z szerokim uśmiechem położyłam ją na górze szafki, a tę otworzyłam.

Bingo. Od razu trafiłam na złoto. W środku znajdował się świeżo wyprany mundur razem z czapką i plakietką, a co jeszcze lepsze, był damski. Co prawda kiedy mierzyłam spodnie, musiałam przyznać, że tamta kobieta była ode mnie znacznie wyższa i sporo cięższa, ale nie było to nic takiego, z czym nie poradziłoby sobie kilkukrotne wywinięcie pasa, a na szczęście marynarka była na tyle długa, że zasłaniała tę dość nieoficjalną poprawkę.

Miałam już na sobie białą koszulę, na szczęście, bo akurat koszuli brakowało w tym zestawie. Poza tym mundur był kompletny – nawet buty, starannie ustawione, lśniły na dnie szafki, ale wyglądały na przynajmniej dwa rozmiary za duże, poza tym moje wierne, czarne converse'y były dużo

wygodniejsze i cichsze. Gdyby ktoś miał zacząć się przyglądać moim butom, to i tak oznaczałoby, że pewnie zdążyłam wcześniej wtopić.

Złożyłam moje džinsy i kurtkę, schowałam je do plecaka i rozważyłam kolejną kwestię – co z nim zrobić. Policjanci zwykle nie nosili plecaków i spacerowanie z nim po korytarzach ściągnęłoby na mnie uwagę, której nie chciałam. Ostatecznie wyjęłam z niego wytrychy, sprężone powietrze i krótkofalówkę, po czym pochowałam je w obszernych kieszeniach munduru. Następnie całą resztę upchnęłam z powrotem do plecaka i schowałam go w małej wnęce za koszem na śmieci, z żarliwą nadzieją, że nikt nie uzna go za śmieć i nie wyrzuci. To dopiero byłaby kosztowna akcja.

W mundurze poczułam się pewniej i szatnię opuściłam ze zdecydowanie wyżej uniesioną głową. Gdy wyszłam zza rogu i wpadłam na innego funkcjonariusza, w ogóle się nie zawałam.

– O, dzień dobry, przepraszam, że przeszkadzam, jestem Kate Lederer z...

– Cholera, jak się nazywał komisariat Jeffa? – Eltham Green. Wysłano mnie tu na przesłuchanie podejrzanego w waszym areszcie, ale trochę się pogubiłam. Może mi pan wskazać drogę?

– Pewnie. – Policjant omiół mnie wzrokiem, ale najwyraźniej nie zauważył niczego wzbudzającego niepokój. – My się chyba jeszcze nie znamy, prawda?

– Nie – przyznałam. – Jestem nowa. To znaczy, nowa w Londynie. Przeniosłam się niedawno z Thames Valley. Miło mi poznać...?

Urwałam pytająco.

– David Moran. Mnie też jest miło.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a w kąciку ust Davida zaplątał się uśmiech. Czy to była moja wyobraźnia, czy też rzeczywiście ze mną trochę flirtował? Był wysoki, bardzo przystojny, miał irlandzki akcent. Odruchowo zerknęłam na jego dłoń i nie zobaczyłam na niej obrączki, mimo że to nie musiało niczego znaczyć. Wielu funkcjonariuszy zdejmowało obrączki na służbie. Tak czy inaczej, żonaty czy też nie, chyba nie wyobraziłam sobie u niego tego błysku zainteresowania i może mogłam to obrócić na swoją korzyść.

– Policjant w dyżurce powiedział mi, którędy iść – wyjaśniłam, przyjmując lekko rozgoryczony wyraz twarzy i odwzajemniając uśmiech Davida. – A potem oczywiście natychmiast zapomniałam, co mi powiedział.

Macie tu sporo miejsca, a mnie się nigdy nie udaje zapamiętać długich instrukcji.

– Tak, jest tu trochę jak w labiryncie. – David zerknął na zegarek i podjął chyba jakąś decyzję. – Chce pani, żebym panią zaprowadził do części z aresztem?

– Na pewno pan może? Byłoby cudownie.

– Nie ma sprawy. Za dziesięć minut mam spotkanie, ale zdążę panią najpierw odprowadzić. To jak się pracuje w Eltham Green? Słyszałem, że stary Patterson jest trochę... – Urwał z uśmiechem, uniósł jedną brew, a ja się roześmiałam i musnęłam ramieniem jego łokieć, kiedy skręcaliśmy za róg.

– Tak, „jest trochę” to dobrze powiedziane. Nie będę ukrywać, że wolę pracować z kobietami. Wcześniej miałam przełożoną.

– Tak? Ja też. Wydaje mi się, że wnoszą do zespołu lepszą energię.

Cały czas rozmawialiśmy, a David prowadził mnie znanymi korytarzami, potem jednym, w którym dotąd nie byłam, aż w końcu stanęliśmy przed pancernymi drzwiami z przyciskiem dzwonka i czytnikiem kart. Przelotnie dotknął swoją kartą czytnika, otworzył drzwi i zaprosił mnie do środka.

– Cześć, Jake – przywitał się z funkcjonariuszem dyżurującym przy biurku. – To jest Kate Lederer z Eltham. Przyszła przeprowadzić przesłuchanie. Dobra, zostawiam panią z pomocnym Jakiem, ale miło było poznać.

– Pana również – odparłam z uśmiechem.

Patrzyłam, jak drzwi się za mną zamykają, a potem odwróciłam się do policjanta nazwanego przez niego Jakiem i przygotowywałam się psychicznie na to, co miałam powiedzieć.

Jednak zdążyłam tylko otworzyć usta, bo moja słuchawka zatrzeszczała i rozbrzmiał w niej przeproszający głos.

– Jack? Bardzo przepraszam, że dzwonię do ciebie w czasie pracy, kochanie, ale ona właśnie zwymiotowała na wszystko.

Kurwa.

– Przepraszam. – Powiedziałam bezgłośnie do policjanta za biurkiem. – Sekunda.

Odwróciłam się do niego plecami i przyłożyłam palec do słuchawki, z nadzieją, że Jake uzna to za służbowy telefon.

– Verity, bardzo przepraszam, ale to *naprawdę* kiepski moment. Mogę do ciebie oddzwonić? To zajmie góra dziesięć minut.

– Oczywiście, kochanie. Nie chciałam zawracać ci głowy, ale prosiłaś, żebym dzwoniła...

– Wiem. I cieszę się, że zadzwoniłaś. Ma gorączkę?

W tle usłyszałam wysokie, przenikliwe wycie, które natychmiast sprawiło, że moje piersi boleśnie wypełniły się mlekiem. *Cholera*. Podciągnęłam pożyczone spodnie, świadoma, że zaczęły mi się opuszczać. Musiały się odwinąć w czasie drogi do aresztu.

– Z kim chciała pani się spotkać? – spytał zza moich pleców Jake, tym razem nieco podejrzliwie, a ja przeklełam pod nosem i próbowałam przycisnąć jedną rękę do spodni, które wyczuwalnie zjeżdżały mi z bioder.

– Sekunda, Jake.

– Nie *wydaje* mi się, żeby miała gorączkę – mówiła Verity z lekkim powątpiewaniem. – Próbowaliśmy z Johnem zmierzyć jej temperaturę termometrem dousznym, ale wpadła w małą histerię, że ma coś w uchu, i nie zdołaliśmy jej przytrzymać na tyle długo, żeby zrobić pomiar. Nie jest rozpalona.

– Okej. Dziękuję ci, Verity, i nie martw się. Ruszam już do domu. Widzimy się niedługo.

Dotknęłam słuchawki i odwróciłam się do Jake'a.

– Dobra, zmiana planu. Nie przyszłam tu na spotkanie z podejrzanym, nie jestem nawet policjantką, to był pen-test zorganizowany przez detektyw Habibę Malik.

– Co takiego? – Jake był zdumiony i wkurzony jednocześnie. – Jak to: pani nie jest policjantką? Tak pani powiedziała?

– Jack! – usłyszałam za sobą.

Zobaczyłam Malik wchodzącą przez drzwi do aresztu z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Rany, jak ty się tu dostałaś? I... – Najpierw zrobiła zaskoczoną minę, a potem zmarszczyła brwi. – Chwileczkę, czy to jest jeden z *naszych* mundurów?

– Tak. *Naprawdę* musisz powiedzieć swoim pracownikom, żeby nie używali szyfru 1234 na kłódkach do szafek. Co więcej, za koszem na śmieci w szatni leży plecak, który równie dobrze mógłby być pełen ładunków wybuchowych, więc gdybyś mogła powiedzieć swojemu

zespołowi, żeby nie wzywał saperów, byłoby świetnie. Potrzebuję go, żeby wrócić do domu.

– Wychodzisz?

– Tak. – Ściągnęłam marynarkę. – Przepraszam, Gabby nie czuje się dobrze. Myślałam o tym, żeby odwołać, ale nie chciałam cię zawieść. I tak mam dość informacji, żeby napisać raport.

– Skoro dostałaś się tutaj w pełnym umundurowaniu, to nie wątpię. – Malik wydawała się bardzo zgaszona. – Cholera jasna. *Naprawdę* myślałam, że nie uda ci się dostać za dyżurkę.

Uśmiechnęłam się współczująco, ale nie próbowałam skrywać triumfu.

– Wiem. Przepraszam. Obawiam się, że wiesz mi tego drinka.

– Ech. Coś jeszcze?

– To, co zwykle. Nie pozwalaj, żeby twoi ludzie wpuszczali innych na swoje karty. Nie mogą nie sprawdzać, czy pancerne drzwi na pewno się dobrze za nimi zamykają. *Zdecydowanie* nie powinni używać tych samych haseł ponownie.

– Ponownie...? Boże, Jack, czy ja chcę to wiedzieć?

– Nie martw się, nie zajrzałam do żadnych danych wrażliwych. – Przytuliłam ją jedną ręką i znów podciągnęłam pożyczone spodnie. – Przepraszam, naprawdę muszę spadać. Chcę oddać ten mundur i zabrać plecak, zanim ktoś z twoich ludzi wysadzi go w ramach kontrolowanego wybuchu.

– Nie liczyłabym na to – odparła Malik z jęknięciem. – Wygląda na to, że mogłabyś przyczepić do niego tykający zegar, a oni i tak by nie zauważyli, jeśli wnosić po całej reszcie. No dobra, zwijaj się. Uściskaj ode mnie Gabby. Nie... zaczekaj. – Najwyraźniej coś sobie przypomniała. – Odprowadzę cię do auta.

– Nie ufasz mi, że opuszczę budynek? – spytałam ze śmiechem, a ona pokręciła głową.

– Nie, nie o to chodzi. Muszę coś... Chciałam ci o czymś powiedzieć. Daj mi pięć minut i spotkamy się w szatni, dobra?

– Dobra – odparłam lekko zaskoczona, a potem Malik wypuściła mnie z aresztu.

□

Parę minut później Malik dołączyła do mnie w szatni, ale odezwałam się do niej dopiero w drodze do samochodu.

– No, mówiłaś, że masz mi coś do powiedzenia. Dawaj, cokolwiek to jest. Muszę lecieć.

– Wiem. – Malik wyglądała poważnie. – To... cóż, to właściwie dwie rzeczy...

Urwała, a ja poczułam, że przeszywa mnie niepokój. Habibę Malik i mnie łączyła już wtedy jakby bliska przyjaźń, ale po tym, co się stało w ubiegłym roku, nie byłam pewna, czy kiedykolwiek będę się *zupełnie* dobrze czuć w obecności jakiegokolwiek funkcjonariusza policji.

– O co chodzi? Straszysz mnie.

– Chodzi o Cole'a Garricka – powiedziała, odwracając się do mnie.

W ostrym lutowym słońcu jej twarz wyglądała na starszą, niż kiedy się poznałyśmy, w kącikach oczu miała delikatne zmarszczki.

– On... Cóż, zmarł w więzieniu. W oczekiwaniu na proces.

– Kurwa.

Starałam się tak dużo nie przeklinać, ze względu na Gabby, ale teraz wymusnęło mi się mimowolnie i szczerze mówiąc, nie przychodziło mi do głowy żadne inne słowo, więc je powtórzyłam.

– *Kurwa*. Czyli nigdy nie stanie przed sądem?

– Nie. Bardzo mi przykro. Jak wiesz, był pod szczególnym nadzorem, ale najwyraźniej znalazł sposób...

– *On* znalazł sposób? Chcesz przez to powiedzieć, że sam to zrobił?

Malik wzruszyła ramionami.

– Znaleźli go powieszzonego. Można to interpretować...

– Kurwa – powtórzyłam.

Przycisnęłam sobie palce do oczu. Przez głowę przebiegały mi obrazy – Cole na plaży w Brighton, roześmiany i nurkujący wśród fal. Cole na balkonie swojego mieszkania, popijający wytrawne martini i grillujący wielkie krewetki. Twarz Cole'a oświetlona świecami w tamtej chatce, jego usta na moich. Jego wyraz twarzy, powykręcanej złością i rozpaczą, gdy widziałam go po raz ostatni w ciemności jego apartamentu. Jego głos: „Zostaw mnie” i „Zastrzelę cię, Jack”.

Zrobiłby to? Nadal nie wiedziałam.

– Przykro mi – usłyszałam głos Malik, jakby z bardzo daleka. – Wiem, że to nie jest coś, czego chciałaś. To nie jest to, czego chcieliśmy. Wolałybyśmy, żeby wymierzono mu sprawiedliwość.

Sprawiedliwość. To słowo miało kwaśny posmak. Niektórzy mogliby twierdzić, że to, co stało się z Cole'em, było jakimś rodzajem sprawiedliwości. Życie za życie. Ale ja tego tak nie odczuwałam.

– A co z tymi ludźmi, którzy za nim stali? – spytałam. – Czy... czy to mogli być oni?

– Badamy tę sprawę bardzo dokładnie – odparła Malik.

Przyglądała mi się, była poważna, wyrozumiała i pełna współczucia.

– I wiesz, że Cole złożył przed śmiercią obszernie zeznania. Możesz mi wierzyć, że każdemu wątkowi tej sprawy przyglądamy się z najwyższą dokładnością.

Pokiwałam głową. Wierzyłam jej. Nie łudziłam się, że MI6 jakoś szczególnie przejmuje się śmiercią podrzędnego hakera. Ale kto wie, ilu dziennikarzy i dysydentów politycznych padło ofiarą Watchdoga, a miejsce ich pobytu było śledzone przez oprogramowanie Cole'a. Kto wie, ile osób zostało po cichu zabitych w czasie, kiedy wydawało im się, że będą bezpieczni; ile dzieci dyplomatów miało teraz swoje zdjęcia w bazach biometrycznych w jakimś dalekim kraju dzięki Puppydog.

To, co się stało Gabe'owi, to była wina Cole'a i teraz zapłacił za to ostateczną cenę. A jeśli chodzi o ludzi, którzy poderżnęli mojemu mężowi gardło, to cóż, nigdy nie będę tego wiedziała na pewno, ale latem znaleziono dwa ciała dryfujące Tamizą, a ich DNA pasowało do śladów pozostawionych na oknie w łazience. Wiedziałam, jakiej reakcji oczekiwała Malik, kiedy przekazała mi te wieści – ulgi, że to już koniec, że mordercy Gabe'a zostali, jeśli nie złapani, to przynajmniej zidentyfikowani. Po części była to prawda, choć dziwnie było przyznać, że nigdy za bardzo nie interesowali mnie ludzie, którzy tamtej nocy wymierzili cios nożem. Dla mnie oni byli raczej kulami w naładowanej broni – tak, zabójcami, ale w jakiś dziwny sposób to nie oni ponosili odpowiedzialność za śmierć Gabe'a. Dla mnie to zawsze był Cole... i jego zleceniodawcy. A teraz Cole nie żył. Ale stojąca za nim grupa była dużo mroczniejszą, amorficzną formacją i mimo zapewnień Malik w głębi ducha nie byłam pewna, czy jej członkowie mogą kiedykolwiek zostać namierzeni, a co dopiero doprowadzeni przed wymiar sprawiedliwości.

Kimkolwiek były osoby stojące za włamaniem do Puppydog, stanowili oni zaledwie jedną część ogromnego darkwebu niewidzialnych graczy, sieci obejmującej przeróżne osoby, od agencji bezpieczeństwa państwowego, przez organizacje takie jak Lazarus Group, aż po dzieciaki siedzące przed monitorami w swoich sypialniach w Kanadzie, Polsce czy Bangladeszu, wciskające różne przyciski i wywołujące zamieszanie tylko dlatego, że mogą – tak jak robił to niegdyś Gabe. I tak – można było z nimi walczyć, niewykluczone, że nawet dałoby się aresztować niektóre osoby, ale równie dobrze można by próbować osądzić choroby nowotworowe. Zawsze będą istnieć. Śliskie, schowane w cieniu, przeciskające się przez szpary w naszych cyberzabezpieczeniach oraz przez drzwi, które zostawiamy dla nich otwarte w naszym cyfrowym życiu.

Jedyne, co mogłam zrobić, to powiedzieć sobie, że zamknęłam jedne takie drzwi – te wstawione dla nich przez Cole'a – i dzięki temu tysiące, może miliony ludzi były bezpieczniejsze. A teraz musiałam odpuścić.

– A jaka była druga rzecz?

Starałam się, żeby mój głos brzmiał w miarę beztrąsko, ale wyszło to fałszywie. Wiedziałam, że Malik zdaje sobie z tego sprawę i że mi współczuje, ale ze względu na nas obie stara się utrzymać służbowy ton.

– Jakaś lepsza?

– Może. W każdym razie taką mam nadzieję. Nie jestem pewna, czy zostało to już ujawnione, ale chciałam, żebyś dowiedziała się o tym pierwsza.

– Tak?

– Dostałam właśnie wiadomość z Eltham Green. Zakończono śledztwo. Jeff jest winien poważnych naruszeń etyki zawodowej.

– Żartujesz?

Twarz miałam sztywną i zdrętwiałam, jakbym nie wiedziała, jak zareagować: śmiać się czy płakać.

– Co to znaczy?

– To znaczy... No, ogólnie znaczy to tyle, że go wylali. Nie może już nigdy pracować w policji. A dwóch jego współpracowników dostało oficjalne nagany za to, jak cię traktowali po tamtym rozstaniu. Wiem, że to pewnie niewiele, a do tego z pewnością zbyt późno, ale, no... zawsze coś.

– O mój Boże.

Poczułam się, jakbym dostała prosto w brzuch. Przyłożyłam sobie dłoń, czując płataninę blizn pod koszulką tam, gdzie w szpitalu rozcięli mi poszarpaną, ropiejącą ranę w boku, żeby wyjąć śledzionę, i nie do końca udało im się naprawić szkody. Z jakiegoś powodu, kiedy dotykałam uniesionych, wrażliwych brzegów, wciąż namacalnych śladów w tych miejscach, z których wyjęto szwy i zszywki chirurgiczne, czułam się zakotwiczona w rzeczywistości. Przeżyłam to. Przeżyłam poród Gabby, po którym zostało mi jeszcze więcej szwów oraz blizn. Przeżyłam śmierć Gabe'a i nadal tu byłam, może nie w całości, ale wciąż stałam na nogach.

– Dziękuję – powiedziałam w końcu Malik.

Skinęła mi głową, nieco formalnie, jakby nie była pewna, co mamy obie zrobić z tą informacją. Okrzyki i przybijanie sobie piątek nie wydawały się do końca na miejscu, Malik była tego świadoma.

– Okej. No, to wszystko. Przepraszam, że tak cię tym teraz zarzucam, to jest w dodatku podwójny cios, wiem. Ale... Chciałam ci powiedzieć na żywo.

– Wiem – odpowiedziałam.

Dotknęłam jej ramienia, zmusiłam się do uśmiechu.

– Dziękuję ci. Szczerze.

A potem wsiadłam do auta i odjechałam. Malik przyglądała mi się i robiła się coraz mniejsza we wstecznym lusterku.

Byłam już prawie na Salisbury Lane, pochłonięta własnymi myślami, zanurzona we wspomnieniach, kiedy w radiu rozbrzmiała jakaś piosenka i początkowo nie potrafiłam jej nazwać. Wiedziałam tylko, że ten początek, natarczywy, powtarzalny refren rozbrzmiewający w rytmie tykania kierunkowskazu, gdy czekałam na skręt na naszą ulicę, wprowadził mnie w dziwne samopoczucie – połączenie paniki, tęsknoty i pragnienia.

A potem zrozumiałam. *This Must Be the Place*. Piosenka, którą graliśmy na naszym weselu, do której tańczyliśmy w ciepły, letni wieczór, otoczeni przyjaciółmi i rodziną, przytulając się, a potem ze śmiechem wywołaliśmy Cole'a oraz Noemie na parkiet, a także Hel z Rolandem, rodziców Gabe'a i wszystkich pozostałych przyjaciół i członków rodziny, wszystkich, którzy przyszli nam dobrze życzyć na początku naszego wspólnego życia.

Panika związana była z innym wspomnieniem, tym, jak Cole gwizdał ten refren, gdy szedł w moją stronę przez nadmorską mgłę, a ja kuliłam się na

wydmach, bojąc się o swoje życie, nie wiedząc, czy jest przyjacielem, czy wrogiem.

Cole. Cole, który zdradził najlepszego przyjaciela i doprowadził mnie na sam skraj. Który zmarł w więziennej celi.

Zatrzymałam auto przy krawężniku i siedziałam tak, słuchając, a David Byrne śpiewał o miłości, marzeniach oraz o ludzkiej nadziei – a także o tym, co to znaczy „dom”.

Poczułam na twarzy łzy – ostatnio jakoś często płakałam, chociaż nie zawsze ze smutku – ale gdy piosenka dobiegała końca, myślałam o Gabie, nie o Cole’u. O dłoni Gabe’a w mojej, gdy tańczyliśmy razem pod setką migoczących lampionów, o jego dłoniach na mojej talii, ramionach obracających mną, prowadzących mnie, otaczających mnie ciepłem miłości oraz obietnicą wspólnego jutra.

A kiedy piosenka się skończyła i otarłam oczy, wyłączyłam silnik i wysiadłam z auta. Odwróciłam się w stronę naszego małego domku, tego, w którym Gabe mieszkał, kochał mnie i umarł, oraz w którym nasza córka przyszła na świat z krzykiem – z krzykiem, który teraz słyszałam nawet na zewnątrz.

Moje serce przepełniła radość tak podobna do bólu, że nie byłam pewna, czy zdołam je odróżnić, tym razem uśmiechnęłam się przez łzy. Bo za tymi drzwiami czekała na mnie nasza córka – moja i Gabe’a. Była wspaniała, czerwona na twarzy i wściekła, a także dokładnie taka, jakiej pragnęłam.

Otworzyłam drzwi wejściowe. Byłam w domu. I tam właśnie chciałam być.

Podziękowania

Mam całą litanie podziękowań, jak zawsze w przypadku książki poruszającej temat, o którym niewiele się wiedziało, nim zaczęło się ją pisać.

Ta opowieść zrodziła się przede wszystkim z mnóstwa podcastów wysłuchanych podczas lockdownu, które po raz pierwszy zaciekały mnie podczas pisania *Pod kluczem* i *Jednego po drugim*, zgłębiających pod różnymi kątami świat technologii i aplikacji. Istnieje wiele odcieni cyberprzestępstw i równie dużo podcastów na ten temat, ale największy wpływ na tę powieść miały bez wątpienia *Darknet Diaries* prowadzone przez Jack Rhysider. To tam po raz pierwszy usłyszałam o zawodowych pen-testerach i inżynierach społecznych opowiadających wprost o swoich doświadczeniach, czasami ze szczegółami jeżącymi włos na głowie. Na początku więc dziękuję Jack za to, że uczyniła ten złożony temat tak dostępnym i ciekawym. Jako drugim dziękuję wszystkim hakerom i specjalistom od cyberbezpieczeństwa, którzy podzielili się ogromem swojej wiedzy i pomogli uczynić świat nieco spokojniejszym miejscem.

Dziękuję także wszelkim ekspertom i przyjaciółom, u których zasięgałam porad w kwestiach prawa, działania policji, badania miejsca zbrodni, monitoringu oraz hakerstwa. Neil Lancaster, Clare Mackintosh, Katie Robinson, Graham Bartlett, Sam Gordon i H.D. Moore – oto osoby, którym jestem niewymownie wdzięczna za czytanie fragmentów książki, doradzanie w kwestiach wiarygodnych (i niewiarygodnych) scenariuszy i za przyzwolenie na zadawanie im głupich pytań bez poczucia, że jestem idiotką. Nie muszę chyba dodawać, że wszelkie błędy oraz wybryki wyobraźni (wiarygodne lub nie) znalazły się tu wyłącznie za moją sprawą. Dziękuję Derekowi za nieocenioną pomoc w kwestii wewnętrznego działania call centers firm ubezpieczeniowych – mam nadzieję, że spodobał

ci się też bohater obdarzony twoim imieniem. A jeśli chodzi o Gythę, która powiedziała mi: „Jestem zwinna jak lis. Stary. Z osteoporozą. Rozjechany przez terenówkę. Przed dziesięcioma dniami”... Wiesz, co mam na myśli, i wiesz mi drinka na następnym festiwalu Bloody Scotland!

Zawsze jestem wdzięczna mojej wspaniałej agentce Eve, a także Ludo, Stevenowi, Rebecce oraz wszystkim pracownikom EWLA, którzy wypuszczają moje książki w świat. Podziękowania od serca należą się też zespołom ludzi harujących niestrudzenie za kulisami Simon & Schuster w Wielkiej Brytanii, USA, Australii i Kanadzie, a także moim wydawcom w innych językach i krajach. Alison, Jen, Suzanne i Nito – dziękuję wam za wspólną redaktorską pracę oraz za to, że wierzycie we mnie jako pisarkę. Ian, Jonathan, Jessica, Sydney, Sabah, Katherine, Taylor, Adria, Natasha, Felicia, Kevin, Mackenzie, Gill, Dom, Nicholas, Hayley, Sarah, Harriet, Matt, Francesca, Jennifer, Aimee, Sally, Abby, Anabel, Caroline, Jaime, John, Paul, Brigid i Lisa – błyskotliwość tych osób nigdy nie przestaje mnie zadziwiać i zawsze będę wam wdzięczna za całą tę ciężką pracę, jaką włożyliście w to, żeby moje książki docierały do rąk czytelników.

Paulowi Jamesowi Hillmanowi ogromnie dziękuję za jego hojny datek na rzecz fundacji Young vs. Cancer. Twoja darowizna wspiera młodych ludzi w najtrudniejszych momentach i wiele to dla mnie znaczy.

Dziękuję swojej rodzinie za to, że daje mi powody, by wynurzać się z moich wyobrażonych światów, i za to, że czynią ten prawdziwy takim wspaniałym.

I na końcu, moi drodzy czytelnicy – cóż mogę powiedzieć poza tym, że to dzięki wam to wszystko jest możliwe? Dziękuję wam z głębi serca za to, że doczytaliście aż do tego miejsca.

Ruth

MAM KRYMINALNY CHARAKTER

Jeśli masz go i ty, koniecznie sięgnij po nasze kryminały i thrillery.

BARTOSZ SZCZYGIELSKI ASYMETRIA

FREIDA McFADDEN POMOC DOMOWA. SEKRET

IZABELA JANISZEWSKA W SZPONACH

ANNA GÓRNA GŁOŚNIEJ

MRŌZ *Inne tonacje ciszy*



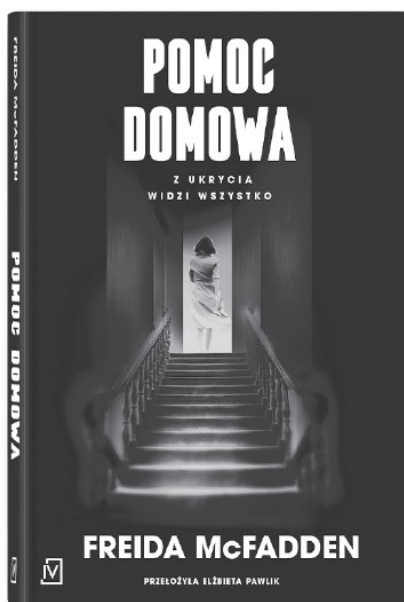
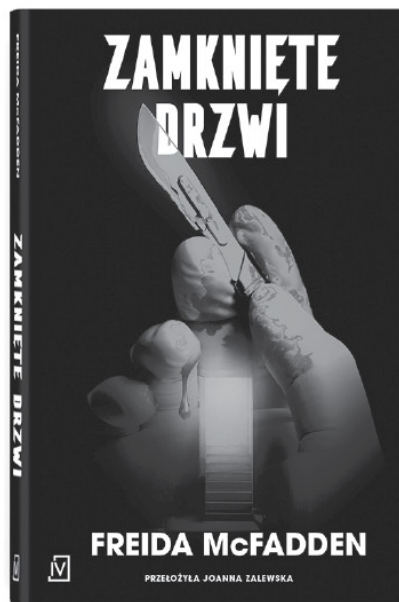
www.wydajenamsie.pl

MILIONY SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY NA CAŁYM ŚWIECIE!



ZACZYTAJ SIĘ W THRILLERACH RUTH WARE

WCIĄGAJĄCE THRILLERY Z OSZAŁAMIAJĄCYMI ZWROTAMI AKCJI!



Spis treści

Sobota, 4 lutego – MINUS OSIEM DNI

Niedziela, 5 lutego – MINUS SIEDEM DNI

Poniedziałek, 6 lutego – MINUS SZEŚĆ DNI

Wtorek, 7 lutego – MINUS PIĘĆ DNI

Środa, 8 lutego – MINUS CZTERY DNI

Czwartek, 9 lutego – MINUS TRZY DNI

Piątek, 10 lutego – MINUS DWA DNI

Sobota, 11 lutego – MINUS JEDEN DZIEŃ

Niedziela, 12 lutego – ZERO DNI

Poniedziałek, 13 lutego – DZIEŃ PIERWSZY

Epilog – 12 LUTEGO, PONIEDZIAŁEK, DZIEŃ TRZYSTA SZEŚĆDZIESIĄTY
PIĄTY

Podziękowania

Polecamy również